

AGNIESZKA PRUSKA

SKUTECZNA
jak POCISK



ŚLADY

ZOSTAJĄ

OFICYNKA

**AGNIESZKA
PRUSKA**

**ŚLADY
ZOSTAJĄ**



OFICYNKA
WYDAWNICTWO

Copyright © Oficynka & Agnieszka Pruska, Gdańsk 2023

Wszystkie prawa zastrzeżone.

Książka ani jej część nie może być przedrukowywana ani w żaden inny sposób reprodukowana lub odczytywana w środkach masowego przekazu bez pisemnej zgody Oficynki.

Wydanie pierwsze w języku polskim, Gdańsk 2023

Opracowanie redakcyjne: Katarzyna Pruska

Korekta: Anna Marzec

Skład: Dariusz Piskulak

Projekt okładki: Magdalena Zawadzka

Zdjęcia na okładce: © Nik Merkulov/shutterstock

© Elina Krime/pexels © life of pix/pexels

© Lorenzo/pexels © Walter Bichler/Pixabay

© Kei Scampa/pexels

ISBN 978-83-67875-00-4



www.oficynka.pl

e-mail: oficynka@oficynka.pl

Spis treści

Strona tytułowa

Karta redakcyjna

Prolog

Rozdział pierwszy

Rozdział drugi

Rozdział trzeci

Rozdział czwarty

Rozdział piąty

Rozdział szósty

Rozdział siódmy

Rozdział ósmy

Rozdział dziewiąty

Rozdział dziesiąty

Rozdział jedenasty

Rozdział dwunasty

Rozdział trzynasty

Rozdział czternasty

Rozdział piętnasty

Rozdział szesnasty

Rozdział siedemnasty

Rozdział osiemnasty

Rozdział dziewiętnasty

Rozdział dwudziesty

Rozdział dwudziesty pierwszy

Prolog

Siudę obudził głośny dźwięk. Nie dobiegał z mieszkania, ale z ulicy. Był środek nocy i każdy dźwięk było doskonale słyszeć. Zaspany mężczyzna przez chwilę siedział na łóżku, usiłując wyrwać się z objęć Morfeusza i zidentyfikować hałas. Po chwili dotarło do niego, że prawie pod oknami jego domu gwałtownie zahamował samochód, a głośna i chaotyczna rozmowa sugerowała, że dzieje się coś, co odbiega od normy. Mężczyzna wyrzwał przez okno i bez trudu dostrzegł przyczynę zamieszania.

– Kurwa mać!

Na jezdni, tuż przed samochodem, leżał człowiek. Wypadek! Siuda na pizamę włożył bluzę od dresu i szybko wybiegł na ulicę. Na jego widok mężczyzna pochylający się nad leżącym człowiekiem drgnął przestraszony.

– To nie ja! On już tak leżał! Zdażyłem wyhamować!

– To nie mąż! Niech pan popatrzy, nasz samochód nawet go nie dotyka! – Kobieta była bliska hysterii.

Na ulicy pojawili się sąsiedzi Siudy, ich też wywabił hałas. Niektórzy byli rozbudzeni, inni na wpół śpiący, ale wszyscy zaniepokojeni. Siuda pochylił się nad leżącą postacią.

– Kurwa mać! To Gawroński – rzucił do trzech sąsiadów.

– Głowę ma tak zakrwawioną, że pewnie bym nie poznał, ale masz rację, to on. Chyba jest nieprzytomny – zauważył niski i szczupły mężczyzna.

– Ci państwo mówią, że już tak leżał, gdy nadjechali – wyjaśnił sąsiadom Siuda.

– Bo tak było. Matko Boska, co teraz? – jęczał kierowca.

– Dzwonił pan po pogotowie? – spytał jeden z mężczyzn.

– Nnno nie.

– To dzwoń człowieku! Na co czekasz?!

– Janek, słyszysz mnie? – Siuda przykucnął przy Gawrońskim i dotknął delikatnie jego twarzy. – Niech to cholera, nie reaguje i jest cały we krwi. Chyba nieźle oberwał.

– Odsuń się, zobaczę, co z nim jest – zarządził Stanisław Kaczyński, który właśnie pojawił się obok. – Ruszałeś go?

– Tylko go dotknąłem, ale nie reaguje. Nie wygląda dobrze i chyba jest pijany, bo jedzie od niego jak z gorzelnii. Może po pijaku wracał i się wywalił?

Kaczyński był ratownikiem medycznym i od razu zajął się leżącym na jezdni sąsiadem. Po chwili wyprostował się i odwrócił do przyglądających mu się ludzi.

– Nie żyje. Już nie można mu pomóc.

– Żartujesz? Ja pierdołę, jak to nie żyje?! – Siudzie, tak jak i pozostałym, nie mieściło się to w głowie.

– Nie wiem, co mu się stało. Wygląda to tak, jakby oberwał kilka razy.

– Nie umiesz tego stwierdzić?

– Umie. Ale nie wiadomo, jak zginął, a gliny by się wściekły, jakbym go ruszył. Jeżeli ktoś go napadł, to będą chcieli sprawdzić, czy są jakieś ślady. Trzeba ich wezwać.

– To chociaż znieśmy go z ulicy i czymś przykryjmy – zaproponowała jedna ze starszych sąsiadek.

– Nie możemy. Wszystko musi tak zostać do przyjazdu glin – powiedział Kaczyński. – Wiem, bo już nieraz miałem z czymś takim do czynienia.

Jan Gawroński, samotny rozwodnik, ojciec kilkunastoletniego syna, zginął pod własnym domem osiemnastego września dwa tysiące dziesiątego roku. Mimo wnikliwego śledztwa i zbadania kilku obiecujących tropów policji nie udało się ustalić motywu morderstwa. Mężczyzna był pod wpływem alkoholu i jego percepcja była mocno ograniczona, co ułatwiło zadanie napastnikowi. Obrażenia nie pozwoliły

jednoznacznie stwierdzić, czy pobicie lub morderstwo było celem samym w sobie, czy tylko wynikiem podjętej przez Gawrońskiego obrony. Przeciwno tej drugiej hipotezie przemawiało to, że mężczyzna nie został obrabowany. Portfel, dokumenty i klucze od mieszkania miał w kieszeni kurtki. Zabezpieczono jeden niezidentyfikowany włos, który – teoretycznie – mógł zostawić morderca. Policji nie udało się też ustalić, gdzie mężczyzna spędził ostatnie godziny przed śmiercią. Była żona zamordowanego zeznała, że od jakiegoś czasu cierpiał on na urojenia. Ich charakter wzbudził od razu podejrzenia prowadzącego sprawę. Gawroński twierdził ponoć, że wykorzystując jego nieobecność, ktoś czasem wchodzi do domu. A jeżeli była to prawda? Jeżeli ktoś prześladował Gawrońskiego, a jego śmierć była z tym ściśle związana?

Niestety, mimo szeroko zakrojonego dochodzenia, przepytania wielu świadków, sprawdzania alibi i powiązań sprawa pozostała nierozwiązana.

Rozdział pierwszy

Powrót do pracy po długiej nieobecności – najpierw zwolnieniu, a potem urlopie, również tym bezpłatnym – ekscytował, ale i niepokoił nieco Sarę Lipner zwaną przez współpracowników Szajbą. Od momentu gdy został zamordowany jej znajomy, Artur Kowalik, a ona sama zaangażowała się w wykrycie sprawcy, wiedziała, że będzie chciała wrócić do służby, a urlop nie przekształci się we wcześniejszą emeryturę, chociaż przez pewien czas była to dla niej kusząca opcja. Kusząca nie tylko ze względu na traumatyczne wydarzenia związane z jedną ze spraw, ale także przez sytuację w policji. Szajba chciała łapać przestępców, a nie angażować się w rozmaite przepychanki zahaczające o politykę. A to było coraz trudniejsze. Jeżeli awansuje, stanie się to praktycznie niemożliwe. Będzie musiała się podporządkować albo wyleci. Od razu postanowiła więc, że postara się nie awansować, co przy jej skłonnościach do naginania niektórych faktów, umiejętności znajdowania luk w prawie oraz, niekiedy, działaniu pod wpływem chwili, było całkiem łatwe do osiągnięcia. Wystarczy, że rozwiąże jakąś sprawę, a przy okazji podpadnie, i bilans wyjdzie na zero. Albo na minus, jeżeli przy okazji narazi się komuś. Drugą przyczyną lekkiej niepewności Szajby było to, że nie wracała na „stare śmieci”, a na własną prośbę przechodziła do Archiwum X. Powodem takiej zmiany była głównie obawa, że kiedyś w podbramkowej sytuacji może zareagować za późno i nie uda się jej kogoś ocalić. Ta obawa nie zniknęła wraz z upływem czasu od feralnego śledztwa, w którym zginął jej partner, a ona została poważnie ranna. Nie pomogło również prywatne dochodzenie i sprawdzenie się w podbramkowej sytuacji. Najnormalniej w świecie nadal bała się, że może zawieść – i to partnera, z którym będzie pracowała. Woląca tego nie sprawdzać i praca przy starych sprawach wydawała jej się odpowiednim rozwiązaniem. W razie czego narazi tylko

siebie. Liczyła na to, że w Archiwum X najprawdopodobniej będzie miała większy luz i w terenie najczęściej będzie działała sama. To jej odpowiadało i przy okazji dawało możliwość prowadzenia cichego dochodzenia w sprawie zamordowanego przez mafię partnera. Cichego i dyskretnego, ale jednocześnie z glockiem i odznaką. A gdyby było trzeba, to i ze wsparciem kolegów.

Bezpośrednią przełożoną Szajby była teraz komisarz Dagmara Ostróżka, która po jakiejś scysji zawodowej, w której został jej wypomniany wiek, postanowiła odpuścić. Uznała, że szkoda nerwów, a stare sprawy są równie pasjonujące, jak te nowe. Zamiast działań radykalnych i przejścia na emeryturę wybrała Archiwum X. Zostawała w zawodzie, ale miała nadzieję na zwolnienie tempa i spokój. Przeliczyła się, w każdym razie jeżeli chodzi o ilość pracy. Nie narzekała jednak, miała pięćdziesiąt pięć lat, odchowane dzieci, męża marynarza i sporo energii. Nowy nabytek, Szajbę, przyjęła z otwartymi ramionami – zawsze to więcej osób w zespole. Poza tym Szajba była doskonale znana w gdańskiej policji, jeżeli nie każdemu z osobna, to z opowieści, niekiedy całkiem niezłe podkoloryzowanych. Jej dociekliwość mogła bardzo przydać się w Archiwum X.

Lipner nową pracę zaczynała na początku kwietnia. Na krótkim spotkaniu powitalnym Ostróżka przedstawiła jej najbliższych współpracowników: podkomisarza Adama Roszkowskiego, który do Archiwum X trafił po wypadku samochodowym, w wyniku którego został inwalidą, najstarszego z nich – sierżanta Karola Porębę i cywilnego analityka, Dobosza.

– Jak widzisz nie za dużo nas – podsumował Roszkowski. – A ja jestem przykutą do biurka. Niby mogę przejść dwa kroki o kulach, ale jeżdżę głównie na wózku.

– Za to mózg działa ci bez zarzutu – uśmiechnęła się Ostróżka.

– To co? Dajemy nowej – sierżant mrugnął okiem – sprawę Gawrońskiego? To taki nasz rytuał przejścia – wyjaśnił Sarze. – Na razie wszyscy pokruszyli sobie na tym zęby, my też. Ale może pani komisarz...

– Sara.

– Ale może ty dasz sobie radę. Zawsze to świeże spojrzenie.

– Dobrze by było – odezwał się milczący do tej pory zasuszony osobnik w nieokreślonym wieku, Wojciech Dobosz. – Jestem archiwistą i analitykiem z zawodu, a jednocześnie jest to moja pasja. I niestety ja też poległem.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem, Sara uśmiechnęła się dla towarzystwa, a Dobosz udał urażonego i pogroził im palcem.

– Czekaście, czekaście! Będziecie czegoś chcieli...

– A słyszałeś siebie? – spytał Roszkowski. – Normalnie śledczy roku się odezwał.

– A co? Mało to razy dobrze was naprowadzałem?

– Nie – przyznała Ostróżka. – I chwala ci za to.

– A tak na poważnie to myślałem, że podczas analizy materiału znajdę coś, co do tej pory pomijano. Nie znalazłem, to frustrujące. – Analityk pokręcił głową z ubolewaniem. – Nie myślę, że zjadłem wszystkie rozumy, ale naprawdę bardzo często zdarza mi się trafić na coś, czego inni nie zauważyli. Albo nie przyszło im do głowy, że to się może wiązać z czymś istotnym. W większości przypadków nic z tego nie wynika, po prostu badamy jeszcze jedną możliwość, ale czasem to jest brakujące ogniwo.

– A wtedy Wojtek jest tak zadowolony z siebie, że zaczyna śpiewać. Dobrze ci radzę, kup zatyczki do uszu – roześmiał się sierżant.

Porozmawiali jeszcze chwilę, a potem się rozeszli. Mieli co robić, nikt nie zamierzał niańczyć Szajby, bo i niby dlaczego? Dostała biurko w pokoju Roszkowskiego, a sierżant przyniósł jej akta sprawy Gawrońskiego.

Do końca dnia Szajba przeglądała zgromadzone materiały. Przed nią mordercę usiłowało namierzyć już parę osób, a każdy układał wszystko po swojemu, dokładał kolejne dokumenty. Sara stwierdziła, że panuje w nich totalny bałagan, co oznaczało mniej więcej tyle, że ona sama ułożyłaby i posegregowała wszystko zupełnie inaczej. Uznając, że Roszkowski nie wstanie nagle z wózka i nie zacznie przechadzać się po pokoju, zaanektowała całą przestrzeń z wyjątkiem ścieżki wiodącej od biurka komisarza do drzwi. Rozłożyła wszystkie dokumenty na podłodze.

– Dzięki, że o mnie pomyślałaś, ale co z tymi elektronicznymi? Jak wydrukujesz, to chyba będziesz musiała z nimi na korytarz wyjść.

– Szkoda drzew. Tylko te sobie ułożę. Tak je lepiej widzę, a na biurku się nie zmieszczą.

Lipner darowała sobie na razie czytanie dokumentów, wolała zrobić to systematycznie, a nie wyrywkowo. Pod koniec pracy miała w nich zaprowadzony własny porządek, sprawdziła też, jakie dokumenty ma dostępne w formie elektronicznej. Było tego dużo i wiedziała, że sporo czasu zajmie jej przekopanie się przez nie. Musiała jednak poznać sprawę dokładnie, bo tylko wtedy miała szansę na jej rozwiązanie. Skoro do tej pory nie złapano mordercy, to albo był geniuszem zbrodni, albo przeoczyli coś istotnego. Geniusze, niezależnie od dziedziny, zdarzają się rzadko.

W tym przypadku czas jej nie gonił. Sprawa była na tyle stara, że tydzień, miesiąc czy rok nie robiły różnicy, ale na tyle świeża, że nie groziło przedawnienie. Nic na wariata, wszystko spokojnie. To było dla Sary nowością.

Żałowała, że nie może spotkać się po południu z komisarzem Piotrem Sulichem, ale miał urlop i wyjechał do Włoch, żeby pobyć dłużej z córkami, które mieszkały tam z jego byłą żoną i jej obecnym mężem. To Sulich zaproponował jej przejście do Archiwum X i na pewno był ciekawy pierwszych wrażeń. Wieczorem, na tyle późno, żeby mu nie przeszkadzało w odnawianiu relacji z dziećmi, zadzwoniła do Piotra i zdała mu relację. Słuchał z zainteresowaniem i lekkim niepokojem, pełen obaw, że jeżeli Sarze nowy wydział się nie spodoba, to nie omieszka mu tego wytknąć.

– Dostałam sprawę, którą wszyscy traktują jak coś pośredniego pomiędzy kukułczym jajem a testem dla nowego.

– Nie mów, że nie lubisz wyzwania – roześmiał się Sulich, dla którego od jakiegoś czasu największym wyzwaniem była Sara.

– Lubię. I już mnie to zaintrygowało.

– Dlaczego? Co w tej sprawie takiego dziwnego? – W komisarzu obudził się policjant.

- Co prawda jedynie pobieżnie przejrzałam dokumenty, ale mam wrażenie, że ktoś, kto się tym zajmował jako pierwszy, albo może jacyś świadkowie byli miłośnikami serialu *Archiwum X*.

- I co, liczyli, że sprawa zostanie nierozwiązana przez ileś tam lat?

- Nie, no coś ty? - roześmiała się Lipner. - Mam na myśli *Archiwum X* z Mulderem i Scally.

- Zabiły go małe zielone ludziki?

- Nic takiego nie rzuciło mi się jeszcze w oczy. Jeszcze - podkreśliła Szajba. - Ale parę innych tego typu ciekawostek tak.

- Dawaj!

Lipner już miała odpowiedzieć, że opowie wszystko dokładnie za dwa lub trzy dni, jak przebrnie przez wszystkie raporty i inne dokumenty, ale wtedy w ich rozmowę wdarły się dwa dziewczęce głosy. Okazało się, że córki jeszcze nie śpią i domagają się od ojca uwagi. Prawdopodobnie były zazdrosne o to, że dawno niewidziany tato poświęca czas komuś innemu. Lipner szybko skończyła rozmowę, bo zdawała sobie sprawę, jak mało czasu ma dla dzieci Piotr. Wyjechał do Włoch na dziewięć dni, z czego pięć córki przedpołudniami spędzały w szkole. Brakowało jej Sulicha i postanowiła kolejny raz zadzwonić przed południem - wtedy będą mieli więcej czasu dla siebie.

Materiały dotyczące sprawy Gawrońskiego Szajba przejrzała bardzo pobieżnie, ale już zdążyła się w nią wciągnąć. Na śledztwie połamało sobie zęby paru dochodzeniowców, więc chociażby z tego powodu rozwiązanie jej było wyzwaniem. Chciała też dać odpowiedzi bliskim i wyjaśnić nietypowość zeznań niektórych świadków. Sara w trakcie swojej kariery przesłuchiwała wiele osób - czasem trafiali się tacy, którzy nie mieli ochoty współpracować z policją, ale byli i tacy, dla których komisarz nieoczekiwanie stawała się kimś, komu można się wyzalić. Albo podzielić obawami czy po prostu pogadać. Niekiedy zdarzali się też świadkowie, którzy mając słuchacza, puszczali wodze fantazji i pletli, co im tylko przyszło do głowy. Nigdy jednak nie przytrafiło się Sarze słuchać zeznań kogoś, kto sugerowałby, że dom ofiary jest nawiedzony. Kilka osób

twierdziło też, że Gawroński miał zwidy, co również nie zdarza się tak często.

W środę rano, po krótkiej rozmowie ze współpracownikami, Szajba siedła przy biurku nad materiałami dotyczącymi śledztwa. Wszystkie dokumenty miała ułożone chronologicznie i jednocześnie oznaczone – łatwo jej było wyłowić z tego stosu zeznania konkretnej osoby czy opinie techników. Czytała wszystko od deski do deski, wynotowując sobie to, co uważała za istotne. Czekają ją sporo sprawdzania i rozmowy ze wszystkimi, którzy będą osiągalni. Gawroński zginął dwanaście lat temu, więc świadkowie mogli umrzeć lub wyjechać. To drugie nie uniemożliwiało oczywiście przepytania ich, ale Sara wolała kontakt bezpośredni. Na razie czytała o tym, że Gawrońskiego ktoś śledził, w każdym razie facet tak twierdził. Według rodziny nie zasypiał też nigdy, zanim nie zamknął wszystkich okiennic, a w domu były całkiem porządne, antywłamaniowe. Czyżby się czegoś bał?

Lipner przejrzała pod tym kątem przeczytane już zeznania i utwierdziła się w mniemaniu, że reszta rodziny – żona i syn – nie czuła się zagrożona. Do zachowania męża i ojca odnosiła się z lekkim pobłażaniem i niedowierzaniem, aczkolwiek jego śmierć nieco to zmieniła. Bliscy ofiary zaczęli się zastanawiać, czy jednak czegoś w tym nie było.

Po dwunastej Szajba zrobiła krótką przerwę i postanowiła pogadać ze swoimi nowymi kolegami. Nie znała ich, a warto było wiedzieć, z kim się współpracuje. Nie liczyła na to, że od razu dobrze ich pozna, ale nawet z krótkich rozmów może coś wyniknąć.

– Co sądzisz o Nadprzyrodzonym Mordercy? – spytał Roszkowski, gdy zobaczył, że Sara oderwała się od akt.

– O kim?

– O zabójcy Gawrońskiego.

– Na razie dotarłam tylko do śledzenia i barykadowania się w domu.

– A to nie będę ci psuł zabawy – uznał podkomisarz. – Sama zobaczysz. Ja byłem rozczarowany, że nie porwało go UFO, a zginął w bardziej prozaiczny sposób.

– Szkoda, byłby to pierwszy taki przypadek – uśmiechnęła się Szajba. – Idę po kawę, chcesz też?

– Tylko nogi mi nie działają, mogę sam pojechać.

– Wiem. Mógłbyś być mistrzem świata w sprincie, ale skoro idę zrobić sobie, to i tak bym zaproponowała, że zrobię i tobie – wyjaśniła Szajba.

– Skoro tak, to chcę. Z mlekiem, bez cukru.

No i proszę, już się czegoś dowiedziała o Adamie. Był przewrażliwiony na punkcie swojej niepełnosprawności. Jeździł na wózku i bał się, żeby inni nie traktowali go przez to ulgowo. Nie wyręczali i nie cackali się. A on po prostu nie mógł chodzić. Aż tyle i tylko tyle. Poza tym był zdrowy i umiał o sobie zadbać.

– Zawsze już będziesz jeździł? – spytała Szajba, stawiając przed nim kawę.

– Na dłuższe dystanse zapewne tak, chyba że medycyna coś wykombinuje. O kulach przejdę kilka kroków, więc w domu nie używam tego pojazdu. – Podkomisarz poklepał wózek. – Lekarze mówią, że z kulami powinienem całkiem sprawnie się poruszać, ale to za jakiś czas i za ileś tam godzin rehabilitacji. I tak nie jest najgorzej, żyję.

Kto jak kto, ale Lipner, która na służbie straciła partnera, a sama porządnie oberwała, doskonale wiedziała, ile jest w tym prawdy. Zdawała sobie jednak sprawę, jak bardzo utrata sprawności musi być dla Adama frustrująca.

– Wiem – stwierdziła krótko. – I mów, jak coś ci jest potrzebne, a nie chce ci się po to pojechać albo trudno sięgnąć.

Roszkowski spojrział na Sarę, która nie ciągnęła tematu, tylko wróciła do swojego biurka, i leciutko się uśmiechnął.

– Dobra, powykorzystuję cię trochę.

– A proszę cię bardzo, ja ciebie też. Może nie przy podawaniu czegoś, ale na pewno znajdę coś innego – zapewniła Sara.

– Do usług.

– Nad czym teraz pracujesz?

– Dwadzieścia pięć lat temu w jednej wsi w okolicach Gdańska został zamordowany dwunastolatek. Wyszedł z domu, żeby spotkać się z kolegami nad stawem. Na spotkanie nie dotarł. Znalaziono go dwa dni później, w zbożu na jednym z okolicznych pól. Został zgwałcony i zamordowany.

– Cholera... – Szajba przypominała sobie swoje nieoficjalne śledztwo związane z morderstwem znajomego i pedofilią.

– No właśnie.

– Tylko on?

– Tylko. Chyba wszyscy zadali sobie pytanie, czy był jedyną ofiarą. Wszystko wskazuje na to, że tak.

– Jedyną śmiertelną ofiarą – odpowiedziała Szajba.

– Dokładnie. Ale nikt nie zająknął się na temat skrzywdzenia jeszcze innego dziecka.

– Może sprawcą był ktoś znany lub szanowany.

– Tak podejrzewam. Nauczyciel, lekarz, ksiądz.

– Albo po prostu ktoś znajomy, kto absolutnie nie wzbudzał podejrzeń.

– No więc właśnie. Spróbuję pójść tym tropem, zobaczymy, co to da.

Po chwili oboje pogрузyli się w pracy. Szajbę pochłoneła sprawa Gawrońskiego. Nigdy dotąd nie pracowała nad tak starym przypadkiem, nie szła tropem swoich poprzedników i nie usiłowala znaleźć luki w ich wnioskowaniu albo innych niedociągnięć w śledztwie. Miała wrażenie, że ich sprawdza i kontroluje efektywność działania. Na pierwszy rzut oka nie było widać uchybień, ale opierała się przeciw na przesłuchaniach prowadzonych przez kogoś innego. Nie wiedziała, czy sama nie zadałaby innych pytań podczas bezpośredniej rozmowy. Na przykład dlatego, że ktoś nagle stał się bardziej zdenerwowany lub uciekał wzrokiem. Szukanie prawdy po upływie wielu lat było nowym wyzwaniem.

Rozdział drugi

Trzy pierwsze dni pracy Sara poświęciła na zapoznanie się ze śledztwem w sprawie Nadprzyrodzonego Mordercy. Nie znalazła nic, co sugerowałoby pominięcie ważnych tropów, ale zrobiła sobie plan, według którego zamierzała działać.

– Pewnie, że akceptuję! – zapewniła ją Dagmara, gdy Szajba w piątek poszła pogadać o tym, co planuje. – Wiesz, czym się różnią nasze śledztwa, oprócz tego, że przeważnie nikt nas nie popędza, ale za to część świadków nie pamięta już dobrze tamtych wydarzeń?

– Tym, że druga część nabiera dystansu i niekiedy ma ciekawe spostrzeżenia, a my mamy mniejszą szansę na nadeptanie komuś na odcisk?

– Dokładnie! Wobec tego nie musimy być tak ostrożni. Nie rozmawiamy z rodzinami świeżo pograżonymi w żałobie, a stary nie ciska się, że morderca jeszcze nie siedzi.

– Ale niekiedy rozdrapujemy zabliznione już rany – zauważyła Szajba.

– Tak, tego nie da się uniknąć – przyznała Ostróżka. – Mów, gdybyś czegoś potrzebowała. Może ci się uda.

Sara już była w drzwiach, gdy odezwał się telefon Ostróżki. Szefowa zerknęła na numer i od razu odebrała. Słuchała przez moment, a potem w pośpiechu zaczęła się ubierać.

– Pojedziesz ze mną i Porębą, po drodze powiem ci, o co chodzi.

W samochodzie Dagmara wyjaśniła, że chyba wreszcie jest szansa, że sprawa, którą zajmuje się już od jakiegoś czasu, wreszcie ruszy z miejsca. Odnalazł się świadek, który być może widział albo mordercę, albo nawet morderstwo popełnione trochę ponad dwadzieścia lat temu.

– I jedziemy do niego we trójkę? – zdziwiła się Szajba.

– Recydywa – mruknął sierżant.

- Jak się zorientuje, kto chce z nim rozmawiać, to będzie chciał nawiać – dodała Ostróżka. – Tacy jak on unikają nas jak ognia.

- Agresywny?

- Na trzeźwo niby nie, ale pije i ćpa. Więc różnie może być.

- To blok?

- Niestety nie. Taki popegeerowski barak zamieszkały przez kilka rodzin. Piętrowy, obok pola i niedaleko lasu.

- On mieszka na parterze?

- Tak. A połowa mieszkańców jest na bakier z prawem, więc nie Kochają nas tam.

- Od razu dadzą mu cynk – mruknął Poręba.

- To szkoda, że jedziemy jednym samochodem. Wysadźcie mnie, zanim dojedziemy, pójdę na piechotę i dam znać, jak będę na miejscu. Ciebie znają, Karol ma w sobie coś z gliniarza, a mnie najprawdopodobniej nie skojarzą.

- No raczej! – roześmiała się Ostróżka.

Lipner miała na sobie ulubioną czarną skórzaną kurtkę, ciemnogrnatowe jeansy i czarne trapery.

- Co tu jest w pobliżu? Czego mogę szukać? Jakaś agroturystyka albo stadnina?

- To kawałek dalej. Ale niedaleko mieszka facet, który ma pasiekę – odpowiedziała komisarz.

Zgodnie z planem zatrzymali się kawałek przed zabudowaniami i Sara dalej poszła pieszo. Daleko nie było, może trochę ponad kilometr. Gdy wyszła zza ostatniego zakrętu, od razu zobaczyła interesujący ich barak. Był w opłakanym stanie, wyglądał jak budynek do rozbiórki, a nie lokum dla kilku rodzin. Obok były jakieś komórki, stara obora albo coś w tym stylu, sznurki z suszącym się praniem, kilka drzew i krzaczki, prawdopodobnie porzeczek. Nieco dalej widać było skupisko domów w zdecydowanie lepszym stanie. Na ławce przed jednym z dwóch wejść do baraku siedziała starsza kobieta z kotem na kolanach.

- Dzień dobry – przywitała się Lipner.

Kobieta przez chwilę przyglądała się jej nieufnie, potem zerknęła w stronę, z której Sara przyszła, i wreszcie zdecydowała się na odpowiedź.

– Dla kogo dobry, dla tego dobry. A pani tu czego?

– Nie wiem czy tu – Szajba podkreśliła ostatnie słowo – ale szukam pszczelarza. Miód chcę kupić.

– Tak na piechotę pani przyszła? – spytała podejrzliwie kobieta.

– Nie, dlaczego? Kawalek dalej zostawiłam samochód, chciałam się przejść, ładnie jest. A co? To jakoś bardzo daleko?

– A nie, tam. – Nieokreślony ruch ręką wskazywał kierunek za domniemaną oborą.

– Dobry miód ma? Kupuje pani u niego?

– Nie. Za drogi. Z renty to się miodu nie kupi. Ale ludzie do niego jeżdżą, więc pewnie dobry.

W tym momencie wewnątrz domu wybuchła jakaś awantura. Kobieta drgnęła, a potem spojrzała na Sarę niechętnie, jak na intruza. Dźwięki były coraz głośniejsze, do kłótni włączały się kolejne osoby, przekleństwa sypały się jak z rękawa. Z tym że mało wyszukane, królowało „ty chuju!”.

– Pani idzie po ten miód, tu nie ma nic ciekawego – powiedziała z naciskiem kobieta.

– Racja. – Szajba pożegnała się i ruszyła we wcześniej wskazanym kierunku.

Gonił ją nasilający się hałas, awantura przybierała na sile. Do Ostróżki zadzwoniła dopiero wtedy, gdy od strony baraku osłaniała ją zdewastowana obora.

– Mam miejscówkę za oborą, wiesz gdzie?

– Wiem.

– W środku jest jakaś awantura, nie mam pojęcia, czego dotyczy, ale właśnie się zaczęła.

– Niech to szlag! No nic, trudno, może się uda.

Na widok podjeżdżającego samochodu siedząca na ławce kobieta wstała i coś krzyknęła. Po chwili w wejściu do baraku pojawiło się dwóch mężczyzn w trudnym do określenia wieku. Patrzyli wyczekująco na

samochód. Ostróżka i Poręba wysiedli, wylegitymowali się i najwyraźniej powiedzieli, o co chodzi, bo jeden z mężczyzn zszedł do nich, a drugi zniknął w budynku. Szajba obserwowała wszystko jak na niemym filmie. Ze swojej kryjówki widziała front budynku i teren za nim. Fakt, że kąp był taki, że nie zauważyłaby, jak ktoś wychodzi oknem od tyłu, ale za to widziałaby, gdzie potem ucieka. Czekąca. Ostróżka i sierżant weszli do budynku i prawie w tej samej chwili w polu widzenia Sary pojawił się szczupły mężczyzna wychodzący zza domu. Czyżby świadek Dagmary? Rozglądał się i starając się ukryć za krzakami i komórkami, przemykał w stronę obory. W sumie niegłupio, na polu byłby widoczny, a tu mógł przeczekać wizytę policji. Mężczyzna ostatni odcinek pokonał sprintem i z ulgą dopadł zdezelowanych drzwi. Gdy wszedł do ośrodka, Lipner wysłała SMS-a do Ostróżki i ostrożnie weszła za nim.

W środku panował półmrok, było widać pozostałości po boksach i jakichś urządzeniach. Część obory oddzielona była grubą folią, co w Sarze od razu obudziło czujność. Stan folii i sposób jej zamocowania kontrastowały z resztą budynku. W policyjnym umyśle Szajby zapaliła się lampka ostrzegawcza. Wyjęła glocka i starając się iść jak najciszej, ruszyła w stronę konstrukcji. Po drodze sprawdzała, czy w którymś z boksów nie ukrywa się świadek. Ostrożnie rozchyliła folię. Jeden rzut oka potwierdził jej podejrzenia. Marihuana. Może nie jakaś olbrzymia plantacja kartelu narkotykowego, ale całkiem sporo. Dorodne rośliny sięgały Sarze prawie do ramion. Gdzieś w tym gąszczu ukrył się uciekający przed Ostróżką mężczyzna.

Szajba usłyszała, jak ktoś wchodzi do obory, na moment zdekoncentrowała się i dlatego dopiero w ostatnim momencie zobaczyła przemykającego między roślinami mężczyznę.

– Obstawcie z zewnątrz! – krzyknęła do szefowej i sierżanta.

Skoro facet nie zaszył się w jakimś kącie, aby przeczekać, i zmienia miejsce, może to oznaczać, że jest stąd drugie wyjście. Sara poczuła lekki zawód, że to nie jej przyjdzie zatrzymać świadka. Trudno, nie co dzień święto. Zachowując ostrożność, bo facet miał dużo do stracenia, sprawdzała kolejne rzędy upraw. Gdy doszła do połowy, nagle w kącie

poruszyła się folia, a zaraz potem usłyszała skrzypienie desek. Nie namyślając się, pobiegła w tamtą stronę. Gdy przez niewielki otwór zasłonięty drewnianymi drzwiczkami wyszła na zewnątrz, sierżant już kończył skuwać szarpiącego się mężczyznę.

– Spokojnie możesz go wziąć na dołek i przesłuchać u nas – stwierdziła Lipner.

– Co zrobił?

– Urządził sobie plantację.

– To nie moje! Kurwa, odczepcie się!

– A czyje?

– Nie wiem!

– Ciekawe. Czyli mówisz, że ktoś obcy przyjechał tu i pod waszym nosem uprawiał narkotyki? A wy nic nie wiedzieliście? Niewidzialny był? A może dobrze zapłacił? Albo jednak to wasze poletko? – Sara podejrzewała, że mieszkańcy baraku wspólnie troszczą się o przynoszącą zysk uprawę.

– Ty to jednak głupi jesteś – stwierdziła Ostróżka. – Gdybyś nie uciekał, tylko normalnie pogadał, pies z kulawą nogą by się o tym nie dowiedział.

– A tak, geniuszu, sam nam to pokazałeś. – Lipner uśmiechnęła się złośliwie. – Wzywamy speców od narkotyków?

– Pewnie.

Po dwóch godzinach w oborze zaroilo się od policjantów i techników. Ostróżka uzgodniła, że zabiera swojego świadka do Gdańska, przesłucha go w starej sprawie, a potem zostawi do dyspozycji kolegów z Wydziału do Walki z Przestępczością Narkotykową.

Szajba dopiero po powrocie do domu zorientowała się, że znowu nie zadzwoniła do Piotra w porze, gdy jego córki były w szkole. Wysłała SMS-a: „Przepraszam, zadzwoń, gdy będziesz mógł swobodnie pogadać”.

Sulich zadzwonił dopiero koło północy.

– Rany boskie, te twoje dzieci nigdy nie śpiąją?

- Dzisiaj piątek, jutro mają wolne, a ja w niedzielę wyjeżdżam. Skorzystałem z okazji, że jutro nie muszą wstawać rano, i oprowadzały mnie po mieście. Wiesz, że one już całkiem dobrze mówią po włosku? - pochwalił się Piotr.

- To dobrze, łatwiej się dogadują z rówieśnikami. Przyjadą do ciebie na wakacje?

- Jeszcze nie wiem.

- A chcą?

- Mówią, że chcą.

- Ale? - docisnęła Szajba.

- Dwie rzeczy. Moja eks chyba wolałaby, żeby nie przyjeżdżały, bo pamięta, jak wygląda praca gliniarza.

- Przecież to nie niemowlaki, ty możesz wziąć urlop, no i mają tu dziadków.

- No więc też tak jej to klaruję.

- Cholera, Piotr, przecież ona nie ma wyłączności na opiekę nad dziećmi!

- Nie ma. Ale w praktyce to wygląda tak, że jak będzie chciała, to wynajdzie powody, żeby nie przyjechały.

- A ta druga rzecz?

- Dziewczyny już się tam zaaklimatyzowały. Mają tam znajomych, z tymi z Polski tylko czasem gadają w sieci. Chyba trochę się boją, że będą skazane na dwa tygodnie sam na sam z ojcem. Bez rówieśników.

- To się musisz postarać, żeby miały atrakcyjnie i wiedziały, że u ciebie też jest fajnie - zawyrokowała Szajba. - A swojej byłej żonie powiedz, że chyba nie chce, żeby prawnik ustalał terminy wizyt u rodziców. I tak widzisz dzieciaki bardzo rzadko.

- Straszyc jej nie chce, ale spróbuję przemówić do rozumu - westchnął Piotr. - Dobra, wystarczy tego o mnie. Lepiej mów, co tam wykombinowałaś z tym... Gawrońskim? Dobrze pamiętam?

- Dobrze. Nic nie wykombinowałam, na razie udało mi się przeczytać wszystkie dokumenty dotyczące śledztwa, trochę tego jest.

– A co z tymi małymi zielonymi ludzikami?

– Facet miał paranoję, to pewne. Wydawało mu się, że ktoś go śledzi, ale nikt inny tego nie potwierdził. To znaczy owszem, mówili, że Gawroński tak uważa, ale ani syn, ani żona tego nie zauważyli. Poza tym widywał rzeczy, których podobno nie było.

– Wariat?

– Nie sądzę... – powiedziała wolno Szajba i zawahała się. – Tego jest więcej, jak posprawdzam, to ci powiem.

– Ostatnio też tak mówiłaś.

– Wiem. Ale chcę najpierw kilka rzeczy sprawdzić.

– A jak powiesz, to nie będziesz mogła? Zwariowałaś?

– Nie o to chodzi. Jak zaczniemy to omawiać, to mogę zmienić punkt widzenia. A tak sprawdzę, co chcę, i wtedy ci powiem, no i obgadamy to.

– Niech ci będzie.

– Ale powiem ci, że sprawa ma nieoficjalny kryptonim „Nadprzyrodzony Morderca”.

– No to może być nietypowo – roześmiał się Sulich.

– Liczę na to. I na to, że go dorwę – w głosie Szajby pojawiły się twarde nuty.

– Dorwiesz, jak zawsze. Jakie masz plany na jutro? – zmienił temat Piotr.

– Obiad u rodziców, więc domyśl się, jak dobrze będę się bawiła.

– Szwagier i siostra będą?

– No a jak inaczej? Nie znoszę tego gnoja, a muszę się powstrzymywać ze względu na rodziców i Weronikę. Nie wiem, co Ewka w nim widzi, ale patrzy w niego jak w obrazek. Romuś to, Romuś tamto. Aż do porzygania.

Sulich doskonale znał rodzinne relacje Szajby i zdawał sobie sprawę, ile kosztuje ją niewypowiadanie otwartej wojny szwagrowi. Nie miała jednak wyjścia, po postrzale rodzice uznali, że lepiej mieć na nią oko i wymyślili cotygodniowe rodzinne obiady. O ile Ewa z rodziną mogła nie przyjść, to gdy Szajba próbowała się od nich wykręcić, rodzice robili się podejrzliwi. I tak udało jej się doprowadzić do tego, że przychodziła co

dwa tygodnie. Miała już po dziurki w nosie rodzicielskiej troskliwości, chociaż dobrze wiedziała, skąd się ona bierze. A jeszcze bardziej dosyć miała Romka. Niestety jak dotąd nie zdarzyło się, żeby jej siostra do rodziców przyszła bez męża, tylko z córką.

– Dosyć! Jutro będę się chandryczyła z nim przez kilka godzin, teraz nie muszę, są ciekawsze tematy. Ostróżka wzięła mnie dzisiaj jako wsparcie do przesłuchania świadka – Szajba zmieniła nagle temat.

– Sama nie dała rady?

– Uciekł jej już kiedyś. Ale tak się zastanawiam, czy przy okazji nie chciała zobaczyć, jak się zachowuję w terenie. Sama nie wiem.

– I jak było?

– Facet rzeczywiście chciał nawiać, a przy okazji odkryłyśmy małą plantację zioła. Więc nie powiem, atrakcyjnie. – Lipner się roześmiała. – Dobra, koniec o robocie, opowiedz mi o Włoszech, o tym, co zwiedziłaś.

Skończyli rozmawiać przed trzecią i Szajba po raz kolejny zdała sobie sprawę, jak bardzo brakuje jej Piotra i możliwości spotkania, kiedy tylko przyjdzie im na to ochota. Na szczęście wracał już za kilka dni.

W sobotę przed południem Szajba testowała nową trasę do biegania i do rodziców dotarła lekko spóźniona. Nie dość, że nie wzięła pod uwagę, że remont dwóch ulic wydłużył dystans, to pod blokiem spotkała sąsiadkę, która chciała porozmawiać o synu, bo bała się, czy czasem nie wpadł w złe towarzystwo. Rodzice nie skomentowali tego akademickiego kwadransa, natomiast szwagier wyglądał tak, jakby właśnie dostał długo wyczekiwany prezent.

– No tak, jak zwykle, na jaśnie panią trzeba czekać. W ogóle nie bierzesz pod uwagę tego, że ktoś może nie mieć czasu.

Szajba z trudem zdusiła w sobie zwięzłą informację na temat zarówno czekania, jak i brania pod uwagę potrzeb innych. Dla Romka ważne były tylko jego potrzeby, inni mogli się powiesić. Zestresowaną synem sąsiadkę po prostu by zlekceważył, wszak to obca baba, która zajęłaby mu drogocenny kwadrans.

- Przepraszam, mam. - Cmoknęła rodzicielkę w policzek.

- Nic się nie stało, pieczeń jeszcze dochodzi. Jakoś wyjątkowo długo się dzisiaj piecze.

Roman już nabierał powietrza, żeby wygłosić poradę kulinarną, ale jedno spojrzenie na Sarę go zniechęciło. Najwyraźniej czekała na to, a on nie czuł się szefem kuchni. Odpuścił, ale tylko sprawy kulinarne.

- Zapewne spóźniłaś się, bo akurat łapałaś mordercę? I co? Siedzi już?

- Jakiś na pewno, a ja po prostu biegałam. - Wzruszyła ramionami Szajba.

- No wiesz, chyba mogłaś przewidzieć, ile czasu ci to zajmie - wytknęła jej siostra.

Rany boskie, czy ci ludzie nie mają o czym rozmawiać?! Tyle jest przecież zdecydowanie ciekawszych tematów, chociażby to, co dzieje się na świecie i w Polsce - ale nie, wałkują jej piętnastominutowe spóźnienie.

- Sara na pewno nie zajmuje się takimi błahostkami, jak powiadamanie, że się przyjdzie później - powiedział protekcyjnie Romek. - Co innego ściganie przestępców, morderców, złodziei samochodowych i dilerów.

- A to dołóż i mafię, co będziesz sobie żałował - prychnęła Szajba. - I szczerze mówiąc, masz rację - ku zaskoczeniu szwagra zgodziła się z nim. - Śledztwo jest ciekawsze niż planowanie trasy biegu, więc nie sprawdzam, czy któraś z ulic nie jest akurat w remoncie.

- Mafia! Proszę, proszę, mamy tu specja od przestępczości zorganizowanej - nie darował sobie Roman. - A swoją drogą, to policja jest sto lat za nimi. - Najwyraźniej szwagier miał na myśli mafiozów. - Nic nie może. Mafia płaci, komu trzeba, i jesteście w czarnej dupie.

Szajba aż się zagotowała i tylko obecność siostrzenicy powstrzymała ją od wybuchu. No kurwa, co za debil! Jakby to było takie proste. Jasne, to wina policji, że mafia korumpuje świadków, prawników. Co innego w przypadku gliniarzy, którzy godzą się na współpracę. Tu jednak w grę wchodzi nie tylko przekupstwo, ale i zastraszanie. A ludzie wolą dostać parę złotych, niż oberwać lub mieć spalony samochód.

– Jak weźmiesz łapówkę...

– Ja nie biorę.

– Teoretycznie. Jak weźmiesz w łapę od mafii za to, żebyś nie doniósł na policję, to ja będę winna czy ty?

– Ja? Dlaczego? – oburzył się Roman i Szajbę zatkało, podobnie jak jej ojca. Szwagier mówił poważnie.

– A dlaczego ja?

– Bo policja powinna zadbać o to, żeby nie było przestępców.

– Czyli uważasz, że przyczyną bezkarności mafii jest tylko opieszałość policji? A nie przypadkiem również obojętność społeczeństwa i zasada: mnie to nie dotyczy, więc się nie mieszam?

– Jakby nie było przestępców, to nie byłoby problemu – zawyrokował Roman.

– Racja. Ale na to musisz trochę poczekać.

– Nie doczekam się! – Szwagier roześmiał się chrapliwie i mrugnął do żony. – Do policji idą ludzie drugiego sortu. Sami nieudacznicy. Co tu daleko szukać – spojrzął wymownie na komisarz Sarę Lipner.

Szajba najchętniej rzuciłaby paroma kurwami, ale okoliczności były niesprzyjające. Do tego jej durnowaty szwagier miał trochę racji. W policji pełno było ludzi, którzy nigdy nie powinni tam trafić. Poza tym policjant w obecnych czasach raczej dobrze się nie kojarzył, co szczególnie ją dziwiło. Policja była upolityczniona i „reżimowa”. Szajba nieraz brała udział w dyskusjach: odejść czy zostać? Część ludzi zmieniała zawód, część zaciskała zęby i robiła swoje. Przestępców ktoś musiał łapać. O tym jednak nie zamierzała dyskutować z Romanem.

– Mam wrażenie, że marzy ci się Raport mniejszości. – Sara pominęła milczeniem i przytyk pod swoim adresem, i własne rozmyślania. – Proponuję, żebyś jeszcze raz dokładnie obejrzał ten film.

– Skończcie już te przepychanki i siadajcie do stołu – mama Szajby zagoniła rodzinę do jedzenia.

W nakrywaniu do stołu i podawaniu obiadu starym zwyczajem pomagała matce jedynie Sara. Ewa i Roman byli gośćmi tak bardzo, że

nawet nie przyszło im to do głowy. Cud, że jedli samodzielnie, a nie kazali się karmić. Weronika rozmawiała z dziadkiem, ale Sara zauważyła, że mała od czasu do czasu popatruje w stronę ciotki. W końcu wstała i razem z Szajbą poszła do kuchni.

– Ja bym pomogła wcześniej, ale rozmawiałam z dziadkiem i głupio było urwać w pół słowa – tłumaczyła się.

Sara uśmiechnęła się, wręczyła dziewczynce talerz z ciastem i pomyślała, że to istny cud, że mała nie wdała się w rodziców.

– Ciociu, ale masz fajne włosy – powiedziała Weronika między zupą a drugim daniem. – Chyba ci urosły.

– Trochę tak.

– Masz długie, ale czy to znaczy, że fajne? – od razu spytała Ewa, jak zwykle zazdrosna o wszystko.

– Nie wiem, spytaj własnej córki – roześmiała się Lipner.

– Długie są fajne. – Weronika popatrzyła na głowy matki i ciotki. – Też byś mogła zapuścić.

Ewa spiorunowała córkę wzrokiem. Do czego to doszło, żeby własne dziecko pouczało ją, jak ma wyglądać!

– Wolę krótsze, wyglądają zdecydowanie lepiej niż takie bezkształtne coś, jakie ma ciotka na głowie.

Widząc, że jeżeli nie kłótnia, to burzliwa dyskusja córek wisi w powietrzu, matka podsunęła im bezpieczny temat – obgadywanie dalszej rodziny. To był jej sprawdzony sposób. Ewa i Roman z lubością zabierali się za krytykę, a Sara słuchała lekko rozbawiona.

Gdy siostra z rodziną wyszła, Szajba postanowiła pogadać z rodzicami.

– Mamo, to nie ma sensu. Wszyscy się męczymy na tych obiadach – zdecydowała się na szczerość. – No może oprócz Romana, ale dlaczego on ma się nieźle bawić naszym kosztem?

Po dosyć długiej dyskusji rodzice skapitulowali i obiecali odpuścić córce częste spotkania z siostrą i jej rodziną. Wspólne obiady były formą kontroli rodzicielskiej, po tym jak Szajba została ranna. Teraz wróciła do pracy, więc mogli przestać się o nią tak martwić.

– A co powiesz na to, żeby odwiedzić nas kiedyś z Piotrem? Na przykład za tydzień czy dwa. Obiecuję, że Romka nie będzie – matka wpadła na kolejny pomysł.

– Niech ci będzie, ale muszę spytać Piotra, co on na to. – Sara leciutko się uśmiechnęła.

Po drodze do domu wróciła myślami do tej rozmowy. Już dawno spodziewała się, że matka zasugeruje, żeby zaprosić Sulicha. To był całkiem niezły układ – Piotr zamiast Ewy i Romka. Tylko czy będzie chciał iść na proszony obiad do jej rodziców? Trochę to takie oficjalne i sugerujące poważny związek. A w ich przypadku trudno mówić o związku i to w dodatku poważnym. A do diabła! Czy zwykły znajomy nie może wpaść do jej rodziców na obiad? Tym bardziej że nie będzie tego kretyna, męża Ewy.

Rozmowa ze szwagrem o przestępcach i łapówkach przypomniła Szajbie, że ona sama jest celem mafii. Od kilku miesięcy co jakiś czas gangsterzy się uaktywniali, próbując ją zastraszyć. Lipner wiedziała już, że to nagłe zainteresowanie wiąże się ze śledztwem zakończonym śmiercią jej partnera, Sławka Wątróbskiego, nazywanego przez znajomych Wątróbką. Wiedziała też, że kumpel współpracował z mafią, nie miała jednak pojęcia, jak bardzo. Raz na pewno. Niby w sprawie, która i tak została zamieciona pod dywan, ale to wystarczyło, żeby mieli na niego haka. Na niego, nie na Szajbę. Dlaczego wobec tego się jej czepiają? Czego chcą? Bezczyne czekanie na rozwój wypadków kłóciło się z charakterem Sary, ale musiała działać bardzo ostrożnie. Nie miała pojęcia, czy przypadkiem gdzieś w jej otoczeniu nie ma wtyki mafii. W komendzie lub wśród znajomych. Wiedziała, że powinna przejrzeć akta ostatnich spraw prowadzonych przez Sławka, ale musiała do nich dotrzeć dyskretnie i nieoficjalnie. Albo półoficjalnie, jeżeli jakoś je połączy ze swoim obecnym śledztwem.

– Kurwa! – rzuciła w przestrzeń i zaczęła spacer wokół pokoju. – A może by ich nieco podenerwować?

To mogło być niebezpieczne, ale kusiło ją, żeby napsuć mafii nieco krwi. Tylko jak?

W niedzielę wieczorem zadzwonił wściekły Piotr, który zdążył już wrócić do Gdańska. Okazało się, że podczas ostatniego spotkania z córkami byli też obecni jego ekszona i jej nowy mąż, który oświadczył osłupiałemu Sulichowi, że jego dzieci powinny mówić do niego, ojczyma, tato.

- Wiesz, żebym nie żył, nie utrzymywał kontaktów, a one były malutkie, tobym zrozumiał. Ale tak? Niech mówią do niego wujku, po imieniu czy jakkolwiek.

- Pewnie, w końcu mają ojca. A co dziewczyny na to?

- No właśnie szkopał w tym, że one nie chcą i ten palant u mnie szukał wsparcia.

- To co się przejmujesz? Skoro one nie chcą, to sprawa załatwiona. Nastoletniego uporu nic nie przebije - uspokoiła go Szajba.

Sulich po krótkim wahaniu przyznał jej rację. Wykorzystując odpowiedni moment, Sara powiedziała o tym, że matka ma na niego zakusy i jest zaproszony na obiad, ale - co podkreśliła - dom rodziców będzie przyjazny, ponieważ nie będzie tam Romana. Piotr nie miał obiekcji i ustalili, że następnym razem pójdą razem, a potem zeszli na bardziej interesujące ich tematy.

Rozdział trzeci

Gdy Roszkowski wtoczył się na swoim wózku do pokoju, Szajba już siedziała przy biurku pogrążona w dokumentach dotyczących sprawy Gawrońskiego i we własnych notatkach.

– Łap! – Adam rzucił jej niewielką papierową torebkę. – Na dobry początek tygodnia.

– Rozumiem, że to nie kawałek ludzkich zwłok? – Sara zajrzała do środka. – Drożdżowa!

– Lubisz?

– Zależy – przyznała uczciwie Lipner. – Świeże i nieprzesłodzone tak, inne odpadają. Lukier zdejmuję zawsze.

– Na tej się nie zawiedziesz. Mam koło domu niewielką piekarnię, czasem do niej wstępuję. Jeszcze nie trafiłem na coś starego albo niesmacznego.

Po tej chwilowej przerwie Szajba od razu wróciła do pracy. Wciągnęła się już w sprawę, a to że kilka osób musiało się przyznać do porażki, dodatkowo ją nakręcało.

Fakt, że pijana ofiara została znaleziona pod własnym domem, a pierwsi przy zwłokach pojawili się okoliczni mieszkańcy, nie był niczym nadzwyczajnym. Wypadki zdarzają się wszędzie, a sąsiedzi bardzo często wykazują się dużą czujnością – nie bez powodu ukuto powiedzenie „monitoring sąsiedzki”. Z zeznań świadków wynikało jednak, że co prawda zareagowali szybko, ale chwilę to potrwało. Była noc, a oni spali. Dziwne było to, że nieźle nawalony Gawroński przyszedł skądś na piechotę, a nie zasnął po drodze na pierwszej napotkanej ławce lub nawet trawniku. Poziom alkoholu sugerował, że ledwo trzymał się na nogach. Czy ktoś jego pokroju spiłby się do nieprzytomności i włóczył sam po nocy? I to gdzieś dalej, bo nigdzie blisko nie było żadnej sąsiedzkiej

imprezy. Może ktoś go podwiózł? Nie ci ludzie, którzy go znaleźli, bo zostali dokładnie prześwietleni już na samym początku śledztwa. Tak czy inaczej w środku nocy znalazł się sam na pustej ulicy pod własnym domem i tam go pobito. Dziwne też, że nikt tego nie słyszał, ale może pierwszy cios ogłuszył Gawrońskiego, zanim zdążył krzyknąć. Sąsiedzi zareagowali dopiero na pisk opon hamującego samochodu, nikt też nie widział nikogo obcego. Chyba... Chyba że to nie był obcy.

Szajba sięgnęła do odpowiedniego fragmentu zeznań Rafała Siuda. Mężczyzna stwierdził, że wybiegł z domu po kilku minutach, bo najpierw powoli docierało do niego, co go obudziło, a potem ubierał bluzę i buty, bo głupio mu było wychodzić na ulicę w samej piżamie. Spytany, czy widział kogoś podejrzanego, odpowiedział przecząco, ale dodał, że nie rozglądał się zbyt dużo, bo jego uwagę przykuł leżący przed samochodem Gawroński. To też było normalne, większość ludzi zachowałaby się właśnie w ten sposób. Prowadzący śledztwo sprawdzili oczywiście, co widzieli inni sąsiedzi, i tak się złożyło, że jeden z nich widział, jak Siuda wychodzi z domu.

Nauczona wieloletnim doświadczeniem Sara nie była skłonna ufać świadkom, jeżeli ich słów nie potwierdzało nic innego. Teoretycznie Rafał Siuda mógł zabić sąsiada, ułożyć go na jezdni, a potem udawać, że właśnie wybiega z domu. Miałby na to jednak tak mało czasu, że wątpliwe, czy by zdążył. To byłoby bardzo ryzykowne zagranie, aczkolwiek nie niemożliwe. Szajba postanowiła pogadać z Siudą i rozejrzeć się po okolicy domu Gawrońskiego.

Drugą rzeczą, która od razu rzucała się w oczy, były obrażenia ofiary. Mężczyzna został praktycznie załuczony na śmierć. Napastnik bił go po głowie, najprawdopodobniej kijem bejsbolowym lub czymś bardzo do niego zbliżonym. Lekarz sugerował, że pierwsze uderzenie zostało zadane z boku i było na tyle silne, że mogło pozbawić ofiarę przytomności.

Prowadzący śledztwo dwanaście lat temu nie mieli łatwo. Nie było motywu, świadków, podejrzanego, ale były zeznania sugerujące, że ktoś ofiarę śledził i że mężczyzna zachowywał się nieracjonalnie. Szajba szybko zerknęła na informację od lekarza Gawrońskiego – wyglądało na to, że był

zdrowy, nie leczył się też psychiatrycznie. Zamknęła energicznie segregator z dokumentami i wstała z za biurka.

– I jak tam? Już polubiłaś Nadprzyrodzonego Mordercę? – spytał Roszkowski.

– Dziwna sprawa. A jak dziwna, to znaczy, że gdzieś jest drugie albo nawet trzecie dno.

– W punkt. Tylko gdzie i jakie? Jedziesz gdzieś?

– Tak. Chcę zobaczyć, jak wygląda okolica, w której mieszkał Gawroński.

– To kilkanaście lat, sporo mogło się zmienić.

– Mogło. Albo i nie, różnie bywa. Już wiem, że część sąsiadów Gawrońskiego nadal tam mieszka.

– Powodzenia – rzucił Roszkowski i wrócił do pracy.

Prawie na schodach Szajba przypomniała sobie, że miała zapytać Ostrózkę o wynik przesłuchania świadka, tego hodowcy zioła. Okazało się, że mężczyzna jako nastolatek najprawdopodobniej widział mordercę, ale po tylu latach nie potrafił go dokładnie opisać. Swoją drogą ciekawe, dlaczego wcześniej nikt do niego nie dotarł.

Pół godziny później Sara zaparkowała niedaleko domu Gawrońskiego. Zawsze sprawdzała, jak wygląda okolica, w której doszło do morderstwa, a to, że teraz pracowała w Archiwum X, nie zmieniło jej przyzwyczajień. Przez chwilę siedziała w samochodzie, rozglądając się dyskretnie. To nie było ekskluzywne osiedle willowe, ale takie, w którym ludzie budowali domy na miarę zasobności portfela. Domy były i mniejsze, i większe, parterowe i piętrowe. Niektóre nosiły ślady przebudowy. Przeważnie były zadbane, ale bez przesady. Na pewno nikt nie zatrudnił profesjonalnego ogrodnika. Sara wysiadła z samochodu i wolnym krokiem ruszyła w stronę domu Gawrońskiego. Widziała zdjęcia i od razu zauważyła, że prawie się nie zmienił. Był odmalowany, ale na prawie identyczny kolor, a okalające posesję krzaki były identycznie przycięte. Zapewne dlatego, że dom nie przeszedł w obce ręce, a mieszkał w nim syn ofiary. Lipner miała

w planach rozmowę z Szymonem Gawrońskim, ale jeszcze nie teraz. Wołała zacząć od osób, które nie były emocjonalnie związane z zamordowanym.

Rekonesans zabrał Szajbie ponad godzinę. Wiedziała już, jak wygląda najbliższa okolica domu Gawrońskiego, i wszystko wskazywało na to, że bardzo podobnie wyglądała dwanaście lat temu. Dosyć wąskie uliczki, niewielkie posesje, zaparkowała cztery małe sklepiki, z tych przydomowych. Osiedle przechodziło w blokowisko i Lipner zapaściła się w najbliższe ulice, bardziej z ciekawości niż z potrzeby. Od razu odkryła niewielki pub, który, jak ustaliła, był w tym miejscu już kilkanaście lat temu. Niestety, właściciel był nowy, podobnie jak personel, nie było więc szansy wypytania o to, czy nie pojawiał się tu czasem Gawroński. Był pijany, może pił gdzieś w pobliżu? Szajba nie znalazła żadnego raportu czy zeznania na ten temat. Najwyraźniej świadkowie nie wspomnieli o tej knajpie, a policjanci nie trafili do niej.

Lipner zatoczyła łuk i do samochodu wracała przez niewielki park. Gdy dochodziła do skrzyżowania alejek, usłyszała podniesione głosy. Po chwili prawie wpadła na trzech mężczyzn, którzy właśnie od pogróżek przeszli do rękoczynów. Siły były nierówne, dwóch przeciwko jednemu, i Szajba bez zastanowienia wkroczyła do akcji, ponieważ nie była to przepychanka, a ewidentna próba spuszczenia wpierdolu. Zaskoczenie na moment odebrało mężczyznom zdolność ruchu, bo kto to widział, żeby jakaś obca baba wtrącała się w męskie sprawy.

– Spierdalaj, kurwo! – rzucił w stronę Sary potężnie zbudowany łysy dresiarz.

Dla poparcia swoich słów zamarkował cios w twarz Szajby. Wyciągnięta ręka aż się prosiła, żeby odpowiedzieć na atak. Po chwili i dwóch szybkich ciosach w brzuch i kopnięciu w ramię mężczyzna zamarł w lekkim przechyle, jakby zastanawiał się, czy zgiąć się w pół i złapać za brzuch, czy rozmasować sobie bark. Ten widok zmobilizował pozostałą dwójkę. Napadnięty natychmiast skorzystał z okazji i uciekł tak szybko, że trener polskich lekkoatletów powinien bezzwłocznie powołać go do kadry, a kolega mięśniaka przyjął pozycję „bokserską”. Szajba na ten

widok o mało nie parsknęła śmiechem. Nawet gardy poprawnie nie trzymał.

– Chcesz się, suko, bić? Proszę bardzo. A ty weź się ogarnij – pogonił kompana i sposobem podpatrzonym u bokserów zaczął demonstrować uniki i markować ciosy. Na wszelki wypadek poza zasięgiem rąk i nóg Sary. Dwa szybkie kroki, jedno mae-geri w brzuch, a potem cios w kark złączonymi pięściami i facet leżał na ziemi.

– Komisarz Sara Lipner. Nie ruszać się. – Szajba mignęła blachą.

Ani jeden, ani drugi mężczyzna nie zamierzał się jej sprzeciwić, choć było widać, jak bardzo są wściekli. Nie dość, że baba wtrąciła się w ich sprawy, to na dodatek oberwali od niej i jeszcze okazało się, że to glina. Kto to widział, żeby gliniarz spuszczał wpierdół, zamiast się wylegitymować?

– Pani komisarz, a skąd ja miałem wiedzieć, z kim mam do czynienia? – Łysemu udało się już wyprostować.

– Więc postanowiłeś mi przywalić? Tak na dzień dobry? A wystarczyło chwilę zaczekać i dać mi szansę, żebym się przedstawiła – powiedziała złośliwie zadowolona z przebiegu wydarzeń Szajba. Nie liczyła na taki mały sparing w parku. – A ty wstań w końcu z tej ziemi, nic ci nie jest.

Mężczyzna podniósł się, pomasaował po karku i niechętnie spojrzął na Sarę. Kurwa, jak to pozory mogą mylić.

– Dokumenty – zażądała Lipner.

Mężczyźni posłusznie sięgnęli do kieszeni. Szajba nie bawiła się w spisywanie, po prostu zrobiła zdjęcie.

– No dobra, to teraz gadajcie, o co poszło.

– O nic, takie tam małe nieporozumienie – zapewnił mięśniak.

– Pani wie, czasem człowiek trochę z nerw wychodzi. Ale to nic poważnego.

– Znacie tamtego?

– No a jak? Jakby był obcy, to nie czepialibyśmy się go.

– Wasza decyzja. Albo mówicie, czym wam podpadł, albo dzwonię po radiowóz.

Mężczyźni spojrzeli na siebie spode łba i szybko przekalkulowali. Lepiej coś powiedzieć niż narażać się na pobyt w psiarni. Szajba doskonale wiedziała, że niekoniecznie usłyszy prawdę, ale może coś do niej zbliżonego. Chciała wykorzystać tych dwóch typów i postanowiła, że uda, iż im wierzy.

– Kasę jest mi winien – kumpel łysego podał bardzo wiarygodny i trudny do zakwestionowania powód. – Niedużo, dwa kawałki, ale przecież piechotą nie chodzi. Powinien oddać już miesiąc temu, ale się miga.

– I, pani komisarz rozumie, postanowiliśmy mu wytłumaczyć, że jak się pożyczka, to trzeba oddać.

– Jasne. Niech wam będzie. – Szajba rozejrzała się i z zadowoleniem stwierdziła, że chyba nikt nie zauważył, co się stało. – Siadajcie. Tam – wskazała ławkę.

Miała ich dane, była glina, pewnie miała broń, nie mieli więc wyjścia i posłusznie usiedli. Sara wolała postać.

– Potrzebuję kilku informacji.

Mięśniak i jego kumpel zastrzygli uszami. Być może przysługa dla glin będzie się opłacała, wszystko zależy od tego, czego ta baba chce. Nie pytali, czekali. Lipner doskonale wiedziała dlaczego. Woleli nie wyglądać na zbyt zainteresowanych taką transakcją.

– Mieszkacie w okolicy? – Obaj skinęli głowami. – A znacie to osiedle obok?

– Te domki?

– Tak.

– Pewnie. Za dzieciaka chodziliśmy tam podkradać orzechy i owoce z ogródków – przyznał bez skrępowania dresiarz.

– A macie tam znajomych?

– Nie. To nie nasze towarzystwo. Drętwe.

– Szkoda, no trudno. – Szajba zrobiła ruch, jakby chciała odejść.

– Pani powie, o co chodzi – nie wytrzymał kolega mięśniaka. – Może o czymś słyszeliśmy.

Obaj byli po trzydziestce, gdy zginął Gawroński, nie byli już dziećmi. Morderstwo popełnione w sąsiedztwie mogło wzbudzić ich ciekawość. Ich albo ich kumpli.

– Dwanaście lat temu facet dostał wpierdol...

– Faktycznie, było coś takiego. Ludzie gadali, ale my go nie znaleźliśmy. Nawet nas to zaciekawiło – wyjaśniał mięśniak, a jego znajomy kiwał głową – ale nie mieliśmy dojścia.

– Co was ciekawiło?

– No bo jakoś tak głupio zginął. Pod własnym domem ktoś go wykończył. I nie wrzeszczał, bo sąsiedzi by słyszeli. Poza tym o tym facecie to różnie mówili.

– Kto i jak?

– Pani komisarz, to było kupę lat temu, kto by pamiętał? No tak ogólnie, na przykład w pubie. Że ktoś zatłukł pod domem tego faceta z manią prześladowczą.

– Manią prześladowczą?

– Podobno zamontował w domu rolety antywłamaniowe – wyjaśnił szczuplejszy z mężczyzn. – Nawet tam poszłem zobaczyć. I rzeczywiście, były. Ale chuj go wie, może to nie mania, a komuś podpadł.

Temat śmiertelnego pobicia sprzed kilkunastu lat wydawał się mężczyznom bezpieczny, więc nie próbowali kręcić. Niestety, nic więcej nie potrafili sobie przypomnieć. Szajba zaznaczyła, że ma ich dane, więc żeby raczej odpuścili wierzycielowi albo pogadali z nim po dobroci, i wróciła do samochodu. Popołudnie należało do udanych, chwilowy przyływ adrenaliny napęlił ją dobrym humorem, a przypadkowa interwencja przyniosła dodatkowy zysk. To, że Gawroński czegoś się obawiał, okazało się nie tylko przekonaniem bliskich, ale również opinią nieznanym mu ludzi. Musiał być w jakiś sposób charakterystyczną postacią.

Szajba zaparkowała pod domem i zweryfikowała poprzednią opinię. Gawroński mógł się też stać poniekąd znaną osobistością dopiero po

wypadku. Tragiczne wydarzenie mogło spowodować plotki i dociekania.

Mimo że mafia ostatnio nie próbowała jej w żaden sposób zastraszyć, nowe śledztwo przypomniało jej o tym. Po wizycie na siłowni postanowiła, że spróbuje wieczorem spotkać aspiranta współpracującego ze Sławkiem w sprawie, przy której ten ostatni dał się po raz pierwszy przekupić. Już jakiś czas temu wytypowała sobie Tomasza Jakimka jako źródło informacji, ale czekała, aż wróci do służby. Musiała być ostrożna, nie mogła sobie pozwolić na fałszywy ruch. I ze względu na mafię, i ze względu na kolegów po fachu. Jakimek był młodym, ambitnym i spostrzegawczym policjantem, więc istniała szansa, że po pierwsze nie jest w nic umoczony, a po drugie coś zauważył. Od Piotra wiedziała, że aspirant ma psa, z którym około dziesiątej wieczorem chodzi na plażę na spacer. To było całkiem dobre miejsce na spotkanie – nie będą mieli świadków rozmowy, a w komendzie zawsze ktoś mógł coś usłyszeć.

Dzięki opisowi psa, owczarka podhalańskiego, udało jej się w miarę szybko odnaleźć Jakimka. Było ciemno, jego by nie zauważyła, ale biały pies nawet w świetle niezbyt licznych latarni był zdecydowanie łatwiejszy do namierzania.

Jakimek zobaczył ją, gdy zeszła ze ścieżki.

– Komisarz Lipner – odezwał się pierwszy. – Dobry wieczór.

– Cześć!

– Coś się stało?

– Pogadać chciałam, ale nie w komendzie.

– To nie brzmi dobrze – zauważył aspirant.

– Bo nie jest fajne. Ale nie będę cię w nic wciągała, potrzebuję tylko paru informacji.

– Akta...

– Nie rozśmieszaj mnie! Od razu pół komendy będzie wiedziało, a chcę coś sprawdzić dyskretnie.

– Niech będzie.

– Pamiętasz taką sprawę, w której podejrzanym był syn szefa jednej z naszych mafii?

– Pamiętam. Nic szczególnego, kilku bandziorów się pobiło. Niby zwykła zadyma, ale w ruch poszły noże, dwie osoby zostały ranne, wyładowały w szpitalu, trzeba było złapać sprawców.

– I taką pierdołą się zajmowaliście?

– Przypadkiem. To było w nocy, Sławek miał dyżur i pojechał na wezwanie. Na dodatek skończył jakąś inną sprawę i stary uznał, że wypełnianie kwitów dla prokuratora i namierzenie nożowników spokojnie da się połączyć. Niby słusznie – stwierdził Jakimek i zapalił papierosa.

– To w czym problem? – Szajba wygłaskiwała psa, który przyszedł sprawdzić, z kim rozmawia jego pan.

– Ostrożnie, żeby się nie rozbrykał, bo potrafi przewrócić – ostrzegł Jakimek. – A problem w tym, że dwie ranne sztuki, owszem, były, ale poza tym ani świadków, ani napastników, wszyscy zmyli się w tempie przyspieszonym.

– A ranni? Zeznali coś? – Sara już wiedziała, w czym był problem.

– Nie. Byli bliscy zaprzeczenie temu, że ktoś ich pociął, ale rany mówiły same za siebie. Powiedzieli, że nie mają pojęcia, kto to był i o co chodziło, bo było ciemno i wszystko działo się szybko.

– Nie lubią nas bardziej od swojej konkurencji. – Wzruszyła ramionami Lipner. – Udało się wam coś ustalić?

– W końcu dotarliśmy do paru uczestników bójki, ale wszyscy nabrali wody w usta, tym bardziej że w tej zadymie uczestniczył nastoletni syn szefa mafii. Wszyscy kryli gówniarza tak bardzo, że podejrzewam, że to on był tym nożownikiem.

– Czym się to skończyło?

– Umorzeniem, bo czym mogło? – Jakimek zagwizdał na psa i wziął go na smycz.

– Tak łatwo spasowaliście? – podpuściła Szajba, idąc z Jakimkiem do wyjścia z plaży.

– Tak.

– Dzięki, dobre i tyle – westchnęła Lipner. – A jak się wtedy zachowywał Sławek, zauważyłeś coś nietypowego?

Aspirant namyślał się przez chwilę, najwyraźniej przypominając sobie tamten czas.

– Właściwie nie, ale... – zawahał się – mam wrażenie, że interesowało go jedno miejsce, poza Gdańskiem. Gdzieś w okolicy Banina.

– Nie mówił czemu?

– Nie. I ani w tym śledztwie z nożownikami, ani w następnym, bo też z nim wtedy pracowałem, nie wyszło nic na ten temat. Może zupełnie prywatnie tam jeździł. – Aspirant wzruszył ramionami.

– Czyli to pewnie nic istotnego – oświadczyła Sara, aczkolwiek pomyślała coś zupełnie innego.

Jakimek nie zapytał, dlaczego Szajba nagle wypytuje go o stare sprawy. Skoro uznała, że lepiej rozmawiać poza komendą i nie mieszać go w to, to widocznie miała powód. Nie oznaczało to, że nie zżerała go ciekawość.

– Powiesz mi potem, o co chodzi? – spytał, gdy żegnali się przy samochodach.

– Powiem. Ale dopiero, jak sama dojdę do tego, czy coś jest na rzeczy – obiecała Sara.

Od czasu gdy gangsterzy zaczęli ją zastraszać – a to za pomocą przesyłki z surową wątróbką, a to poprzez włamanie do mieszkania – Szajba miała naprawdę dobre zamki w drzwiach i zainstalowaną kamerę, dzięki której wiedziała, co się dzieje na klatce schodowej. Powinna się już do tego przyzwyczaić, jednak gdy od przygotowywania kolacji oderwały ją nietypowe dźwięki dobiegające spoza mieszkania, zamiast sprawdzić na podglądzie, o co chodzi, sięgnęła po glocka i po cichu podeszła do drzwi. Dochodziła północ, a jej sąsiedzi o tej porze zazwyczaj już dawno spali. Gdyby jednak skądś wracali, to byłoby słychać odgłos kroków, rozmów, zamykania drzwi, a nie jakieś ni to sapania, ni to westchnienia. Szajbie najbardziej przypominało to łapanie powietrza po długim biegu. Dodatkowo ten ktoś nie szedł dalej, tylko stał gdzieś obok drzwi do jej mieszkania. Co za dupek dyszy pod jej drzwiami?! Nie może gdzie indziej? A może to znowu mafia w tak prostacki sposób daje jej znać, że interesuje

się nią i tym, co robił jej nieżyjący partner, Sławek Wątróbski? Rozsądek przegrał walkę z ciekawością i złością – Sara, z glockiem w garści, po cichu przekreśliła klucz, a potem jednym ruchem otworzyła drzwi.

– Kurwa mać, Piotrek! Czy musisz sapać pod moim drzwiami? Świszczesz tak, że zaraz pobudzisz sąsiadów. Włóż!

Sulich bez słowa wszedł do mieszkania.

– Ktoś cię gonił?

– Co? Nie, dlaczego?

– Bo dyszysz jak kowalski miech.

– Słyszałaś przez drzwi?

– Owszem.

– Cholera, daj się czegoś napić – poprosił Sulich i wszedł do pokoju.

Gdy Sara wróciła ze szklanką wody i piwem do wyboru, Piotr siedział na swoim ulubionym miejscu i oddychał w miarę normalnie.

– Głupi jestem po prostu – oznajmił krytycznie. – Jakiś czas temu zacząłem trochę biegać, żeby smarkacze w firmie nie podśmiewali się ze mnie, że ha, ha, komisarz zadyszki dostał. A dzisiaj pobiegłem w twoją stronę i w pewnym momencie uznałem, że dobiegnę tutaj, a wrócę taksówką.

– I się przeliczyłeś.

– Na dokładkę uświadomiłem sobie, która jest godzina, więc starałam się biec, a nie człapać. Stąd ta zadyszka – wyjaśnił.

– Szybko ci przeszła, nie jest źle – pocieszyła go Lipner. – Ale następnym razem nie czaj się pod drzwiami, tylko zadzwoń, niezależnie od tego, jak trudno będzie ci oddychać, najwyżej podam ci tlen zamiast wody.

– Już nie dobijaj leżącego.

– Coś się stało, że nagle postanowiłeś się ze mną zobaczyć?

– Nie, po prostu dawno się nie widzieliśmy, a i tak byłem niedaleko.

– Niecałe dwa tygodnie! – Sara roześmiała się, ale widząc speszoną minę Sulicha, od razu dodała: – Też mi brakowało naszych rozmów.

Nie powiedziała, że brakowało jej Piotra. Po poprzednim związku i rozstaniu w momencie, gdy ranna dochodziła do siebie i potrzebowała wsparcia, była bardzo ostrożna. Być może za bardzo, ale nie chciała się znowu sparzyć. Efekt był taki, że od kilku miesięcy krążyli z Sulichem wokół siebie, spotykali się służbowo i towarzysko, ale nie wykraczali poza to. A dzisiaj Piotrek nie wytrzymał i przybiegł do niej w środku nocy. Wiedziała, że właściwie tylko po to, żeby ją zobaczyć.

– Zadowolony jesteś z wyjazdu? – Sara zmieniła temat.

– Tak, dawno dzieciaków nie widziałem. Ale i wkurzony, mówiłem ci. Co to, kurwa, jest, żeby obcy facet namawiał mnie, żebym wpłynął na moje córki, by mówiły do niego tato?!

Godzinę spędzili na omawianiu sytuacji rodzinnej Piotra, a potem komisarz niechętnie wezwał taksówkę i pojechał do siebie.

W sprawie Gawrońskiego było bardzo dużo znaków zapytania. Sama śmierć, domniemane śledzenie, dziwne zachowanie, ale także zeznanie jednego świadka, który zasugerował, że Gawroński był paserem. Za dużo tego jak na przypadek, bo trochę naciąganie brzmi wersja, że ofiara była śledzonym przez nie wiadomo kogo paserem, na dodatek z manią prześladowczą, ale co najmniej jedna z tych rzeczy powinna się potwierdzić.

We wtorek od rana Szajba tkwiła przy biurku nad aktami sprawy i wyszukiwała intrygujące i niepokojące elementy. Postanowiła zacząć od rozmowy ze świadkiem, który twierdził, że Gawroński na pewno współpracował ze złodziejami i przechowywał, a może nawet sprzedawał, kradziony towar. Według tego świadka o ciemnych interesach zamordowanego świadczyło to, że do jego domu wieczorem przychodzili różne podejrzane indywidua. Wieczorne wizyty jakoś Szajbie pasowały do śledzenia i ogólnego niepokoju Gawrońskiego, bo przecież ktoś, kto się nikogo nie obawia, nie barykaduje się na noc w domu, a po prostu porządnie zamyka drzwi na klucz. O ile mężczyzna nie był chory psychicznie, coś zapewne było na rzeczy. Pytanie tylko co.

Lipner przejrzała dokumenty w poszukiwaniu kilku interesujących ją zeznań. Dobrze pamiętała, że nikt inny nie podzielał obaw Gawrońskiego. Wymyślił to sobie czy też było coś, o czym tylko on wiedział? Ale czy mieszkający z nim żona i syn naprawdę nic by nie zauważyli? No cóż, trzeba najpierw pójść oczywistymi tropami, żeby zweryfikować informacje, a dopiero potem poszukać nowych. Sara podejrzewała, że kilka osób zajmujących się sprawą robiło dokładnie to samo, ale chciała wyrobić sobie własny osąd. Zadzwoniła do mężczyzny, który rzucił oskarżenie dotyczące paserstwa, i spytała, czy mogą się umówić jeszcze na dzisiaj.

– Znowu w tym grzebiecie? – zdziwił się jej rozmówca. – Ale pewnie, możemy porozmawiać, co to szkodzi? Ja mam czas, na emeryturze jestem. Może pani zaraz przyjechać.

– Nie zmienił pan adresu?

– Nie, za stary na to jestem. Mieszkam trzy domy od Gawrońskich.

Szajba złapała kurtkę z wieszaka, sprawdziła, czy ma broń i kajdanki, i już była gotowa do wyjścia.

– Chodzisz czasem bez gnata? – spytał z zaciekawieniem Roszkowski.

– Ostatnio nie. Miałam parę takich sytuacji, w których dużo bym dała za glocka w garści – wyjaśniła krótko Lipner. – Może jeszcze wróć, zależy, ile czasu zajmie mi rozmowa.

Świadek mieszkał w domu podobnym do tego należącego obecnie do syna Gawrońskiego. Czekał na Szajbę w oknie i otworzył jej furtkę, gdy tylko podeszła do posesji. Po chwili powitał ją w progu i zaprosił do środka. Był niskim, zasuszonym mężczyzną, wyglądającym starzej, niż mówił o tym jego PESEL. Dopiero przeszedł na emeryturę, a sprawiał wrażenie osiemdziesięciolatka.

– Niech pani wchodzi, proszę tędy, do salonu, żona zaraz zrobi nam herbatę, bo na kawę o tej porze to już chyba za późno.

Szajba odruchowo sprawdziła godzinę – było dopiero po trzynastej, ale najwyraźniej w tym domu kawę piło się jedynie o poranku. I zapewne była to lura z mlekiem i cukrem. Przez pięć minut trwało zamieszanie związane z częstowaniem gościa, bo tak właśnie Lipner została

potraktowana, a potem mężczyzna odchrząknął, przywołał na twarz wyraz powagi, a nawet pewnej zadumy, i spytał, czy wiadomo wreszcie, kto zamordował sąsiada, i policja po prostu uzupełnia zeznania, czy też zabójca nadal jest na wolności. Szajba odpowiedziała wymijająco.

– Oczywiście, rozumiem, na pewno nie może pani rozmawiać o śledztwie. Tak mówią we wszystkich kryminałach. Ale sama pani wie, ciekawość, bo bardzo długo trwa to śledztwo.

– Czasami tak bywa.

– A ja wam od razu mówiłem, gdzie szukać mordercy – przypomniał emeryt.

– I właśnie o tym chciałam z panem porozmawiać.

– Nie pani pierwsza, co jakiś czas jacyś pani koledzy pytają mnie o to.

– Wiem, ale chciałabym to sama usłyszeć. Być może zadam panu nieco inne pytania, a pańskie odpowiedzi pozwolą nam ustalić coś nowego. Dlaczego sądzi pan, że sąsiad był przestępcą i to akurat paserem?

– Wie pani, jak to jest na takich osiedlach. Człowiek zwraca uwagę na rozmaite rzeczy, a nieznajomi od razu rzucają się w oczy. I nie musi to być od razu obcy samochód. Piesi też. Pewnie, że do sąsiadów przyjeżdżają goście, ale większość z nich znamy. Ludzie przychodzą pospacerować, nic dziwnego, bo jest tu zielono i spokojnie. Ale ci, którzy kręcili się koło domu Gawrońskich, wyglądali i zachowywali się inaczej. Tak się jakoś... – mężczyzna zawahał się na moment – czaili. Ich wizyty były takie ukradkowe. A tak przychodzą tylko przestępcy.

– Rozumiem. – Szajba nie skomentowała tej diagnozy. – Ale dlaczego akurat paser, a nie złodziej lub inny bandzior?

– Bo oni czasem coś przynosili lub zabierali od Janka. To były mniejsze lub większe paczki. A poza tym jakby sam kradł, to pewnie nie przechowywałby fantów w domu.

Na ten temat nic nie było w zeznaniach sprzed dwunastu lat, w późniejszych też nie. Czyżby nie padło tak proste pytanie: dlaczego paser? Szajba powstrzymała się od pokręcenia głową i zamiast tego zadała kolejne pytanie.

– Państwo mieszkacie blisko, mogliście to zaobserwować, ale może zna pan kogoś, kto ma takie same odczucia?

– Chyba nie – tym razem to kobieta zabrała głos. – Nic takiego nie słyszeliśmy, a jak wspomnieliśmy o tym Siudzie, wie pani, to on znalazł Gawrońskiego, to się prawie palcem w głowę popukał. Więc już nic nie mówimy, ale swoje wiemy.

– Ale za to ktoś kiedyś wspominał... – wtrącił jej mąż.

– Kto i kiedy? – przycisnęła od razu Lipner.

– A to dokładnie pani nie powiem, bo nie pamiętam. Niedługo po tym wypadku, a mówił to ktoś znajomy. No więc podobno jakiegoś znajomego Gawrońskiego okradziono prawie od razu po tym, jak kupił sobie nowy, bardzo drogi sprzęt grający. To by pasowało do pasera. Sam nie ukradł, ale nagrał robotę innym. I może potem przechowywał te skradzione przedmioty u siebie.

Szajba wątpiła w taką wersję, to byłoby zbyt niebezpieczne dla Gawrońskiego. Nic jednak nie powiedziała, za to podrażyła temat nocnych gości ofiary. Według emeryta i jego żony zaczęli się pojawiać ze dwa lata przed morderstwem. A może nawet krócej.

– Wie pani, potem już nie przychodzili, więc na pewno byli w jakiś sposób związani z Jankiem – podsumował mężczyzna.

– I jeszcze jedno! – przypomniała sobie gospodyni. – Podobno czasem można było spotkać Gawrońskiego w jakimś podejrzanym towarzystwie.

– A kto i gdzie go widział?

– Nie pamiętam, to było dawno – zmartwiła się kobieta. – Wie pani, po tym morderstwie to wszyscy dużo o tym rozmawiali, ale po kilkunastu latach odeszło w niepamięć.

Widząc, że niczego więcej się nie dowie, Lipner szybko zakończyła rozmowę. Już chciała wsiąść do samochodu, gdy zauważyła wchodzącego do pobliskiego domu mężczyznę. Adres i podobieństwo do zdjęcia sprzed trzynastu lat wskazywało, że to Rafał Siuda. Oczekwała chwilę, a potem zadzwoniła do furtki. Po kilkunastu sekundach zrobiła to ponownie, po kolejnych kilkunastu znowu. W końcu drzwi się otworzyły.

– O co chodzi? – Siuda miał mokre włosy, najwyraźniej zaraz po przyjściu wszedł pod prysznic.

– Komisarz Lipner, policja. – Sara się wylegitymowała. – Mam parę pytań dotyczących Gawrońskiego.

– Znowu wałkujecie tę sprawę? – zdziwił się Siuda. – Proszę, niech pani wchodzi, ale ja już naprawdę wszystko powiedziałem. A jak czegoś nie powiedziałem, to dlatego, że po tylu latach nie pamiętam. Kawa, herbata?

– Nie, dziękuję, nie zajmę dużo czasu. Co pan myśli o wersji mówiącej o tym, że Gawroński był paserem?

– A to już widzę, że z sąsiadami pani rozmawiała. Według mnie to totalna bzdura, to nie był tego typu człowiek.

– Co ma pan na myśli?

– Żeby być przestępcą, trzeba mieć jaja – oświadczył Siuda, a Szajba o mało nie parsknęła śmiechem. – Gliniarzem zresztą też, podobnie jak strażakiem czy lotnikiem. A on nie miał. Był miły, uczynny, ale jakiś taki wycofany. Raczej jego by okradli niż on kogoś.

– Podejrzenie dotyczy paserstwa.

– Niby tak. – Siuda wzruszył ramionami. – Ale musiałby mieć kontakt z przestępcami. Według mnie bałby się.

– Rozumiem. Będę chciała jeszcze z panem porozmawiać, dzisiaj tylko to jedno pytanie, bo i tak byłam w okolicy – uprzedziła Szajba.

– Macie nowe tropy czy po prostu kolejna osoba próbuje swoich sił w tej sprawie?

Siuda był bystry, nie bał się mówić tego, co myśli. Komisarz Lipner poczuła do niego sympatię.

– Tak między nami, to drugie. Ale nierozwiązana sprawa to nierozwiązana sprawa.

– Większość takich zapewne umarzacie.

– Ta rokuje.

– Skoro tak pani uważa, to życzę powodzenia. Szczerze mówiąc, chętnie bym się dowiedział, kto zabił Jana...

Gdy Szajba weszła do swojego pokoju, Roszkowskiego już nie było. Zaskoczona spojrzała na zegarek. Piętnasta. Dosyć wcześnie jak na koniec pracy, ale być może w Archiwum X wieczne przesiadywanie po godzinach nie jest regułą.

– Adam ma co drugi dzień rehabilitację – odezwała się Ostróżka za plecami Sary. – Na wpół do czwartej.

– Czytasz w myślach, nie wiem, czy się ciebie nie bać. Ale masz rację, zaskoczyło mnie, że już go nie ma.

– Co myślisz o zamordowaniu Gawrońskiego? – Ostróżka weszła za Sarą do pokoju i przysiadła na biurku Roszkowskiego.

– Nie wiem. Nie czuję go. W zeszłym tygodniu przejrzałam wszystkie materiały, dzisiaj pogadałam z dwoma osobami. Muszę się oswoić z sytuacją, gdy trzeba się opierać na protokołach zeznań, które prowadził ktoś inny i to dekadę wcześniej.

– Też tak miałam. Cały czas wydawało mi się, że sama poprowadziłabym taką starą sprawę inaczej.

– I pewnie masz rację, każdy robi to w nieco inny sposób.

– Owszem. Dlatego trzeba się przyzwyczaić. My mamy materiały będące wynikiem pracy innych, ale uzupełniamy je o własne.

– A właśnie! Mało jest tych późniejszych, a mówiliście, że każdy nowy dostaje tę sprawę.

– Jesteś trzecia. Po prostu na nic nie trafili i odpuścili. Uznali, że już nic się nie da zrobić.

– A ty myślisz inaczej, skoro ja ją dostałam.

– Masz opinię dobrego, choć niepokornego gliny. Może uda ci się dojść do prawdy. A mnie wkurzają nierozwiązane sprawy.

– Jak wszystkich. – Szajba wzruszyła ramionami. – A co do Gawrońskiego, na razie uderzyło mnie na przykład to, że facet uważał, że ktoś go śledzi, zamykał się na noc, a nikt inny tego śledzenia nie potwierdził. Tylko Gawroński to widział? Nawet żona i syn nie?

– Nie ma nic o leczeniu psychiatrycznym.

– Wiem. Dzisiaj rozmawiałam z sąsiadem, który podejrzewa naszego nieboszczyka o paserstwo. I o dziwo twierdzi tak, bo widział kręcące się tam podejrzane indywidua. To jak było? Sąsiad zauważył, że się ktoś kręci, a rodzina nie? Mam jeszcze parę spostrzeżeń, ale nie będę cię na razie nimi zanudzała, muszę je sprawdzić. Za mało znam tę sprawę, nie siedzą w niej.

– Lubisz sama pracować – zauważyła Ostróżka.

– Owszem. Zresztą po co mam ci opowiadać o niesprawdzonych teoriach? I tak je będę sprawdzała. Jak będę miała konkrety, to ci powiem.

Ostróżka wyszła, a Szajba odszukała odpowiednie dokumenty. Miała duże wątpliwości co do tego, że Gawroński był paserem, ale podejrzewała, że coś się kryło za obawami ofiary i słowami sąsiada. Krótko mówiąc: najprawdopodobniej ktoś podejrzany, lub sprawiający takie wrażenie, kręcił się w pobliżu domu Gawrońskich. Dlaczego jednak ci, którzy dwanaście lat temu zajmowali się tym morderstwem na nic nie trafili?

W raportach nie było nic ponad to, co już wiedziała. Ktoś jeszcze wspominał, że widywał Gawrońskiego w nieciekawym towarzystwie, ale policjantom nie udało się ustalić nic bliższego. Nikt nie wiedział, co to za ludzie, nie potrafił o nich nic powiedzieć ani nawet podać rysopisu. Trop się urywał, a ponieważ nie był zbyt obiecujący, nikt się przy nim nie upierał. Szajba nie dziwiła się temu – świadkowie opowiadają niekiedy niestworzone rzeczy. I to nie dlatego, że kłamią, ale pod wpływem emocji wszystko wydaje im się ważne i podejrzane. Zaciekawilo ją jednak stwierdzenie byłej żony Gawrońskiego, która sugerowała, że miał on zwidy, być może oszalał i znalazł towarzystwo takich samych jak on świrów. A wariaci mogą różnie wyglądać i różnie się zachowywać.

Rozdział czwarty

Lipner przeważnie biegała w pobliżu domu, ale tym razem, kończąc pracę, stwierdziła, że warto czasem zmienić otoczenie, i zdecydowała się na trasę na terenie Biskupiej Górki, tuż za terenem należącym do policji, a dokładniej – do Laboratorium Kryminalistycznego. Wysiadając z samochodu, poprawiła glocka, z którym ostatnio się nie rozstawała, i pomyślała, że gdyby było ciemno, nie wybrałaby tej trasy. Nie bała się, że ktoś ją napadnie, żeby okraść lub zgwałcić, bo z takimi typami dałaby sobie radę i bez broni, ale inaczej miała się sprawa z mafią. W tym przypadku lepiej być przezornym.

Biegła wijącymi się po pagórkach ścieżkami, mijała innych miłośników joggingu, psy z właścicielami i spacerowiczów. Dawno tu nie była i zapomniała, że jest to dosyć popularne miejsce. Jako nastolatka często tu przychodziła ze znajomymi, łazili po starych fortyfikacjach, pili pierwsze piwa, a niektórzy palili. Nie tylko papierosy. Tknięta wspomnieniem postanowiła sprawdzić, jak teraz wyglądają umocnienia. Wybrała trzykondygnacyjny bastion i weszła do środka. Była zaskoczona niezłym stanem umocnień. Poza tym spodziewała się większej ilości śmieci, a przede wszystkim smrodu, bo tego typu obiekty zazwyczaj traktowane są jak toalety. Co prawda na ziemi leżało szkło i musiała uważać, gdzie stawia stopy, a ściany pokrywały – niekiedy bardzo wymyślne – graffiti, ale nie było źle. Zaciekawiona Szajba weszła do środka i zapaliła latarkę w telefonie. Schody na niższe piętro nie były zawałone gruzem, jedynie fragmentami butelek, więc postanowiła obejrzeć cały bastion. Zeszła niżej, zrobiła dwa kroki w głąb pomieszczenia i zamarła. Tego smrodu nie można z niczym pomylić, a Lipner znała go doskonale. Odór śmierci. Tak śmierdzieć mogło tylko rozkładające się ciało. Pytanie tylko czyje, bo do bunkra mogło trafić

ranne zwierzę. Mogło też zostać celowo tu zwabione i zabite, bo sadystów nie brakuje. Na myśl o katowanym psie lub kocie Szajba zacisnęła szczęki i ruszyła szukać źródła ohydnej woni. W miarę wchodzenia w głąb pomieszczenia smród potęźniał. Wreszcie doprowadził ją do jednego z bocznych, niewielkich pokoi.

– Kurwa!

Sara zamarła, a potem zamknęła oczy. Tego się nie spodziewała. Falą napłynęły wspomnienia dotycząca byłego partnera, komisarza Sławomira Wątróbskiego. W ciągu dwóch sekund przypomniała sobie całe zdarzenie, jego zakrwawione ciało i swoją bezskuteczną próbę uratowania go. Teraz znowu miała przed sobą martwego policjanta.

– Kurwa, młody, w coś ty się wpierdolił?!

Na ziemi pod ścianą, twarzą do środka pomieszczenia leżał aspirant Maksymilian Piotrowski, młody funkcjonariusz, którego Lipner spotkała przy kilku sprawach. Był zakrwawiony i musiał zginąć już jakiś czas temu, skoro to zapach doprowadził ją do zwłok. Sara pomyślała, że to zakrawa na absurd, żeby martwego policjanta znajdować niedaleko policyjnego Laboratorium Kryminalistycznego.

Odetchnęła głęboko mimo panującego smrodu, wyszła przed bastion i zgłosiła przez telefon, kogo i gdzie znalazła. Pozostało jej tylko czekanie na kolegów.

Pojawili się prawie natychmiast. Śmierć policjanta zawsze działa mobilizująco.

– Część, stary mówił, że ty go znalazłaś. – Lekko zasapany komisarz Karol Barlicki podszedł do Szajby i spojrzał na nią niechętnie. – Ale to ja biorę tę sprawę.

Nie lubili się, drażnił Lipner. To był typowy karierowicz, facet, który dla własnej korzyści podłożyłby świnię nawet własnej matce, a możliwość wykazania się, pochwały i awansu powodowała, że ujawniały się w nim wszystkie negatywne cechy. Po trupach do celu mogłoby być jego mottem. Na dodatek nie tak dawno Sulich ostrzegął Sarę, że Barlicki interesuje się jej udziałem w dochodzeniu dotyczącym śmierci Kowalika. Była wtedy na urlopie, nie powinna się w nie mieszać. szukała jednak mordercy na

równi z Piotrem, z tym że nieoficjalnie. Starali się to utrzymać w tajemnicy i uniknąć kłopotów, Barlicki jednak jakoś wywęszył jej udział. Teraz wróciła do służby i nie zamierzała kłaść uszu po sobie ani ustępować temu dupkowi.

– Taki jesteś tego pewien? – zmrużyła oczy, wpatrując się w niego drwiąco. – A nigdy nie zdarzało się, że nagle ktoś inny dostawał ciekawą sprawę?

Trafiła w punkt, Barlicki aż się zachłysnął. Doskonale wiedziała, że dwa razy został wysłizgany ze stosunkowo prostych, ale prestiżowych śledstw.

– Co ty, kurwa, knujesz?! I nie zapominaj, że na urlopie jesteś – przypomniał ostrzegawczo.

Nie wiedział! To był wręcz prezent od losu i trzeba było to wykorzystać. Niedbałym gestem sięgnęła do kieszeni po blachę, a drugą ręką poklepała się po boku.

– Straszne. Jesteś potwornie niedoinformowany, nie spodziewałam się tego po tobie.

Barlicki szczerwieniwał i już chciał coś odpowiedzieć, gdy podeszli do nich technicy.

– Szajba! Miło cię widzieć, stęskniliśmy się! – ucieszył się młodszy, ale zaraz spoważniał. – Dobrze słyszeliśmy, że to jeden z nas?

– Tak. Maksio Piotrowski.

– Jasna dupa, taki fajny facet! Gdzie go znalazłaś?

Technik rozmawiał tylko z nią, co pomału doprowadzało Barlickiego do stanu wrzenia. Szajba przyglądała się temu z niemałą uciechą i czekała, aż komisarz eksploduje.

– Na środkowym poziomie, w bocznym pomieszczeniu. Zapach cię doprowadzi. Nie dotykałam niczego...

– Zapewne lewitowałaś – wtrącił złośliwie Barlicki.

– ...oprócz podłoża. Niestety nie umiem fruwać, zresztą pewnie i tak nie wykorzystałabym tej umiejętności, bo nie miałam pojęcia, że tam ktoś

jest. Na najwyższej kondygnacji, a tamtędy weszłam, nic nie czuć. Uważajcie na szkło – dorzuciła jeszcze Sara. – Jest go pełno.

– Chodźmy! – wtrącił się Barlicki. – No na co czekacie, ruchy! – To ewidentnie było do techników, nie do Szajby.

– Ja tylko znalazłam Maksa – wyjaśniła Lipner i nie bez satysfakcji dodała: – To sprawa Barlickiego. Na razie.

– Poczekaj na mnie – warknął komisarz.

– Jeżeli się pospieszysz, bo jestem umówiona – zełgała natychmiast Lipner.

Była wkurzona. Nie zamierzała wtrącać się w cudze dochodzenie, tym bardziej że sprawa Gawrońskiego coraz bardziej ją wciągała, ale Barlicki wnerwiał ją jak nikt inny. Poza tym, a właściwie przede wszystkim, szkoda było jej młodszego, sympatycznego kolegi, Maksa Piotrowskiego, i intrygowało ją, dlaczego zginął. Morderstwa policjantów nie są częste.

Z zamyślenia wyrwał ją Barlicki.

– Co tu robiłaś?

– A jak powiem, że przyszłam popływać, to mi uwierzysz? Ogarnij się, nie widzisz, jak wyglądam? Pobiegać przyszłam, nie jestem miłośniczką oponek na brzuchu – wetknęła szpilę lekko zaokrąglonemu komisarzowi.

– Bardzo śmieszne, ha ha. Po tych bunkrach biegałaś?

Szajba wzniosła oczy do nieba i teatralnie westchnęła, zanim odpowiedziała.

– Znasz ten teren?

– Znam.

– To wiesz, jak tu jest. Przychodziłam tu jeszcze za dzieciaka, całą bandą. Chciałam sprawdzić, jak teraz wyglądają umocnienia, bo dawno tu nie byłam.

– I akurat trafiłaś na Piotrowskiego.

– Wybrałam największy fort. Morderca pewnie też. Nie wiem, jak jest w innych, może są zawalone albo trudniej dostępne. Sprawdź.

– Nie bój się, sprawdzę.

– Wszystko? Śpieszę się – warknęła Lipner.

– Wszystko. Na razie. – Barlicki uśmiechnął się złośliwie. – W końcu to ty go znalazłaś.

– Pierdol się!

Wkurzona Szajba patrzyła, jak komisarz wchodzi do fortu. Potraktował ją prawie jak podejrzaną i zrobił to celowo. Fakt, że mu dopiekła, ale aż się o to prosił.

– Kurwa!

Wrzask z wnętrza fortyfikacji dobiegł, gdy już chciała odejść. Darł się Barlicki. Po chwili pojawił się w wejściu i podtrzymywany przez jednego z mundurowych kuśtykał z wykrzywioną twarzą. Nie trzeba było być członkiem Mensy, żeby wiedzieć, co się stało.

– A uprzedzałam! – W głosie Lipner pobrzmiwały nieskrywane nuty satysfakcji. – Trzeba było pod nogi patrzeć!

– Odwal się!

Najchętniej podokuczałyby mu trochę z zemsty za uczynienie jej podejrzaną, ale ograniczyła się do pokazania środkowego palca, a potem odtruchtała w stronę samochodu.

Przyływ adrenaliny związany ze znalezieniem Piotrowskiego, a potem słowną potyczką z Barlickim był tak duży, że Sara postanowiła ochłonać, zanim wsiądzie do wozu. Wiedziała, że jeżeli się nie uspokoi, to do domu będzie jechała na autopilocie, a tego unikała za wszelką cenę.

Na analizę sytuacji pozwoliła sobie dopiero po szybkim prysznicu, kolacji i krótkiej walce z samą sobą. Najchętniej zadzwoniłaby do Piotra, żeby wszystko przedyskutować, ale przecież nie mogła do niego dzwonić, gdy tylko coś się wydarzy. Piotr ma swoje życie, swoje sprawy i nie musi od razu o wszystkim wiedzieć. Poza tym opowiedziałaby mu o scysji z Barlickim, a to mogłoby wyglądać na próbę pożalenia się na tego dupka. Nie potrzebowała wsparcia i pogłaskania po głowie, nie z takimi kretynami miewała do czynienia. Nalała sobie koniaku, który był jej ulubionym trunkiem, włączyła muzykę i wygodnie ułożyła się w fotelu. Znalezienie zwłok Piotrowskiego wywołało u niej nieprzyjemne uczucie déjà vu. Dwóch martwych policjantów. Obaj zakrwawieni i w obu przypadkach to ona wzywała pomoc. Piotrowskiego znalazła zupełnie

przypadkowo i nie żył już od jakiegoś czasu, przy śmierci Wątróbskiego była obecna. Jej partner został zastrzelony na polecenie mafii, ale dlaczego zginął Maks? Czy to możliwe, że podobnie jak Sławek został po prostu zlikwidowany na zlecenie?

– Kurwa, trzy sprawy na mnie jedną to za dużo, niech sobie Barlicki szuka mordercy – zdecydowała po chwili i poszła po dolewkę koniaku.

Ciekawiło ją, dlaczego zginął aspirant, ale po krótkiej wewnętrznej walce postanowiła odpuścić. Nie da rady szukać zabójcy sprzed dekady, dyskretnie ustalać, czemu zginął Wątróbkka, a mafia się jej czepia, i jeszcze na dodatek po cichu, ale aktywnie uczestniczyć w szukaniu zabójcy Piotrowskiego.

Sulich zadzwonił, gdy już zasypiała.

– Nie mów, że znalazłaś go zupełnym przypadkiem.

– A jak inaczej to sobie wyobrażasz? Po robocie zdecydowałam, że tam pobiegam. Maksa widziałam ostatni raz przed strzelaniną, a w ogóle znałam go tak sobie.

– Cholera, lepiej by było, żeby ktoś inny go znalazł.

Piotr nie musiał tłumaczyć dlaczego. Nieoficjalne szukanie prawdziwych motywów wydania zlecenia zabicia Wątróbkki wymagało dyskrecji i nie było jej potrzebne jakiegokolwiek zainteresowanie ze strony kolegów.

– To niby co miałam zrobić? Udać, że mnie tam nie było? Zadzwonić anonimowo? Skąd? Teraz nawet budek telefonicznych nie ma.

– Nie no, pewnie, że nie! I lepiej, że to ty, a nie jakieś dzieciaki. – Sulich wyobraził sobie, jak jego córki odkrywają rozkładające się zwłoki.

– Więc nie marudź, jest jak jest. Wiesz, kto prowadzi sprawę?

– Wszyscy już wiedzą, Barlicki. Więc trzymaj się od tego z daleka. – W głosie Sulicha nie było sugestii czy prośby, a ostrzeżenie.

– Wiem. Zresztą doby by mi zabrakło, żeby tego pilnować. Ale ty możesz.

– Mogę, ale też delikatnie, bo przecież Barlicki aż takim debilem nie jest, żeby nie wiedzieć, że ci wszystko powiem.

– Masz jakiś pomysł?

– Na motyw? Nie. Z tego co wiem, to był porządny facet i nie wchodził w układy.

– Jestem uczulona na słowo układy – warknęła Szajba. – Coraz więcej układów, koneksji i zależności. Jak ktoś to lubi, to powinien zostać politykiem, nie gliną.

– Mnie nie musisz przekonywać, też tym rzygam. Ale tym bardziej bądź ostrożna, wystarczy, że masz na pieńku z mafią.

Trudno było nie przyznać mu racji. I mimo całej awersji do Barlickiego, Sara miała nadzieję, że uda mu się namierzyć mordercę Maksa Piotrowskiego.

Rozdział piąty

Gdy poprzedniego dnia Szajba wspomniała swojej obecnej szefowej, że nie poznała jeszcze dobrze sprawy Gawrońskiego, była to prawda, a nie wykręt. Przeczytała wszystko od deski do deski, niektóre dokumenty kilkakrotnie, zrobiła własne notatki i spis świadków, z którymi chciała porozmawiać, ale jeszcze nie poczuła, że to „jej sprawa”. Miała też przykre uczucie, że nie ma wpływu na minione wydarzenia. Owszem, nie miała, ale tylko na sam fakt zabójstwa, a nie na ujęcie sprawcy, a tak jest przy każdej sprawie. Postanowiła jeszcze dzień poświęcić na dokładną analizę, umówiła się z kilkoma świadkami i zrobiła krótką rozpiskę czasową wydarzeń. Jan Gawroński zginął wczesną jesienią w dwa tysiące dziesiątym roku, czyli niemal dwanaście lat temu. Miał czterdzieści lat, dorosłego syna i był rozwodnikiem. Według zeznań rodziny pięć lat wcześniej bliscy zaczęli obserwować u mężczyzny dziwne zachowanie. Gawroński widział rzeczy, których oni nie zauważyli, i czegoś się obawiał. Dużo tego nie było, ale jeżeli ofiara nie cierpiała na manię prześladowczą, urojenia lub inną chorobą psychiczną, to najprawdopodobniej coś niepokojącego zaczęło się dziać w otoczeniu Gawrońskiego na długo przed śmiercią. Bardzo długo, pięć lat. Szajba pokręciła głową z niezadowolaniem tak energicznie, że Roszkowski oderwał się od pracy.

– Co jest?

– Strasznie długo to trwało – wyjaśniła Sara i zorientowała się, że Adam nie ma pojęcia, o czym ona mówi. – Według rodziny zachowanie Gawrońskiego zaczęło się zmieniać pięć lat przed morderstwem. Trochę dziwne. Jeżeli to była choroba psychiczna, a na to wskazuje ta mania prześladowcza, to powinien się już dawno leczyć. A jeżeli ktoś go rzeczywiście nękał, to pięć lat wydaje się bardzo długim okresem.

– I nigdzie tego nie zgłosił.

– Właśnie.

Szajba zamilkła, ale pomyślała, że jest jeszcze trzecia możliwość. Całe to gadanie o manii prześladowczej Gawrońskiego nie ma żadnego związku z jego śmiercią.

Wieczorem Sara zdała sobie sprawę, że cały czas jest rozdrażniona. Znaleźnienie zwłok młodego aspiranta spowodowało, że odżyły wspomnienia, o których starała się jak najmniej myśleć. Końcówka śledztwa prowadzonego wspólnie z Wątróbskim, strzelanina, wykrwawiający się na jej rękach partner. A ona dwukrotnie ranna. Niech to szlag! To już przeszłość! Trzeba tylko znaleźć tego, kto zdecydował o egzekucji Sławka, bo że była to egzekucja, nie miała już wątpliwości. Nie wiedziała jednak, kto osobiście za tym stoi i o co dokładnie chodziło. A właściwie chodzi, bo mafia najwyraźniej nie odpuściła, a przeniosiła swoje zainteresowanie na nią. Co prawda od jakiegoś czasu jej nie nękali, ale nie wierzyła w to, że o niej zapomnieli. Zbyt wiele trudu sobie zadali, żeby ją zastraszyć, żeby potem nagle stracić zainteresowanie. Mogli jednak wiedzieć, że teraz pracuje w Archiwum X, więc jest dla nich stosunkowo mało przydatna. Istniała też możliwość, że czekają, żeby zobaczyć, co zrobi, albo szykują się do tego, żeby wreszcie wyjawić, o co im chodzi. Jeżeli wiedzą, że zmieniła wydział, to oznacza, że mają w policji informatora. Szajba brała to pod uwagę już wcześniej i między innymi dlatego była tak ostrożna w sprawdzaniu powiązań Wątróbskiego.

Poszła spać z postanowieniem, że musi jak najszybciej dojść, o co w tym wszystkim chodzi.

Gdy w czwartek przyjechała do pracy, zaskoczyło ją ogólne podekscytowanie.

– Dobrze, że jesteś! – przywitał ją Roszkowski. – Ostróżce udało się chyba znaleźć coś nowego w sprawie, nad którą pracuje. Za kwadrans spotkanie.

– Nawet nie wiem, co to za sprawa – lekko zaprotestowała Lipner.

– To się dowiesz. Wszystkie pomysły mile widziane, tym bardziej kogoś, kto ma świeże spojrzenie.

– OK, ale na trzynastą jestem umówiona z byłą żoną Gawrońskiego.

– Kobieto, nie kracz! Ja mam co robić, liczę na to, że nasiadówka potrwa maks godzinę.

Niestety komisarz przeliczył się, częściowo ze względu na obecność Sary, którą szefowa musiała pobieżnie wprowadzić w sprawę. A potem Szajba miała pytania. I pomysły. Część z nich pokrywała się z tym, co już zostało sprawdzone, ale dwa były nowe i na tyle ciekawe, że nawet analityk spojrział na nią z uznaniem. Od Ostróżki wyszli po dwunastej i Lipner od razu pojechała na spotkanie z żoną ofiary.

Terasa Gawrońska miała pięćdziesiąt jeden lat, co Lipner wiedziała z akt sprawy, ale wyglądała młodziej, w każdym razie na pierwszy rzut oka. Szczupła, dobrze ubrana, zadbana, ale bez przesady. Z zawodu inżynier geodeta, od wielu lat pracowała w tej samej firmie. Czas na rozmowę z Szajbą znalazła pomiędzy spotkaniami zawodowymi.

– Przepraszam, że w restauracji, ale muszę coś zjeść, bo potem nie będę miała kiedy – wytłumaczyła od razu. – Może pani też coś zamówi?

– Owszem, ale tylko kawę.

Złożyły zamówienia i w milczeniu odczekały, aż kelner odejdzie.

– Już nawet nie pamiętam, ile razy pytaliście mnie o Jana. A myśmy byli już wtedy po rozwodzie, więc nie wiem, jaki był w ostatnim czasie – wyjaśniła Gawrońska.

– Wiem. Ale mimo wszystko mam kilka pytań – odpowiedziała Szajba.

– Dobrze, niech będzie. Rozwiedliśmy się, ale nie życzyłam mu źle. Po prostu nie mogłam już tego wytrzymać.

– Czego?

– Na pewno pani wie, że Janek się zmienił. Według mnie to była mania prześladowcza, zaczął się kogoś bać, widział rozmaite rzeczy, których ani syn, ani ja nie dostrzegaliśmy, zamykał się na noc. A jednocześnie cały czas normalnie pracował i żył jak dawniej. Nie umiałam tego ani zrozumieć, ani wytrzymać. Wie pani, do czego mogłabym porównać ostatnie lata z Janem? Do filmu lub książki, w których cały czas narasta groza. Taka trochę nieuchwytna, nienamacalna, ale czająca się gdzieś blisko. Nie wytrzymałam. I te huśtawki. Jan potrafił przez cały dzień

zachowywać się jak dawniej i nagle wieczorem okazało się, że coś mu się przywidziało.

– Nie proponowała pani mężowi wizyty u lekarza?

– Pewnie, że tak! – Gawrońska zabrała się za przyniesiony posiłek, a Szajba popijała kawę. – Ale nie można zmusić do leczenia dorosłego, o ile nikomu nie zagraża. Albo sobie. Twierdził, że nic mu nie jest.

– Kiedy to się zaczęło?

– Kilka lat przed morderstwem. Nie pamiętam, może sześć, może pięć. Kiedyś tak się nie zachowywał.

– A te przywidzenia, pamięta pani, co to było?

– Nie wiem, czy wszystko, ale to było zaskakująco zróżnicowane. Wspominał coś o popiele z papierosa, a w domu nikt nie palił, o przestawionym dezodorancie, o zapachu benzyny. Były i inne rzeczy, najczęściej jakieś drobiazgi.

– Wie pani zapewne – komisarz zmieniła temat – że jeden z sąsiadów stwierdził, że pani mąż był paserem.

– Były mąż – poprawiła ją Gawrońska. – Wiem. Nie mogę mieć pewności, że się w nic nie wplątał, gdy mieszkał sam, ale to nie ten typ człowieka. Nie wiem, jak to wytłumaczyć, ale pani pewnie zrozumie. Po prostu jedni mają skłonności, ogólnie mówiąc, przestępcze, a inni nie. Moim zdaniem Jan ich nie miał. Chyba że był aż tak dobry w ukrywaniu tego, ale talentu aktorskiego zdecydowanie też nie miał.

Sara miała jeszcze jedno pytanie. Skoro Gawroński się zmienił, to czy było możliwe, że wiązało się to również ze zmianą znajomych? Na, jak to ujął jeden ze świadków, takich samych świrów jak on.

– Nie wiem. – Gawrońska wzruszyła ramionami i otarła serwetką usta. – Pewnie tak, jeżeli dawni znajomi zasygnalizowaliby mu, że uważają, że brak mu piątej klepki. Wie pani, mógł szukać kogoś, kto go zrozumie.

Kobieta zerknęła nerwowo na zegarek i znacząco popatrzyła na Lipner.

– Dziękuję, że znalazła pani czas na rozmowę. – Szajba podniosła się z krzesła. – Skontaktuję się, gdyby pojawiły się jakieś nowe pytania.

Wyszły razem z restauracji. Szajba wsiadła do samochodu, a Gawrońska poszła w stronę pobliskiego biurowca. Zastanawiało ją, co się tak naprawdę działo z Gawrońskim. Wszystko wskazywało na to, że mężczyzna czuł się coraz bardziej osaczony. Z drugiej strony jego żona nie zauważała przyczyny, a jedynie sam niepokój męża. Dlaczego? Możliwości były co najmniej dwie: albo były to wytwory chorego mózgu, albo coś tak subtelnego, że zwrócił na to uwagę jedynie Gawroński. To drugie tłumaczyłoby również jego zdenerwowanie.

Szajba zrobiła sobie i Roszkowskiemu kawę i po raz kolejny zagłębiła się w dokumentach. Była żona Gawrońskiego powiedziała coś, z czym Lipner się nie zgadzała, ale musiała to sprawdzić. Świry. Tym mianem najczęściej określani są zarówno chorzy psychicznie, jak i ludzie, którzy odstają od przyjętej normy. Gawrońska uznała, że jej były mąż mógł szukać towarzystwa świrów, gdy zorientował się, że znajomi patrzą na niego jak na szaleńca. Szajba podczas spotkania powstrzymała się od komentarza, ale po pierwsze nie panowało ogólne przekonanie, że Gawroński jest chory psychicznie, a po drugie gdyby tak było, to dlaczego miałby szukać sobie podobnych? I jeszcze po trzecie: sam Gawroński najwyraźniej nie uważał, że ma zwidy. Pozostawała druga kategoria świrów, czyli ludzie, którzy w opinii społeczeństwa zachowują się inaczej niż ogół. Według Lipner ktoś, kto nie znalazł wytłumaczenia tajemniczych zdarzeń, które zauważa tylko on, mógł próbować skonsultować się z ludźmi, którzy myślą nietuzinkowo. Nie powiedzą, że popiół z papierosa tylko mu się przywidział, podobnie jak zapach benzyny, a wrażenie śledzenia wynika z manii prześladowczej. Są ludzie, którzy wszędzie węszą spisek lub nawet działanie sił nadprzyrodzonych, i zdesperowany Gawroński mógł się pokusić o szukanie u nich wsparcia. Wszystko zależało od tego, jak bardzo był sfrustrowany i jakim był człowiekiem. Ona sama próbowałaby zacząć się na nieznanego intruza, ale to kwestia charakteru.

Już zabierała się do typowania osób, z którymi powinna w tej sprawie porozmawiać, ale przerwała jej Ostróżka.

– Nie mówiłaś, że znalazłaś wczoraj zwłoki aspiranta Piotrowskiego.

Szajbę zamurowało. Ostróżka miała rację, powinna powiedzieć jej o tym rano. Wyglądało to tak, jakby zapomniała o tym, że znalazła martwego wspólnego kolegę.

– Cholera, przepraszam, masz rację! Najpierw było spotkanie, potem byłam umówiona. A może nawet to wyparłam.

– To zajęłoby chwilę. Wolę nie dowiadywać się o takich rzeczach od osób trzecich, poza tym...

– Kurwa, ten kretyn dzwonił do ciebie?! Barlicki...

– Barlicki.

– Jasne. Spięłam się z nim wczoraj, wkurzona jestem do teraz – wyjaśniła niechętnie Sara.

– I dlatego mi nie powiedziałaś? – Ostróżka nie była głupia. – Słucham teraz, tym bardziej że Barlicki sugerował, że będzie cię musiał przesłuchać.

– Jesteś podejrzana? – zainteresował się, nie kryjąc uciechy, milczący do tej pory Roszkowski.

– Według Barlickiego, owszem. Zapewne mam takie hobby, morduję po godzinach gliniarzy – warknęła Szajba. – Dupek!

– Tu rozmawiamy czy...?

– Tu. I tak przecież bym Adamowi powiedziała.

– No to słucham.

Do opowiadania nie było dużo i po kwadransie Ostróżka poszła do siebie, a Sara z zadowoleniem stwierdziła, że jej nowa szefowa też nie przepada za Barlickim. Nie była wylewna, ale lekkie skrzywienie ust i zapowiedź, że gdyby komisarz był za bardzo upierdliwy, to ona chce o tym wiedzieć, wystarczyły.

– Nie widziałem cię w akcji, ale teraz rozumiem, skąd twoja ksywka. – Roszkowski się uśmiechnął. – Nawet jak idziesz pobiegać, to na coś trafiasz.

– Wołałabym nie – powiedziała szczerze Szajba. – Po pierwsze zginął policjant, a po drugie... – zawahała się. – No dobra, powiem ci. Nie lubię, jak ktoś wyjaśnia coś za mnie.

– Rozumiem. Ty znalazłaś, to powinna być twoja sprawa. Ale...

– Wiem. Pracuję gdzie indziej i mam co robić. Ale niedosyt zostaje. I jeszcze ten debil.

– Nie znam go. Czym ci podpadł?

– Całokształtem – mruknęła Lipner. – Kumulacja większości cech, których nie lubię.

Roszkowski spojrział na nią z zaciekawionym, ale Szajba nie miała ochoty rozwodzić się nad relacją z Barlickim i zajęła się ustalaniem, z kim powinna porozmawiać o Gawrońskim i jego nietypowym zachowaniu. Nie chodziło jej o nikogo, kto już wcześniej wyszedł w śledztwie, ale o osoby, które można zaliczyć do „świrów”. Czyli mieszkających w pobliżu miłośników wszelkich teorii spiskowych, fanów kosmitów i domorosłych detektywów. Tych ostatnich Sara uwzględniła, gdy przyszło jej do głowy, że jeżeli Gawroński chciał się przekonać, o co chodzi, i potrzebował przy tym pomocy, to mógł szukać wsparcia u lokalnych znawców kryminologii. Doskonale wiedziała, że prawie na każdym osiedlu jest ktoś taki. A jeżeli nie było go w najbliższym sąsiedztwie, to Gawrońskiemu na pewno nie było trudno do niego dotrzeć. Wystarczyło popytać. Lipner zrobiła to samo.

Przed wyjściem z pracy z zadowoleniem popatrzyła na listę z siedmioma nazwiskami. Para emerytów, którzy dziesięć lat temu jeszcze pracowali, ale po pracy na własną rękę próbowali rozwiązać wszystkie kryminalne – w ich mniemaniu – przypadki, z którymi zetknęli się oni sami lub ich znajomi. Należały do nich tajemnicze pukania do drzwi, kradzież owoców z działki, odnalezienie psa skradzionego spod sklepu czy namierzenie pijaka, który używał bramy jako toalety. Same „poważne” sprawy lokalnej agencji oko-ucho. Trzech mężczyzn z kolei należało do tej części społeczeństwa, która wierzy w spiski, a dwóch było zafascynowanych kontaktem z inną cywilizacją i prawie żałowało, że nie porwali ich kosmici, którzy przeprowadzają na ludziach eksperymenty. Pewnie nie mieliby nic przeciwko pobraniu przez nich fragmentu żołądka, a już na pewno nie pożałowaliby krwi lub moczu. Lipner

obdzwoiła całe to detektywistyczne towarzystwo i umówiła się z nimi na następny dzień.

Po pracy nie wracała do domu, bo w planach miała spacer i piwo z Sulichem. Zostawiła samochód na policyjnym parkingu i na piechotę poszła do pubu. Piotr już na nią czekał. To był ten sam lokal, w którym dowiedziała się o zamordowaniu swojego znajomego, Artura Kowalika.

– Specjalnie tak wybrałaś?

– Co? – nie zrozumiał Sulich zajęty składaniem zamówienia.

– Siedzieliśmy tu na piwie, gdy mi powiedziałaś, jaką dostałaś sprawę. Kowalika.

– O kurczę, faktycznie! Nie, dlaczego mielibyśmy tu przychodzić z tego powodu?

Szajba popatrzyła na komisarza trochę nieufnie, ale uznała, że ma rację. Nie mogą omijać lokali, w których rozmawiali kiedyś o prowadzonych sprawach, bo wkrótce nie mieliby gdzie wyjść na piwo. A w Labeeryncie dawno nie byli. Zgodnie ustalili, że robią reset od spraw zawodowych, i poświęcili wieczór na sprawy czysto prywatne.

Rozdział szósty

O Gawrońskim Sara zaczęła myśleć, już jadąc tramwajem do pracy. Mimo że o dziewiątej miała pierwsze spotkanie, jej myśli zajmowała zupełnie inna kwestia. Sąsiedzi sugerujący, że mężczyzna był paserem, nie wzięli pod uwagę jednego. Nie robiliby przecież tego za darmo, a jeżeli zarabiał, to gdzieś te pieniądze musiały być. Lipner wiedziała, co było w testamencie i co po sobie zostawił zmarły. Nie był bogaczem, najwartościowszą rzeczą był odziedziczony przez syna dom. Ten motyw zdecydowanie mogła pominąć.

Punktualnie o dziewiątej zadzwoniła do drzwi mieszkania Stępniewskich. Otworzył jej mężczyzna, kobieta właśnie wносиła do niewielkiego pokoju pełniącego funkcję saloniku tacę z kawą. Kolejni świadkowie, którzy potraktowali ją jak gościa. Być może dlatego, że sami chcieli się czegoś dowiedzieć.

– Kawa, dobrze zjadłam? – spytała pani domu.

– Dobrze. Dzień dobry.

Szajba nie zaprotestowała przeciwko napojowi, bo zapach roznoszący się po mieszkaniu świadczył o tym, że kawa będzie znacznie lepsza niż ta, którą piła rano w pracy. Stępniewscy byli bardzo do siebie podobni. Oboje szczupli, siwi, niebieskoocy, w jeansach i swetrach. Sarze przypomniał się program o Korei, w którym mieszkający tam Polak opowiadał, że małżeństwa bardzo często ubierają się podobnie. Niezależnie od ubioru Stępniewscy wyglądali na bystrych.

– Mam do państwa kilka pytań – Lipner nie bawiła się w długie wstępy. – Wiem, że moi koledzy nie rozmawiali z państwem o Gawrońskim, najwyraźniej nie wiedzieli, że się znacie.

– Trudno to nazwać znajomością, Gawroński po prostu chciał, żebyśmy poobserwowali jego dom, gdy go nie ma, i sprawdzili, czy nikt

się tam nie włamuje – wyjaśnił Stępniewski.

– Dlaczego nie zgłosiliście się z tym do nas, gdy Gawroński został zamordowany?

– A po co? – Kobieta wzruszyła ramionami. – Pewnie nasłuchalibyśmy się o tym, że się wtrącamy w coś, czym powinna zająć się policja.

– Przypuszczam, że tak – zgodziła się Szajba.

– No to sama pani widzi. Gdybyśmy zidentyfikowali tego, kto chodził za Janem, to co innego.

– Czyli ktoś go rzeczywiście śledził?

Stępniewscy spojrzeli na siebie porozumiewawczo. Zapewne już wcześniej ustalili, co i ile powiedzą.

– Nie wiemy – wyznał niechętnie mężczyzna. – Pilnowaliśmy jego domu przez dwa tygodnie.

– Nikt was nie zauważył?

– Nie. No dobrze, powiemy pani, jak to dokładnie było. – Zabrzmiało to tak, jakby kobieta dopiero teraz podjęła decyzję, ale Sara wiedziała, że to tylko pozory. – Wynajął nas na dwa tygodnie, dobrze zapłacił. Wzięliśmy urlop, bo dodatkowe pieniądze zawsze się przydają, i pilnowaliśmy domu Gawrońskiego. Zmienialiśmy się o świcie i wieczorem, tak żeby nikt nie zauważył, że ktoś u niego jest. Bo pilnowaliśmy z domu. Można powiedzieć, że przez dwa tygodnie cały czas mieliśmy oko na jego posesję.

– I co?

– No i właśnie nie wiemy.

– Jak to? – zdziwiła się Sara. – Albo kogoś zauważyliście, albo nie.

– To nie takie oczywiste. Kilka razy widzieliśmy, jak w nocy ktoś przechodzi koło domu.

– To jeszcze nic takiego – zauważyła komisarz.

– Racja, bo przecież nawet boczne uliczki nie są zupełnie wyludnione. Ale nie każdy zatrzymuje się i obserwuje przez chwilę dom, a potem rusza dalej.

– Nie przeszedł do ogródka?

– Chyba nie. Ale jedna osoba nie da rady patrzeć we wszystkie strony jednocześnie, więc nie mamy pewności. W każdym razie sylwetka tego ktosia za każdym razem była taka sama. Chyba mężczyzna, bo wysoki i poruszał się po męsku.

– Zrobiliście mu zdjęcia?

– Nie. Pani komisarz, to było kilkanaście lat temu, wtedy nie dawało się komórką zrobić takich dobrych zdjęć nocnych jak teraz – przypomniał Stępniewski.

– Nawet nie próbowaliście?

– A owszem, ale co komu po czarnej plamie na szarym tle?

– Macie te zdjęcia?

– Nie, usunęliśmy, bo były do niczego.

– Jak zareagował Gawroński, gdy mu powiedzieliście o mężczyźnie pojawiającym się koło domu?

– Zastanawiał się, czy ma znajomego, który by pasował wzrostem i wiekiem. Bo ten człowiek ruszał się jak ktoś młody, na pewno wie pani, o czym mówię. – Stępniewska spojrzała na Szajbę znacząco. – Chodził energicznie i sprężyście.

– Wytypował kogoś?

– Nawet jeżeli, to nam o tym nie powiedział.

– A czy w tym czasie były jakieś głuchofonie do domu albo ktoś dzwonił do furtki i uciekał?

– Nie.

– Czyli przez te dwa tygodnie nie wydarzyło się nic oprócz kilkukrotnego pojawienia się kogoś pod domem Gawrońskiego.

– No właśnie. Dlatego nie zgłosiliśmy się na policję – wyjaśniła kobieta.

– Kiedy dokładnie to było?

– Jakies pół roku przed śmiercią Jana.

– Kontaktowaliście się z nim potem?

– Nie, nie było potrzeby, a nie byliśmy bliskimi znajomymi.

– Rozumiem. Jeszcze jedno pytanie. Czy przez cały czas, gdy pilnowaliście domu, Gawroński zachowywał się tak samo?

Stępniewscy spojrzeli na siebie i niedostrzeżenie kiwnęli głowami, jakby doszli do jakiegoś porozumienia.

– Jednego ranka, gdy wychodził do pracy, znalazł coś w ogrodzie koło furtki i był zły, że nic nie zobaczyłem – wyjaśnił mężczyzna. – Pewnie ktoś coś podrzucił, gdy byłem w toalecie.

– Co to było?

– Dezodorant w sprayu, a właściwie puste opakowanie. Nie wiem, dlaczego tak się zdenerwował, każdy mógł to wrzucić przez płot, ludzie nieraz podrzucają śmieci. I jeszcze żeby to było coś znaczącego! Ale dezodorant?

Stępniewscy nie mieli nic więcej do powiedzenia, mimo że ze wszystkich sił starali się wykazać.

Szajba uznała, że w kwestii dezodorantu nie mają racji, ale trudno, żeby myśleli inaczej, skoro nie znali dokładnie sprawy Gawrońskiego. Najwyraźniej pusty dezodorant miał dla niego znaczenie, podobnie jak popiół i tym podobne rzeczy. Z akt wynikało, że zamordowany pytał kiedyś rodzinę, czy nie przestawiała jego dezodorantu, a nawet twierdził, że przenosi go ktoś, kto wchodzi pod jego nieobecność do domu. Dlaczego jednak akurat dezodorant miałby go tak denerwować?

Kolejne spotkania utwierdziły Sarę w przekonaniu, że Gawroński na własną rękę, przy pomocy ludzi, których pasją były rozmaite niewyjaśnione zdarzenia, próbował odkryć, kto i dlaczego go śledzi. Zwolennicy kontaktów pozaziemskich stwierdzili, że tylko zmarnowali czas, bo niczego, co mogłoby się wiązać z pasjonującym ich tematem nie zauważyli. Według nich Gawroński nieco ponaginał fakty i to, co go spotykało przedstawił w takim świetle, żeby wzbudziło to ich zainteresowanie. Byli oburzeni i zniesmaczeni. Miłośnicy spisków uważali natomiast, że Gawroński bardzo dobrze zrobił, zwracając się do nich, bo niewątpliwie coś się wokół niego działo. Niestety nie odkryli co, bo został zamordowany, co tylko potwierdzało fakt, że został wplątany w jakieś niewyjaśnione machinacje. Żalowali, że okazja zdemaskowania sprawcy tajemniczych wydarzeń przeszła im koło nosa. Na pytanie Szajby, w co takiego mógł być uwikłany Gawroński, odpowiedzieli z pobłażliwym

uśmiechem, że czasem nawet nie wie się, że jest się częścią większego planu.

Stawało się jasne, że wszyscy ci ludzie uważali, że rzeczywiście coś niewyjaśnionego działo się wokół Gawrońskiego. Dlaczego jej poprzednicy nie sprawdzili tego dogłębniej?

Odpowiedź był prosta. Rodzina Gawrońskiego opowiadała o tym tak, jakby to były jedynie przywidzenia, i bagatelizowała jego doznania. Poprzednicy Sary sprawdzili te informacje jedynie pobieżnie, a ponieważ nie potwierdziły się, uznali ten trop – czy też tropy – za mylne. Szajbę do wersji mówiącej o bliżej nieokreślonym prześladowaniu Gawrońskiego przekonało również to, że niepokoiły go rzeczy, na które ktoś inny nie zwróciłby uwagi. To nie było pukanie do okien, jakieś nagrania na sekretarce czy listy z pogrózkami, a popiół z papierosa, zapach czy przestawione przedmioty.

Przed wyjściem z pracy dodzwoniła się do syna Jana Gawrońskiego i umówiła się z nim na poniedziałek.

Rozdział siódmy

W pierwszy dzień weekendu Szajba podjechała po Sulicha, żeby zabrać go na obiad do rodziców. Mimo że Piotr znał jej rodzinę, i tak czuł się trochę nieswojo. Oboje wiedzieli, że za zaproszeniem kryje się pytanie: są parą czy nie? Całe szczęście, że tym razem miało nie być rodziny Ewy, bo ani ona, ani jej mąż nie powstrzymaliby się przed drażnieniem tematów zarówno osobistych, jak i zawodowych. Z rodzicami nie było tego problemu.

– Mam wino, z Włoch przywozłem – oświadczył Sulich, gdy tylko wsiadł do samochodu. – Mogę im dać czy potraktują to...? – zawahał się, a Lipner wybuchnęła śmiechem.

– Jak kwiaty dla przyszłej teściowej?

– No więc właśnie.

– Możesz, nie zapytają od razu o pierścionek zaręczynowy. Powiedz po prostu, że przywozłeś i przyniosłeś do spróbowania.

Zgodnie z przewidywaniami Sary obiad upłynął spokojnie, ani ona, ani Piotr nie zostali poddani śledztwu. Rodzice zachowywali się po prostu tak, jakby po dłuższym czasie spotkali się z lubianym znajomym. Właściwie była to prawda, bo lubili Sulicha, a gdy ranna Szajba leżała w szpitalu, często spotykali się z nim w jej pokoju.

– Trochę się stresowałem – wyznał komisarz, gdy wieczorem wyszli od rodziców policjantki.

– Jak widać, niepotrzebnie. Ale ja też. Właściwie powinnam chodzić do nich tylko z tobą. – Na twarzy Szajby pojawił się lekko szelmowski uśmiech.

Zamiast spytać dlaczego, Sulich uśmiechnął się szeroko i nie namyślając się, zamknął Sarę w niedźwiedzim uścisku.

– Ej, puszczaj! – Szajba wyswobodziła się z jego ramion. – Co takiego powiedziałam, że się na mnie rzucasz?

– Nie chodzi o to, co powiedziałaś, ale jak. Śmiejesz się. Właśnie to sobie uświadomiłem.

Miał rację. Bardzo długo po wydarzeniach, w których została poważnie postrzelona, a Wątróbka zginął, Sara się nie uśmiechała. Tak jakby zapomniała, że istnieje coś takiego jak śmiech. Gdy sytuacja wymagała okazania radości, uruchamiała mięśnie twarzy i pokazywała światu imitację uśmiechu. To się zmieniło. Wracała „stara” Szajba.

– Masz rację, nie mam już takiej blokady i wrażenia beznadziejności – przyznała.

– Nawet nie wiesz, jak jestem z tego zadowolony. Dlaczego powiedziałaś, że tylko ze mną chcesz chodzić do rodziców? Nie żebym miał coś przeciwko, ale czym na to zasłużyłem?

– Powiedziałam im, że możemy wpaść razem, o ile nie będzie Ewy i tego debila. Młoda jest fajna, ale nie puszczają jej prawie nigdzie samej. Po prostu nie mam zamiaru narażać cię na durne teksty Romana. Naprawdę niekiedy mam ochotę wywalić go za drzwi. To chamski egoistyczny buc. Problem w tym, że to nie mój dom.

– OK, mogę być takim odstraszcaczem. Co robimy z tak dobrze rozpoczętym dniem?

– Jedźmy do mnie, mam piwo, pogadamy.

Szajbę ciekawiło, czy Sulichowi udało się dowiedzieć czegoś o śmierci Piotrowskiego. Miał teraz zdecydowanie lepsze dojście do informacji niż ona, a poza tym wołała się nie wychylać. Co prawda chętnie powkurzałaby Barlickiego, ale szkoda jej było na to czasu.

– Z tego, co do mnie dotarło, to został zamordowany tam, gdzie go znalazłaś – powiedział komisarz, otwierając piwo.

– Piotrowski był we krwi, ale obok było jej mało – przypomniała sobie Szajba.

– Wiem. Najprawdopodobniej został zabity na folii czy czymś w tym stylu.

- Dziwne. - Lipner usiłowała wyobrazić sobie scenę zabójstwa policjanta. - Dostał nożem?

- Kilkukrotnie.

- Miał jeszcze jakieś obrażenia?

- Ktoś mu spuścił ogólny wpierdol.

Sara milczała przez dłuższą chwilę, popijając od czasu do czasu piwo. Według niej Piotrowski albo został zwabiony na Biskupią Górkę, gdzie go pobito i zamordowano, albo oberwał gdzieś indziej, a potem został przywieziony w pobliże terenów należących do policji i tam zabity.

- Na dwoje babka wróżyła - zgodził się Piotr, gdy mu to zreferowała. - A właściwie na troje. Mógł za kims pójść i tak tam trafić.

- To by oznaczało, że ten, kogo śledził, spodziewał się tego i zorganizował zasadzkę - zauważyła Szajba. - Wiesz, przy czym pracował?

- Tak. Morderstwo jakiejś staruszki. Pół rodziny i znajomych miało powód. Kobieta była bogata i wredna.

- Tak sobie pasuje.

- Ale nie da się wykluczyć.

- Trzeba by było pogadać... - zaczęła Sara.

- Nawet nie myśl o tym! Masz sprawę Gawrońskiego i mafię na głowie. W to śledztwo już się nie wpięprzaj.

- Cholera! Niby masz rację, ale to ja go znalazłam, a śledztwo prowadzi Barlicki.

- Zapomniałaś, że już nie zajmujesz się bieżącymi sprawami? Sama tak zdecydowałaś.

- Wiem. Ale nie znoszę tego gnoja.

- Więc tym bardziej się nie mieszaj, bo ta miłość jest wzajemna. On ci przyklei wszystko, co się da.

- Już sugerował, że jestem podejrzana, skoro znalazłam Maksa.

- Debil.

- Ale ciśnienie mi podniósł. Dobra, masz rację, odpuszczam. Znaczy nie będę się wtrącała, ale miej dyskretnie rękę na pulsie. Wątróbka zginął,

bo zaczął kombinować z mafią. Ciekawe, komu tak bardzo naraził się Piotrowski. Nikt tak chętnie nie zabija policjanta.

– Racja. Nie bój się, niezależnie od tego, kto prowadzi sprawę, stary nie odpuści.

Zanim Sulich wyszedł od Szajby, umówili się na wspólny niedzielny wypad za miasto.

Następnego dnia zwiedzili kilka miasteczek położonych niedaleko Gdańska, pospacerowali po lesie, a na rynku w Kartuzach natknęli się na kilkunastoosobową grupę motocyklistów. Zaczęli z nimi rozmawiać, oglądać motory, a skończyło się to na przewiezieniu policjantów po mieście. Szajba miała kiedyś motor, lubiła na nim jeździć i teraz przypomniały jej się tamte czasy.

– Właściwie mogłabym sobie jakiś kupić – stwierdziła, gdy grupa motocyklistów zniknęła za zakrętem.

– Ciekawe, czy tak chętnie by nas wozili, gdyby wiedzieli, gdzie pracujemy – powiedział w tym samym momencie Sulich. – Naprawdę chcesz kupić motor? Jak poprzednio wspominałaś, to myślałem, że to takie czcze gadanie.

– A czemu nie? Przy gdańskich korkach byłby jak znalazł. I pali mniej.

– Gdzie byś go trzymała?

– Nie mam pojęcia, tak sobie na razie rozważam. Na pewno nie pod blokiem.

– Ścigacz czy chopper?

– Chopper, zdecydowanie.

– Dużego nie utrzymasz – ostrzegł Piotr.

– Wiem. Ale taki virago byłby w sam raz.

Temat motorów wciągnął ich bardziej, niż się mogli spodziewać, i wieczorem Szajba postanowiła posprawdzać, czy ją stać. Pomysł zakupu jednoślada podobał się jej coraz bardziej.

Z Szymonem Gawrońskim, synem zamordowanego, Sara umówiła się u niego w domu. Mężczyzna miał akurat zwolnienie lekarskie, ale nie

leżał plackiem w łóżku, po prostu miał złamaną rękę. Był geodetą, podobnie jak matka, pracował na komputerze, a świeże złamanie mu to uniemożliwiało.

– Może za kilka dni będzie lepiej, ale na razie mogę pisać jedną rękę. Lewą – wyjaśnił. – A robota czeka, mam fuchę i nikt tego za mnie nie zrobi.

– Jak to się stało? – spytała odruchowo Lipner.

– Dosyć głupio, pośliznąłem się na basenie, pod prysznicami. Napije się pani czegoś?

– Nie, dziękuję, niech pan oszczędza rękę.

– Zdziwiłem się, że policja znowu chce ze mną gadać. Przecież macie moje zeznania.

– Oczywiście, mamy. Ale nowy prowadzący śledztwo to nowe spojrzenie i nowe pytania.

– Niech pani pyta, ale uprzedzam, że mogę już czegoś nie pamiętać lub po prostu nie wiedzieć. Po pierwsze od śmierci ojca minęło dwanaście lat, po drugie byłem wtedy gówniarzem, miałem kilkanaście lat. A jak zaczął mówić, że coś się dzieje, to nawet mniej, bo to trwało kilka lat.

– Dobry miał pan kontakt z ojcem?

– Owszem, ale po rozwodzie wyprowadziliśmy się i matka nie chciała, żebym tu za często przyjeżdżał. Bała się, że ojciec świruje.

– A jak było?

– Nie wiem, nie jestem lekarzem. Ale według mnie na te wszystkie rzeczy dałoby się znaleźć wytłumaczenie. I ojciec właśnie to robił. Szukał wyjaśnień.

– Musi pan jednak przyznać, że nie każdego spotyka tyle nietypowych wydarzeń.

– Wie pani, myślałem o tym. – Młody blondyn w ostatniej chwili zrezygnował z podrapania się po nosie ręką w gipsie. – Cholera, jeszcze się nie przyzwyczailem. A co do ojca, to może on był po prostu z tych, którzy zwracają uwagę na rozmaite rzeczy? Nie wiem, za krótko go znałem. Ale według mnie to był normalny facet, którego coś bardzo niepokoiło.

– Może więc było coś takiego? – spytała Szajba.

– Może i było, tylko nie mam pojęcia co. Ale niech pani sama powie, czy popiołu z papierosa nie da się wytłumaczyć po prostu tym, że ktoś palił i go strzepywał? A tego z pieca...

– To dla mnie coś nowego – zauważyła Szajba.

– Może nie wspominałem o tym... Kilka razy przed domem był popiół, taki jak po paleniu w piecu. Ktoś go mógł po prostu rozsypać. Jeżeli chodzi o gaśnicę w samochodzie – o tym Sara też nie słyszała – to ojciec mógł ją albo wyjąć, albo po prostu ktoś ją ukraść. Denerwowały go też poprzekładane w domu przedmioty, ale to mogła być sprawka matki, ja też nieraz się wściekałem, że przy sprzątaniu ustawia moje rzeczy po swojemu. To było jeszcze wtedy, gdy mieszkaliśmy razem.

– Czyli jest pan skłonny uznać, że to wszystko zbiegi okoliczności, a ojciec po prostu zauważał rzeczy, które inni pomijali?

– I tak, i nie. Sam nie wiem. – Szymon Gawroński westchnął. – Mieliśmy też pożar na poddaszu. Przyjechała straż pożarna, stwierdzili zwarcie instalacji. Ale akurat o instalację ojciec zawsze bardzo dbał, zresztą był przecież elektrykiem. – Mężczyzna zawahał się, a potem zdecydował się mówić. – Gryzie mnie ta śmierć ojca. Nie mam pojęcia, dlaczego ktoś go zabił, więc kombinuję, czy ta jego obsesja związana z niewyjaśnionymi zdarzeniami miała z tym związek.

– I do czego pan doszedł?

– Może ojciec miał coś zbliżonego do manii prześladowczej? Takiej delikatnej. Bo przecież normalnie funkcjonował. Ale uważał, że ktoś go śledzi i nęka. Na noc zamykał się w pokoju, zainstalował też kamery, ale nic sensownego się nie nagrało.

– A co z plotkami, że koło domu kręcą się jakieś podejrzane osoby?

– Bzdury! Kto tu się niby miał kręcić?

– Nie mieszkał już pan wtedy z ojcem – przypomniała Szajba.

– No niby nie. Ale ojciec nie był z tych, którzy mają podejrzanych kumpli. Chyba że sąsiedzi mieli na myśli tych znajomych ojca... tych od

zjawisk nadprzyrodzonych – młody Gawroński zamilkł i wyglądał, jakby się wygadał.

– Wiem już o tym – uspokoiła go Lipner.

– Cholera, jakoś głupio. No ale poprosił ich o pomoc, bo już nie wiedział, jak tłumaczyć te dziwne rzeczy.

– Rozumiem. Słyszał pan o podejrzeniu sąsiada, że pański ojciec jest paserem?

Młody Gawroński poczerwieniał na twarzy. Było jasne, że pamięta o tym i jest wściekły na samą myśl o rzucaniu na ojca oskarżeń.

– Wiem, wszyscy wiedzą, już ten kretyn się o to postarał. Ale ja też posprawdzałem, mimo że szczeniak wtedy byłem. – W dniu śmierci ojca Szymon Gawroński miał zaledwie czternaście lat. – I wie pani co? Sprawdziłem przez znajomych, jak to było z tą kradzieżą sprzętu. Ten facet kłapał gębą na prawo i lewo, że dostał jakąś ekstra kasę, trochę dołożył i kupił sobie wypasiony sprzęt stereofoniczny. Był taki dumny, że prawie pękł. I pokazywał tę wieżę każdemu, kto tylko wykazał ciekawość. Właściwie pół Gdańska o tym wiedziało, a na pewno jego szwagier.

– Co pan ma na myśli?

– Wie pan, to byli znajomi rodziców i kiedyś usłyszałem, jak ta znajoma mówiła półgłosem do męża coś w stylu: „Pamiętaj, żeby nie zapraszać mojego brata, bo znowu coś zginie”.

– Podejrzewali, że to on ich okradł?

– Nie, ale pasuje, prawda? Zdecydowanie bardziej niż mój ojciec. Jak pani chce, to proszę z nimi pogadać, mogę dać namiary.

Szajba skorzystała z propozycji. Jeszcze nie wiedziała, czy wykorzysta ten kontakt, ale zawsze lepiej mieć niż nie mieć.

– Odziedziczył pan dom, ale był pan za młody, żeby samemu mieszkać. Co się z nim działo, zanim się pan tu sprowadził?

– Niedługo po śmierci ojca przeprowadziłem się tu z matką. Mieszkanie mama wynajęła, to łątało nasz budżet, bo przedtem ojciec

płacił połowę kredytu za mieszkanie i alimenty na mnie. Zresztą ja wolałem mieszkać tutaj.

– Czy po przeprowadzeniu się zauważył pan jakieś nietypowe rzeczy? Coś podobnego do tego, czym niepokoił się ojciec?

– Nie. A specjalnie zwracałem uwagę, bo mnie to ciekawiło. Wie pani, byłem nastolatkiem, zamordowano mi ojca. Szukałem powiązań. A tu nic.

– Co było przyczyną rozwodu rodziców?

Młody Gawroński westchnął i chyba, żeby zyskać na czasie, nieporadnie nalał wodę do dwóch szklanek. Szajba cierpliwie czekała, pozwalając zebrać mu myśli.

– Matka bała się ojca – wyznał. – Uważała, że mu odbija, cierpi na manię prześladowczą lub schizofrenię. A on nie chciał słyszeć o lekarzu.

– Pan się nie bał?

– Nie. Tatę stresowało to, co się działo, może nadinterpretowywał te przypadki, ale nie oszalał. Po rozwodzie rodziców często u niego bywałem. Matka nie bardzo chciała, ale czasem mówiłem, że idę gdzieś z kumplami, a jechałem do ojca.

– Wie pan, kiedy się to zaczęło? – Szajba nie sprecyzowała co, ale oboje wiedzieli, o co chodzi.

– Matka mówi, że w dwutysięcznym.

– Był pan wtedy małym dzieckiem.

– Tak, znam to tylko z opowieści.

– Jasne. Gdyby coś się panu przypomniało, proszę zadzwonić. Ja też mogę mieć jeszcze jakieś pytania.

– A proszę bardzo. Może uda się pani namierzyć tego gnoja, który zabił mi ojca. On miał dopiero czterdzieści lat.

Gdy tylko przekroczyła próg ich wspólnego pokoju, Roszkowski oświadczył, że od razu ma iść do Ostróżki, bo zdaje się, że jest poszukiwana – dobrze, że nie listem gończym – przez Barlickiego.

– Z młodym Gawrońskim gadałam, więc wyłączyłam telefon, bo nie chciałam, żeby mi ten kretyn przeszkadzał.

– Przeczuwałaś, że będzie dzwonił?

– A jak? Ja na jego miejscu też bym chciała ze sobą pogadać.

Ostróżka już na nią czekała. Była poirytowana natarczywością Barlickiego, który uważał, że Lipner, jako świadek, powinna być dostępna w każdej chwili.

– Niech się goni! – warknęła Szajba, ale od razu uspokoiła szefową: – Zaraz do niego zadzwonię, bo ma rację, że chce ze mną gadać, to normalne. Ale nie będę przerywała przesłuchania świadka w pół słowa, nawet jeżeli zbrodnia miała miejsce kilkanaście lat temu.

– Nie znam go dobrze, ale czy on wszystkich tak wkurza?

– Może nie wszystkich, szczególnie jak mu na czymś zależy. Ale ma facet talent.

– Jak syn Gawrońskiego? Masz coś nowego?

– Nie wiem, czy nowego, ale... – Sara zawahała się i powiedziała coś innego, niż zamierzała: – Muszę się nad czymś zastanowić i pogrzebać w zeznaniach świadków. Jak okaże się, że mogę mieć rację, to ci powiem. Ale najpierw załatwię Barlickiego, żeby mieć go z głowy.

Zadzwoniła do komisarza już od siebie z pokoju. Przez pięć minut, popijając spokojnie kawę, słuchała słowotoku i odezwała się dopiero, gdy Barlickiemu zaschło w gardle.

– Chcesz ze mną pogadać czy zadzwoniłeś, żeby zmarnować trochę czasu? Mój trup poczeka i nikt mnie nie opierdoli, że jeszcze nie przymknęłam sprawcy, ale ciebie stary zaraz będzie gonił.

Roszkowski cały czas ją obserwował, a teraz uśmiechnął się szeroko. Szajba wysłuchała odpowiedzi i lekko się wkurzyła.

– Nie będziesz mi dyktował, co mam robić. I wybij sobie z głowy, że będę dwadzieścia cztery godziny pod telefonem, bo może będziesz miał jakieś pytanie. No i nie próbuj mnie brać pod włos, że tu chodzi o Piotrowskiego, bo wiem to doskonale. Gdybyś zapomniał, to ja znalazłam Maksa. A gdybym cię unikała, tobym nie oddzwoniła. Masz teraz czas? No to jadę.

Nadęty Barlicki czekał na nią u siebie w pokoju. Na wszelki wypadek postarał się, żeby nie było świadków rozmowy, bo nikt nie lubi, jak mu ktoś publicznie wbija szpilę, a wiedział, że Sara odpowie z nawiązką na każdą jego złośliwość. To, że nie było nikogo innego, dowodziło również tego, że rozmowa jest półoficjalna.

– Chcesz kawę? – spytał Barlicki, wyrzesując z siebie odrobinę uprzejmości. W końcu chciał się czegoś od Lipner dowiedzieć.

– Nie, dzięki, przed chwilą piłam. O co chodzi? – Sara nie zamierzała marnować czasu.

– Opowiedz jeszcze raz, jak go znalazłaś.

Lipner bez oporu spełniła tę prośbę – doskonale wiedziała, że sama zadałaby takie pytanie. Fakt, że mówiła już o tym tuż po znalezieniu Piotrowskiego, nie zmieniał sytuacji. Tam było krótko i na gorąco, teraz Barlicki oczekiwał dokładniejszej relacji. Proszę bardzo.

– Podobno go znałaś?

– Kogo? Maksa? – Lipner spojrzała zaskoczona na Barlickiego. – A kto tak twierdzi?

– Są tacy.

– Nie ze mną te numery. – Darowała sobie „Bruner”. – Albo powiesz mi, kto tak mówi, i będę mogła to skomentować, albo nawet nie wspominaj.

– No...

– Znałam Maksa tak, jak go znała większość ludzi w firmie. Może przy dwóch sprawach pracowaliśmy razem, polubiłam go. I tyle.

– Spotykałaś się z nim poza pracą?

– A niby po co? Nie moja kategoria wiekowa, on był prawie dychę młodszy i pewnie popukałby się w głowę na taki pomysł.

– Nie miałem na myśli...

– Ja też nie. Wiesz, co on robił po robocie?

– A ty wiesz?

Szajba zgrzytnęła zębami, ale nakazała sobie spokój, bo przecież zależało jej na złapaniu mordercy Piotrowskiego.

– Wiem. Grał w kosza. Z kumplami z liceum, cztery razy w tygodniu, o ile nie pracował. I z tymi samymi ludźmi lubił od czasu do czasu pójść w miasto. Więc, jak widzisz, nie pasowałam do tego towarzystwa.

– Skąd ty to wiesz? – Barlicki był zły, że Szajba wie więcej niż on.

– Bo kiedyś przyjechał do komendy spocony i w dresie. Telefon złapał go na sali, nie miał się czasu ogarnąć.

– No tak. Więc go nie znałaś?

– Znałam służbowo. Jaki był prywatnie, nie mam pojęcia.

– Przy jakiej sprawie pracował dla ciebie?

– Przy żadnej.

– Przecież mówiłaś...

– Mówiłam, że spotkaliśmy się przy chyba dwóch sprawach, ale nie powiedziałam, że moich.

– A czyich? Nie Wątróbskiego czasem?

Szajba nie odpowiedziała. Skąd Barlickiemu przyszedł na myśl Sławek? Chce jej dokuczyć czy wie coś konkretnego?

– Coś tak zamilkła? – spytał nie bez satysfakcji Barlicki.

Musiała być ostrożna, skoro sama węszyła przy śledztwach Wątróбки.

– Zastanawiam się, skąd ci przyszedł ten pomysł do głowy i w co pogrywasz.

– Ja? To ty znalazłaś Piotrowskiego.

– I może go przedtem zamordowałam? Nie bądź idiotą. A pogrywasz, bo albo wiesz coś, o czym mi nie mówisz, albo chcesz mnie wkurzyć, bo Sławek był moim partnerem. A przy których śledztwach spotkałam się z Maksem, powinieneś dawno sprawdzić. W każdym razie ja bym tak zrobiła na twoim miejscu – dopiekła mu.

– Nie miałem czasu – wyrwało się Barlickiemu.

– Nie mój problem. – Szajba wzruszyła ramionami.

– Czyje to były sprawy?

– Wątróbskiego...

– A jednak!

– Co cię tak dziwi? Często razem pracowaliśmy, był moim partnerem. A druga chyba Flisińskiej, ale to sobie sprawdź, bo nie jestem pewna. Nie prowadzę rejestru z informacjami, z kim i przy jakiej sprawie pracowałam. Dlaczego łączysz Piotrowskiego ze Sławkiem? – Lipner postanowiła wyciągnąć z tego spotkania jakąś korzyść i też się czegoś dowiedzieć.

– Wątróbskiego sprzątnęła mafia, nie? A Piotrowski zginął w takich okolicznościach, że zastanawiam się, czy nie mam do czynienia z czymś podobnym.

– Skoro tak twierdzisz. – Szajba nie zamierzała mówić, że jak dla niej oba morderstwa się różnią, ale nagle zmieniła zdanie. – Według mnie okoliczności są inne. Sławka zastrzelił namówiony do tego wyrostek w czasie pościgu – Sara bardzo uważała na to, co mówi, żeby nie powiedzieć więcej, niż wyszło w oficjalnym śledztwie – a Maksa zabito wforcie. Inny modus operandi.

– Nie jestem taki pewny. Czego on tam szukał?

– Tego ci nie powiem, ale ktoś pewnie wie. To wszystko, co chciałeś? Mam robotę.

– Taka tam robota! – Barlicki wyduł usta lekceważąco. – Wszystko, ale może będziemy musieli jeszcze pogadać. Ty go znalazłaś i... – zrobił efektowną pauzę – znałaś Wątróbskiego. To tak w kontekście mafii.

– Zналиśmy się i bez kontekstu – warknęła Szajba i dodała słodko: – Nie, nie odprowadzaj mnie do drzwi, pewnie jeszcze boli cię noga po chodzeniu po szkle, fakirze.

Barlicki już nabierał powietrza, żeby odpowiedzieć, ale Szajba pokazała mu środkowy palec i od razu wyszła.

Wróciła do siebie wściekła. Na Barlickiego, bo ewidentnie z nią pogrywał, i na Piotrowskiego, bo dał się zamordować. Najchętniej poszłaby teraz na siłownię albo pobiegać, tak jak przez ostatnie kilka miesięcy, gdy musiała dać ujście emocjom, kiedy ją nosiło. Na to jednak przyjdzie czas po pracy, teraz miała co innego do zrobienia.

– Aleś wściekła – zauważył Roszkowski.

– Nakręciłam się, bo facet mnie zawsze wkurza. A ja nie mam czasu na potyczki słowne z tym błaznem.

– Co to jest to coś, czego nie chcesz jeszcze powiedzieć Dagmarze? – Komisarz miał na myśli rozmowę z młodym Gawrońskim.

Szajba zawahała się. Nie miała żadnych konkretów, bazowała tylko na starych zeznaniach świadków i swoich nielicznych rozmowach. Woląta nie ośmieszyć się, a to, co jej przyszło do głowy, mogło być na wskroś fałszywym tropem. Intrygowało ją jednak i postanowiła to sprawdzić, nawet jeżeli okazać się miało ślepą uliczką. Roszkowski też kiedyś usiłował wyjaśnić morderstwo Gawrońskiego, więc nie dziwiła się, że jest ciekawy. No dobrze, niech mu będzie, powie, o co chodzi.

– Nie dziwią cię te duperele, które spotykały Gawrońskiego?

– Duperele?

– Te wszystkie przypadki. A to popiół, a to niby coś przestawionego, a to jakiś zapach i tak dalej. Zwróciłyś na to uwagę?

– Zwariowałaś?

– No właśnie. A on zwrócił. Być może dlatego, że było tego dużo. Wygląda na to, że rodzina, a przez nich i my, nie wiedziała o wszystkim. Ale mam wrażenie, że to były rzeczy, które tylko dla niego coś znaczyły. Ja wiem? Przypominały o czymś? Wiązały się z czymś?

– Chcesz powiedzieć, że to tak, jak ze mną teraz? Zauważam nierówności chodnika, który do niedawna wydawał mi się w porządku. A innym nadal wydaje się równy.

– Dalekie porównanie, ale tak, o coś takiego mi chodzi. Muszę sobie zrobić zestawienie tych wszystkich nietypowych wydarzeń, może mi coś wyjdzie. I porozmawiać z kilkoma osobami, na przykład z siostrą Gawrońskiego. Która godzina? Szesnasta? Już? To może ją złapię, powinna skończyć pracę.

Roszkowski doskonale wiedział, o co chodzi. Nie wszyscy mogą rozmawiać w godzinach pracy, a tłumaczenie szefowi, że muszą odebrać, bo dzwoni policja, też może nie być dobrym rozwiązaniem. W przypadku pilnych spraw informacje od świadków są potrzebne od razu i nikt nie ma

skrupułów w odrywaniu ich od pracy czy jakichkolwiek innych czynności, ale stara sprawa to co innego.

Żaneta Palikowska mogła spotkać się o osiemnastej, więc Szajba pojechała do niej w drodze do domu. Siostra Jana Gawrońskiego mieszkała razem z mężem i córką w trzypokojowym mieszkaniu na Zaspie. Na Lipner nie czekała sama, ale z całą rodziną i od razu wyjaśniła, że skoro znali jej brata, to mogą być przydatni. Sara miała taką samą nadzieję.

– Rozmawiałam już z kilkoma osobami o pani bracie – wyjaśniła po niezbędnym w takich sytuacjach wstępie – i uderzyło mnie to, że jego była żona uważa, że miał problemy psychiczne, ale syn nie jest już tego taki pewien.

– Jestem niestety skłonna zgodzić się z Teresą – powiedziała Palikowska. – Zresztą mówiłam już o tym.

– Tak, wiem. Ale z czasem zyskuje się dystans do wydarzeń i niekiedy ocena ulega zmianie.

– A ja tak nie uważam – odezwał się Palikowski. – Janek nigdy nie robił na mnie wrażenia niezrównoważonego. Zdenerwowanego, nawet zdezorientowanego to tak. Ale nie wariata.

– A co pan myśli o tej obsesji związanej z tym, że coś niewyjaśnionego dzieje się w jego otoczeniu?

– Może się i działo. – Mężczyzna wzruszył ramionami. – Sęk w tym, że Jasiek nie miał jak tego udowodnić. To wszystko było takie... ulotne. Mogło się zdarzyć albo i nie. Ja uważam, że coś było na rzeczy.

– Proszę powiedzieć mi o wszystkich wydarzeniach, o których pamiętacie, a które go niepokoiły – poprosiła Szajba.

Rodzina Palikowskich wymieniła takie, o których Lipner już wcześniej wiedziała. Według nich pierwsze niepokojące sytuacje miały miejsce mniej więcej pięć lat przed śmiercią Gawrońskiego, a to znaczyło, że wiedzieli mniej niż jego syn. To zresztą było zrozumiałe, domownicy zauważają więcej niż dalsza rodzina.

Ze skryształizowanym planem na najbliższy czas Szajba podziękowała za rozmowę. Na siłownię zdążyła w ostatniej chwili i wreszcie mogła

wyładować złość na Barlickiego.

We wtorek rano Szajbę od pracy oderwały dziwne dźwięki dochodzące z korytarza. Wstała, po cichu podeszła do drzwi, chwilę nasłuchiwała, a potem otworzyła je szeroko.

– Rany boskie, kobieto, nie strasz mnie! Prawie kawę rozlałem!

– Zastanawiałam się, co to za dźwięki.

– To tylko ja szurający moimi kulasami po podłodze – wyjaśnił Roszkowski. – Z wózka słabo się sięga.

– Mogłeś powiedzieć...

– Po pierwsze nie jestem sparaliżowany od nosa do stóp, a po drugie nie wiedziałem, że już jesteś.

– A jak... – Szajba się zająknęła – jak przewieziesz kawę? Nie wyleje ci się? Sorry, że pytam, ale ja mam problem z doniesieniem pełnego kubka, a co dopiero, gdybym miała go przetransportować, siedząc na wózku.

– A termos od czego? – Roszkowski nalał kawę do termosu, zakręcił go, usiadł na wózku, położył go sobie na kolanach i dołożył kubek. – Sprawa załatwiona.

– A ja sobie wyobrażałam, że jakimś dziwnym sposobem wiesz pełny kubek na kolanach i nie rozlewasz kawy! – roześmiała się Sara.

– Najprostsze rozwiązania bywają niekiedy najlepsze – zauważył komisarz.

– Racja. Właśnie mam zamiar to wykorzystać.

– Moją kawę? Nie oddam! – Roszkowski podjechał do swojego biurka i przesiadł się na fotel.

– To nie oddawaj, tym bardziej że mam swoją. Po prostu chcę tę odkrywczą myśl zastosować w przypadku tych, powiedzmy, zwidów Gawrońskiego.

Mając już pewne pojęcie o tym, co budziło niepokój zamordowanego mężczyzny, Szajba postanowiła zrobić zestawienie motywów, które przewijały się przez śledztwo, a potem dokładnie się im przyjrzeć. Miała nadzieję, że dla niektórych znajdzie logiczne wytłumaczenie i je wykluczy.

Nad tymi, które zostaną, popracuje. Wypisała wszystko, co pojawiała w aktach, a potem dołożyła do tego to, co usłyszała. Było tego całkiem sporo: rozsypany popiół papierosa, dezodorant, przestawiane przedmioty, zamykanie się na noc w sypialni, porządne żaluzje w oknach, pożar na poddaszu, brak gaśnicy, jakaś tajemnicza postać, która przez kilka dni patrzyła z ogrodu w okna sypialni Gawrońskiego, wreszcie popiół z pieca przed furtką. Wklepała te pozycje do komputera i zamyśliła się. Wyglądało na to, że mimo iż zamordowanego niepokoiły najrozmaitsze rzeczy, to wszystkie były w jakiś sposób związane z domem. Nikt nie wspominał, żeby Gawroński mówił o czymkolwiek podejrzanym, co wydarzyłoby się w pracy lub gdzieś na mieście.

Przestawianie przedmiotów można spróbować wytłumaczyć sprzątaniami, tym bardziej że syn ofiary wspominał, iż matka niekiedy tak robiła. Popiół, zarówno ten z papierosa, jak i z pieca, mógł zostać rozsypany przez kogoś nieznanego, pytanie tylko po co. Jeżeli Gawroński zauważył ten pierwszy, to najprawdopodobniej było go więcej, niż powstaje przy strząsaniu z palonego papierosa. To więc było niewyjaśnione. Podobnie jak zdenerwowanie wywołane podrzuconym na posesję dezodorantem czy z powodu zniknięcia gaśnicy samochodowej. Z kolei żaluzje i zamykanie się w pokoju było następstwem nasilającego się lęku. Gawroński bał się i starał się zapewnić sobie bezpieczeństwo. Co zostaje? Pożar. Tu już na dwoje babka wróżyła. Zdarzają się pożary, których przyczyną jest stara instalacja, ale z kolei Szymon Gawroński twierdził, że ojciec jako elektryk nie dopuściłby do tego, żeby w jego własnym domu była zagrożeniem. Był jednak wtedy dzieckiem, więc nie ma pewności, że rzeczywiście miał rację. Ostatnia pozycja na liście Szajby dotyczyła obserwacji domu.

– Zorientowałbyś się, gdyby ktoś obserwował twój dom?

– Ty tak serio? – zaskoczony Roszkowski oderwał się od komputera. – Ja w bloku mieszkam. Więc jakbym się nie spodziewał, to w życiu. Za dużo ludzi.

– A gdybyś mieszkał w domu jednorodzinnym?

- A wiesz, że chyba podobnie? Pewnie szybciej bym zauważył, bo mniej ludzi się kręci, ale jeżeli nie byłbym nastawiony na taką możliwość, to nie zwracałbym uwagi. Ktoś przechodzi koło mojego domu? Proszę bardzo, niech spaceruje. Rozumiem, że w kontekście Gawrońskiego pytasz?

- Jasne.

- Tam jeszcze jest coś o kimś na posesji, w ogrodzie - przypomniał sobie Roszkowski. - I przypuszczam, że takiego delikwenta od razu bym zobaczył.

- A rodzina Gawrońskiego nie widziała...

- Może nikogo nie było?

- Dochodzę do wniosku, że to nasz nieboszczyk miał rację. Gadałam z ludźmi, których wynajął do obserwacji własnego domu. Oni są prawie pewni, że ktoś się tam kręcił.

- Na ulicy?

- Tak, w ogrodzie nie zauważyli, ale dopuszczają taką możliwość.

Szajba streściła Roszkowskiemu rozmowę z dwójką detektywów amatorów i wróciła do pracy. Wyobraziła sobie, że stoi w oknie domu Gawrońskich i patrzy, jak ktoś się czai w ogrodzie. Ciemna, bliżej nieokreślona sylwetka, niekiedy trochę poruszająca się, bo kto by dał radę tkwić dłuższy czas w bezruchu.

- O kurwa!

- Weź uprzedzaj albo co, bo się resztką kawy o mało nie udusiłem!

- Sorry! Niech to cholera, wiem, dlaczego mu nie wierzyli w te obserwacje. Ciemno, kiwająca się sylwetka.

- No i?

- Człowiek albo... krzak. Jak będziesz się spodziewał człowieka, to go zauważysz, a jeżeli nie, to pomyślisz, że jest duży wiatr, trzeba przyciąć krzaki albo coś w tym stylu. Kapujesz?

- Rodzina Gawrońskiego nie chciała mu wierzyć?

- Tak. Bo uważali, że jest chory psychicznie.

– Możesz mieć rację. Zaraz, przypomniało mi się jeszcze jedno i tego nie ma w aktach.

– Czemu?

– Bo wydawało mi się za bardzo wydumane. I nie miałem konkretów. Żona i syn twierdzili, że nasilenie tej, powiedzmy, manii prześladowczej Gawrońskiego zawsze miało miejsce w zimie. Dziwne. Rób z tym, co chcesz, powiedziałem ci na wszelki wypadek.

Po tym stwierdzeniu Roszkowski wymownie spojrzął na swój pusty kubek. Szajba roześmiała się zadowolona. To był sygnał, że Adam uznał, iż drobna koleżeńska pomoc nie jest podkreślanie jego niepełnosprawności.

Wróciła z pełnymi kubkami, bez słowa postawiła je na biurkach i zabrała się za pracę. Jeżeli coś występuje cyklicznie, to nie bez przyczyny. Dlaczego prześladowanie Gawrońskiego miałyby się nasilać właśnie w zimie? Szajbie nasunęły się dwa oczywiste powody. Po pierwsze szybko robi się ciemno, a po drugie właśnie wtedy przypada rocznica czegoś. Pytanie tylko czego.

Około czternastej od pracy oderwał Sarę telefon. Dzwonił młody Gawroński.

– Wie pani, myślałem, że to ściema z tym przypominaniem sobie czegoś po latach, ale jednak coś mi przyszło do głowy. To chyba przez to, że siedzę na zwolnieniu i mam dużo czasu. Zacząłem rozmyślać o ojcu, o tym, jaki był, jak go wkurzały te wszystkie rzeczy, których myśmy nie zauważali albo bagatelizowali. – Mężczyzna najwyraźniej uznał, że musi wszystko dokładnie wytłumaczyć. – I wie pani, przypomniałem sobie, jak mnie kiedyś ojciec, a potem matka ochrzaniłi.

– Za co?

– No za nic. To znaczy nie ja to zrobiłem. Już, już, zaraz powiem, o co chodzi.

Według młodego Gawrońskiego jedną z pierwszych niepokojących ojca rzeczy były rysunki na samochodzie. Musiała być to sprawka jakiegoś dzieciaka, bo dorosły narysowałby w kurzu coś innego. Albo w ogóle nie

potraktował zabrudzonego samochodu jak kartki papieru. A dzieciak na drzwiach kierowcy nagryzmolił dwa ludziki.

– Może to jakieś symbole? – zasugerowała Szajba.

– Nie. To znaczy ja ich z niczym nie kojarzę, rodzice chyba też nie, bo pewnie coś by powiedzieli.

– Jak wyglądały te ludziki? Pamięta pan?

– Chłopiec i dziewczynka trzymający się za ręce. Takie typowe dziecięce rysunki.

– A dokładniej?

– Takie nieforemne postacie, dziewczynka w sukience typu trójkąt zaczynający się przy szyi, a chłopiec prawie cały składający się ze spodni.

– I mówi pan, że to zdenerwowało ojca? – Lipner spytała pro forma, bo związek dziecięcych rysunków ze sprawą był co najmniej wątpliwy.

– I to jak! Rzadko widziałem go tak wkurzonego. Najpierw wydierał się na mnie sam, potem włączyła się mama, ale na zasadzie, żebym tak nie robił, bo to ojca denerwuje. A przecież to taka głupota była, wystarczyło zetrzeć te postacie i po sprawie.

– Czy to miało jakieś dalsze reperkusje?

– A jak! – zapalił się do tematu młody Gawroński. – Inaczej pewnie bym tego tak nie pamiętał. Te bazgroły pojawiły się jeszcze parę razy. To znaczy ja wiem o kilku razach, mogły się pojawiać i wtedy, jak już się z matką wyprowadziliśmy. I za każdym razem ojciec był wściekły... – W tym momencie Gawroński zawahał się, a Szajba poczuła się zaintrygowana.

– Tak? Niech pan śmiało mówi, wrażenia też bywają istotne.

– Ojciec najpierw był wkurzony, a potem przestraszony. Może zalał komuś za skórę i ktoś tak się odgrywał? Nie mam pojęcia. – Prawie było widać, jak Szymon Gawroński wzrusza ramionami.

Po tej rozmowie Szajba nie poczuła się ani trochę mądrzejsza. Ludziki? Dziecięce rysunki? Dlaczego miałyby kogokolwiek wkurzać? Tym bardziej że zostały narysowane w kurzu na samochodzie, a nie wydrapane w lakierze. Nie było szkody. A dzieciaki nieraz bawią się w ten sposób.

Kierując się opisem Gawrońskiego juniora, Sara narysowała na czystej kartce dwie postacie, chłopca i dziewczynki, a potem pokazała swoje dzieło Roszkowskiemu.

– Do Matejki ci daleko, już prędzej podchodzi to pod Picassa. O co chodzi z tymi ludzikami?

– Gawroński dzwonił, podobno jego ojca wkurwiały takie rysunki na samochodzie.

– Nikt nie wspomniał o czymś takim. – Komisarz uważnie przyjrzał się głowonogom. – Na pewno bym zapamiętał.

– Może to nie ma związku. – Szajba wzruszyła ramionami i wróciła do siebie.

Reakcja zamordowanego mężczyzny – o ile istotnie była taka, jak ją przedstawił jego syn – była zupełnie nieadekwatna do dziecięcej zabawy. Może dlatego, że za rysunkami kryło się coś więcej? Albo po prostu jakiś dzieciak trafił w skojarzenia Gawrońskiego? Mogło być też i tak, że po prostu zdarzyło się to w momencie, gdy mężczyzna był już zdenerwowany, i stąd taki wybuch gniewu. Sarze nagle coś przyszło do głowy i chwyciła za telefon.

– Mówił pan, że te rysunki powstawały w kurzu – od razu przeszła do sedna – czyli ktoś je robił w lecie?

– Nie, w zimie. Pamiętam dobrze, bo ojciec od razu pojechał do myjni, a matka na drugi dzień nie mogła otworzyć drzwi do samochodu, bo przymarzły. Wtedy był niezły mróz – wyjaśnił Szymon Gawroński.

A jednak! Trudno podejrzewać, że moment pojawienia się ludzików na samochodzie był przypadkowy, skoro wszystko to, co denerwowało Jana Gawrońskiego, odbywało się w zimie. Szajba dopisała dziecięce rysunki do swojej listy i zamyśliła się, szukając odpowiedzi na nurtujące ją pytania. Próbę zrozumienia, dlaczego ktoś miałby w tak dziwaczny sposób nękać mężczyznę, przerwał jej wybuch śmiechu. Zaskoczona oderwała wzrok od okna, w które wpatrywała się od jakiegoś czasu.

– Często tak odpływasz? – spytała Ostróżka.

– Zdarza się – mruknęła Sara. – Coś się stało?

– Są wstępne ustalenia w sprawie Piotrowskiego.

– Barlicki zadzwonił? Pewnie coś chce i szykuje sobie grunt.

– Nie, ominęłam tego dupka, pogadałam wyżej. – Wszyscy wiedzieli z kim, Ostróżka miała niezłe wtyki. – Przywieźli go tam i wykończyli. Fachowo pobili gdzieś indziej, czort wie gdzie, bo na ciuchach nie ma niczego nietypowego.

– Płachta – rzuciła krótko Szajba.

– Też są tego zdania. Skutecznie zapobiegła kontaminacji, a potem ją zabrali – przyznała Ostróżka.

– Czyli nie przypadkowy napad, tylko celowe działanie. Musiał się w coś wplątać i komuś podpaść – wyrokował Roszkowski.

– Ale i tak mało kto pokusi się o zabicie policjanta.

– Chciałam przypomnieć, że my się zajmujemy starymi sprawami – Ostróżka ostudziła śledczy zapal podwładnych.

– Tak tylko snujemy przypuszczenia – mruknęła Szajba. – Cholera, niechby kto inny to prowadził, a nie ten palant!

– Jak stary uzna, że to przerasta Barlickiego, na pewno go zmieni. A o tym, że byłaś na miejscu znalezienia Piotrowskiego i się wtrącałaś, stary już wie.

– Tego gnoja to się profilaktycznie powinno do drogówki przenieść. W co ja się tam niby miałam wtrącać?

– Ja cię tylko uprzedzam, facet cię nie lubi i kombinuje, jak by ci życie uprzykrzyć – ostrzegła Ostróżka i wyszła.

– Naraziłaś mu się – zauważył Roszkowski, mając na myśli Barlickiego.

– Jemu podpada każdy, kto się z nim nie zgadza. A mnie nie trawi tak, że już wszyscy mi o tym mówią. – Szajba wzruszyła ramionami i wróciła do pracy.

Czuła niedosyt. Z aktami zdążyła się dobrze zapoznać, pogadała z kilkoma osobami, powinna sobie wyrobić zdanie na temat mordercy, a tu nic. Nikt z prowadzących wcześniej śledztwo nie miał pomysłu dotyczącego motywu i sprawy. Wszyscy, tak jak teraz Szajba, skupiali się na ofierze, bo tylko to było im dostępne. Czy na pewno?

Lipner czuła, jak fotel gryzie ją w tyłek – kilka godzin siedzenia dawało o sobie znać, ale głupio jej było spacerować po niewielkim pokoju. Wytrzymała jeszcze pięć minut i energicznie podniosła się zza biurka.

– Chcesz coś? – spytała Roszkowskiego. – Idę się przewietrzyć.

– Nie, zaraz będę się zbierał na rehabilitację.

Gdy wróciła po półgodzinie, w pokoju nie było już nikogo. Otworzyła okno, wpuściła trochę świeżego powietrza i rozpoczęła wędrowkę od ściany do ściany. Długie siedzenie w jednym miejscu zawsze ją drażniło, nawet jeśli było to jej własne biurko. Żeby jednak ruszyć dalej, musiała najpierw dokładnie wszystko przeanalizować i znaleźć coś, co pominęli poprzednicy. A to nie było takie proste, bo dochodzenie trafiało już w ręce kilku osób. Posprawdzano – wydawałoby się – wszystko, łącznie z tym, czy za morderstwem, a wcześniej doprowadzeniem męża do skraju wytrzymałości nerwowej nie stoi jego była żona. To zostało wykluczone. W polu widzenia policjantów nie pojawił się praktycznie żaden potencjalny morderca. A właśnie, dziwne było też samo morderstwo. Sprawca nie pozostawił nic przypadkowi: atak miał miejsce w środku nocy, ofiara została najpierw ogłuszona, a potem pobita, nie było świadków. Gawrońskiego nie okradziono, więc albo napastnik został spłoszony, albo chciał dać wycisk lub zabić. Poza tym ulica pod domem to nie najlepsze miejsce na atak, a przeniesienie zwłok na ulicę wydaje się bezcelowe. Czym kierował się morderca?

Szajba wreszcie skończyła spacer dookoła pokoju i usiadła przy biurku. Wróciła do raportów techników i lekarza. Nie znalazła w nich nic, co poprzednio by jej umknęło. Zła na siebie i swoich poprzedników, postanowiła skończyć na dzisiaj. Po drodze zajrzała do analityka.

– Masz chwilę?

– Mogę mieć. Trafiłaś na coś nowego? – Wojciech Dobosz machnięciem ręki wskazał Sarze wysłużony, ale na oko wygodny fotel.

– Nie wiem. Może. Muszę jeszcze pomyśleć. Ale mam pytanie, bo jestem pewna, że zastanawiałeś się nad tym. Chodzi mi o samo morderstwo. Sprawca zostawił nam sporo tropów wykluczających się wzajemnie. Co o tym sądzisz?

- Nie wiem, czy nie powinnaś spytać o to psychologa.
- Pytam ciebie, on będzie miał inne spojrzenie.
- Za dużo tego. W ogóle dużo tych rozmaitych szczegółów. Przy żadnej innej sprawie tyłu nie było. Nie chodzi mi o ślady rozmaitego typu, ale nadmiar jednego rodzaju.
- Tych związanych z zastraszaniem.
- Właśnie. Dziwne to i nie potrafię znaleźć uzasadnienia.
- A każde kolejne wydarzenie to zwiększenie ryzyka, że ktoś zobaczy sprawcę.
- Niekoniecznie. Niektóre z tych działań były w miarę bezpieczne - ożywił się Dobosz. - Właściwie te wszystkie, które nie miały miejsca w domu. Popiół i coś tam jeszcze.
- Racja. - Szajba podniosła się z fotela. - Dziwna sprawa.
- Jakby nie była dziwna, to dawno by ją już rozwiązali. - Dobosz uśmiechnął się na pożegnanie.

Na klatce schodowej Szajbę zatrzymała sąsiadka trzymająca w ręku przesyłkę. Od razu wzbudziło to niepokój Sary, która doskonale pamiętała krwistą wątróbkę podesłaną jej przez mafię.

- Wie pani - powiedziała bez wstępów sąsiadka - byłam w paczkomacie. I po drodze spotkałam tych naszych osiedlowych pijaków.

Zamilkła na chwilę, a Lipner zastanowiła się, co też w znanych im obu pijakach może być tak interesującego, że sąsiadka postanowiła jej o tym powiedzieć.

- Oprócz tych naszych był jeden obcy. Nie pasował.

- Dlaczego?

- Ci nasi to takie pijaczki domowe. Znaczący ani bezdomni, ani jakieś wielkie moczymordy. Piją na dworze, bo im żony nie pozwalają zapraszać do domów kolegów od kieliszka.

- Tak, wiem - przytaknęłam Szajba, która nieraz zaganiała ledwo trzymające się na nogach towarzystwo do domów.

- Ale jeden był obcy i inny.

- Pewnie jakiś przyjezdny – rzuciła Sara, starając się zakończyć rozmowę. Była głodna.

- Nie pasował – nie dawała za wygraną kobieta. – Taki, wie pani, kark. Tak na takich mówi moja córka.

W głowie Szajby zadzwonił dzwonek ostrzegawczy. Nieznajomy udający pijaka, i to o takim wyglądzie, mógł nie być przypadkiem. Mafia coś długo dawała jej spokój, lepiej uważać.

Podziękowała sąsiadce, zostawiła plecak w mieszkaniu i wyszła przed blok. Wiedziała, gdzie spojrzeć, miejscowi miłośnicy procentów mieli swoje stałe miejsce spotkań. Popijali tam, gdzie nie rzucali się zbytnio w oczy, a gdy zapadał zmierzch, ledwo sięgało do nich światło z latarni. Teraz też siedzieli w ulubionym miejscu, opróżniając zapewne nie pierwsze puszki najtańszego piwa. Wśród nich wyróżniał się obcy. Młodszy, potężniejszy i mniej wyluzowany. Gdy zauważył, że Lipner mu się przygląda, od razu coś szepnął kompanom i zniknął za śmietnikiem. Szajba podeszła do dwóch znajomych pijaczków.

- Dobry wieczór, pani inspektor – przywitali się grzecznie. Zawsze tak do niej mówili.

- Mieliście gościa? – Sara przysiadła obok nich na ławce.

- A taki jeden tu przychodzi od kilku dni. – Starszy z mężczyzn wzruszył ramionami. – Dziwny. Bardziej pasuje do siłowni, niż do picia z nami pod blokiem. Ale greczny jest, piwo stawia, to co mi tam.

- Dlaczego teraz odszedł?

- Był gdzieś tam umówiony. A czemu pani władza pyta?

Szajba zawahała się. Nieznajomy kark zniknął, gdy zorientował się, że na niego patrzy, ale przecież nie powie tego niczego nieświadomym i już niezłe zamroczonym alkoholem mężczyznom.

- Bo go tu nigdy nie widziałam – zdecydowała się na częściową prawdę. – A nie pasuje do was. Za młody, przypakowany. Uważajcie z nim – poradziła i podniosła się.

- Pani inspektor będzie spokojna, wiemy, że trza uważać.

- A już szczególnie po kilku piwach - dorzuciła Sara. - Łatwo was okraść.

Pokiwali głową ze zrozumieniem, ale wiedziała, że jeżeli ktoś zaproponuje im darmowy alkohol, to mogą zapomnieć o ostrożności. Gdy wróciła do mieszkania, przez dłuższą chwilę obserwowała mężczyzn, ale nieznajomy już się nie pojawił. Być może jego obecność pod blokiem była przypadkowa, ale szósty zmysł mówił Szajbie, że jest to mało prawdopodobne. Znowu zaczynało się coś dziać.

Dziecinne rysunki na karoserii samochodu Gawrońskiego tak niepokoiły Sarę, że następnego dnia rano, zaraz po przyjeździe do pracy, zadzwoniła do byłej żony zamordowanego i spytała o nie.

- Owszem, było coś takiego - od razu przypomniała sobie kobieta. - Strasznie to wkurzało męża, a ja początkowo uważałam, że przesadza.

- A potem?

- A potem przyszło kilka listów z takimi rysunkami i stało się jasne, że to nie dziecko maże po samochodzie. Zawsze były dwie postacie, mniejsza w sukience, większa w spodniach. Para. Nie mam pojęcia, kto to przysyłał, ale Janek zawsze był potem rozdrażniony.

- I nie wspomniała pani o tym policji po śmierci męża?

- Policji? O dziecinnych rysunkach przychodzących pocztą? Pani komisarz, przecież by mnie wyśmiali! Zresztą to się działo, gdy byliśmy jeszcze małżeństwem. Nie mam pojęcia, czy potem również. Muszę już kończyć, szef na mnie czeka. - Kobieta pożegnała się i rozłączyła.

Była żona Gawrońskiego miała rację, to było coś tak mało istotnego, że prowadzący śledztwo najprawdopodobniej nie zwróciłby na to uwagi. Mało razy ludzie piszą po zakurzonych samochodach lub robią sobie kawały, niekiedy całkiem durne? Tu jednak była istna kumulacja nietypowych wydarzeń, a każdy kolejny dochodzeniowiec odkrywał coś nowego. Pierwszy nie miał szansy zauważyć, że coś może być na rzeczy, tym bardziej że większość z tych zjawisk była bardzo ulotna. Nagle do Szajby dotarło, że listy zdecydowanie takie nie są. To nie popiół, który

uleci z pierwszym podmuchem wiatru, lub pusty dezodorant, który pewnie trafił od razu do śmieci. Wielu ludzi przechowuje korespondencję, może Gawroński też? Co jednak się z nią stało po jego śmierci?

– Mam na strychu wszystkie szpargały po ojcu – odpowiedział od razu Szymon Gawroński, gdy Lipner zadzwoniła do niego. – Nic nie wywalałem, bo szkoda mi było rozstawać się z pamiątkami. To znaczy pewnie gdybym mieszkał w dwóch pokojach, to co innego, ale w domu jest dużo miejsca. A właściwie na strychu, bo wszystko po ojcu tam zaniósłem.

– Mogę to przejrzeć?

– Pewnie, może znajdzie pani tam coś, co wreszcie pozwoli dorwać mordercę. Jestem w domu, więc niech pani przyjedzie od razu, jeśli to możliwe.

Szajbie nie trzeba było powtarzać zaproszenia dwa razy. Wylogowała się, zabrała telefon i z kurtką w ręku ruszyła do drzwi.

– Wyglądasz na podekscytowaną – zauważył Roszkowski.

– Ekscytacja to za dużo powiedziane, ale może będę miała szczęście i zachowały się listy z takimi rysunkami, jak na samochodzie.

– Nie spodziewasz się po nich zbyt wiele?

– Nie mam pojęcia, czego się po nich spodziewać. – Sara wzruszyła ramionami. – Ale czort wie, może na coś trafię. Ostróżka jest?

– Powinna być. – Roszkowski ostrożnie poruszał nogami, a potem zdecydował się na kule i wstał przy ich pomocy. – Przytrzymaj mi drzwi, dobra?

– Mogę ci coś przynieść...

– Ale nie wysikasz się za mnie. A rehabilitant kazał mi chodzić jak najwięcej. Mogą być krótkie dystanse, byle kilka razy dziennie.

– Czyli akurat do łazienki.

– Właśnie.

Ostróżka na widok Sary zareagowała tak, jakby spodziewała się jej wizyty.

– Muszę przyznać, że intryguje mnie to, co chciałaś przemyśleć, zanim mi powiesz.

– Cholera, muszę teraz? Umówiona jestem.

– W skrócie.

– Chodzi o te wszystkie dziwne wydarzenia, które spotykały Gawrońskiego. Według mnie tak było naprawdę, facet nie miał zwidów ani manii prześladowczej, po prostu to, co go niepokoiło, tylko dla niego miało jakieś znaczenie.

– Rozumiem.

– Wczoraj doszło jeszcze coś.

Szajba opowiedziała o postaciach rysowanych w kurzu na samochodzie i listach z takimi samymi obrazkami.

– A teraz jadę spróbować je odnaleźć, może nieboszczyk zachowywał korespondencję.

– Szczególnie taką, która go niepokoiła.

– Jakby cię nękał ten kretyń, to mu powiedz, że odzwonię, jak wrócę. Dzisiaj. Mogę nie mieć jak rozmawiać o Piotrowskim, ale Barlicki nie łapie takich subtelności.

Szymon Gawroński czekał na nią chyba przy oknie, bo drzwi otworzył, gdy tylko weszła na posesję.

– Dzień dobry! Muszę przyznać, że mnie pani zaintrygowała. Policja grzebała w rzeczach ojca...

– Tak, wiem.

– ...ale nie znaleźli nic, co by było przydatne. A w każdym razie tak powiedzieli. Proszę, proszę, tu może pani powiesić kurtkę. I niech pani nie zdejmuje butów, na strychu jest pełno kurzu. Zrobić pani coś do picia?

Gawroński junior miał słowotok. Albo był podekscytowany tym, że może sprawa morderstwa jego ojca wreszcie ruszy z miejsca, albo tak mu się nudziło w domu ze złamaną ręką, albo po prostu taki był. Dosyć nieporadnie zrobił kawę – ta złamana ręka rzeczywiście bardzo mu przeszkadzała – i zaprowadził Szajbę na strych. Ostatnie schody były

wąskie i bardzo strome – ewidentnie nie chodziło o wygodę, a o to, żeby zajmowały jak najmniej miejsca.

– Kiedyś była taka kłapa i wysuwana drabina – wyjaśnił Gawroński. – Ale ojciec przerobił, tak jest wygodniej. Proszę bardzo, gdzieś tu powinny być listy ojca.

Przez moment Sara myślała, że facet z niej kpi. Na poddaszu był istny składzik ze wszystkim tym, co się kilku pokoleniom Gawrońskich wydawało warte przechowania. Stare, pozbawione drzwi szafy wypełnione były jakimiś ciuchami, gazetami i słoikami. Pod skosami stały pudła, mniej więcej na środku stary stół, a obok niego zdezelowane krzesła. Z kąta smętnym wzrokiem patrzył na nich konik na biegunach.

– Poważnie? Gdzieś tu?

– A nie, przepraszam. Wiem, gdzie mniej więcej. – Gawroński podszedł pod okno i wskazał na porozstawiane w pobliżu pudła i pudełka. – Wszystko popakowałem i postawiłem w jednym miejscu. Jeżeli coś jest, to tu. Pomóc pani?

Na myśl, że – skądinąd sympatyczny – syn zamordowanego będzie cały czas patrzył jej na ręce i non stop gadał, Szajba wzdrygnęła się wewnętrznie.

– Nie, dziękuję. Powinien pan uważać na rękę, tym bardziej że wspomniał pan o jakiejś czekającej na pana robocie.

– No tak. Ale jeszcze nie daję rady pracować przy komputerze.

– To tym bardziej nie może pan ryzykować – powiedziała szybko Sara. – Dam panu znać, gdybym czegoś potrzebowała.

Tak odprawiony Gawroński zszedł na dół, a Sara odetchnęła z ulgą. Mogła zacząć poszukiwania. Zaczęła od otworzenia wszystkich pudeł, licząc na to, że może od razu będzie widać, co gdzie jest. Niestety młody Gawroński najwyraźniej wrzucał wszystko, jak leci, a potem dopakowywał rzeczami, które jeszcze dały radę zmieścić się w pudłach. Czekало ją przeglądanie wszystkiego. Westchnęła, napiła się kawy i zabrała do roboty.

Na interesującą ją korespondencję trafiła po dwóch godzinach przeglądania zawartości pudeł. Leżała na dnie, pod starym garniturem

i kolekcją „Żółtych Tygrysów”, dosyć mocno wyczytanych. Listów nie było dużo, raptem siedem. Koperty nie miały znaczków, ale adresatem był Jan Gawroński. To nie zdziwiło Szajby, na płocie wisiała skrzynka, każdy mógł tam wrzucić list, nie musiał korzystać z pośrednictwa poczty. Ciekawiło ją coś innego: czy to były wszystkie listy z rysunkami, które przyszły, czy też Gawroński zostawił tylko niektóre? Gdyby były stemple pocztowe, można by się pokusić o jakieś wnioski, ale bez dat nie było szansy na ustalenie tego. Szajba wyjmowała je po kolei i przyglądała się rysunkom. Zawsze były to dwie postacie, zawsze mniejsza w sukience czy spódnicy, większa w spodniach. Przeważnie trzymały się za ręce, ale w dwóch przypadkach ta mniejsza leżała. I właśnie to te rysunki przykuły uwagę Szajby. Dziewczynka, czy też kobieta, zamiast oczu miała krzyżyki. A to oznaczało, że była martwa.

– O kurwa!

Lipner wróciła do rysunków ze stojącymi postaciami. Na tych rysunkach mniejsza postać również nie miała normalnie narysowanych oczu. Zamiast tego ktoś nakreślił dwie przecinające się linie. Oczy drugiej postaci były normalne. Do Szajby z całą mocą właśnie dotarło to, co podejrzewała, szczególnie od chwili, gdy usłyszała o listach. Postacie nie były tworem dziecka, a kogoś dorosłego, kto je naśladował. Gdyby miała jeszcze jakieś wątpliwości, to charakter pisma na kopertach i krzyżyki zamiast oczu wykluczały dziecko. O co tu chodziło? I dlaczego Gawroński był tak poruszony tymi rysunkami?

Sara pobieżnie przejrzała do końca zawartość pudeł, ale nie znalazła już nic istotnego. Jedyne, ale jakże intrygujące i być może wnoszące coś nowego do śledztwa, znaleziskiem były rysunki. Zeszła na dół z kopertami w dłoni.

– Widzę, że znalazła je pani. – Szymon Gawroński wyszedł z pokoju, gdy usłyszał Lipner schodzącą po schodach.

– Tak. Chciałabym je zabrać, mogę?

– Proszę bardzo. Nie są mi do niczego potrzebne.

– Mam jeszcze jedną prośbę. Niech mi pan pokaże pokój, który był sypialnią pana ojca, chciałabym zobaczyć, co widział przez okno.

Młody Gawroński zaprowadził Szajbę do pokoju, który wyglądał chyba tak, jak w dniu morderstwa. Zaskoczona rozglądała się dookoła, szukając czegoś, co rozwiałoby to podejrzenie. Zazwyczaj to rodzice, którzy stracili dziecko, zostawiają jego pokój w takim stanie, jakby wyszło tylko na moment.

– To nie jest izba pamięci – wyjaśnił Szymon Gawroński. – Po prostu mieszkam sam w dużym domu, nie potrzebuję tego pokoju, tylko zabrałem rzeczy ojca do pudeł.

Szajba podeszła do okna i wyjrzała na ogród. Z wysokości pierwszego piętra doskonale było widać całą posesję.

– Dużo się zmieniło w ogrodzie od śmierci pana ojca?

– Prawie nic, tylko przyszytyłem trochę krzaki i drzewa. Zastanawia się pani, czy ktoś mógł stamtąd obserwować dom?

– Owszem.

– Mógł. A kiedyś była dziura w ogrodzeniu, tam za drzewem. – Gawroński pokazał róg posesji. – Dobrze się tamtędy wychodziło do ogrodu sąsiadów, a stamtąd na taką boczną ścieżkę. Można było nieźle skrócić drogę. Razem z kumplami często tamtędy chodziliśmy. Ale potem ojciec zlikwidował to przejście.

Gadulstwo mężczyzny miało swoje dobre strony. Rozwlekkle odpowiadając na pytania Sary, od czasu do czasu mówił coś dodatkowego. Tak jak teraz. Przez jakiś czas przejściem wykorzystywanym przez okoliczne dzieciaki do ogrodu mógł wejść i późniejszy morderca.

Zanim wyszła, nieproszony o to syn ofiary oprowadził ją po domu i objaśnił, co uległo zmianie po śmierci ojca.

Szajba właśnie ruszała ze świateł na Grunwaldzkiej, gdy ktoś z impetem wjechał w tył jej samochodu. Sara uderzyła głową w zagłówek, potem poleciała do przodu. Dobrze, że zadziałały pasy. Oszołomiona, przez chwilę siedziała bez ruchu, potem sprawdziła, czy nic jej się nie stało, rozpięła pasy i wydostała się z samochodu. Sprawca wypadku zdążył uciec, dobrze, że miała to nagrane na kamerze. I cud, że stała na

światłach jako pierwsza, nie przywalała w inny samochód. Gapie już się gromadzili.

– To był jakiś pirat! – powiedział podekscytowany mężczyzna, który wysiadł z samochodu stojącego za nią. – Ledwo wyhamowałem. Przywalał w panią i zwał, kawał skurwiela! Cud, że nie zderzył się z tymi jadącymi z naprzeciwka.

– Moment – przystopowała go Szajba. – Niech pan zaczeka, wezwę policję.

Po chwili wrócili do rozmowy.

– Ma pan kamerę?

– Pewnie! I nagrałem tego gnoja!

– Niech pan poczeka na policję.

– Akurat będą go szukać! Szkoda czasu, tak tylko pani powiedziałem.

– Komisarz Sara Lipner. – Szajba pokazała odznakę, a na ten widok kilka osób uznało, że nie musi przyglądać się stłuczce, lepiej nie być świadkiem.

– O cholera!

– Bez przesady, nie zjem pana. A piratów drogowych nie znoszę. Też go nagrałem, może coś się uda z obu nagrań wyciągnąć.

Mężczyzna pogodził się z tym, że musi poczekać na drogówkę, i zjechał samochodem na pobocze. Sara czekała przy swoim aucie. Ucieczka z miejsca wypadku, zamazane numery. Szajba miała jednoznaczne skojarzenie. Mafia. Nie zauważyła, żeby ktoś za nią jeździł, ale to o niczym nie świadczyło. Ale po cholere w nią walnęli? Swoimi podejrzeniami co do sprawcy wypadku postanowiła podzielić się jedynie z Piotrem. Na podstawie nagrania, niezależnie od tego, kto siedział za kierownicą, jej koledzy powinni go namierzyć. A w każdym razie samochód, bo jeżeli miała rację i za wypadkiem stała mafia, to wóz zapewne był kradziony.

Spisywanie zeznań i wszystkie związane z tym czynności, a potem odholowanie samochodu do warsztatu zajęły kilka godzin.

– Już myślałem, że cię dorwał Niewidzialny Morderca – zakpił Roszkowski, gdy w końcu pojawiła się w ich wspólnym pokoju.

– Kraknę miałam. – Szajba opowiedziała, co się stało.

– O cholera! Nic ci nie jest? – Komisarz, który na skutek wypadku wylądował na wózku, był szczerze zaniepokojony.

– Nic. Poduszka zadziałała. Mam naciągniętą szyję, to wszystko.

– Lekarz cię widział?

– Niby kiedy?

– Jedź, sprawdź, czy masz kręgosłup w porządku.

– Żartujesz? Żebym spędziła pół dnia w szpitalu?

– A wolisz resztę życia na wózku?!

Szajba nie odpowiedziała. Szkoda jej było czasu na tkwienie w szpitalu, ale Roszkowski miał właściwie rację. Coś jej mogło chrupać w kręgosłupie.

– Cholera!

– Podwiozę cię, chcesz?

– Nie będę cię wykorzystywała, poproszę kumpla, żeby po mnie przyjechał. Ale najpierw muszę pogadać z Barlickim, bo się dobijał, prawie dokładnie w momencie, gdy mnie skraksowali.

Po chwili zmieniła zdanie, najpierw zadzwoniła do Sulicha, powiedziała, co się stało, umówili się, że zaraz po nią przyjedzie, a dopiero potem zadzwoniła do Barlickiego.

– Do ciebie to się chyba na audiencję trzeba umawiać – powiedział z przekąsem.

– Zajęta byłam – stwierdziła krótko Szajba.

– Czym?

– A co cię to, kurwa, obchodzi? – warknęła, a Roszkowski spojrzał na nią zaskoczony, a potem domyślnie skinął głową. – Masz za mało roboty? Czego chcesz?

– Niczego. To znaczy stary mi kazał... znaczy poprosił mnie – poprawił się zaraz Barlicki – żebym ci powiedział, co z Piotrowskim.

– No to gadaj.

O wszystkim, co powiedział Barlicki, Lipner już wiedziała, ale nie dała tego po sobie poznać. Lepiej było nie uświadamiać mu, że Ostróżka

trzyma rękę na pulsie.

– Dzięki – mruknęła niechętnie, a komisarz rozłączył się natychmiast, jakby go telefon parzył.

Sulich przyjechał po półgodzinie. Zamienił parę słów z Roszkowskim, którego już kiedyś gdzieś spotkał, a potem troskliwie sprowadził Szajbę do samochodu.

– Nic mi nie jest, mogę chodzić – mruknęła lekko rozśmieszona nadmiarem troski.

– Adam ma rację, dopóki ci zdjęcia kręgosłupa nie zrobią, lepiej uważać.

Do domu Sary dotarli około dziewiętnastej, co było prawie rekordem, jeżeli chodzi o najkrótszy czas spędzony na SOR-ze. Na szczęście nic jej nie dolegało, miała tylko kilka siniaków. Udało im się omówić wypadek i wnioski z niego płynące, nie wzbudzając ciekawości innych pacjentów, co graniczyło z cudem, bo tłok na SOR-ze panował spory. Sulich zgodził się z Szajbą, że najprawdopodobniej stoi za tym mafia.

– Jakoś mało pomysłów są – mruknęła Lipner, wchodząc po schodach. – Już raz mnie skraksowali przecież.

– Wolałabyś, żeby do ciebie strzelali?

– Wolałabym, żeby się odpierdolili, i tak mam co robić.

Zamówili pizzę na spóźniony obiad, bo coś dobrego należało im się za te godziny spędzone w szpitalu.

– No jestem udupiona – stwierdziła Szajba między dwoma kęsami.

– Udupiony to jest twój samochód, nie ty – sprostował Sulich.

– Kupię motor. Będzie jak znalazł.

– Dawno nie jeździłaś.

– No to co? Myślisz, że to się zapomina? Chodź, poszukamy, czy jest coś odpowiedniego. Nie lubię być zależna od komunikacji miejskiej.

– Ująłbym to inaczej: trudno by ci było kogoś śledzić lub jechać w podejrzanym miejscu taksówką. A nie wszędzie da się tramwajem. Dobrze wiem, o co ci chodzi.

– No proszę, jak mnie świetnie znasz. Co się będę ludziom tłumaczyła?

– Chciałem ci tylko przypomnieć, że razem z odznaką i glockiem odzyskałaś też oficjalne wsparcie kolegów po fachu. Zawsze możesz pojechać służbowym samochodem.

– A mamy wypożyczalnię? Całodobową? Bo niby skąd mam wiedzieć, kiedy mi będzie samochód potrzebny? Nie marudź! Szukamy motoru!

– A kasę masz?

– Zależy na jaki, ale coś tam mam uciulane.

Po dwóch godzinach i kilku rozmowach Szajba zarezerwowała yamaheę virago 525 i umówiła się na obejrzenie jej następnego dnia koło osiemnastej. Dwanaście tysięcy nie było najniższą ceną za taki motor, ale ten był w Gdańsku, a poza tym miał kufry i sakwy. Czarne, jak i cała wirażka.

– Jestem ciekaw, gdzie go będziesz trzymała.

– Mam już pomysł. Tu niedaleko są garaże. Sąsiadka z klatki obok ma, ale po śmierci jej męża garaż stoi pusty. Nie chce sprzedać, bo ma nadzieję, że zrobi prawko, ale pewnie chętnie wynajmie, zawsze to parę złotych wpadnie jej do portfela.

– Pojadę jutro z tobą.

– Niech ci będzie, ale ja niańki nie potrzebuję.

– Ale samochodu nie masz, a to jest na obrzeżach miasta.

To był argument nie do podważenia, poza tym Piotr lepiej znał się na wszystkim, co jeździ, i nie zaszkodzi, jak rzuci okiem na nowy pojazd Szajby.

– A co z Piotrowskim? – spytał Sulich, zbierając się do wyjścia, chociaż najchętniej zostałyby do rana.

– Ostróżka trzyma rękę na pulsie, bo nie lubi, jak ktoś się rządzi na jej podwórku, a znajomości ma dobre – Sara nie kryła satysfakcji.

– Rozumiem, że masz na myśli starego i Barlickiego?

– Owszem. I dzięki temu nie muszę liczyć na to, że ten kretyn coś mi powie albo dowiadywać się zakulisowo. Maksa zabito gdzieś indziej, a potem podrzucono zwłoki na Biskupią Górkę. Przydatnych śladów brak.

- Mam nadzieję, że Barlicki dorwie mordercę.
- Ja też. A jak nie on, to ten, kto go zastąpi.

Rozdział ósmy

Następnego dnia Szajba do pracy jechała wyjątkowo późno, bo koło dziewiątej. Uprzedziła Ostróżkę, że się spóźni, i rano załatwiła sprawę garażu. Jeżeli wszystko pójdzie dobrze, to już dzisiaj wstawi tam swoją wirażkę. Gdy przesiadała się z autobusu na tramwaj, prawie wpadła na szwagra, który szedł gdzieś w towarzystwie dwóch mężczyzn.

– Cześć! – powiedziała odruchowo, zanim pomyślała. Mogła przecież udać, że go nie widzi.

– Co? A, to ty – przywitał się jak zwykle szarmancko Roman. – Śpieszę się.

– A się śpiesz, czy ja ci bronię? – Lipner zerknęła dyskretnie na dwóch facetów w płaszczach i garniturach.

– Mam spotkanie biznesowe, muszę iść. Nie każdy może spacerować w godzinach pracy – powiedział złośliwie Romek.

Szajba stała lekko oniemiała jeszcze chwilę po tym, jak szwagier zniknął za rogiem. Po pierwsze wyjaśnianie tego, co akurat robi, nie było w jego zwyczaju, a po drugie dokąd on tu wędrował z tymi współnikami czy kontrahentami? O tej porze w okolicy nie był czynny żaden lokal, który nadawałby się na spotkanie w eleganckim otoczeniu. Nie będą przecież jedli hot doga z Żabki i zapijali go kawą z plastikowego kubeczka.

Z zamyślenia wyrwał Sarę przyjazd tramwaju. Wyrzuciła z myśli spotkanie z Romanem, wsiadła i z zadowoleniem pomyślała, że prawdopodobnie już jutro będzie jechała motorem, a nie w tłoku w nieco zasmrodzonym tramwaju. Zaczynało się robić ciepło i przeróżne zapachy walczyły o prymat. Tego dnia zwyciężył smród papierosów, intensywny słodki zapach perfum uplasował się na drugim miejscu.

O szwagrze zapomniała prawie od razu po wejściu do pokoju, a to za sprawą Roszkowskiego. Komisarz leżał na podłodze z kurtką pod głową

i czytał jakieś dokumenty.

– Rany boskie, co ci się stało?

– Nic. Źle spałem, bolą mnie plecy, to najlepsza pozycja do pracy. Nie przejmuj się, czasami tak mam.

– Chcesz coś?

– Znaczą kawę? Nie, dzięki, w tej pozycji to chyba musiałbym pić przez rurkę. Niedługo powinno odpuścić.

– Jasne.

– Coś ty taka zadowolona? Trafiłaś na coś?

– To prywatne zadowolenie – roześmiała się Lipner. – Motor kupuję. Wieczorem finalizuję transakcję.

– Ta kraksa tak cię zmobilizowała?

– Tak.

– A właśnie, skoro cię widzę, to znaczy, że nic sobie nie uszkodziłaś?

– Tylko trochę boli mnie szyja i mam kilka niewielkich siniaków, nawet nie wiem, od czego. Ale dzięki, miałaś rację, dobrze, że sprawdziłam.

– A strój na motor masz?

– Nie, będę musiała kupić. Może jutro po południu się uda. Teraz muszę poszukać martwego dziecka w otoczeniu Gawrońskiego.

– Przerażasz mnie.

– Mniejsza postać ma krzyżyki zamiast oczu – wyjaśniła Szajba.

– Mniejsza to niekoniecznie dziecko. Najczęściej kobieta jest niższa niż mężczyzna – zauważył Roszkowski.

– Racja, uwzględnij to – zgodziła się Sara.

Mając nazwiska rodziny i znajomych oraz zakres dat, jaki ją interesował, Lipner zabrała się za ustalenie, czy w otoczeniu Gawrońskiego miały miejsce zgony dziewczynek lub kobiet. Uznała, że zacznie od sprawdzenia dziesięciu lat w tył od chwili, gdy rodzina zauważyła jego niepokojące zachowanie. Po kilku godzinach pracy z niechęcią patrzyła w monitor. W rodzinie Gawrońskich zmarły trzy kobiety, wśród znajomych dziewięć, wołałaby, aby proporcje były odwrotne. Nudzający się na zwolnieniu Szymon Gawroński na pewno

chętnie porozmawia z nią na każdy temat, dalsi znajomi niekoniecznie. Pytanie o dawno zmarłą matkę, siostrę, żonę czy córkę mogło spotkać się z różnym przyjęciem, spowodować wspomnienia, o których bliscy chcieli zapomnieć.

Szymon Gawroński odebrał telefon dopiero po dłuższej chwili.

– Przepraszam, akurat wchodziłem do domu. Udało się pani na coś trafić?

– Nie – Szajba lekko minęła się z prawdą. – Ale mam kolejne pytania.

– Czyli jednak! – ucieszył się młody Gawroński. – Poprzednio policja była mniej dociekliwa.

Sara pominęła milczeniem to stwierdzenie i spytała o spokrewnione z nim zmarłe kobiety. Mężczyzna nie krył zdumienia.

– Zaskoczyła mnie pani. Jedna to moja babcia od strony ojca, druga to ciotka mamy, a trzecia to jakaś moja starsza kuzynka. Dużo starsza, chyba z piętnaście lat.

– Proszę mi o nich opowiedzieć.

– To było kupę lat temu, więc niewiele pamiętam, najwięcej o babci.

Przez blisko pół godziny Lipner słuchała, zadawała pytania i notowała. Wszystko wskazywało na to, że za zgonami kobiet w rodzinie Gawrońskich nie kryje się żadna tajemnica. Babcia zmarła na serce – przedtem długo chorowała, ciotka matki Szymona Gawrońskiego „ze starości” i wszyscy spodziewali się tej śmierci, a kuzynka na raka. Te zgony nie spowodowały nieszasek rodzinnych, a jedynie smutek.

– Dziękuję. Mam jeszcze pytanie o znajome, bardziej pańskich rodziców niż pana, ale może coś pan sobie przypomni.

Zaintrygowany pytaniami Gawroński usilnie starał się przywołać jakieś wspomnienia, ale tylko w dwóch przypadkach mu się to udało. Jedna ze koleżanek matki została zamordowana podczas włamania, a krewna przyjaciół rodziców zmarła w wyniku powikłań po operacji. Przy informacji o morderstwie Szajba nabrała nadziei, ale ta prawie zgasła, gdy usłyszała, że sprawca został zatrzymany. Prawie, bo musiała to

zweryfikować. Zostało jej siedem kobiet, o których nic nie wiedziała. Czekały ją kolejne rozmowy.

– Kawa? – spytała Roszkowskiego, który oderwał się od pracy, gdy podniosła się zza biurka.

– Kawa.

Komisarz też wstał, sięgnął po kule i ostrożnie odsunął fotel.

– Idziesz ze mną?

– Niekoniecznie z tobą, kibelek wzywa. I trochę rozprostuję kości.

Po powrocie Szajba zweryfikowała informacje dotyczące mordercy znajomej byłej żony Jana Gawrońskiego. Mężczyzna nadal siedział i nic nie wskazywało na to, żeby w najbliższym czasie miało się to zmienić. Przepustek nie dostawał. Sprawa była jasna. Rozmowy z krewnymi pozostałych zmarłych kobiet pozwoliły Sarze również i je wykluczyć. Żadna śmierć nie była podejrzana.

– Nic? – spytał zbierający się do wyjścia Roszkowski.

– Nic. I mam wrażenie, że jednak chodzi o dziewczynkę, nie o kobietę, bo po co te obrazki byłyby stylizowane na dziecięce rysunki?

– Może i racja. Zostajesz jeszcze?

– Tak, czekam na Piotrka, a potem jedziemy oglądać wirażkę.

Sulich przyjechał po siedemnastej i ledwo zdążyli na umówioną godzinę.

– Wyluzuj, przecież facet nie sprzeda motoru, jak się spóźnisz pięć minut.

– Wiem, wiem. Ale już bym go chciała obejrzeć.

– Faceta?

– Dowcipniś. A zresztą, kto wie? Może jest na czym oko zawiesić...

Na widok otwierającego im drzwi mężczyzny Sulich ledwo stłumił śmiech. Facet mierzył może metr sześćdziesiąt, był tak chudy, że aż nasuwało to na myśl chorobę, miał rzadkie rude włosy do ramion i zwisające smętnie wąsy. Odślonięte do łokci ręce pokrywały tatuaże.

Obrazu dopełniała sprana koszulka z napisem „Slayer”, zwisające na tyłku spodnie dresowe i rozdeptane kapcie. Dobrze, że nie z pomponikiem.

– Państwo w sprawie motoru? Zapraszam do garażu.

Mężczyzna wyszedł z domu tak, jak stał, najwyraźniej zimno się go nie imać. W garażu stał samochód i motor. Wypucowany, zadbane. Szajba aż się uśmiechnęła na jego widok.

– Chce się pani przejechać? Tylko się przebiorę.

Podał Sarze kask, a sam zniknął za przepierzeniem z tyłu garażu. Gdy się pojawił, Sulich i Sara oniemieli. Nie ten człowiek! Skórzany, wypasiony strój motocyklisty zmienił go z rozmemłanego faceta w harleyowca.

– Pana też mogę przewieźć – zaproponował Piotrowi.

– Chętnie. Poczekam w samochodzie.

Stan motoru nie wzbudził zastrzeżeń ani Sary, ani Piotra i po krótkich przejażdżkach Szajba podpisała umowę kupna sprzedaży. Były już właściciel wirażki zaproponował, że odwiezie motor do garażu, w którym będzie stał, a Lipner chętnie z tego skorzystała. Chwilę po dwudziestej pierwszej samochód, którym odjechał harleyowiec z żoną, zniknął za zakrętem, a Sulich stwierdził:

– Wypadałoby opić twój nowy nabytek. Masz bezalkoholowe?

– Pytasz poważnie?

– Jestem pod telefonem, zero alko.

– Coś kupimy po drodze. I wypadałoby coś zjeść. Znowu pizza?

– Nie widzę przeciwwskazań.

Wzniesli toast za „zdrowie wirażki” i Sulich zaproponował, żeby sprawdzić, gdzie w Gdańsku Szajba może kupić odpowiednie ciuchy na motor. A przede wszystkim porządny kask. Zanim dotarł kurier z pizzą, zdążyli wszystko znaleźć.

– A jak tam twoja sprawa? – spytał Piotr, wyjadając okruszki.

– Nijak. Odkryłam coś, do czego nie dotarli moi poprzednicy, ale utknęłam. – Lipner opowiedziała o poszukiwaniach zmarłych kobiet i dzieci w otoczeniu Jana Gawrońskiego.

– Jak to sobie wyobrażasz? Ktoś się odgrywał na Gawrońskich?

– Na Gawrońskim. Jednym. Ktoś go nękał, tego jestem już pewna. Tylko pytanie dlaczego. Ani ja, ani nikt przede mną nie trafił na coś podpadającego. Gawroński nie był zamieszany w nic podejrzanego czy chociaż nieco śliskiego. Skoro jedna z postaci oznaczona jest jako martwa, to pogrzebałam w zgonach. Nic nie znalazłam. Wszystkie śmierci, aczkolwiek smutne, były albo spodziewane, albo bardzo oczywiste. Nie mam się do czego przyczepić.

– A mafia?

– Od wczoraj cisza, chociaż spodziewałam się dodatkowych ruchów po tym, jak mnie stuknęli.

– Udało się im znaleźć samochód?

– Nie. I pewnie nie znajdą, tablice były kradzione.

Sulich już otwierał usta, żeby spytać o trzecią sprawę, w którą była zamieszana Szajba, ale odezwała się jego komórka. Słuchał przez chwilę, a potem zerwał się i prawie pobiegł do drzwi.

– Masz kolejnego nieboszczyka?

– Tak, pływaka.

– Cholera. Świeżego chociaż?

– Nie. To świadek, który tydzień temu zniknął mi z horyzontu. Żulia.

Rozdział dziewiąty

O mafii, Wątróbskim i swojej w tym wszystkim roli Szajba myślała jeszcze długo po wyjściu Sulicha. W piątek rano, przy śniadaniu, postanowiła, że wieczorem – o ile uda jej się kupić ciuchy na motor – pojedzie rozejrzeć się w Baninie. Według Jakimka Wątróbski po coś tam jeździł, warto sprawdzić po co.

– Ten debil do mnie dzwonił – powitała Sarę Ostróżka, z którą spotkała się przy ekspresie do kawy.

– Do mnie nie. Dziwne, przeważnie stara się załatwić wszystko poza drogą służbową.

– Mam wrażenie, że Barlicki się boi – zawyrokowała szefowa.

– Dlaczego? Postraszyłaś go czymś?

– Nie mnie się boi – sprostowała Dagmara.

– A, jasne! Jak spieprzy sprawę morderstwa Piotrowskiego, to wyląduje w Pcimiu Dolnym. Woli działać formalnie, żeby się nikt nie przyczepił.

– I żeby mieć świadków. A czego chciał?

– Pogadać z tobą.

– Chryste, znowu? Myślałam, że coś ustalili. Przecież ja już mu wszystko powiedziałam. Jak Boga kocham, mam ochotę wymyślić trochę faktów.

– Sara... – powiedziała ostrzegawczo Ostróżka.

– Luz! Mam ochotę, ale nie wymyślę. Dobra, zaraz zadzwonię do niego, będę miała to z głowy.

Sara postarała się znaleźć w sobie zapasowe pokłady cierpliwości i z męczeńskim wyrazem na twarzy zadzwoniła do Barlickiego. Obserwujący ją spod oka Roszkowski nie krył rozbawienia.

- Czego znowu chcesz? - warknęła do słuchawki, a potem słuchała przez chwilę. - Oszalałeś? Co niby miało mi się przypomnieć? Ogarnij się! Ile można opowiadać o znalezieniu zwłok i czekaniu na ciebie? I nie, nie przypominałam sobie niczego więcej. Nie widziałam, żeby się ktoś czał w krzakach, a uwierz mi, że gdyby tam ktoś był, to byłam tak wkurwiona, że nie dałby rady nawiać. Co? No owszem, w bunkrze śmierdziało, ale dopiero na dole. Poza tym nie wiem, jak ty, ale ja nie odróżniam woni rozkładających się zwłok ludzkich od psich. I nie zgadłam, że to Piotrowski, jak doleciał do mnie trupi odór. Nie umiem rozpoznawać osoby po smrodzie rozkładu.

Roszkowski nie udawał, że nie słucha. Wręcz zachłannie czekał na każde słowo Szajby i z trudem tłumił śmiech.

- No kurwa, teraz to przegiąłeś! - warknęła ponownie Lipner. - Odwal się od mnie. Wątróbski nie żyje już od dawna i nie mam pojęcia, czy znał się dobrze z Maksem. Cholera wie, może znał, ale w ich kontakty w ostatnim czasie wątpię. Chyba że w domu Piotrowskiego znalazłeś stolik do wywoływania duchów lub ouiję. - Szajba przez moment słuchała, a potem poradziła: - Sprawdź se w internetach, co to jest, skoro nie wiesz. I nie zawracaj mi dupy, jak nie chcesz ode mnie nic konkretnego. Cześć! - wykrzesła z siebie odrobinę uprzejmości.

Siadła, bo rozmawiała, stojąc przy biurku, głęboko westchnęła i napiła się kawy. Barlicki znowu ją wkurzył.

- Fajnie się słuchało, ale weź pod uwagę, że on cię może nagrywać - ostrzegł Adam.

- Wiem i nic takiego mu nie powiedziałam. Zresztą, szczerze mówiąc, wie wszystko, bo niby co ja mogłam tam zauważyć? Albo co wiedzieć o Piotrowskim? Nie ten wiek, zero kontaktów towarzyskich, tylko trochę zawodowych.

- Dlaczego on się czepia Sławka?

- Znałeś Wątróbkę?

- Tak - stwierdził krótko Roszkowski.

Szajba zamilkła. Możliwość wykorzystania Roszkowskiego w jej prywatnym śledztwie była nad wyraz kusząca, ale to oznaczałoby, że musi

go chociaż częściowo wtajemniczyć w to, co wolałaby ukryć przed światem. Wątróbka nie żyje i na pewno już nikomu nie zaszkodzi, po co więc mówić komukolwiek o jego współpracy z mafią? Milczenie przeciągało się i Sara czuła, że coś powinna odpowiedzieć.

– To może będziesz mógł mi pomóc – powiedziała wbrew sobie.

No kurwa! Ile jeszcze osób w to wtajemniczy? Odbiło mi, skarciła sama siebie, ale było już za późno. Zdecydowanie powinna trzymać język za zębami.

– To chyba zamknięta sprawa? A mordercę Sławka ty złapałeś – zauważył bez nacisku Adam, ale Szajba wiedziała, że go zaintrygowała.

– Owszem. Ale nie tego, który to zlecił – mruknęła.

– Mafia.

– Tak.

– Nie ruszaj tego gówna, jak nie musisz i nie lubisz.

– Wręcz nie trawię, przestępczość zorganizowana to nie moja działka.

– Ale?

– Nie wiem, dlaczego zginął Sławek.

– I pewnie się nie dowiesz.

– To była moja sprawa.

– I ktoś ją dociągnął do końca, prawda?

– Teoretycznie tak.

– Mówisz zagadkami.

Milczenie Szajby znowu się przedłużało, ale Adam nie naciskał. Pozornie wrócił do pracy, ale co jakiś czas zerkał w jej stronę. Zaciekawiała go i węszył drugie dno. Ewidentnie zajmowała się nie tylko sprawą Gawrońskiego, ale również czymś z nie tak odległej przeszłości. Czymś, co wiązało się ze strzelaniną, w której zginął Wątróbka. Roszkowski nie narzekał na brak pracy, ale tajemniczość Lipner sprawiła, że czuł się zaintrygowany.

– Wie o tym tylko Sulich – Sara w końcu przerwała ciszę.

– Czyli to coś, czego lepiej nie rozgłaszać.

– To raz, a dwa, że wiedza może być niebezpieczna.

– A ja jestem paralitykiem na wózku?

– Odczep się od swojego wózka. Dla każdego niebezpieczna. Ale fakt – przyznała Szajba – dla ciebie bardziej.

– Strzelam nadal dobrze. Ale OK, rozumiem. Nie chcesz narażać postronnych.

– Coś w tym guście. Poza tym Sławek nie żyje. Kurwa, Adam, ja tam byłam! Ten gówniarz nie powinien strzelać. Miał mnie za plecami, gdy walnął do Sławka, wiedział, że ja też strzelę.

– Musiał.

– Właśnie.

– Masz problem. Sławek był twoim partnerem, mogą się rodzić pytania – zgadł bez pudła Roszkowski.

– No właśnie! A ja nie ma zamiaru udowadniać, że nie jestem wielbłądem.

– Barlicki się czepia.

– Bo już delikatnie to ruszyłam, jeszcze przed powrotem do firmy, no i się chyba zorientował, nie wiem jednak jak. A nie lubimy się.

– To widać. Ale chyba jest coś jeszcze, skoro jesteś pewna tej mafii i nie odpuszczasz, mimo że Sławka to już ani ziębi, ani grzeje.

Roszkowski wydawał się w porządku, instynkt podpowiadał Sarze, że może mu zaufać, ale prawie go nie znała i odruchowo starała się powiedzieć jak najmniej. Gdyby okazało się, że będzie chciał to wykorzystać przeciwko niej, lepiej było zminimalizować straty. Nagle do Szajby dotarło, że musi podjąć decyzję: albo go wtajemnicza, albo nie. Powiedziała za dużo, żeby udawać, że nie ma problemu. Co się z nią do cholery dzieje? Nagle odczuła potrzebę zwierzeń? A może po prostu wsparcia? Nie da rady sprawdzić spraw Sławka, nie wzbudzając przy tym ciekawości i nie powodując pytań. Każdy, kto się o tym dowie, zacznie się zastanawiać, po co draży starą sprawę. Adam może jej pomóc, a Archiwum X może być przykrywką. Tak jak planowała.

– Dobra! Ale uprzedzam, może być niebezpiecznie i można podpaść.

– Czyli będzie ciekawie.

– To też. Ale grzebanie w brudach nie jest fajne.

– Jakbym nie wiedział! Mów, ani twój, ani mój nieboszczyk nie obraża się, jak dzień później złapiemy mordercę.

– Czekał, skoczę po kawę. To dłuższa rozmowa. Żebyś był w temacie i mógł mi pomóc, na co liczę, muszę ci opowiedzieć wszystko po kolei. Poza tym nie chciałabym, żebyś coś zlekceważył, zdążyłam cię polubić.

– A jak nawalę, to mnie zastrzelisz?

– Jak nawalisz, to zrobi to za mnie mafia – sprostowała Szajba. – Albo wylecisz z firmy.

Gdy Szajba wróciła z kawami, Roszkowski siedział już na fotelu przy małym stoliku. Wózek został przy biurku, kule leżały na podłodze. Gdyby nie wiedziała, to w pierwszej chwili nie zorientowałyby się, że ma problem z chodzeniem.

– Tu lepiej. – Adam wskazał na drugi fotel. – I możemy ciszej mówić. Co prawda pewnie wszyscy by ci chętnie pomogli, bo u nas nie ma karierowiczów, ale na twoim miejscu i tak bym nie chciał, żeby ktoś słyszał, o czym rozmawiamy.

– Dobrze znałeś Wątróbkę?

– W miarę. Ale spotykaliśmy się tylko na gruncie zawodowym, może parę razy z innej okazji. Dał się lubić.

– Wziął kasę za umorzenie sprawy. O jednej wiem na pewno i to od Sławka.

– Ja pierdołę! Co za bagno... – Roszkowski zamilkł na moment. – No kurwa, ja go znałem i wierzyć mi się nie chce.

– No więc właśnie. Zginął zaraz po tym, jak odkryłam, że przeszedł na ciemną stronę. Podobno wziął, bo sprawa byłaby i tak umorzona, ale co to za różnica? Mieli go w garści. A gdy doszłam do siebie, mafia zaczęła się mnie czepiać. Wierz mi lub nie, ale ja umoczona nie jestem. Nie mam pojęcia, czego chcą. Ten wczorajszy wypadek to też ich robota, nie pierwszy raz zresztą. Miałam włamanie do domu, napad pod blokiem, zdjęcia w samochodzie. Co jakiś czas dają sygnał, że mają mnie na oku, ale nic poza tym.

– Taki konkretny sygnał – zauważył Adam.

– Owszem.

– Skąd wiesz, że to z powodu Sławka?

– Jako pierwsza przyszła przesyłka. Nietypowa, zakrwawiona. Wiesz, co było w środku?

– Wątróbka – Roszkowski nie miał wątpliwości.

– No i sam widzisz. A zaczęło się to w momencie, gdy się uaktywniłam i zaczęłam sprawdzać, kto zabił kumpla z siłki. Być może uznali, że wróciłam do firmy.

– Trochę to wszystko streściłaś, opowiedz dokładnie. I powiedz, co już sprawdziłaś.

– Sprawdziłam niewiele, bo nie mam jak. Boję się, że jak półoficjalnie ruszę stare sprawy, to ktoś momentalnie się tym zainteresuje. Zastrzelony glina nawet po roku budzi emocje. A razem tam byliśmy. Sulicha też nie mogę narażać, dobrze znał Sławka, wszyscy wiedzą, że zawsze się lubiliśmy, skojarzenie byłoby oczywiste.

– To powód przejścia do nas? Po cichu, pod pretekstem starych spraw, chcesz posprawdzać?

– To jeden z dwóch powodów. – Szajba upiła dwa łyki kawy. – Brałeś udział w strzelaninie?

– Tak.

– Ja przed tamtą akcją też. Ale nikt mi wcześniej nie umarł na rękach. – Na to wspomnienie Sara zacisnęła zęby, oczy i pięści. Potem powoli wypuściła powietrze i spojrzała na Adama. – Nie wiem, czy mnie nie sparaliżuje – wyznała z oporem. – Nie będę nikogo narażała.

– Przeszłaś testy.

– No to co? Wielka mi sztuka! Co innego real.

– Rozumiem. Ja unikam samochodu.

– Sam widzisz.

– Dobra, psychoanalizę mamy z głowy, dawaj wszystko, co wiesz.

Pozbywszy się obiekcji i wątpliwości, Lipner zwięźle zrelacjonowała wszystko, co wiedziała na temat konszachtów Wątróbskiego z mafią. Nie

było tego wiele, tak naprawdę wiedziała tylko, że za umorzenie jakiejś sprawy wziął łapówkę. Sprawa nie była jednak czysta, wbrew zapewnieniom Sławka, bo Szajbie udało się ustalić, że świadkowie zgodnie kryli syna szefa mafii. To dawało duże możliwości.

– Dlaczego jednak go zabili?

– Może przeze mnie – te słowa Sara musiała z siebie wydusić.

– Co ty pieprzysz?! Niby jak?

– Naciskałam na niego, żeby się z tego wyplątał.

– Oficjalnie?

– To mu sugerowałam. Ale mógł chcieć rozwiązać sprawę po swojemu.

– Jak oficjalnie, to byłby, teoretycznie, nie do ruszenia, bo wiedzielibyśmy o wszystkim. Ale wyleciałby z roboty.

– Nie widzę go w innej robocie. I podejrzewam, że mógł chcieć to załatwić inaczej. Mieli go w garści, zbuntował się i podpadł.

– Musiałby zrobić coś, co ich mocno wkurwiło, zabicie gliniarza zawsze jest ryzykowne – zauważył Roszkowski.

– Według mnie pokrzyżował im jakieś plany. I to takie, gdzie w grę wchodził duży zysk. Ale co to było, nie mam pojęcia. Może jakaś nielegalna transakcja, ale równie dobrze mogło to być pilnowanie, żebyśmy im nie bruździli. Nie wiem. Dlatego potrzebuję dojścia do akt spraw, które ostatnio prowadził. Może tam coś jest.

– Pamiętasz, co to było?

– Tak.

Szajba w sposób telegraficzny opowiedziała Roszkowskiemu o sprawach, którymi zajmował się niedługo przed śmiercią Wątróbski, a w których ona nie uczestniczyła.

– Dużo tego nie ma.

– Bo przeważnie pracowaliśmy razem.

– To przyjrzyj się i tym sprawom – poradził Adam.

– Niech cię diabli!

– Szajba, ja cię nie podejrzewam...

– Nie o to chodzi! Wiem, że mogłam czegoś nie zauważyć. Ufałam mu! Łatwo mógł mnie oszukać. Powiedzieć, że świadek nic nie widział, że nie ma dowodów. Wiem o tym i wypieram.

– Nie dziwię się. Gdyby partner mnie wystawił...

– No więc właśnie. Ale masz niestety rację.

– A Barlicki? Może coś wiedzieć o Sławku?

– Nie mam pojęcia. Może gdybym nie oberwała i sama skończyła sprawę, wiedziałabym więcej i zauważyła, że ktoś się nią interesuje. Na przykład ta gnida. Ale on nie lubi ani mnie, ani Wątróbki, więc to może być zwykła zawiść o cokolwiek.

– Łączy Piotrowskiego z Wątróbką – ostrzegł Roszkowski.

– Też bym pewnie połączyła – przyznała niechętnie Sara. – Nikt nas nie morduje co pięć minut. W przypadku Sławka da się to podciągnąć pod wypadek przy pracy, w końcu oberwał przy próbie zatrzymania. Z Maksem wygląda to inaczej, ewidentnie coś tu nie gra.

– Myślisz, że był umoczony?

– Nie mam pojęcia, nikt nie ma tego wypisanego na czole, o Sławku też się dowiedziałam przypadkiem. Ale jest i druga możliwość. Po prostu trafił na coś, co komuś mogło zaszkodzić. Dobrze, że Ostróżka wzięła na siebie rolę cerbera i kazała Barlickiemu informować się, gdy będzie chciał ze mną pogadać. Przy okazji dociśnie go, z czystej ciekawości. A ja nie muszę się wychylać.

– Przyciśnie nie tylko jego. Wszyscy chcą wiedzieć, kto i dlaczego zabił Piotrowskiego, Dagmara nie jest wyjątkiem. Wchodzę w to twoje śledztwo, spróbuję delikatnie powęszyć. I sprawdzę, czy przy tych sprawach lub samym Wątróbcie jakiegoś smrodu nie było.

– Najlepiej by było mieć dostęp do tych spraw, ale z tym będzie problem. Swoje pamiętam, najbardziej zależy mi na tych, które Sławek prowadził sam.

– Może uda się wymyślić powiązanie ze starym śledztwem. Jakies podobieństwo. Trzeba pokombinować.

Prywatna narada skończyła się i wrócili do pracy. Szajba sprawdziła zgony kobiet i dzieci wśród sąsiadów Gawrońskich, wytypowała dwie rodziny, z którymi powinna porozmawiać, i umówiła się z Szymonem Gawrońskim na poniedziałek rano. Gdyby to od niej zależało, pojechałaby do niego jutro, ale gdzieś wyjeżdżał. Na strychu były stare notesy i zdjęcia, chciała je przejrzeć, a być może zabrać. Czując lekkie wyrzuty sumienia, porzuciła sprawę Nadprzyrodzonego Mordercy, odpaliła Mapy Google'a i zaczęła sprawdzać topografię Banina. Dosyć dawno tam nie była i zaskoczyło ją, jak się rozbudowało. Wieczorny wypad miał być zarazem testem motoru, jak i rozpoznaniem terenu, który z jakichś powodów interesował Wątróbskiego. Problem jednak tkwił w tym, że Banino nie było małą wsią, liczyło około dziesięciu tysięcy mieszkańców, więc szukanie czegokolwiek w ciemno z góry skazane było na niepowodzenie. Skoro jednak i tak chciała zrobić sobie wycieczkę wirażką, to dlaczego nie tam?

– Spadam – oznajmiła przed szesnastą. – Muszę kupić ciuchy i kask.

Jak zwykle o tej porze były korki i dopiero po kilkadziesiąt minutach dojechała autobusem do upatrzonego sklepu. Na szczęście kupiła tam wszystko, co chciała. Gdy koło dziewiętnastej wyszła z mieszkania, trudno było ją rozpoznać. Strój motocyklisty zmienił jej wygląd. Wydawała się grubsza i szersza w ramionach, a do tego nikt jej nie widział tak ubranej. Czarna kurtka, wzmocniona na plecach, odpowiednie spodnie, motocyklowe buty za kostkę, rękawice i trzymany w rękę kask przywodził na myśl członka gangu motorowego, a nie komisarz policji. Brakowało tylko odpowiednich naszywek, bo strój był idealnie czarny, jeżeli nie liczyć wstawek odblaskowych. Szajba wolała pozostawać anonimowa – jeszcze tego brakowało, żeby ktoś rozpoznał ją lub jej motor. Czarne virago nie miało charakterystycznych elementów, oczywiście oprócz tablic rejestracyjnych, ale sakwy owszem. Postanowiła w wolnej chwili popracować nad pozbyciem się naklejek upamiętniających rozmaite zjazdy czy rajdy. Nie były jej do niczego potrzebne.

Nie jeździła już od jakiegoś czasu i na motor wsiadła z pewną obawą. Na wszelki wypadek przechyliła go i sprawdziła, czy nie ma problemów

z utrzymaniem maszyny w takiej pozycji. Właściwie wiedziała to, bo przecież kiedyś jeździła na takim, a wczoraj też spróbowała, ale przed wyjechaniem w trasę wołała się upewnić. Głupio by było, gdyby ktoś musiał wyciągać ją spod wirażki, która przygniotłaby ją po zatrzymaniu się na światłach.

Bardzo zachowawczo i dosyć wolno przejechała przez Gdańsk. Sprawdzała, jak się czuje na jednoślądzie, czy motor słucha jej tak jak kiedyś, czy nic się zmieniło. Na szczęście nie zapomniała, jak się jeździ, musiała się tylko oswoić z bliskością samochodów, szczególnie dużych. Za miastem przyspieszyła. Nie gnała na złamanie karku, ale i tak upajała ją prędkość, którą czuła zupełnie inaczej niż w samochodzie.

Do Banina dojechała w pół godziny tylko dlatego, że nie było dużego ruchu. We wsi zwolniła, przejechała głównymi ulicami, mijając sklepy, salon piękności i fotografa. Potem obejrzała nowe miniosiedla i dojechała do lasu. Dopiero tam zsiadła z motoru i zdjęła kask. Rozejrzała się dookoła i niezadowolona pokręciła głową. Nie widziała nic, co podsunęłoby jej chociaż cień pomysłu. W ani jednym wspólnie z Wątróbskim prowadzonym śledztwie tropy nie wiodły do Banina. Sławek trafił więc na coś sam, przyjechał tu w związku z mafią lub... miał tu po prostu znajomych. To ostatnie mogła zweryfikować, rozmawiając z rodzicami Wątróбки. Już chciała wracać, gdy poczuła, jak zawibrowała komórka schowana w kieszeni na piersi. Sulich.

– Gdzie jesteś?

– Na motorze. To znaczy aktualnie rozprostowuję nogi, ale zaraz wracam do domu. A co?

– Tak myślałem. Mam coś o Piotrowskim. Jego matka mówi, że ostatnio był jakiś niespokojny.

– Włączyłeś się?

– Ja? Barlicki odgryzłby sobie prawą rękę, sprzedał duszę diabłu...

– W piekle może być ciekawie.

– ...albo nawet udusiłby mnie własnymi rękoma, gdybym tylko go spytał o Maksa. Podobno najchętniej w pojedynkę prowadziłby tę sprawę.

– Popierdoliło go?

– Liczy na to, że na tym wypływie.

– W dupie mam jego wypływanie, chociaż może niech wypływa, a potem spływa jak najdalej stąd. Skąd wiesz o tym niepokoju Maksa?

– Jeden z operacyjnych pracuje i dla mnie, i dla Barlickiego. I nie widzi powodów, żeby nie dzielić się ze mną informacjami.

– Fart.

– Owszem. Wracasz?

– Tak, na pierwszy raz wystarczy, ale fajnie się jeździ. Jutro też pojedę, więc możesz mieć problem z dodzwonieniem się. – Szajba wolała uprzedzić Piotra, który przejawiał w stosunku do niej wyjątkowo silne uczucia opiekuńcze.

Dwa ścigacze pojawiły się koło niej, gdy wyjeżdżała z bocznej drogi. Nie minęły jej, tylko jechały najpierw z tyłu, a potem jeden z nich wyprzedził ją i jechał tuż przed. O co chodzi? Miejscowi zauważyli obcy element na swoim terenie? Facet przed Sarą to przyspieszał, to wyhamowywał, a ten z tyłu siedział jej na tylnym kole. Niech to cholera! Nie miała w planach stłuczki, a wyłożenie się na asfalcie nie należało do przyjemności. Czuała się niepewnie, nie opanowała jeszcze motoru na tyle dobrze, żeby reagować wystarczająco szybko. Ci na ścigaczach byli szybsi i na pewno jeździli lepiej od niej. Co robić? Sara wyczekała na odpowiedni moment, skręciła w boczną uliczkę, dodała gazu, odskoczyła kawałek od prześladowców, skręciła w nieogrodzone podwórko obok na wpół zbudowanego domu, zaparkowała przed nim, zeskoczyła z motoru i ukryła się w ciemności za domem. Miała nadzieję, że dwóch pajaców ze ścigaczy da się wciągnąć w zasadzkę. Zdjęła kask, który utrudniał ruchy i ograniczał pole widzenia, i sięgnęła po glocka. Nie wiedziała, z kim ma do czynienia, była na obcym terenie i uznała, że nie będzie ryzykowała.

Wkrótce ich usłyszała. Wjechali na podwórko, zgasili silniki i zsiadli z motorów, było słycać ich kroki. Nie próbowali szukać Sary, po prostu obeszli jej motor i rozglądali się. Lipner odczekała chwilę i wyszła z ukrycia.

– Na mnie czekacie?

Broń w jej dłoni zadziałała na dwóch trzydziestolatków jak paralizator. Stali bez ruchu i nawet nie poruszali oczami, wpatrzeni w glocka. Najwyraźniej tego się nie spodziewali.

– Pytałam o coś.

– N-nie... Chyba nie. To znaczy chcieliśmy się spotkać z właścicielem tego motoru – wyjaśnił facet z włosami spiętymi w kucyk.

– Czyli ze mną.

– Ale jak to? Przecież... – zająknął się ten drugi.

Byli tak zdezorientowani i zbici z tropu, że Szajba schowała broń do kabury, ale postarała się, żeby glock był nadal widoczny. Mężczyźni odetchnęli z ulgą.

– Nie przyszło wam do głowy, że motory czasem zmieniają właścicieli?

– Cholera! Sprzedał go jednak.

– Jak widać. – Lipner sięgnęła po odznakę. – Skoro już ustaliliśmy, że to nie mnie się czepiacie, to powiedzcie, o co chodzi.

– Głina – skrzywił się ten bez kitka.

– No jak? Mówicie czy mam sobie przypomnieć, jak chcieliście mnie zepchnąć z drogi?

– Kurwa mać! No nie wiedzieliśmy, że to nie nasz kumpel. Sakwy są charakterystyczne.

– I kumpla tak chcieliście postraszyć?

– Należało mu się – wzruszył ramionami długowłosey. – Zna go pani?

– Nie, tylko motor od niego kupiłam.

– Bywa wredny. A nam usiłuje poderwać żony. Mamy dosyć. One też jeżdżą, jak byliśmy na ostatnim wyjeździe, to mi do ślubnej z łapami startował. Więc jak go tu zobaczyliśmy, to postanowiliśmy napędzić mu strachu.

– Nie poznałby was?

– Poznałby, o to przecież chodziło.

Sara zapięła kaburę, mężczyźni odetchnęli z prawie namacalną ulgą. Postanowiła to wykorzystać.

– Dobra, zapominam, że mogłam szorować asfalt, ale coś za coś.

– Pani tu służbowo?

– Niezupełnie. – Sara nie wdawała się w szczegóły. – Znacie dobrze Banino?

– Znamy.

Lipner przez chwilę zastanawiała się, jak sformułować pytanie. Nie chciała nic sugerować, poza tym nie знаła motocyklistów i zawsze istniała możliwość, że zełgają, żeby kogoś chronić.

– Niech pani pyta. – Ten z kitką uśmiechnął się leciutko. – Dla ułatwienia powiem, że jestem nauczycielem informatyki.

– A ja, bardzo prozaicznie, pracuję w banku – dodał drugi.

Bank i szkoła, czyli raczej nie byli notowani i właśnie to jej sugerowali. Normalni faceci lubiący motory, którzy odgrywali się na podrywaczku, a nie typy spod ciemnej gwiazdy. Milczała, bo powiedzieć mogli jej wszystko. Nagle jeden sięgnął do kieszeni, w rękę Szajby od razu pojawił się glock.

– Kurwa! Ale pani nerwowa! Po telefon sięgałem, pokażę pani zdjęcia z zajęć, skoro nie wierzy pani, że nie jestem zbirzem i nie handluję pod szkołą prochami.

Broń powędrowała z powrotem do kabury, a Szajba przeglądnęła kilka zdjęć i oddała telefon.

– Ja nie mam zdjęć z pracy – powiedział drugi facet – ale jestem wymieniony na stronie banku. O proszę, to ja – podał Sarze swoją komórkę.

To był dosyć nietypowy sposób weryfikacji, ale całkiem wiarygodny i Lipner postanowiła im zaufać. Trochę.

– Wpłynęła do nas informacja, że na terenie Banina lub w najbliższej okolicy mieszka albo tylko bywa facet, który jest jednym z podejrzanych w sprawie o pobicie. – Sara specjalnie nie nawiązała ani do mafii, ani do narkotyków.

Mężczyźni przez chwilę milczeli, jakby robili w myślach przegląd znajomych, dopasowując ich do opisanej sytuacji. Potem, prawie równocześnie, pokręcili głowami.

– Osobiście nie znam.

– Ja też – przytaknął ten bez kitki. – Ale jakbym miał coś sugerować, to niech pani szuka po najbardziej wypasionych domach i samochodach. Chyba że to jakaś taka płotka, słabo wynagradzana.

Miał rację, Szajba też już o tym myślała, jednak było to trudno wykonalne. Nie będzie przecież prowadziła inwigilacji nie wiadomo ilu domów i to w pojedynkę, jednocześnie prowadząc śledztwo w sprawie Gawrońskiego.

– Dzięki! – Zapięła kurtkę i sięgnęła po kask. – A tego podrywacza to lepiej nie spychajcie z jezdni.

Zaraz po powrocie do domu zadzwoniła do kumpla z drogowki. Miał motor i prawie każdą wolną chwilę poświęcał na jazdę, na dłubanie przy nim albo chociaż na opowieści o tym, jak to się fajnie jeździ. Wisiał jej przysługę i wykorzystwała to bez skrępowań, umawiając się na następną dzień na wspólny wypad za miasto. Wieczorna przygoda uświadomiła jej, że musi lepiej panować nad maszyną. Sierżant Jacek Pasik nie miał ani służby, ani rodziny i nic go w domu nie trzymało. Pochwalił zakup motoru i obiecał podszkolić Szajbę z jazdy. Nie spokojnej po mieście, ale agresywnej i w terenie.

– Po co ci to?

– Lepiej umieć, niż nie umieć, nie? Nigdy nie wiadomo, co i kiedy może się przydać, a zamierzam używać motoru wymiennie z samochodem.

– Masz w planach pościgi? – roześmiał się Pasik.

– Nie mam pojęcia, co mam w planach, głupio jednak by było wpieprzyć się w coś albo wywalić na śliskim.

– Racja. Podjadę po ciebie o dziesiątej, bo muszę odespać, miałem intensywny tydzień.

Szajba dużo sobie obiecywała po tym wypadzie z sierżantem. Po takim szkoleniu czuje się pewniej na jednośladowcu, a to oznacza większe bezpieczeństwo i komfort jazdy.

W sobotę rano Sara stoczyła ze sobą krótką walkę. Zadzwonienie do rodziców Wątróbskiego nie było dla niej łatwe. Nadal cierpieli po stracie syna i tak już pewnie pozostanie. Przypomniała sobie gdzieś przeczytane czy usłyszane zdanie: czas nie leczy ran, uczy z nimi żyć. W przypadku osób, które straciły najbliższych, na pewno tak było. Szajba miała nadzieję, że rozmowa o Sławku nie przywoła zbyt wielu przykrych wspomnień. Postanowiła tak ją poprowadzić, żeby unikać tematu związanego z ostatnimi chwilami Wątróбки, a skupić się na jego ewentualnych powiązaniach z Baninem.

Odetchnęła głęboko jak przed skokiem do wody i zadzwoniła. Rozmowa, ku zaskoczeniu i olbrzymiej uldze Szajby, była spokojna, krótka i rzeczowa. Umówiła się z rodzicami Sławka na kolację i – jakby w obawie, że się rozmyśli – szybko zakończyła rozmowę. Odruchowo sięgnęła po szklankę i nalała sobie zimnej wody, uniwersalnego leku na uspokojenie. Niech to cholera! Myślała, że ma to już za sobą. Mogła mówić i myśleć o Wątróbcie bez ataku paniki i przerażenia. Bez natychmiast pojawiających się wspomnień o rannym, umierającym na jej rękach partnerze. Bez poczucia olbrzymiej bezsilności. Jednak rozmowa z jego rodzicami przywołała demony.

– Kurwa!

Zacisnęła pięści i policzyła wolno do dziesięciu. Sprawdziła oddech, nadal był przyspieszony. Jeszcze tego brakowało, żeby Pasik zainteresował się, czemu tak dyszy! Do umówionego spotkania był jeszcze kwadrans i miała nadzieję, że to wystarczy, żeby nagły przypływ lęku odpuścił.

Przebrała się, zapakowała plecak i zeszła na dół. Sierżant na swoim chopperze przyjechał po pięciu minutach i od razu wzbudził zainteresowanie wszystkich przechodniów. Chcąc uniknąć zbiegowiska, Szajba szybko wsiadła na motor i pojechali do garażu.

– No, no, niezłe cacko – Pasik pochwalił motor Sary. – Oczywiście to babska maszyna albo dla jakiegoś początkującego małolata lub niezbyt rosnącego faceta.

– To kwestia wagi, większego bym nie utrzymała.

– Nie da się ukryć. Te sakwy były w komplecie? To znam właściciela. Dba o motory jak o własne dzieci, nie będziesz miała przykrych niespodzianek. Jedziemy?

– Po to się umówiliśmy. Tylko weź pod uwagę, że to mój drugi raz po długiej przerwie.

Wyjechali za Gdańsk, a potem jeździli bocznymi drogami. Co jakiś czas zatrzymywali się, a Pasik udzielał Szajbie instrukcji i rad.

– Przydałaby ci się jakaś ostra jazda – zawyrokował sierżant. – A nie takie czołganie się.

– Znasz odpowiednie miejsce?

– Zawsze coś jeździ albo może wyskoczyć z pobocza.

– A polne drogi? Widoczność jest teraz niezła, zboże jeszcze nie urosło.

– Inna nawierzchnia.

– To może i dobrze, będzie urozmaicenie.

– To może jutro? – zaproponował Pasik. – A dzisiaj skoczmy jeszcze na ekspresówkę. Oswoisz się z szybko jadącymi samochodami i ciężarówkami.

Pomysł był dobry, Sara wiedziała, że jeżeli chce się czuć pewnie na motorze, to musi pojeździć w różnych warunkach. I lepiej zrobić to w towarzystwie.

Do domu wróciła po siedemnastej, przebrała się, zjadła szybki obiad, a ponieważ do umówionej wizyty u rodziców Wątróbskiego miała jeszcze trochę czasu, przejrzała nagrania z kamery zamontowanej nad drzwiami do mieszkania. Miała ją tam od chwili włamania i najwyraźniej bardzo dobrze działała jako straszak, bo mafia przestała się kręcić koło jej mieszkania. Niemniej jednak Szajba, żeby przypadkiem nie przeoczył nowych manewrów mafii, sprawdzała nagrania. Tym razem, jak i poprzednio, nie zauważyła nic niepokojącego. Sąsiedzi, listonosz, kurierzy, trochę nieznanomych. Nikt nie zatrzymywał się pod jej drzwiami, nikt nie zerkał podejrzliwie w ich kierunku ani nie robił niczego, co zwracałoby uwagę. Pewnie, za kuriera każdy mógł się przebrać, ale Sara postanowiła nie popadać w paranoję.

Z lekkim niepokojem Szajba zapukała do drzwi starych Wątróbskich. Po chwili otworzył ojciec Sławka.

– Zastanawialiśmy się, czy nic ci nie wypadnie w ostatniej chwili. Dawno się nie widzieliśmy. – To była prawda, bo Sara nadal czuła się niezręcznie w towarzystwie rodziców nieżyjącego partnera.

– Praca – wyjaśniła bez przekonania.

– Zrozumiałem, że i teraz to praca cię do nas sprowadza? – spytał Wątróbski i gestem zaprosił Lipner do pokoju.

– I tak, i nie.

– Poczekajcie, porozmawiamy o tym za chwilę – poprosiła matka Sławka. – Najpierw kolacja. Jak cię znam, to całkiem możliwe, że nie miałaś kiedy zjeść obiadu.

– Coś tam zjadłam...

Zgodnie z zapowiedzią dopiero po posiłku stary Wątróbski spytał, co się stało, że Szajba chce porozmawiać o Sławku – jego mordercę przecież od razu złapała.

– Od jakiegoś czasu spotykają mnie różne wypadki. Ktoś mi się włamał do mieszkania, walnął w samochód, postraszył.

– Ale dlaczego myślisz, że to ma związek ze Sławkiem?

– Bo ci, co mnie nękają, dali to jasno do zrozumienia. Od razu powiem, że nie mam pojęcia, o co chodzi. Ale ten gówniarz, który strzelał, działał jak kamikaze. Sławka postrzelił w momencie, gdy ja już byłam za jego plecami. Nie mógł przecież liczyć na to, że będzie miał szczęście i ucieknie.

Starsi państwo popatrzyli na siebie zaskoczeni, a potem dotarło do nich to, co właśnie usłyszeli.

– Ktoś chciał go zabić – szepnęła kobieta.

– Nie jestem pewna. Chcę to sprawdzić, bo jeżeli tak jest, to odpowiedzialny za śmierć Sławka najpewniej uniknął kary.

– Cholera!

– Spokojnie... – Wątróbska położyła dłoń na ramieniu męża.

– Sprawdzasz to?

– Nieoficjalnie. Na wszelki wypadek. – Lipner nie wnikała w szczegóły, zostawiając interpretację rodzicom Wątróbki. – Rozmawiałam z naszym wspólnym kolegą, który wspomniał, że niedługo przed śmiercią Sławek jeździł po coś do Banina. W aktach prowadzonych przez niego spraw nie ma nic na ten temat.

– Coś ukrywał? – zaniepokoiła się kobieta.

– Mógł po prostu nie być pewny, czy to, co sprawdza, ma sens – uspokoiła ją sporo na wyrost Lipner. – Zweryfikuję to. Ale może macie tam jakąś rodzinę? Albo Sławek miał tam znajomych? Wtedy wytłumaczenie byłoby proste.

Wątróbscy przez chwilę milczeli, najwyraźniej usiłując sobie przypomnieć coś, co mogłoby pomóc Szajbie.

– Rodziny tam nie mamy.

– I nie przypominam sobie, żeby Sławek coś wspominał o znajomych. – Kobieta uśmiechnęła się smutno. – Ale dorosły przecież był, nie spowiadał nam się. Gdyby tam mieszkał jego przyjaciel albo sympatia, to co innego. Pewnie by powiedział. Ale jak to jakaś niezbyt intensywna znajomość, to po co miałby nam mówić? Sama wiesz, jak to jest.

– Wiem.

– Nie pomogliśmy ci.

– Dlaczego? Zawsze wiem trochę więcej.

– A może to ktoś od was tam mieszka? – Wątróbski miał na myśli policję.

Szajba już o tym myślała, ale nie miała jak się tego dowiedzieć bez zwracania uwagi.

Od rodziców Wątróbskiego wyszła po dziewiątej wieczorem i od razu pojechała do domu. Piotr zadzwonił, gdy nalała sobie kieliszek koniaku, włączyła muzykę i sięgała po książkę.

– Jak jazda?

– Nieźle, na jutro też się umówiłam. – Szajba na wszelki wypadek nie wspomniała Piotrowi ani o tym, że wczoraj była w Baninie, ani o tym, że

wypytywała rodziców Sławka o tę wieś. – Pojeżdżę po polnych drogach.

– Poważnie podchodzisz do tematu. Szkoda, że nie mogę z tobą jechać.

– Masz dyżur?

– Tak. Jak tam twoja sprawa?

– Nijak. Przerwa do poniedziałku.

– Nikt ci teraz w kark nie sapie, że morderca jeszcze nie pod kluczem.

– Nie o to chodzi. Syn Gawrońskiego wyjechał na weekend, a żeby coś dalej podziać, muszę znowu z nim pogadać. A właściwie pogrzebać w rzeczach jego ojca, bo na razie znalazłam tylko te rysunki. Może na coś trafię.

– Co ci chodzi po głowie?

– Nikt do tej pory nie przeglądał tych staroci, a w każdym razie nic o tym nie ma w kwitach. A według mnie przyczyny morderstwa trzeba szukać w przeszłości.

– Mam wrażenie, że ludzie stają się coraz bardziej pamiętliwi – zauważył Sulich. – Nie łapią od razu za nóż czy ciężki kufel, żeby udowodnić rację, tylko się przyczajają.

– Albo po prostu kiedyś nikt by nie podejrzewał morderstwa. Tak czy siak, jutro mam dzień wolny i będę ujeżdżała virago.

– Komisarz Szajba na swoim spalinowym rumaku.

– Śmiej się, śmiej! Na korki jak znalazł. Lepiej powiedz, jak tam twoje śledztwo.

Rozmawiać skończyli koło północy i zamiast pogрузić się lekturze, Sara od razu zasnęła.

Niedziela minęła Szajbie na jeździe po większych i mniejszych bezdrożach. Wróciła zmęczona, nieco obolała, ale zadowolona. Na motorze czuła się dużo pewniej niż jeszcze dwa dni wcześniej.

Rozdział dziesiąty

Rano Lipner zadzwoniła do warsztatu, spytała, jak posuwa się naprawa auta. Wieści nie były zbyt dobre – dowiedziała się, że na razie samochód stoi na placu. Podobno brakowało jakiejś istotnej części, ale podejrzewała, że ktoś inny dał majstrowi w łapę, żeby przyspieszyć naprawę swojego wozu. Nieco mimochodem zauważyła, że brak samochodu utrudnia jej śledztwo, a krótkie milczenie z drugiej strony, a potem zapewnienie, że pogonią dostawcę brakującej części świadczyło o tym, że delikatna aluzja została pojęta właściwie. Szajba rzadko to robiła, ale samochód był też jej narzędziem pracy.

Na poranne spotkanie z synem ofiary dotarła punktualnie, ale ku swojemu zaskoczeniu zastała zamknięte drzwi. Zaniepokojona zadzwoniła do Szymona Gawrońskiego, ale nie odebrał telefonu. Obeszła dom dookoła, wyszła na ulicę i już zaczęła się zastanawiać, czy nie spróbować dostać się do środka w sposób niezbyt oficjalny i legalny, gdy zza zakrętu wyłonił się Gawroński. Szedł szybko i wyglądał na zmęczonego.

– Przepraszam! Wymyśliłem sobie, że skoro to rękę, a nie nogę mam w gipsie, to pójdę pobiegać. Niestety jeszcze boli, nawet przy truchcie. Stąd moje opóźnienie.

– Nie ma problemu. Ma pan wyłączony telefon?

– Nie, zostawiłem w domu. Proszę, niech pani wchodzi. Znowu utknie pani na strychu?

– Owszem.

– Chyba jeszcze nikt tak się nie interesował rzeczami ojca.

– Ma pan na myśli policję?

– Tak. Zrobię pani kawę, tam jest sporo kurzu, od razu zasycha w gardle, nawet jak się nie mówi. Wiem, bo nieraz to przerabiałem. –

Młody Gawroński jak zwykle mówił dużo i chętnie. – Może chce pani maseczkę?

– Nie, jakby co, to mam własną. Czy rzeczy ojca są tylko w tych pudłach, które mi pan pokazał?

– Tak. Reszta to takie ogólnie domowe. No może jeszcze zdjęcia. Wyniosłem albumy na górę, są w pudle w tamtym rogu. – Mężczyzna machnął ręką w odpowiednią stronę. – Pudło jest podpisane. Tam są niby zdjęcia rodzinne, ale stare, więc może też panią zainteresują.

Sara znowu stanowczo podziękowała za ofiarowaną pomoc przy przeglądaniu pamiątek po Janie Gawrońskim i zaopatrzona w kawę zniknęła na strychu. Otrzeptała z grubsza w miarę solidnie wyglądające krzesło, zdmuchnęła kurz ze stołu i przyniosła w pobliże wszystkie pudła. Miejsce pracy miała, czas zacząć przeglądać pamiątki po Gawrońskim. Poprzednio skupiła się na listach, resztę traktując po macoszemu, teraz interesowały ją głównie notesy i zdjęcia, ale postanowiła sprawdzić wszystko. Miała wprawę w przeglądaniu rozmaitych rzeczy, które mogły być związane z przestępstwami, umiała wyławiać z tekstu nazwiska, nazwy, daty czy inne przydatne szczegóły. Pomagała jej w tym bardzo dobra pamięć, nieomal fotograficzna. Nie pytając Szymona Gawrońskiego o zgodę, posegregowała po swojemu zawartość pudeł. Skoro w ogóle do nich nie zaglądał, to zapewne nawet nie pamiętał, co gdzie jest. Szybko przejrzała to, co na pierwszy rzut oka nie budziło w niej zbytnej nadziei na odkrycie przeoczonego wątku. Upewnienie się, że ma rację, zajęło jej zaledwie pół godziny, potem zaczęła przeglądać notesy i wszelkie inne notatki. Wynotowywała lub robiła zdjęcia wszystkiemu, co wydawało się jej istotne. Dużo tego nie było, zapiski odnosiły się przeważnie do terminów spraw zawodowych, wizyt u lekarza, szkolnych wywiadówek czy spotkań towarzyskich. Te ostatnie zaintrygowały Szajbę, bo wśród znajomych mógł się znajdować ktoś, kto potem zabił Gawrońskiego. Zdjęcia, ku jej zadowoleniu, były najczęściej podpisane: kto z kim, gdzie i kiedy. Prawie jak w grze towarzyskiej, którą pamiętała z dzieciństwa. Zdjęcia rodzinne wędrowały na jeden stosik, te przedstawiające krajobrazy czy budowle na drugi, a na kolejny wszystkie, na których został

uwieczniony Jan Gawroński. Tym ostatnim Lipner poświęciła najwięcej czasu. Zaintrygowało ją kilka, na których powtarzali się ci sami nastolatkwowie: Gawroński i jego trzech koledzy. Podpisy z tyłu brzmiały przeważnie: „D’Artagnan i trzech muszkietierowie” albo „ja, Portos, Atos i Aramis”, i dzięki temu wiadomo było, że za pseudonimem „d’Artagnan” kryje się zamordowany. Daty na zdjęciach wskazywały na to, że pochodziły one z początku liceum Gawrońskiego, więc dosyć łatwo będzie sprawdzić, kim są pozostali chłopcy.

Natychmiast gdy przekroczyła próg Archiwum X, zauważyła, że wszyscy są podekscytowani i tłoczą się w części socjalnej.

– Masz przełom w sprawie? – spytała Ostróżkę, która była, przynajmniej teoretycznie, najbliższa znalezienia mordercy sprzed lat.

– Nie, nie o to chodzi.

– Nie wiem, w co się wpierdolił Piotrowski, ale sprawą interesuje się wydział wewnętrzny – wyjaśnił Adam.

– Szlag! – Szajba prawie wylała kawę.

– Nie masz pomysłu, w co się mógł wplątać? – spytał sierżant.

– Nie. Ale utwierdzam się w przekonaniu, że nie można ufać ludziom. Gdybym miała wskazać kogoś, kto podpadł wewnętrznym, to na pewno nie byłby to Maks.

– Może to nie o niego chodzi – zauważyła Dagmara.

– Coś kombinujesz?

Roszkowski usiłował wziąć w jedną rękę kubek i kule, ale nie było to proste. Sara bez słowa zabrała mu kawę.

– Mógł się wplątać w coś nieświadomie albo...

– Albo to nie on jest tu ważny – dokończyła Lipner ze złośliwym błyskiem w oku. – Daj Boże, żeby to był Barlicki. A w ogóle skąd o tym wiemy?

– A jak myślisz? Stary dał cynk naszej szefowej. – Adam lekko się uśmiechnął.

- Tak czy inaczej, uważaj - poradził Sarze sierżant. - Raz miałem okazję być na celowniku wewnętrznych, nic przyjemnego. Przyklejają się do człowieka jak gówno do buta, za przeproszeniem.

Rozeszli się do swoich pokoi, bo mimo że wiadomość ich zelektryzowała, to wiedzieli za mało, żeby ustalić, o co chodzi wewnętrznym. Zresztą po co? Mają swoją robotę, jak to zauważył analityk.

- Poręba ma rację, bądź ostrożna - odezwał się Roszkowski już w pokoju. - Mogą głęboko grzebać.

- Żebyś nie wykrakał. Mam nadzieję, że Barlicki z wewnętrznymi na karku tym bardziej będzie się chciał wykazać.

- No właśnie...

- I chęć podłożenia mi świni zejdzie na drugi plan - dokończyła myśl Szajba.

- Oby. A co u Gawrońskiego? Znalazłaś coś w rzeczach po nim?

- Kilka zdjęć bez nazwisk, ale wiem, gdzie popytać, i oczywiście nazwiska do sprawdzenia, takie z notesów. Zobaczymy, czy to coś da. Boję się tylko, że dzisiaj dużo nie ustalę, muszę w szkołach pogadać, a już trzecia, sekretariaty za moment się zamkną.

Po krótkiej chwili wahania Sara postanowiła odpuścić sobie dzisiaj ustalenie, kim są pozostali „muszkietierowie”, a w zamian za to porozmawiać z sąsiadami Gawrońskich, tymi, których wytypowała, szukając podejrzanych zgonów.

- Przesłuchania emerytów mają dobre strony - stwierdziła, wyłączając komputer. - Dwa telefony i jestem umówiona.

- Mogłaś iść do nich od razu, jak byłaś u młodego Gawrońskiego - zauważył Roszkowski.

- Wyprowadzili się, mieszkają zupełnie gdzie indziej. Cześć!

Szajba zdecydowała, że najpierw pojedzie do małżeństwa, które było zaintrygowane jej pytaniem, a potem do starszego i opryskliwego mężczyzny, który na rozmowę zgodził się chyba tylko po to, żeby powiedzieć, co myśli o policji. Pierwsza rozmowa prawie od razu okazała się kłapą, bo wnuczka starszych państwa zginęła co prawda śmiercią

tragiczną, ale podczas wypadku we Włoszech. Trudno było przypuszczać, żeby Gawroński był w to zamieszany w jakikolwiek sposób. Druga rozmowa miała zupełnie inny przebieg, bo to mężczyzna, były ochroniarz, starał się przejąć kontrolę i przesłuchać Szajbę. Komisarz pozwoliła mu na to przez chwilę, a potem sama zaczęła pytać. Miała wprawę w postępowaniu z takimi ludźmi.

– Skoro był pan ochroniarzem, to na pewno ma pan dobrze rozwinięty zmysł obserwacji – podpuściła go.

– Oczywiście! Nawet sobie pani nie wyobraża, jak bardzo. To podstawa w moim zawodzie, ochroniarz musi mieć oczy wokoło głowy i trzymać rękę na pulsie, inaczej różne łajzy pół sklepu wyniosą. Albo okradną jakąś budowę lub coś w tym stylu. A teraz obserwuję, co się dzieje w sąsiedztwie.

W to Lipner nie wątpiła, koło okna stało wygodne krzesło, a na parapecie leżała lornetka. Z piątego piętra starszy pan miał całkiem dobry widok na okolicę.

– Dwadzieścia pięć lat temu zmarł pana syn...

– Miał czternaście lat, ja pięćdziesiąt, bo późno zostałem ojcem. Najpierw chciałem wybudować dom, żeby rodzina mieszkała u siebie.

– To była tragiczna śmierć – podsunęła Sara.

– Tak. To było w lecie. Syn poszedł z kolegami na plażę, pływali. Ciało znaleźli dopiero po kilku dniach. – Z oczu starszego pana popłynęły łzy, przestał być twardym pracownikiem ochrony. – Utonął.

– Koledzy syna nie zaalarmowali, że coś się dzieje?

– Nie zauważyli, a potem było za późno. Dlaczego pani pyta po tylu latach? Przecież to nie morderstwo, a nieszczęśliwy wypadek.

– Przypadek pańskiego syna pasuje do sprawy, którą prowadzę, więc wolałam się upewnić. Bardzo mi pan pomógł. – Szajba podniosła się z fotela.

Mężczyzna bez słowa odprowadził ją do drzwi. Nie dziwiła się, rozmowa spowodowała przyływ wspomnień o utraconym dziecku.

Piotr zadzwonił, gdy pracowała w garażu nad pozbyciem się naklejek z sakw motorowych.

– Cała komenda aż huczy – powiedział bez wstępów.

– Dziwisz się? Jak wkracza wewnętrzny, to zawsze tak jest. A tu jeszcze zamordowano jednego z naszych. Najwyraźniej smutni panowie trafili podwójnie.

– Czyli już wiesz. Ostróżka jak zwykle jest dobrze zorientowana. Trzymaj się z daleka od sprawy Piotrowskiego.

– Odczep się, ja już dawno jestem dorosła i czasem nawet myślę.

– A ja całkiem nieźle wiem, jakimi ścieżkami podążają twoje myśli.

– Piotrek, nie zaczynaj! To nie sprawa Kowalika, a ja wróciłam do służby.

– Ale charakter ci się nie zmienił.

– Nie. I nie zmieni się, uwierz mi.

Piotr zamilkł na moment. Od kiedy zaczęło mu zależeć na Szajbie, zdecydowanie wyraźniej widział, że jazda po bandzie jest tym, co ją nakręca. Wiedział, że ten typ tak ma i nic tego nie zmieni. Zresztą podobała mu się właśnie taka. Niezależna, postrzelona, działająca pod wpływem impulsu, a przy tym logiczna, rzetelna i koleżeńska. No może wolałby, żeby ta koleżeńskość wobec niego zamieniła się w coś innego.

– Coś tak zamilkł?

– Nigdy nie było takiej kumulacji. Twoja sprawa, mafia i jeszcze Piotrowski. Gdyby coś się zaczęło dziać, możesz mieć problem, żeby się zorientować, kto się czepia i dlaczego. – Sulich pominął powód chwilowego wyłączenia się z rozmowy.

– Zdaję sobie z tego sprawę. I mam oczy wkoło głowy, uwierz mi.

– Tak? A co teraz robisz? – spytał podejrzliwie Sulich.

– Walczę z sakwami, likwiduję naklejki. Wiedziateś, jak wyglądają? Kolorowe, rzucające się w oczy.

– No tak. A ty wolisz być niezauważana, szczególnie gdy robisz coś na własną rękę, czyli miałem rację.

– Pogięto cię? Chyba nie wyobrażasz sobie, że śledzę kogoś, rycząc motorem? – nieco obłudnie oburzyła się Szajba.

Wiedziała, że motor może się jej przydać nie tylko jako drugi środek lokomocji i świetna alternatywa w przypadku korków. Łatwiej było go zaparkować w ustronnym miejscu, a nawet ukryć tak, żeby mniej rzucał się w oczy niż samochód. A mafii nie zamierzała odpuścić.

– Jakbym cię nie znał! Dam sobie wszystko uciąć, że coś z tym motorem kombinujesz.

– Wyluzuj! Jak to sobie wyobrażasz? Specjalnie brałam udział w wypadku, żeby mieć pretekst do kupienia wirażki?

– O to cię nie podejrzewam, ale rozmawialiśmy o motorze przed wypadkiem.

– No to co? Cholera, co za gówno! – warknęła Lipner. – To nie do ciebie, nie mogę takiej oczojebliwiej naklejki usunąć. Chyba na jakieś super glue jest przytwierdzona. A wracając do tematu, to owszem, wykorzystam motor. Ale co to zmienia? Nic.

Na moment znowu zapadła cisza, najwyraźniej Sulich coś rozważał.

– Cholera! Będę u ciebie za pół godziny.

Zaskoczona Szajba stała przez chwilę z telefonem w ręku, a potem szybko poszła do domu. Sulich, mówiąc „u ciebie”, na pewno nie miał na myśli garażu.

– Co cię tak przypiliło? – spytała od razu, gdy przekroczył próg.

– W firmie aż wrze.

– Wiem.

– Nie, kurwa, nie wiesz, jak bardzo!

Sara popatrzyła na niego zaskoczona. Był wzburzony i zdenerwowany, ale inaczej niż wtedy, gdy się – według niego – nadmiernie narażała.

– Mów, zaraz ci piwa albo innego uspokajającego specyfiku naleję.

– Chyba zimnej wody, bo samochodem jestem. Dobra, może być herbata.

Piotr poszedł za Szajbą do kuchni i wyjaśnił, że wpadł tylko na chwilę, ale wołał nie gadać przez telefon.

– W firmie byłeś i ktoś słuchał?

– Nie, w domu. Dobra, może przesadziłem.

– Co cię tak wkurzyło?

– Nie mam pojęcia, w co się wpieprzył Piotrowski i nawet nie chcę wiedzieć – wyjaśnił Sulich. – To znaczy chętnie się dowiem po śledztwie, ale nie będę się teraz wychylał. Nie dość, że nikt nie wie, komu mógł się aż tak narazić, to jeszcze zajmuje się tym ten kretyn Barlicki, stary patrzy mu na ręce, a wewnątrzni podejrzewają chyba wszystkich o wszystko. Syf totalny. Wolę zajmować się swoją sprawą i tobie też to radzę. Nie mam ochoty się z nimi szarpać.

– Tu akurat się z tobą zgadzam.

– Ale sprawy Sławka nie odpuścisz – stwierdził Piotr.

– Nie.

– Przystopuj na chwilę. Mogą połączyć Wątróbkę i Piotrowskiego. A skoro ich, to i ciebie.

– Wiem. Ale po pierwsze nie zabiła ich ta sama osoba, po drugie minęło już sporo czasu, po trzecie ja bym ich tak od razu nie łączyła, najwyżej wzięła to pod uwagę. Skupiłabym się na śledztwach Maksa. A po czwarte – Sara zawahała się i dokończyła nieco wbrew sobie – Adam mi pomoże. On w Archiwum jest już jakiś czas, nikt się nie zdziwi, gdy poprosi o stare sprawy. Tylko musi dobrze pokombinować.

– Powiedziałaś mu?! – w głosie Sulicha słuchać było zdziwienie i coś jeszcze.

– Jesteś zazdrosny? – roześmiała się Lipner. – Tylko tyle, ile musiałam. Siedzimy razem, przecież zorientowałby się, że nie tylko Gawrońskim się zajmuję. Poza tym – komisarz znowu się zawahała – poza tym wszyscy wiedzą, że się przyjaźnimy, więc gdybyś ty zaczął sprawdzać stare sprawy Sławka, to od razu by to skojarzyli.

– Łatwiej mi niż tobie.

– I tak nie byłoby łatwo, a zamordowanie Piotrowskiego jeszcze wszystko utrudniło.

– Skup się na Gawrońskim.

- Powtarzasz to do znudzenia. Ale - Szajba westchnęła z rezygnacją - trochę trzeba przeczekać, może wewnętrzni odpuszczą. Uprzedzę Adama.

Rozdział jedenasty

Ustalenie, kim byli koledzy Jana Gawrońskiego, zajęło Szajbie prawie cały dzień. Pojechała do liceum, do którego niegdyś chodził. Niestety nie pracował tam już nikt, kto go uczył, więc zdobycie informacji nie było takie proste. Oczywiście listę uczniów z jego rocznika młoda sekretarka znalazła dosyć szybko, ale ze zdjęciami było gorzej. Szkoła hołdowała zasadzie, że każda klasa ma robione wspólne zdjęcie na początku roku, poza tym uwieczniano wszelki imprezy, dni sportu czy dyskoteki, ale w fotografiach panował totalny bałagan. Tak jakby ktoś czegoś szukał, a potem nie zwracał sobie głowy z uporządkowaniem powstałego nieładu.

– Bardzo panią przepraszam – powiedziała bez przekonania sekretarka. – Tych zdjęć nie mamy zarchiwizowanych, więc...

– Więc muszę przejrzeć to wszystko.

– Proszę sprawdzać rocznikami.

Rada byłaby dobra, gdyby albumy, pudła i wielkie koperty nie były przemieszane. Szajba westchnęła. Po raz kolejny zaczęła przeglądać stare zdjęcia i odkładała wszystkie z roku, w którym Gawroński zaczął naukę w liceum. Miała nadzieję, że znajdzie „muszkietarów”, bo równie dobrze mogli być znajomymi poznanymi na jakimś obozie.

Znalazła. Co prawda nie wszystkich na jednym zdjęciu, ale za to fotografie były podpisane. Pozostałymi „muszkietarami” okazali się Adam Mucha, Grzegorz Tomaszewski i Jacek Szewczyk. Co się z nimi działo później, sprawdziła od razu po powrocie do Archiwum X. Żaden z mężczyzn nie popadł w konflikt z prawem, ale Mucha i Szewczyk wyjechali za granicę. Postanowiła na początek porozmawiać z Tomaszewskim i rodzicami całej trójki. Matka Adama Muchy była poza domem, ale zgodziła się spotkać z Lipner następnego dnia rano,

Szewczykom pasowała trochę późniejsza godzina, bo rano zajmowali się wnukami. Tomaszewski nie odbierał telefonu, ale udało jej się umówić z jego rodzicami i pojechała do nich od razu po pracy.

Starsi państwo mieszkali na Chełmie, w jednym z nowszych bloków.

– Zaniepokoiła nas pani. – Zasuszony mężczyzna poprawił nerwowo okulary na nosie.

– Nie ma powodu do obaw, badam starą sprawę, taką sprzed kilkudziesięciu lat, i chciałam spytać o czasy licealne państwa syna.

– A to nie lepiej Grześka, a nie nas? – zdziwiła się Tomaszewska, stawiając na stole słabą herbatę. Jakby była jeszcze ciut słabsza, to Sara uznałaby, że została poczęstowana wrzątkiem.

– Lepiej, ale na razie nie udało mi się do niego dodzwonić.

– To normalne. – Starszy pan pokręcił głową z dezaprobatą. – Wiecznie nie pamięta o naładowaniu telefonu. Albo wychodzi gdzieś bez niego. Wtedy najlepiej zadzwonić do niego do pracy. Jest księgowym.

Sara zapisała podyktowany numer.

– Ale musi pani kilka dni poczekać – uświadomiła ją Tomaszewska. – Grzesiek ma urlop.

– Wie pani do kiedy?

– Nie, ale wiemy, że niezbyt długi i nie planował wyjazdu.

– Rozumiem. – Szajba wyjęła wydrukowane w formacie A4 zdjęcia Gawrońskiego i „muszkieterów” i pokazała je staruszkom. – Poznają państwo tych chłopców?

Tomaszewscy zgodnym ruchem zdjęli okulary i zamienili je na takie do czytania, a potem uważnie przyglądali się zdjęciom.

– Tak, to koledzy Grześka z liceum. Trzymali się razem, ale chyba nie wszyscy chodzili razem do klasy – powiedziała Tomaszewska.

– To Jacek – mężczyzna wskazał na Szewczyka, a potem przeniósł palec na Gawrońskiego – i Janek. No i oczywiście Grzesiek. Imienia czwartego nie pamiętam.

– Ja też nie.

- To Adam Mucha - wyjaśniła Lipner. - Czy mogą mi państwo coś powiedzieć o tych chłopcach?

- Nie bardzo - zafrasował się Tomaszewski. - To było dawno, poza tym pamięć już nie ta. Pamiętam, że trzymali się razem nie tylko w szkole.

- Wie pani, łązikowali po mieście, chodzili na dyskoteki i do siebie do domu - uzupełniła kobieta. - Dlaczego pani pyta? Czy coś się stało? - zaniepokoiła się nagle.

- Tak jak mówiłam, prowadzę starą sprawę. Po prostu trafiłam na to zdjęcie, więc muszę sprawdzić, czy nie ma związku z moim dochodzeniem. Bardzo państwu dziękuję. - Szajba podniosła się z krzesła zadowolona, że udało jej się zostawić połowę słomkowej herbaty. - To moja wizytówka, gdyby syn się z państwem skontaktował, to proszę poprosić, żeby do mnie przedzwonił.

Wyszła z bloku i po chwili namysłu postanowiła część trasy do domu przejść pieszo. Ostatnio miała za mało ruchu, bo niestety jej ulubiona siłownia przechodziła remont, a do innych chodziła sporadycznie. Do otwarcia zostało jeszcze kilka dni.

Osiedlowe uliczki tętniły życiem, było ciepło, ludzie spacerowali, dzieciaki jeździły na rowerach i hulajnogach, spuszczone ze smyczy psy ganiały się na trawniku. Sielanka. Nagle tuż za Sarą rozległ się odgłos gwałtownego hamowania. Odwróciła się błyskawicznie, bo od razu wyobraziła sobie potrącone dziecko lub psa. Mężczyzna, który właśnie wyskoczył z samochodu, był już obok niej. Wysoki, dobrze zbudowany, w kominiarce. Kurwa! Zanim zdążyła sięgnąć po broń, poczuła jego dłonie na swoich nadgarstkach. Popierdoliło ich? Napad w biały dzień? Napastnik silnie ją pociągnął, spodziewając się oporu, ale się przeliczył. Szajba uległa, poddała się szarpnięciu, mało tego, dołożyła do tego pchnięcie. Facet zachwiał się, bo nie był przygotowany na taki kierunek ruchu. Szukając oparcia w stojącym za nim samochodzie, odruchowo poluzował chwyt. Jeden, dobrze wytrenowany ruch nadgarstkami pozwolił Szajbie wyswobodzić dłonie. Dwa silne kopnięcia trafiły mężczyznę, zanim zdążył się zorientować, o co chodzi. Potem, trzymając się za zębra, patrzył już w lufę glocka. W tym momencie na Lipner wpadł

kilkulatek na rowerze i podciął jej kolana. Straciła równowagę, a zamaskowany mężczyzna wykorzystał to momentalnie. Samochód odjechał, z otwartymi drzwiami i rykiem silnika. Zdenerwowana Sara dyskretnie schowała broń i odwróciła się do podnoszącego się z ziemi dzieciaka.

– Nic ci nie jest?

Pokręcił głową i z powagą ustawił rowerek.

– I co pani tak stoi! – wydarła się nagle jakaś kobieta tuż obok. – Dziecko się przewróciło, a ta jak słup stoi! Co za zniczulica. Alanku, nic ci nie jest? Pokaż mamusi rączki.

Lipner nagle szlag trafił. Nie dość, że przez niepilnowanego malucha nawiał jej napastnik i że po kontakcie z rowerkiem będzie miała posiniaczone nogi, to jeszcze matka dzieciaka ją objeżdża. Zestawienie oglądania dłoni dzieciaka z tym, co się przed momentem wydarzyło, było wręcz groteskowe.

– Rączki rączkami, ale sugerowałabym, żeby kupiła pani synowi kask.

– Niech się pani nie wtrąca! Było trzeba go przytrzymać, a nie szarpać się z jakimś palantem!

Nagle przed oczami Szajby pojawiła się twarz szwagra. Ta sama mentalność. Odetchnęła i odpuściła. Nie było sensu kopać się z koniem. Zerknęła tylko na malucha, który chyba bardziej był przestraszony wrzaskami matki niż upadkiem. Pomachała mu ręką i odeszła. Nie zazdrościła Alankowi.

Za rogiem przystanęła i odetchnęła głęboko. Czuła, jak powoli mija napięcie, a poziom adrenaliny wraca do normy. Wezwała ubera, bo chciała jak najszybciej znaleźć się w domu, żeby spokojnie pomyśleć.

Krążąc swoim zwyczajem po pokoju, rozważała różne możliwości, bo niestety sytuacja nie była jednoznaczna. Napastnik nie odezwał się ani słowem, więc nie była pewna, o co chodziło. Mogło to być kolejne zagranie mafii, reakcja mordercy Gawrońskiego na jej śledztwo, a nawet akcja związana z morderstwem Piotrowskiego. Po chwili namysłu Szajba odrzuciła to ostatnie, ona tylko znalazła ciało Maksa. Czyli mafia albo morderca. Ale porwanie?

– Masz chwilę? – spytała Sulicha, odrywając go od kompletowania akt dla prokuratury.

– Dla ciebie zawsze. Co jest?

– Chyba ktoś chciał mnie porwać.

– Kurwa, powiedz, że żartujesz!

– Nie. W biały dzień na Chełmie.

– Nic ci nie jest?

– Nie, ale tamten może mieć pęknięte zębra – powiedziała Sara z satysfakcją.

– Dawaj, ze szczegółami!

Dużo do opowiadania nie było, a Piotr zgodził się z konkluzją Szajby: mafia albo morderca.

– Zmieniam zdanie – Lipner zrewidowała swoje poglądy. – To raczej nie miało być porwanie.

– A niby co? Przyjacielska pogawędka?

– Za dużo świadków, durne miejsce, facet za mało serca włożył w obezwładnienie mnie. Znowu chcieli mnie postraszyć, zmienili metodę. Czyli to raczej mafia.

– Czym ty pojechałaś na ten Chełm?

– Tramwajem.

– Czyli ktoś musiał jechać za tobą. Wiesz, co to znaczy?

– Uznam to za pytanie retoryczne. Ktoś musiał mnie śledzić co najmniej od wyjścia z roboty i zrobił to na tyle dyskretnie, że nie zauważyłam tego. Zresztą musiałby mi leżeć na plecach, żebym zwróciła uwagę. Co innego w samochodzie, już mi się wyrobił odruch sprawdzania, czy ktoś za mną nie jedzie. Albo jak biegam. Tramwaj i autobus wydawały mi się neutralne. Podobnie jak pełne ludzi uliczki osiedla.

– Demonstracja siły – zawyrokował Sulich.

– No to im akurat nie wyszło. Gdyby nie ten dzieciak na rowerku, tobym go miała.

– Jesteś niebezpieczna.

– Tylko jak mi ktoś podpadnie. Mam prośbę, sprawdzisz mi numery samochodu? Wolę nie od siebie.

– Jasne, dawaj!

Natychmiast po rozmowie z Piotrem Szajbą przebrała się w dres, pod luźną bluzę z kapturem włożyła szelki z kaburą i poszła pobiegać. Była tak naładowana, że wręcz chciała, żeby powtórzyła się sytuacja sprzed kilku godzin. Gdyby nie dzieciak, być może dowiedziałyby się, o co chodzi mafii albo kto stoi za morderstwem Gawrońskiego.

Matka Adama Muchy mieszkała w jednym ze starszych bloków w Brzeźnie. Do mieszkania najwyraźniej dotarła tuż przed Sarą, bo jeszcze nie zdążyła się rozebrać.

– Proszę, niech pani wchodzi, autobus mi się spóźnił – wyjaśniła.

Razem weszły do przeladowanego bibelotami pokoju, a kobieta nie traciła czasu na proponowanie kawy czy herbaty, ale od razu zapytała, o co chodzi. Po raz kolejny Lipner pokazała zdjęcie Gawrońskiego i jego kolegów i spytała, czy kobieta pamięta chłopców.

– No pewnie! To mój Adaś, jego przyjaciel Jacek Szewczyk i dwóch kolegów. Grzesiek i Janek – Mucha wykazała się dobrą pamięcią.

– Wie pani, czym się teraz zajmują?

– Adaś i Jacek wyjechali za granicę po studiach. Do Ameryki. Mój syn tam został, ale Jacek przeniósł się do Kanady. Janek niestety nie żyje. – Kobieta pociągnęła nosem. – A o Grzesku nic nie wiem, chociaż mieszka w Polsce. Zresztą o Janku też bym nie wiedziała, gdyby mi syn nie powiedział.

– Przez całe liceum trzymali się razem?

– A wie pani, że nie? Na początku owszem, ale potem to się rozluźniło. Może znaleźli innych kolegów? Nie byli już nierozłączną czwórką, jak na początku, ale Adaś i Jacek przyjaźnili się dalej, chodzili do jednej klasy. Grzesiek był spoza Gdańska i mam wrażenie, że przeniósł się do tamtejszego liceum, ale nie jestem pewna. A może to jakiś inny kolega syna? No nie pamiętam. Janek chodził do innej klasy.

– Pokłócili się?

– Nie, ale nie tworzyli już takiej zgranej paczki. Nie przesiadywali całymi dniami u siebie, nie robili wszystkiego razem. Ale dlaczego? Nigdy mnie to nie interesowało, zresztą kto nadaży za nastolatkami?

– Chciałabym porozmawiać z pani synem. Da mi pani numer telefonu do niego?

– Oczywiście. Ale musi pani poczekać z dzwonieniem.

– Dlaczego?

– Bo co roku, pod koniec kwietnia, wyjeżdżają z Jackiem i żonami na ryby. Gdzieś w zupełną głąsę bez zasięgu. Powinien wrócić pod koniec tygodnia – wyjaśniła Mucha.

Szewczykowie już czekali. Nieco zaskoczona Sara uświadomiła sobie, że rodzice kolegów Gawrońskiego rozmawiają chętnie, nie obarczają jej winą za wszystkie przestępstwa świata, nie każą zajmować się łapaniem mordercy, a nie rozmową, ani nie sugerują, że jak każdy gliniarz na pewno bierze łapówki. Powody takiego nastawienia były dwa: to nie były rodziny ofiar, a pytania dotyczyły przeszłości i wywoływały zdecydowanie mniej emocji. Szewczykowie również rozpoznali chłopców ze zdjęcia, powiedzieli o nich mniej więcej tyle, co ich poprzednicy, dali aktualny numer telefonu do syna i podobnie jak Mucha uprzedzili, że na razie Lipner nie dodzwoni się do niego.

– Podobno w pierwszej klasie trzymali się razem, a potem to się zmieniło – zapuściła sondę Szajba, wskazując na zdjęcie.

– Nie, chyba nie. Cały czas kolegowali – z lekkim wahaniem stwierdził Szewczyk. – Wie pani, to już tyle lat, nie pamiętam dokładnie.

– A ja pamiętam! Ma pani rację, coś się w ich relacji zmieniło i chyba wiem, co na to wpłynęło. – Szewczykowa dołąła Szajbie kawy. – W pierwszej klasie, podczas ferii, cała czwórka była świadkami tragedii.

– Co się stało?

– Ich kolega coś robił z ogniem, bawił się nim chyba. Ogień wymknął się spod kontroli, a oni to widzieli. Ten chłopiec był ciężko poparzony – westchnęła kobieta.

– Ale to nie żaden z tej paczki?

– Nie, jakiś znajomy i to nie ze szkoły. Nie pamiętam już, co on dokładnie zrobił, ale ogień zabił jego młodszą siostrę. Nie udało się jej uratować. A chłopcy to widzieli. Zresztą nie tylko widzieli, próbowali gasić tę dwójkę, sami byli lekko poparzeni.

– I myśli pani, że to miało wpływ na ich relacje?

– Tak mi się wydaje. Jacek i Adam cały czas się przyjaźnili, Grzesiek zmienił szkołę. Nie pamiętam, jak było z Jaśkiem, ale przestali być nierozłączną czwórką.

W drodze do pracy Szajba rozważała to, o czym przed chwilą usłyszała. Szewczykowa najprawdopodobniej miała rację. Jeżeli czas nie zatarł wspomnień ani starszej pani nie nałożyły się na siebie jakieś wydarzenia, to rzeczywiście taka tragedia mogła być powodem rozluźnienia kontaktów między chłopcami. Przypominali sobie wzajemnie o tym, co się stało, a skoro jedno dziecko było bardzo poparzone, a drugie zginęło, to te wspomnienia naprawdę były traumatyczne. Dwójka dzieci. Chłopiec i dziewczynka. Kurwa mać, czyżby to było to?!

Natychmiast po wejściu do pokoju Szajba rozłożyła na stole obrazki, które ktoś przysłał Gawrońskiemu. Przez moment przyglądała się im krytycznie.

– Masz chwilę? – spytała Adama, ściągając kurtkę.

– Mogę mieć, a co?

– Chcę, żebyś pooglądał te dziecięce rysunki.

– Dobra, to skocz po kawę, a ja się przeniosę na fotel, tak dla odmiany.

Sara położyła listy na stoliku i poszła spełnić prośbę Roszkowskiego. Gdy wróciła z kawą dla niego i herbatą dla siebie, Adam siedział już nad rozłożonymi obrazkami. Przyglądał się im wnikliwie i porównywał.

– Dzięki – mruknął, odbierając od Sary kubek. – Masz na ich temat jakieś wnioski?

– Mam. I usłyszałam dzisiaj coś ciekawego. Ale ty pierwszy.

– Zawsze dwie postacie, rysowane tak samo. Dziewczynka ma zawsze krzyżki zamiast oczu, to pewnie też celowe. Zawsze jest mniejsza. Zawsze

ma długie włosy. Nigdy nie ma nic oprócz tych postaci. Są same.

– Ciekawe, czy ta samotność ma znaczenie symboliczne, czy to tylko dlatego, że to one są ważne, a nie cokolwiek innego.

– Wybierz sobie. – Adam wzruszył ramionami. – Tu nawet psychologowi trudno byłoby coś powiedzieć, bo rysował dorosły i to w konkretnym celu.

– Jeszcze coś?

– Trzymają się za ręce. Może dlatego, że się lubili.

– Albo chłopiec miał się opiekować siostrą – podsunęła Sara.

– Chłopiec jest zawsze w spodniach, dziewczynka w spódnicy. Nie mam pojęcia, czy to specjalnie, czy po prostu schemat, niczym na kibelkach. Czy ja wiem, czy coś jeszcze? Są w takich letnich albo domowych ciuchach – zauważył komisarz.

– Tak, też zwróciłam na to uwagę, bo listy z rysunkami przychodziły w zimie. Może łatwiej zróżnicować płęć w ten sposób?

– No może.

– Coś jeszcze?

– A mało powiedziałem?

– Niby nie...

– Ale nie usłyszałaś tego, na czym ci zależało. Daj mi chwilę.

Roszkowski oglądał rysunki niczym marszand obrazy, nieomal z nosem przy papierze. Gdyby miał pod ręką lupe, to zapewne by jej użył. Potem położył dwa obrazki na sobie i przesunął je w ten sposób, że kolejno widział poszczególne fragmenty obu.

– Jeszcze jedno mi się nasuwa. Te postacie różnią się nie tylko płcią i oczami. Jedna rzecz jest nieproporcjonalna – zawyrokował, a widząc minę Szajby, roześmiał się. – Trafiłem? Dłonie chłopca są za duże, wręcz wielkie. W przypadku mniejszej postaci wszystko jest OK.

– Dokładnie tak. To teraz posłuchaj, czego się dowiedziałam.

Lipner w krótkich słowach streściła ostatnią rozmowę, tę z Szewczykami. Karykaturalnie duże dłonie mogły być zniekształcone poparzeniem.

– To teraz musisz pogadać z kumplami Gawrońskiego.

– No wyobraź sobie, wpadłam na to! – prychnęła Sara. – Dwóch siedzi w jakiejś głuszy w Stanach lub Kanadzie, jeden w Polsce, ale też ma wolne. Nie odbiera, ale matka mówi, że to u niego normalne. Muszę poczekać. Ale to nie znaczy, że nie mogę ruszyć tego poparzenia dzieciaków w inny sposób. Mam datę i ofiary, w tym jedną śmiertelną.

Do wyjścia z pracy Sara sprawdziła wszystkie pożary, jakie odnotowano w roku, gdy Gawroński chodził do pierwszej klasy liceum. Nie ograniczała się do miesięcy zimowych, bo po kilkudziesięciu latach Tomaszewskiej mogło się coś pomylić. Niestety nie było nic pasującego. Gdy zabierała się do sprawdzania okolic Gdańska, zadzwonił Piotr.

– Jeszcze jesteś w robocie?

– Tak.

– To przyjadę po ciebie.

– Nie potrzebuję niańki!

– Czasem potrzebujesz, ale nie o to chodzi, po prostu jestem w pobliżu. Skoczmy coś zjeść?

Wylądowali w jednej z licznych knajpek na Głównym Mieście.

– Jak tam wewnętrznie? Szarogęszą się? – spytała Szajba z pełnymi ustami.

– Nie mam pojęcia, strategicznie byłem poza firmą. Mam co robić w terenie. Barlicki się nie odzywał?

– Nie.

Spojrzeli na siebie porozumiewawczo. Być może policjanci z wydziału wewnętrznego przysłużyli się Sarze i przystopowali Barlickiego.

– Ale twoje zeznania mają.

– To raczej normalne, skoro ja znalazłam Piotrowskiego. I wiem, co w nich jest. Zagadką pozostaje to, co i gdzie ten gnój o mnie napisał. Nie mam dojścia do tego.

– Ja też nie. Trudno. Jak Gawroński?

– Może na coś trafiłam.

Przez chwilę omawiali sprawę Szajby, a potem przeszli na tematy prywatne. Sulich ostrożnie próbował skierować rozmowę w kierunku łączącej ich relacji. Byli nie tylko przyjaciółmi, ale nie byli parą. Tkwili niejako w zawieszaniu. Nie odpowiadało mu to, wolałby pójść dalej, wiedział jednak, że Sara sparzyła się w poprzednim związku, co komplikowało sprawę.

– Wskoczmy gdzieś na weekend? – zaproponował.

– Ten najbliższy?

Jest niezłe, pogratulował sobie w duchu Sulich. Sara nie powiedziała nie.

– Niekoniecznie, nie wiem, jaka będzie pogoda. Sakwy masz, a w nich miejsce na szczołeczkę do zębów i piżamę, możemy jechać motorem – kusił.

– Dobra, ale ty znajdujesz i rezerwujesz hotel. Albo co tam będzie ciekawego, może być domek – nieoczekiwanie zgodziła się Lipner.

Piotr popatrzył na nią nieufnie.

– A gdzie tu jest haczyk?

– Kombinuj! – roześmiała się Sara, wstając zza stołu. – Chodź, przejdziemy się po tym obżarstwie.

Tak dobrze zapowiadający się wieczór przerwał podkomisarz Jaszczur. Piotr odebrał telefon, słuchał skupiony, a potem westchnął.

– Sorry, nie mogę.

– Proza życia. Zero romantyzmu – skwitowała Lipner.

– Cholera! Sara...

– Jedź, poradzę sobie.

Sulich westchnął i prawie biegiem ruszył w stronę samochodu, a Lipner po chwili namysłu poszła jego śladem. Zdecydowała, że zamiast spacerować po Długiej i okolicy, trochę pobiega. Potrzebowała solidnej dawki zmęczenia.

W połowie trasy odniosła wrażenie, że ktoś za nią biegnie. Przyspieszyła, skręciła w najbliższą uliczkę, stanęła za drzewem, ale nikogo nie zauważyła. Po chwili ruszyła dalej, zmieniając zaplanowaną

trasę na zupełnie przypadkową. Wybierała te bardziej uczęszczane i lepiej oświetlone uliczki. Na ostatnich kilkuset metrach znowu wróciło wrażenie, że jest obserwowana. Zamarkowała, że się potyka, spojrzała w dół, zatrzymała się, przyklęła i udała, że wiąże but. Było to nieco naciągane, ale nic innego nie przyszło jej do głowy. Dyskretnie spojrzała w tył i na boki, ale nie zauważyła niczego niepokojącego. Co jest grane? Cierpi na manię prześladowczą?

Już leżąc w łóżku, pomyślała, że wytłumaczenie jest jedno. Ktoś wie, którędy biega, zgubił ją, gdy zmieniała trasę, więc czekał w okolicy bloku. A to było niepokojące.

Sprawdzanie ofiar pożarów zajęło Szajbie nadspodziewanie dużo czasu. W wielu przypadkach musiała rozmawiać i ze strażakami, i z osobami, które zajmowały się prowadzonymi w sprawie pożarów dochodzeniami. Od czasu, gdy poparzeniu uległa dwójka dzieciaków, minęło kilkadziesiąt lat, więc nie było to łatwe, a część strażaków czy dawnych milicjantów po prostu już nie żyła.

Próbując się dodzwonić do kolejnej osoby, tym razem byłego strażaka, Sara zastanawiała się, w jaki niebudzący podejrzeń sposób przejrzeć akta sprawy, która doprowadziła do śmierci Wątróbki. Sama pytać nie powinna, Piotr też nie, Adam postara się dojść do innych spraw Sławka. Żeby poprosić kogoś o przysługę, musi ją uzasadnić, a im mniej osób wie, co robi, tym lepiej.

- Przepraszam - ocknęła się z zamyślenia, gdy mężczyzna po drugiej stronie telefonu zaczął się już niecierpliwić. Przedstawiła się i wyjaśniła, o co chodzi.

- Dwójka dzieci?

- Rodzeństwo, dziewczynka zmarła.

- Pamiętam. To było w Pruszczu, w takim niewielkim domu jednorodzinym z garażem i szopą stojącą na podwórku. Tam było więcej dzieci, gówniarze bawili się ogniem. Nie pamiętam już dokładnie, to było dawno - kolejna osoba zasłoniła się upływem czasu - ale chyba ubranie

dziewczynki zajęło się ogniem, brat próbował je zgasić, poparzył się, reszta dzieciaków gasiła ich oboje, też byli lekko poparzeni. To była wielka tragedia.

Poparzone rodzeństwo, więcej dzieciaków poszkodowanych i odpowiednia data. Szajba wiedziała, że trafiła na bardzo obiecujący trop.

– Masz coś? – zainteresowała się Ostróżka, która akurat weszła do pokoju, przynosząc coś Roszkowskiemu.

– Cholera, aż tak widać?

– Owszem.

– Miałam rację, facet nie cierpiał na manię prześladowczą. Wiem już, o co chodziło. Ktoś go nękał w związku z pożarem, a właściwie zabawą ogniem, której był świadkiem jako nastolatek.

– To chyba nieco naciągane... – zaczęła Ostróżka, ale ku jej zaskoczeniu wtrącił się Roszkowski.

– Ja uważam, że nie, chociaż nie wiem, czego Sara dowiedziała się przed chwilą.

– Nastoletni Gawroński i jego koledzy bawili się ogniem, nie oni pierwsi i nie ostatni. Ale rzadko kiedy w wyniku zabawy dzieciaków jedna osoba ginie, a druga jest ciężko poparzona. A popatrz na te rysunki.

Lipner pokazała szefowej obrazki, które dostał Jan Gawroński, i opowiedziała wszystko, co wie o jego kolegach i pożarze. Dużo tego nie było, dopiero przed chwilą poznała nazwisko ofiar.

– Może coś w tym jest – Dagmara była ostrożna.

– Może?

– Dużo czasu upłynęło pomiędzy pożarem a momentem, kiedy Gawroński zaczął zauważać te dziwne rzeczy. Zemsta po latach? Dlaczego nie od razu? Gniew raczej wygasa, a nie wzmaga się. Informuj mnie.

Za Ostróżką zamknęły się drzwi, a Szajba przyznała jej w duchu rację. Z upływem lat gniew, rozgoryczenie czy chęć zemsty powinny mijać, a nie eskalować. Poza tym uczestnicy wydarzeń robią się coraz starsi, mniej sprawni, co również trzeba wziąć pod uwagę. Chyba że... Chyba że zdarzyło się coś, co uaktywniło mordercę Jana Gawrońskiego.

Sara stosunkowo szybko ustaliła, kto zajmował się tą sprawą, i umówiła spotkanie. Niestety rozmowa telefoniczna była wykluczona, emerytowany komisarz Marek Wrona był prawie głuchy, a krzyczenie do słuchawki nie zdawało egzaminu. Były gliniarz mieszkał w falowcu i, jak to określił, z utęsknieniem czekał na młodszą koleżankę po fachu.

Idąc wzdłuż falowca, po raz nie wiadomo który pomyślała, że gdyby przyszło jej tu mieszkać, to od razu zaczęłaby szukać innego mieszkania. Nie tęskniła do wolnostojącego domku ani nawet do szeregówki, dwupokojowe mieszkanie w zupełności jej wystarczało. Niby też w bloku, ale co innego zwykłe osiedle, a co innego falowiec. I te zewnętrzne galeryjki, którymi sąsiedzi mogą przejść i zajrzeć, co się, na przykład, gotuje.

Drzwi otworzył jej starszy łysy mężczyzna z kilkunastu dniowym zarostem i dobrze rozwiniętym mięśniem piwnym. Stara koszula w kratę i wypłowiałe jeansy z plamami po jakimś smarze kontrastowały z prawie nowymi futrzastymi kapturkami, chyba pandami.

– To prezent od wnuczki – wyjaśnił Wrona, widząc spojrzenie Sary. – Całkiem wygodne. Chodźmy do kuchni, nie chce mi się nosić kubków.

Szajba posłusznie poszła za ekskomisarzem. Kuchnia była mała, zagracona, w zlewie piętrzyły się naczynia, ale stół i blaty były czyste. W powietrzu unosił się zapach papierosów, na parapecie stała popielniczka, obok leżały papierosy i zapalniczki. Wrona bez pytania postawił przed Sarą kubek sypanej kawy, nawet nie proponując mleka czy cukru.

– Archiwum X – mruknął i siorbnął z kubka.

Co prawda mógł to wywnioskować po tym, że pytała o starą sprawę, ale Szajba była pewna, że zanim dojechała, Wrona zdążył już zasięgnąć o niej informacji.

– Tak wyszło – powiedziała głośno i wyraźnie.

– Słyszę, słyszę – uśmiechnął się Wrona, a Lipner zrobiło się głupio. – Mam aparat, ale jak rozmawiam przez telefon, to to ustrojstwo głównie

szumi i piszczy, muszę go wymienić. Dlaczego Archiwum? – nawiązał do poprzedniego stwierdzenia.

– Wie pan, że partner zmarł mi na rękach – zagrała w otwarte karty.

– Wiem. I nie lubię być panem.

– Jasne. Byłeś ranny?

– Tak, dwa razy.

– Ja raz, nie licząc zadrapań nożem. To by mnie nie ruszyło, tak sądzę, Ale to, że nie mogłam pomóc partnerowi, tak. Karetka nie zdążyła.

– Nie chcesz powtórki.

– Nie chcę.

– Słyszałem o tobie, dobra jesteś.

– W Archiwum też są sprawy, które trzeba rozwiązać. Mordercy są na wolności, a bliscy czekają na wyjaśnienia.

– To brzmi jak kiepska agitacja, ale właściwie masz rację. Dobra, twoja sprawa, gdzie pracujesz. Co chcesz wiedzieć?

– Wszystko o tamtej sprawie. Znam nazwisko, ale wiem tylko, że zginęła dziewczynka, a jej brat był ciężko poparzony.

– Zosia i Mateusz Tralka. Pamiętam, takich rzeczy się nie zapomina. Dziewczynka była tak poparzona, że nie udało się jej uratować, podobno siedemdziesiąt procent ciała i drogi oddechowe. Zmarła w szpitalu. Chłopak miał bardzo poparzone dłonie, trochę twarz i chyba klatkę piersiową. Wykaraskał się. Reszta smarkaczy też miała poparzone ręce, ale niezbyt mocno.

– Jak to było? Prowadziłeś śledztwo, było jakieś podejrzenie? – Lipner zawiesiła głos.

– Nie, ale mała zginęła, więc trzeba było wszystko sprawdzić. Paskudna sprawa...

Wrona wrócił pamięcią do wydarzeń z zimy tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego piątego. Podczas ferii piątka nudzących się chłopców na podwórku koło domu Tralków zrobiła sobie miotacz ognia z dezodorantu i postanowiła go użyć. I nie chodziło o sprawdzenie, jak daleko sięgnie płomień, a przetestowanie własnej roboty kombinezonu ochronnego.

Kombinezon miał na sobie Mateusz Tralka, a „miotaczem ognia” operował Jan Gawroński. Pozostali chłopcy się temu przyglądali. Nagle strój Tralki zaczął się palić, a jego koledzy na moment zamarli przestraszeni, za to na podwórko wbiegła sześćioletnia Zosia. W rękach miała stary koc, który wzięła z garażu. Chcąc ugasić ogień sposobem podpatrzonym na filmach, zarzuciła na brata przykrycie.

– Przytomny dzieciak – zauważyła Szajba.

– Niby tak. Ale nie wzięła pod uwagę, że to koc, który ojciec rozkładał na ziemi, gdy naprawiał samochód.

– Benzyna...

– I nie tylko. Olej napędowy i smar. Koc natychmiast zajął się ogniem, chłopak zrzucił go z siebie i tarzał się po śniegu, bo tak mu radzili koledzy. I może wszystko nie skończyłoby się aż tak źle, ale ogień przeskoczył na kurtkę Zosi, taką grubą z kapturem. Z jakiegoś łatwopalnego materiału. Czwórka chłopców, z wyjątkiem brata, rzuciła się gasić dziewczynkę, ale byli bezsilni. Podobno płonęła jak pochodnia.

– Rany boskie...

– Pech. – Wrona zapalił papierosa i otworzył okno. – Widziałem kiedyś, jak iskra z ogniska trafiła na taki koc. Po chwili zapalił się cały, dobrze, że nikt nie ucierpiał.

– Kurwa!

– No dokładnie. Dzieciak nie miał szans. Chłopcy przewrócili ją na śnieg, zaczęli turlać, posługując się głównie nogami, bo ręce od razu sobie poparzyli. Mateusz, sam poparzony, chciał z niej ściągnąć palącą się czapkę, zeszła mu przy tym skóra z dłoni. A wszystko to trwało może ze dwie minuty. Gdy z domu wybiegła matka, nie było już płomieni. Wezwała pogotowie. Do przyjazdu karetki trzymała córkę w wannie z zimną wodą.

– Biedne dzieciaki.

– Kurewski zbieg okoliczności – westchnął komisarz. – Wielu chłopaków robi takie miotacze płomieni i nic się nie dzieje. Mateusz spędził kilka miesięcy w szpitalu, wyszedł, dłonie miał zmasakrowane. Najpierw zrywał koc z siebie, potem czapkę z siostry. Chciał uratować jej twarz. Poparzenia reszty nie były aż tak duże.

– Wiesz, co się potem działo z tymi dziećmiakami?

– Nie mam pojęcia. Jedynie to, że nikt nie został o nic oskarżony, to był nieszczęśliwy wypadek. Naprawdę sądzisz, że śmierć Gawrońskiego jakoś się z tym wiąże? Po tylu latach?

– Istnieje taka możliwość – powiedziała oględnie Lipner. – Muszę to sprawdzić, wiesz jak jest.

– Czyli po prostu nie masz lepszego pomysłu – podsumował Wrona i zapalił kolejnego papierosa. – Nie mógłbym pracować w Archiwum. Wolę świeży trop, twarde zeznania i żyjących świadków. Jest się na czym oprzeć, są konkrety. A nie takie wróżenie z fusów. Gonisz za duchami.

– Czy ja wiem? Tylko Gawroński nie żyje. Jak się zachowywały te dzieciaki?

– Byli przerażeni, na pewno nie przewidywali, że zabawa może się tak skończyć.

– A rodzice poszkodowanych?

– Nie dawało się z nimi rozmawiać. – Komisarz wzruszył ramionami. – Szok, strach, niedowierzanie i co tylko chcesz. Pojechali z dziećmi do szpitala, rozmawiałem tylko telefonicznie. Sprawa była jasna, nie musiałem ich dręczyć. Różne rzeczy widziałem, ale te dzieciaki... Ja pierdołę, do dzisiaj nie zapomniałem tych zdjęć. Dziewczynka cała poparzona, potem w bandażach. Ona naprawdę prawie nie miała skóry. I dłonie jej brata, które wyglądały jak strzępy mięsa. – Wrona zaciągnął się, a potem zgasił papierosa.

Pogadali jeszcze chwilę, ale Lipner więcej się już nie dowiedziała. To był nieszczęśliwy wypadek, a nie morderstwo, więc sprawa została szybko zamknięta.

Szajba zamówiła ubera i wróciła do biura. Kolejnym ruchem było spotkanie z Mateuszem Tralką, jego rodzicami lub krewnymi, a także ponowne rozmowy z rodzinami „muszkieterów”.

– Minę masz smętną – zauważył Roszkowski zbierający się do wyjścia.

– Te dzieciaki rzeczywiście były ofiarami, z tym że nie tyle pożaru, co zabawy z ogniem. Wrona do dzisiaj łąpczywie zaciąga się papierosem, jak

to sobie przypomina.

– Nie dziwię się. Dwa razy miałem do czynienia ze skwarkami. W jednym przypadku ciało było prawie zwęglone, zastygnięte w pozycji bokserskiej, w drugim upieczone. Kobieta się udusiła. Tego nie da się odzobaczyć. – Roszkowski podjechał do drzwi. – Chłopak żyje? Zgodnie z rysunkiem?

– Owszem. Zaraz spróbuję się ze wszystkimi poumawiać.

– Powodzenia, to nie będą fajne rozmowy. – Komisarz wyjechał z pokoju.

Szajba doskonale zdawała sobie z tego sprawę. Co innego luźne wspomnienia rodziców „muszkietarów”, których synowie zostali jedynie niegroźnie poparzeni, a co innego wypytywanie poparzonego podczas zabawy mężczyzny i jego bliskich. Mimo upływu lat wspomnienia mogą być bardzo żywe, a blizny na rękach Mateusza Tralki na pewno nie dają zapomnieć o tamtych wydarzeniach. Szajba odruchowo dotknęła blizny na nodze będącej pamiątką po strzelaninie, w której zginął Wątróbka.

Właśnie! Sławek i ich ostatnia sprawa. Chyba miała pomysł, kogo o nią dyskretnie podpytać. Razem z nimi przy tym dochodzeniu pracował aspirant Szlesiński, którego wszyscy chętnie wykorzystują do sprawdzania rozmaitych rzeczy w terenie, bo jest w tym naprawdę dobry. Dzięki temu jest jednym z tych, którzy doskonale widzą, co się dzieje w komendzie. Nie namyślając się dłużej, umówiła się z nim na piwo jeszcze tego samego dnia. Pretekstem była chęć obgadania morderstwa Piotrowskiego, co aspiranta nie zdziwiło, bo doskonale wiedział, kto znalazł Maksa.

Z rodziną Tralków nie poszło Lipner tak dobrze. Rodzice Mateusza i Zosi nie żyli, co nie było dziwne, bo mieliby koło osiemdziesiątki, a on sam przebywał w zakładzie psychiatrycznym. Trafił tam zaledwie dwa lata po poparzeniu i mimo kilkukrotnych prób życia poza psychiatrykiem zawsze tam wracał. Nie był to cały czas ten sam zakład, Tralka co jakiś czas z rozmaitych względów był przenoszony, ale obecnie znajdował się na Srebrzysku. Ponad pięćdziesięcioletni mężczyzna wydawał się z tym pogodzony, a w każdym razie tak stwierdziła jego kuzynka podczas krótkiej rozmowy telefonicznej. Zaskoczona Sara dowiedziała się od niej,

że Tralkowie mieli jeszcze jedno dziecko, syna, który urodził się pod koniec tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego piątego roku. Miał trzydzieści siedem lat, tyle, ile minęło od tragicznej zabawy ogniem.

Wieczorne spotkanie ze Szlesińskim początkowo nie zapowiadało żadnych rewelacji. Szajba dowiedziała się tego, co i tak już wiedziała o Piotrowskim, przyjęła coś w rodzaju wyrazów współczucia, że to jej przypadło w udziale znalezienie ciała Maksa, i usłyszała kilka słów o Barlickim.

– Wszyscy mają teraz ubaw, bo wewnątrzni patrzą mu na ręce.

– Przy okazji nie tylko jemu, więc się tak nie ciesz.

– A tam! Mnie mogą patrzeć, mam to w dupie – oświadczył aspirant. – W nic nie jestem wplątany, więc pierdolę, co oni robią. Z tobą gorzej.

– Oszalałeś? Niby dlaczego?

– Bo znalazłaś Piotrowskiego.

– A to jest równoznaczne z tym, że go zabiłam? Nie pierdol głupot! – wściekła się Szajba.

– To rozpowszechniana na prawo i lewo opinia Barlickiego.

– Już widzę, jak ktoś w to wierzy.

– Wierzy czy nie, ale ten kretyn jest za coś cięty na ciebie i pięciu groszy nie dam za to, czy cię nie wystawi smutasom – ostrzegł Szlesiński.

– Mam nadzieję, że nie, bo nie mam czasu ani ochoty na przepychanki.

– Nie moja sprawa, ale czemu się nie lubicie?

– Ja mam go w dupie – wzruszyła ramionami Lipner. – Gdyby mi nie bruździł, tobym się nie odgryzała. A próbuje podłożyć mi świnię już od jakiegoś czasu. Chyba jeszcze przed tą feralną sprawą próbował – Sara naprowadziła aspiranta na interesujący ją temat.

– Nie lubili się z Wątróbskim, a Barlicki uważał, że sprzątnęliście mu sprzed nosa sprawę, na której mógł wypłynąć. Wreszcie. Bo on czeka na jakieś dochodzenie, które spowoduje cholera wie co. Awans o trzy stopnie, medal albo przeniesienie do rajy z hurysami.

- To dlatego czepia się mnie o tamto. Idiota, przecież to zamknięta sprawa. - Szajba postarała się, żeby zabrzmiało to szczerze i dołożyła wzruszenie ramionami.

- Zamknięta - zgodził się Szlesiński, ale w jego głosie brak było przekonania.

- Co jest? Wiesz coś? Nie ja ją kończyłam, bo leżałam w szpitalu - przypomniała Lipner. - O co biega?

- Dokładnie nie wiem - odpowiedział aspirant, ale widać było, że wie o czymś istotnym.

- Dawaj, co wiesz! Pracujesz przy tylu sprawach, że jesteś istną skarbnicą wiedzy.

- Owszem, ale nie kłapię pyskiem na prawo i lewo.

- Ja też nie, poza tym Sławek był moim przyjacielem, nie tylko partnerem - przypomniała Szajba. - A dodatkowo nie cierpię Barlickiego.

- Nie wiem, czy Wątróbski nie miał jakichś kłopotów - wyznał niechętnie Szlesiński. - Nie chodzi nawet o tę ostatnią sprawę, ale wcześniej. Wiesz, że ja głównie w terenie pracuję, nie?

- Serio? Wyglądam, jakbym miała sklerozę?

- Retorycznie spytałem. Czasem słyszę rozmaite rzeczy, które nie mają związku z bieżącym tematem. Wiesz, jak to jest, nie mogę ich wszystkich wykorzystać, a niektóre są błahe. Albo niesprawdzone, takie plotki. Bywa i tak, że nikt nie mówi nic konkretnego, ale wyczuwa się atmosferę, wiesz o czym mówię?

- Wiem.

- Parę razy obilo mi się o uszy nazwisko Sławka w takim kontekście, że się zdziwiłem.

- Ależ ty cykasz informacjami! Dawaj, Wątróbka nie żyje, nie zaskodzisz mu.

- Ale ty żyjesz - zauważył rozsądnie Szlesiński - i tobie mogłoby. Nigdy wcześniej nie słyszałem, a dużo różnych rzeczy słyszę, żeby mafia wycierała sobie gębę Wątróbskim. Dopiero jakiś czas przed tym, jak go ten gówniarz zastrzelił. Powiem ci, że mnie to zaskoczyło.

- Mnie też. Coś konkretnego usłyszałeś?
- Nie. A dopytywać nie miałem jak. Ale uważaj na wszelki wypadek.
- Kurwa! Nie wiadomo, dlaczego zginął Piotrowski.
- Ale ty go znalazłaś. Jeżeli Barlicki słyszał coś o Wątróbce...
- Dobra, nie musisz kończyć. Będę się miała na baczności. No co za gnida! A swoją drogą, ciekawi mnie, komu się Maks naraził. Lubiłam go...

Rozdział dwunasty

Jeszcze wieczorem Sara postanowiła, że najpierw porozmawia z jednym z „muszkietarów”, Grzegorzem Tomaszewskim, a dopiero potem z bratem, rodziną czy znajomymi Mateusza Tralki. Wolała wiedzieć, co o tragicznych wydarzeniach sprzed lat myśli i mówi jeden z ich uczestników. Taki, który nie jest ofiarą. To, że z Tomaszewskim nie było kontaktu, nie musiało oznaczać, że jest w głuszy poza zasięgiem, mógł po prostu siedzieć w domu i nie odbierać telefonów, rozkoszując się urlopem. Nie mieszkał daleko, bo w jednej ze wsi położonych tuż przy granicach miasta. Nie chciało jej się tłuc autobusem, zdecydowanie lepiej było pojechać własnym środkiem transportu, najlepiej samochodem. Telefon do warsztatu sprowadził ją na ziemię. Auto miało być do odebrania w poniedziałek lub wtorek. Zostawał motocykl.

Uprzedziła Ostrózkę, że będzie później, bo jedzie pogadać ze świadkiem, i w piątek rano pojechała do Tomaszewskiego. Należący do niego dom stał na skraju wsi, w pewnym oddaleniu od sąsiadów. Był dosyć stary, parterowy z mieszkalnym poddaszem i niespecjalnie zadbanej, podobnie jak obejście. Przy domu stała pusta buda, pod drzewem zaś audi, które kontrastowało z resztą otoczenia – o samochód Tomaszewski dbał.

Lipner rozejrzała się dookoła w poszukiwaniu właściciela posesji lub jego psa, a potem przeszła przez podwórko i zadzwoniła do drzwi. Bez efektu, dzwonek najwyraźniej był zepsuty. Zapukała, ale nie wywołało to żadnej reakcji. Przyłożyła ucho do drzwi, cisza. Obeszła dom dookoła, zajrzała w dostępne jej okna i wróciła pod drzwi. Zapukała, a właściwie załomotała ponownie.

– A pani to co się tak dobija? – doleciał ją głos z drogi.

Szajba obejrzała się i pogratulowała sobie w duchu. Zza płotu przyglądała się jej z ciekawością zażywna kobieta w średnim wieku. Coś w niej było takiego, że Sara od razu uznała, że właśnie trafiła na świetne źródło informacji.

– Dzień dobry – powiedziała przyjaźnie. – Przyjechałam porozmawiać z Tomaszewskim, ale zdaje się, że nie ma go w domu.

– Dzień dobry. A pani to znajoma jakaś?

– Nie, z policji. – Sara się wylegitymowała.

– O Jezusie złociutki, a co też pani od Grzesia chce? To dobry człowiek.

– A czy ja mówię, że nie? Nawet najlepszy może być przypadkowym świadkiem.

– A to akurat prawda, sama kiedyś widziałam, jak złodziej ze sklepu uciekał. Ale dopiero potem się okazało, że to złodziej, bo inaczej od razu zaczęłabym krzyczeć...

– A sąsiad do spokojnych należy czy wręcz odwrotnie?

– Grzeczny i nawet sympatyczny. Ale odludek, z pięćdziesiąt lat ma jak nic, a kobiety sobie nie znalazł, sam mieszka.

– Z psem. – Lipner spojrzała na budę.

– Misiek zdechł już z rok temu.

– Kiedy Tomaszewskiego najłatwiej zastać?

– Przeważnie po południu, jak z roboty wróci, on w Gdańsku pracuje. Pole dzierzawi.

– Teraz ma urlop – wyjaśniła Szajba.

– To nie wiem. – Kobieta wzruszyła ramionami. – Ale powiem pani, że jak tak pomyślę, Grzeska już kilka dni nie widziałam. A dzwoniła pani?

– Nie odbiera.

– No to pewnie wyjechał. Ale jak pani chce, to niech pani czeka.

Nie czekając na odpowiedź, kobieta odwróciła się i odeszła w kierunku, z którego przyszła. Lipner jeszcze raz obeszła dom, poświęcając oknom więcej uwagi. Niestety mimo wysiłku nie udało się jej nic zobaczyć. Co jakiś czas dzwoniła do Tomaszewskiego i nasłuchiwała. Melodyjkę ze Szczęk usłyszała, gdy kończyła obchód. Dźwięk dobiegał z za

uchylonego okna na poddaszu. Telefon był zatem w domu, ale co z właścicielem? Musiałby być głuchy, żeby nie wkurzała go dzwoniąca co chwilę komórka.

Poważnie zaniepokojona Szajba uważnie przyjrzała się zamkowi w drzwiach. Nie był skomplikowany, poradzi sobie z nim bez problemu, a wytrychy ma w plecaku. Zawahała się. Instynkt podpowiadał jej, że coś jest nie tak i należy jak najszybciej sprawdzić, czy Tomaszewski nie leży w środku nieprzytomny albo nawet martwy, ale ten sam instynkt kazał jej cofnąć rękę już sięgającą do plecaka. Kurwa mać! Nie może przecież dowalić roboty technikom, a przez ściany nie przeniknie.

– A pani dalej czeka? Nie warto. – Poznana wcześniej kobieta tym razem jechała gdzieś na rowerze.

– Telefon dzwoni – wyjaśniła Sara. – Gdyby wyjechał na dłużej, to pewnie by zabrał.

– Ano tak, każdy teraz z telefonem chodzi. Albo pilnuje dzieci, albo rodziców, a potem to jego pilnują, czy się nic nie dzieje.

– Ma pani rację, dlatego się niepokoję. Z kim Tomaszewski był najbliższy? Bo może mu klucz zostawił?

– Klucz jest u Aliny, znaczy u Sikorskich, to tamten dom. – Kobieta rzeczywiście była niezłe zorientowana, co się na wsi dzieje. – Kiedyś im dał, po tym jak gdzieś wyjechał, a w domu pękła rura i wszystko zalała. Żeby wejść, trzeba było wyważyć drzwi.

Służbowa legitymacja ułatwiła zdobycie klucza, ale Lipner nie mogła pozbyć się wścibskiej sąsiadki, która postanowiła sprawdzić, co też policja znajdzie w domu Tomaszewskiego. Dopiero wyraźny nakaz zatrzymał kobietę w progu domu, a właściwie tuż przed nim.

– I niech pani nie przyjdzie do głowy dotykać czegokolwiek – uprzedziła Sara.

Weszła do przedpokoju, zajrzała do kuchni i pokoju i zamiast pójść dalej, przystanąła przy schodach. No kurwa mać! Znowu ten zapach, którego nie da się pomylić z żadnym innym. Biorąc pod uwagę, że dochodził z góry, a telefon Tomaszewskiego był właśnie tam, trudno

przypuszczać, żeby rozkładało się mięso kupione na pieczeń. Lipner wróciła do drzwi.

– Niech pani idzie do domu – poleciła kobiecie i zamknęła jej drzwi przed nosem.

Wyciągnęła z plecaka jednorazowe rękawiczki i ochraniacze na buty i starając się nie dotykać niczego – oprócz podłogi – weszła po schodach. Może przesadzała i Tomaszewski zmarł na przykład na serce, ale jakoś nie chciało jej się w to wierzyć. Wchodzeniu na górę towarzyszyło coraz głośniejsze bzyczenie much. Ciało znalazła w łazience i aż cofnęła się na jego widok. Nie dość, że smród odrzucał, to i owady zrobiły swoje. Na zwłokach kłębiły się larwy, głównie na głowie i szyi. W ręku Tomaszewskiego wciąż tkwiła brzytwa, znak, że to właśnie tego narzędzie użył, podcinając sobie gardło. A w każdym razie morderca chciał, aby tak to wyglądało.

– Ja pierdołę...

Raczej wykluczone było, żeby ktoś, kto podciął sobie gardło, ułożył się potem spokojnie na ziemi, cały czas ściskając w ręku narzędzie, którego użył do popełnienia samobójstwa.

Sara wycofała się pod drzwi wejściowe. Zgłosić drogą oficjalną czy po kumotersku przez Sulicha? Może by się udało, żeby dostał tę sprawę?

– Jestem w domu Tomaszewskiego – powiedziała natychmiast, gdy Piotr odebrał.

– Wrócił?

– Nie. Nigdzie nie wyjechał. Leży we własnej łazience z podciętym gardłem.

– Kurwa! No ja pierdołę, i oczywiście ty musiałaś go znaleźć!

– To mój świadek! Jak to sobie wyobrazasz? Mam unikać świadków, którzy nie odbierają telefonu, żeby przypadkiem nie znaleźć zwłok? Popierdzieliło cię?

– Jak tam wlaźłaś?

– Normalnie, sąsiadka miała klucze. Nikt ze mną nie wchodził. Gadam z domu, bo jak znam życie, to ta kobieta waruje na wycieraczcze, żeby się

dowiedzieć, o co chodzi. Dasz radę przejąć tę sprawę?

– Nie. Ale Miszta zaczął być bezrobotny, pewnie jemu stary to przydzielili. Dzisiaj ma urlop, mogę spróbować tak to rozegrać, że ja przyjadę, a jutro mu wszystko przekażę. Zaraz pogadam ze starym.

Podkomisarz Konrad Miszta zapowiadał się całkiem nieźle, a jedyne, co do tej pory mu zarzucano, to małomówność. I bardzo dobrze, nie poleci rozpowiadać po komendzie, że Sulich podpytywał go o śledztwo w sprawie Tomaszewskiego.

Szajba wyszła z domu, a otwierając drzwi, prawie przewróciła stojącą tuż pod nimi sąsiadkę.

– Mówiłam, żeby poszła pani do domu – przypomniała.

– E tam! Niech pani powie, co się stało, bo jakby nic, to nie zamykałaby pani drzwi i nie dzwoniła nigdzie.

Najwyraźniej kobieta tkwiła z uchem przy drzwiach. Lipner przeniosła wzrok na drogę i zobaczyła tam kilkoro sąsiadów – najwyraźniej wieść o tym, że coś się dzieje w domu Tomaszewskiego, już się rozeszła po wsi.

– Tomaszewski nie żyje – Sara powiedziała to, czego i tak ludzie mieli dowiedzieć się niedługo. – Zaraz przyjedzie ekipa śledcza. Proszę wyjść z posesji.

– A pani zostaje?

– Owszem, ale ja jestem z policji.

Odprowadziła Sikorską do furtki, prawie wypchnęła ją za płot, wróciła pod drzwi i po chwili wahania przysiadła na schodkach. W pierwszej chwili nie chciała zapaskudzić ewentualnych śladów, ale potem uznała, że przez kilka dni na pewno ktoś już tu był, a poza tym niedawno padał w nocy deszcz. Szanse, że technicy znajdą coś użytecznego na tym miniaturowym ganku była bliska zeru.

Szajba patrzyła na pola przed sobą, ale widziała zupełnie co innego. Najpierw zwłoki Tomaszewskiego, a potem młodej kobiety, zamordowanej ponad dziesięć lat temu. Wtedy morderca też chciał, aby śmierć wyglądała na samobójstwo. Lekarz, gdy tylko zobaczył zwłoki, zaczął w to wątpić. Brzytwa powinna wypaść kobiecie z ręki w momencie, gdy przewracała

się na ziemię lub gdy straciła przytomność. Owszem, dłoń może się tak ułożyć – na przykład przygnieciona ciałem – że narzędzie nadal będzie w niej tkwiło, ale nie w tych przypadkach. Szajba była prawie pewna, że ma do czynienia z morderstwem upozorowanym na samobójstwo. A skoro tak, to czy Tomaszewski zginął z tego samego powodu co Gawroński? A jeżeli założyć, że tak, to dlaczego teraz? Bo wznowiono śledztwo?

Piotr, a zaraz po nim reszta ekipy, przyjechał po prawie godzinie. Stary zgodził się na jego propozycję, żeby dzisiaj to on pojechał na miejsce zdarzenia, a śledztwem od jutra zajął się Miszta.

– Jak tam na górze wygląda?

– A jak ma wyglądać? Kilkundniowy nieboszczyk w towarzystwie larw i much. Było dużo krwi, to się zleciały z całej okolicy. Kurwa, ktoś mi sprzątnął świadka! – westchnęła Sara.

– Może to przypadek?

– A w Mikołaja też wierzysz? Ruszyłam świadków, którzy do tej pory nie byli przesłuchiwani w sprawie Gawrońskiego. Może rzeczywiście trafiłam i morderstwo wiąże się z poparzeniem dzieci.

– Albo masz pecha.

– I co? Tak zupełnie przypadkiem trafiłam? Chyba sam w to nie wierzysz...

Lipner przerwała na chwilę, żeby zamienić kilka słów z technikami, potem wróciła do rozmowy. Czekając na przyjazd ekipy, zdążyła sobie wszystko przemyśleć i jako motyw na prowadzenie wychodziło to, że zaczęła grzebać w starej sprawie.

– Myślisz, że on mógł coś wiedzieć? I siedział cicho?

– Nie skojarzył. Poza tym nie utrzymywali kontaktów. Elementem wiążącym jest morderca. Albo rozmawiałam bezpośrednio z nim...

– Albo on zna jednego z twoich świadków.

– Niekoniecznie jednego. Jeden, nieco już przechodzony, leży tam. – Szajba machnęła ręką w stronę domu. – Może jest i drugi, ten, od którego dowiedział się o wznowieniu śledztwa.

– Fakt – przyznał Piotr i zarządził: – Spadaj stąd, nie masz co się zbytnio pokazywać przy nowych sprawach. Im cię mniej, tym lepiej.

– Nie przesadzasz?

– Najwyżej odrobinę. To prawda starsza niż bursztyn, że czasem lepiej nie wywoływać ciekawości. A załóż się, że zaraz kogoś zaciekawi, dlaczego to znowu ty wlaźłaś na trupa.

– Bo pracuję – warknęła Szajba. – Ale dobra, kapuję. Nie będę kłuć w oczy i zaraz zniknę. Zadzwoń, jak już tu skończycie.

Była zła, bo najchętniej poczeakałyby i pogadała od razu z technikami. Niechętnie wyszła z obejścia Tomaszewskiego, wsiadła na motor i odjechała. Zgromadzeni gapie na chwilę oderwali wzrok od tego, co się działo na podwórku, i z ciekawością przyglądali się odjeżdżającej policjantce. Będą mieli o czym rozmawiać.

Śmierć Tomaszewskiego pokrzyżowała jej plany. Na spotkania z rodziną Tralków nie pójdzie bogatsza o informacje pochodzące od jednego ze świadków tragedii. Czowała, że motyw morderstwa Gawrońskiego tkwi w przeszłości, a dokładniej – jest związany z tragiczną zabawą ogniem. Należało go szukać w czasach, gdy „muszkietierowie” i d’Artagnan stanowili zgraną paczkę.

– Ale ci się przeciągnęło – zauważył Adam, gdy Sara weszła do ich wspólnego pokoju.

– Nawet nie mów!

– Tomaszewski był w domu? – Komisarz był doskonale poinformowany, najwyraźniej Ostróżka powiedziała mu, dlaczego Lipner przyjedzie później.

– Tak, od kilku dni tkwił bez ruchu w tym samym pomieszczeniu. Znowu zapach mnie do zwłok doprowadził – mruknęła Sara.

– O kurwa! Poważnie?

– Nie, tak się wydurniam. Piotrek z ekipą już tam siedzi, czekałam na nich.

– Drzwi były otwarte? – spytał Roszkowski, delikatnie mrużąc oczy. Już zdążył poznać Szajbę i wiedział, że byle co jej nie powstrzyma.

– Nie musiałam się włamywać, sąsiadka miała klucze.
– Skąd ci w ogóle przyszło do głowy, że jest w domu?
– Zadzwoiłam, było słychać sygnał przez okno.
– Miałaś fart, że komórka mu się nie rozładowała.
– Może akurat miał podłączoną do ładowarki. Nieważne, grunt, że usłyszałam.

– Naturalnie czy ktoś mu pomógł?

– Według mnie to drugie, bo jednak trudno poderżnąć sobie gardło brzytwą i wywalić się na plecy, nie wypuszczając jej z ręki.

– Może to płytka rana? I padał, będąc jeszcze świadomym. A palce zacisnął ze strachu.

– Co do rany to się kłócić nie będę, larwy utrudniały widoczność. Zaciśnięte kurczowo palce według mnie i tak by się rozwarły po śmierci. Ułożenie dłoni i brzytwy byłoby chyba inne. Ale niech się technicy wypowiedzą, ja spekuluję. No dobra, widziałam już coś takiego i to było morderstwo.

– A zmieniając temat, chyba będę miał dojsście do niektórych spraw Wątróbki – pochwalił się Adam.

– Jak?

– Coś mi od razu zaświtało, ale musiałem sprawdzić. Jest u nas sprawa, która ma pewne podobieństwa do jednej ze spraw Wątróbki. Zbliżony modus operandi. Od tego zacznę, a potem poszukam innych podobieństw. Albo domniemanych podobieństw.

– Nie możesz sprawdzać tylko tego, co prowadził Sławek – ostrzegła Lipner.

– Owszem. Tak więc to potrwa. Z Ostrózką już gadałem, powiedziałem, że przyszedł mi nowy pomysł do głowy, więc dobrze by było sprawdzić.

– Tylko ostrożnie.

– I kto to mówi?! – Roszkowski roześmiał się i wstał zza biurka. – Zrobię kawę, chcesz? Tylko przyjdź zaraz, to ją weźmiesz.

Rozdział trzynasty

Sulich nie zadzwonił, a przyszedł, ale dopiero wieczorem, wcześniej cały czas był na miejscu prawdopodobnej zbrodni. Oględziny zwłok, zabezpieczenie śladów, a potem przeszukanie domu zajęło sporo czasu. Był padnięty, ale podekscytowany.

– O, jak ładnie pachnie – powęszył od progu.

– Praca w Archiwum X sprzyja regularnym posiłkom – wyjaśniła ze śmiechem Szajba. – Przeważnie wracam do domu o bardziej ludzkiej porze i coś tam pichcę. A skoro nie dzwoniłeś, to założyłam, że nie miałeś czasu na zjedzenie czegoś sensownego.

– Komisarz Lipner na tropie moich kulinarnych nawyków, czuję się zaszczycony. – Piotr się uklonił.

– To razem z tym zaszczytem idźcie do kuchni po talerze, ja wezmę resztę.

Dopiero po posiłku Piotr zrelacjonował ustalenia techników i wstępne lekarza, a także wyniki poszukiwań.

– Miałeś nos co do tej brzytwy. Dok mówi to samo. A rana na szyi jest tak głęboka i ma taki przebieg, że nie ma mowy, żeby sam ją sobie zadał.

– Morderca przedobrzył?

– Ja wiem? Może mu nie zależało...

– Jakby miał to w dupie, to pozwoliłby ciału upaść inaczej. Na pewno ciało od tyłu, to jak to sobie wyobrażasz?

Piotr zamilkł na chwilę, a potem skinął głową ze zrozumieniem. Tomaszewski leżał głową przy samej umywalce. Morderca musiałby siedzieć na niej w momencie podcinania gardła, żeby ciało upadło w miejscu, gdzie je znaleziono. Poza tym ślady krwi układałyby się inaczej. Sprawca ułożył ciało i włożył brzytwę w dłoń Tomaszewskiego.

Musiał wiedzieć, że policji nie zajmie zbyt dużo czasu dojście do wniosku, że to nie samobójstwo. Po co więc była ta inscenizacja?

– A cholera go wie – westchnęła Sara. – Teoretycznie może być pierdylion przyczyn, praktycznie powinno to być coś, co się jakoś wiąże z moim śledztwem. Muszę pogadać, żebym miała wgląd w sprawę. Czort wie, co się może urodzić. A morderca i tu, i tu może być ten sam, mimo że tyle czasu upłynęło.

– Zastanawiałaś się nad motywem?

– Pytasz poważnie? Cały czas to próbuję rozkminić. Ale dopiero od wczoraj mam prawie pewność, gdzie powinnam szukać początku całej historii. Nieszczęśliwy wypadek, poparzenie dwójki dzieciaków, w tym jedno śmiertelne. Albo coś, o czym nie wiem, ale było z tym jakoś związane. Personalnie, miejscem lub w jakiś inny sposób.

– No to masz o czym myśleć.

– Owszem.

– A możesz jutro? Poszlibyśmy na spacer, cały dzień tkwiłem prawie w bezruchu.

– OK, ale najpierw powiedz, co znaleźli technicy. I pokaż zdjęcia.

Śladów było zatręsenie, ale czy któreś będą przydane, okaże się za jakiś czas. Oczywiście oprócz śladów krwi, które mówiły na przykład o tym, że rana na szyi powstała za życia ofiary, a Tomaszewski stał w momencie ataku mordercy.

– A muchy i larwy? Ile dni temu zginął?

– Najprawdopodobniej pięć.

– Wygodnie dla mordercy. Akurat w trakcie urlopu. Może się znają, ale o tym mógł się dowiedzieć, chociażby pytając w pracy Tomaszewskiego. Tu nie mam się czego zaczepić. Dawaj zdjęcia.

Szajba szybko przejrzała fotki z domu ofiary. Nie zdążyła porozmawiać z Tomaszewskimi i na podstawie wyglądu mieszkania chciała sobie wyrobić o nim jakieś zdanie.

– Używał chyba tylko kilku pokojów...

– Tak. Dużego na dole, sypialni i jeszcze jednego, w którym zrobił sobie skrzyżowanie warsztatu z czymś w rodzaju gabinetu. I oczywiście kuchni i łazienki, a właściwie łazienek. Do reszty wchodził rzadko.

– Znaleźliście coś, co może pasować do Gawrońskiego?

– Nie. Zwracałem uwagę, czy nie pojawią się takie same rysunki albo listy nawiązujące do tamtych wydarzeń, ale nie. Nic nie było. Co o niczym nie świadczy, bo wrzucenie papieru do kominka to jeden ruch ręki.

– Trochę liczyłam na to, że jednak coś tam znajdziesz. Jak z daktyloskopia?

– Prawie wyłącznie jego ślady. Te inne musimy porównać z sąsiadami i rodziną, może zostanie coś bez właściciela. Na razie wiem tyle, że nikt nie był notowany. Naoglądałaś się? To idziemy.

Spacer przeciągnął się do północy, bo zahaczyli jeszcze o pub, gdzie nad piwem snuli plany dotyczące weekendowego wypadu na motorze, a potem rozmowa zeszła na temat kolejnego obiadu u rodziców Szajby.

– A wiesz, że któregoś dnia spotkałam Romana na mieście? – Rodzinne obiady od razu skojarzyły się Sarze ze szwagrem.

– To coś dziwnego?

– Był w towarzystwie jakichś facetów w garniakach i wyglądał na bliskiego utraty kontaktu z rzeczywistością. Tak był zaaferowany. Prawie mnie nie poznał i zapomniał się pokłócić. – Szajba się roześmiała. – Jeszcze go w takim stanie nie widziałam. Idziemy pomieszkać?

W bramie domu Sara spotkała wracającego z psem sąsiada.

– Dobry wieczór, tak późno pana wyciągnął? – spytała, głaszcząc małego starego kundelka.

– Pęcherz już nie ten – wyjaśnił sąsiad. – Ale przy okazji widziałem, jak ktoś się kręci po parkingu. Obcy. Wie pani, Drops już wolno chodzi, ale ma swoją trasę, taką po pobliskich ścieżkach. Obwąchuje swój rewir. Stamtąd dobrze widać samochody pod blokiem i zauważyłem jakiegoś młodego człowieka, który się tam kręcił. Jak zobaczył, że idę w jego stronę, to zawrócił i szybko odszedł. Popatrzyłem na samochody, nic nie zniszczył, ale trochę się boję.

- Może tylko przechodził na skróty albo coś oglądał - podsunęła Lipner. - Ale powiem kolegom. - Sąsiad wiedział, że jest policjantką. - Niech patrol zwróci uwagę.

- O to mi chodziło. - Staruszek się uśmiechnął i wszedł do mieszkania.

Szajbie obcy pod domem kojarzył się nie tyle ze złodziejem samochodowym, co z kolejną akcją mafii. Czy jednak nie szkoda marnować czasu - nawet najzwyczajniejszego „żołnierza” - na pilnowanie jej?

Z punktu widzenia śledztwa sobota bywa czasem dniem beznadziejnie bezproduktywnym. Najczęściej zakłady pracy są pozamykane, podobnie jak urzędy, a ludzie wyjeżdżają. Długi weekend był pod tym względem jeszcze gorszy. Czasem wystarczy rozmowa telefoniczna, ale jeżeli chce się porozmawiać twarzą w twarz - trzeba czekać, aż wszyscy wrócą. Szajba miała jednak nadzieję, że osoby, z którymi chciała porozmawiać, czyli starsze pokolenie rodziny Tralków, nie wyjechały na weekend. Brat, którego jeszcze nie było na świecie w chwili tragedii, interesował Lipner zdecydowanie mniej. Sara planowała też spotkania z byłymi sąsiadami Tralków. Być może zauważyli wtedy coś, o czym policja nie wiedziała. Wrona nic nie wspominał o świadkach, więc najprawdopodobniej byli przepytani bardzo pobieżnie, jeżeli w ogóle. Sprawa była jasna, głupia zabawa dzieciaków przerodziła się w dramat.

Kuzynka ojca poszkodowanych dzieci i jej mąż żyli i zgodzili się porozmawiać jeszcze przed sobotnim obiadem, na który gdzieś wyjeżdżali. Z ich córką Sara umówiła się na siedemnastą, a sąsiadów Tralków zostawiła sobie na niedzielę.

Ponieważ Stanisław i Zuzanna Kotlarscy mieszkali stosunkowo niedaleko, Lipner postanowiła połączyć przepytania świadków ze spacerem. Wyszła odpowiednio wcześniej i lekko zaniepokojona wieczorną rozmową ze starszym panem na wszelki wypadek obejrzała samochody stojące na parkingu pod blokiem. Na szczęście nie nosiły śladów dewastacji. Do Kotlarskich przyszła chwilę za wcześnie i musiała na nich poczekać.

- Dziwię się, że tyle lat po tamtej tragedii policja o to pyta - powiedziała starsza kobieta po wstępnych wyjaśnieniach Sary.

- To już trzydzieści siedem lat - dodał jej mąż. - Pamiętam, bo w tym samym roku urodził się Hubert, brat Mateusza i Zosi.

- Całe szczęście! Inaczej Jadzia i Waldek chyba oszaleliby po śmierci córki. A tak musieli zająć się maluchem.

- Córka Tralków zmarła, a co z synem? - Lipner nie wspomniała, że wie, co się z nim obecnie dzieje.

- To kolejna tragedia, jakby tego poparzenia było za mało - westchnęła Kotlarska. - Mateusz najbardziej miał poparzone dłonie, od razu było wiadomo, że nigdy nie odzyska w nich sprawności. Nawet dzisiaj, po wielu operacjach i rehabilitacji, przez większość czasu nosi specjalne rękawice i nie może wszystkiego robić. Kiedyś mówił, że to tak, jakby do nadgarstków miał przytwierdzone kloce drewna, którymi musi coś złapać albo się podrapać.

- Od razu wiedział, że zawsze będzie niepełnosprawny - dodał Kotlarski.

- Załamał się. Miał piętnaście lat i w jednej chwili jego życie całkowicie się zmieniło. Płomienie zabrały jego siostrę, a z niego uczyniły kalekę.

- Jego koledzy byli przy tym i też próbowali ugasić małą. Nie stali beczynniami i nie patrzyli - przypomniał starszy pan. - I też byli poparzeni.

- Tak, oczywiście, masz rację. Ale dla nich to była obca dziewczynka, a nie siostra. Na pewno nie odczuli tego tak bardzo.

- Mateusz w szpitalu miał pomoc psychologa, potem Jadzia chodziła z nim prywatnie. Wszystko na nic, chłopak nie umiał sobie poradzić. Trafiał do psychiatryka. Jest tam do tej pory.

- Parę razy próbował wrócić do normalnego życia, ale nie dawał rady. Pierwsza na raka zmarła Jadźka, a potem Waldek na serce. Chłopak jeszcze bardziej się załamał.

- To już nie był chłopak, bo przecież zmarli, jak Hubert był dorosły - poprawił żonę Kotlarski. - Miał już koło czterdziestki, a Hubert był

pełnoletni.

– To była straszna tragedia – westchnęła pani Zuzanna. – Ucierpiała prawie cała rodzina, z wyjątkiem Huberta, który urodził się kilka miesięcy później. Trudno zapomnieć poparzone dziecko, ból, śmierć.

Szajba podświadomie zacisnęła dłonie pod stołem. Sławek zginął od strzału, nie od ognia, ale doskonale poznała smak bezradności i beznadziejności. Nic nie mogła zrobić, umarł na jej rękach, zanim dojechała karetka. Rodzice poparzonej Zosi zapewne wiele dni cierpieli razem z dzieckiem i łudzili się, że przeżyje. Może lepiej, że umarła? Po takim poparzeniu jej życie mogło być wegetacją przeplataną bólem fizycznym i psychicznym. Sara otrząsnęła się ze wspomnień i wróciła do rozmowy.

– Wiedzą państwo, jak doszło do tej tragedii?

– Smarkaczom zachciało się zabaw z ogniem – wyjaśnił Kotlarski. – Wie pani, ferie, nudzili się i kombinowali, co by tu zrobić. Miotacz płomieni zrobiony z dezodorantu był, a może i jest, popularny.

– Ale jak to się stało, że płomień trafił w Mateusza?

– Przypadek. Piątka chłopaków wydurniała się i latała po podwórku z dwoma „miotaczami ognia”, chwila nieuwagi i nieszczęście gotowe. – Mężczyzna wzruszył ramionami.

– O tym nieszczęśliwym wypadku dowiedziałam się więcej od państwa niż od rodziców chłopców, którzy bawili się ogniem.

– Może dlatego, że ich to mniej dotknęło? Ich dzieciaki były tylko poparzone, z tego co wiem, nawet do szpitala nie trafili, tyle co na badanie i opatrunek. A poza tym... – mężczyzna się zawahał. – No cóż. Po prostu mogli czuć się w pewien sposób odpowiedzialni i woleli wyrzucić to z pamięci.

– Czy ja wiem? Nie po raz pierwszy zabawa skończyła się tragicznie – westchnęła Kotlarska. – To taki głupi wiek, nie pomyśleli o tym, co się może stać. A już nikt nie mógł przewidzieć, że włączy się w to Zosia, która akurat będzie ubrana w łatwopalną kurtkę.

– Policja na wszelki wypadek wszystko wtedy sprawdziła, ale tylko zmarnowali czas. To był nieszczęśliwy wypadek, a poszkodowani byli

wszyscy. Oczywiście mniej, ale jednak. I każdy z tych chłopców mógł znaleźć się na miejscu Mateusza.

– W jakim on jest stanie?

– Całkiem niezłym, jak na siebie. Robi wrażenie pogodzonego z tym, że do końca życia będzie w szpitalu, a właściwie w szpitalach psychiatrycznych. Wie, że gdy wyjdzie, nie poradzi sobie. On nie może mieszkać sam, nie potrafiłby zrobić przy sobie wielu rzeczy. A to go stresuje, sprowadza myśli samobójcze. Wtedy odstawia leki i jest jeszcze gorzej. To zamknięte koło.

– Ponad trzydzieści lat jest w zakładzie psychiatrycznym. Czym się zajmuje całymi dniami? – zaciekała się Lipner.

– Czyta, ogląda filmy, skończył szkołę. Dla nas psychiatryk to straszne miejsce, ale on chyba się przyzwyczaił. Nie polubił, bez przesady, ale nie przeraża go.

– Jest u siebie. Albo może jak w wiecznym sanatorium? – zastanowił się Kotlarski.

– I boi się wyjść, mówił o tym, jak ostatnio go odwiedzaliśmy. To nie jest bardzo ciężki przypadek, a szpitale są przepełnione. Jest pewne ryzyko, że zostanie wypisany.

– I co wtedy?

– Pewnie trafi do domu opieki. Sam nie da sobie rady, a Hubert jest kierowcą, jeździ tirami, wyjeżdża nawet i na dwa tygodnie. Albo nawet na dłużej, kiedyś nie było go miesiąc. Dobrze zarabia, ale cały czas jest w trasie. Od razu po szkole zrobił uprawnienia, chyba podoba mu się takie trochę cygańskie życie. Teraz pewnie też go nie ma.

Niczego więcej Sara się już nie dowiedziała. O odległej tragedii Kotlarscy opowiadali ze smutkiem, ale już prawie bez emocji. Na wszelki wypadek zapytała jeszcze o kolegów Mateusza, ale starsi państwo nie wiedzieli nic ponad to, co już powiedzieli.

Po powrocie do domu Szajba przypomniała sobie rozmowę ze starszym sąsiadem, który widział pod blokiem dziwnie zachowującego się obcego.

To z kolei skierowało jej myśli na mafię i Wątróbskiego. Ponieważ w sprawie, przy której Sławek został skorumpowany, występował syn szefa mafii, to może warto by się zainteresować smarkaczem? Może gdzieś tu tkwi ukryty motyw? Albo chociaż jest to trop, który poprowadzi ją dalej? Miała szczerze dosyć czekania na to, co robi mafia, i wszystko w niej protestowało przeciwko zostawieniu inicjatywy w ich rękach. Przejrzenie spraw Wątróbskiego mogło pomóc znaleźć powód, dla którego się nią zainteresowali. Delikatne i nieoficjalne sprawdzanie tego wymagało jednak czasu, a Szajba cierpliwa nie była. Jediną znaną jej osobą, która łączyła szefa mafii i Wątróbkę, był nastoletni syn bossa. Cholera, miała uważać i nie nadstawiać karku!

Sara przez chwilę walczyła sama ze sobą, a potem zdecydowała, że kilka dni obserwacji gówniarza nie zaszkodzi. I nie pod domem jego ojca, gdzie od razu zostałaby namierzona, ale pod szkołą. A potem zobaczy, co smarkacz robi po lekcjach. A co jeżeli wzorem innych nastolatków chodzi z kumplami na pizzę, włóczy się po galeriach albo pali w ukryciu papierosy i pije piwo? Albo po prostu wraca od razu do domu. Zawahała się, ale potem zdecydowała, że dyskretne przyjrzenie się chłopakowi nie powinno wiązać się z ryzykiem. Zwłaszcza że wszystko będzie się odbywało w środku miasta, w dzień.

Zadzwoiła do kilku kumpli, o których wiedziała, że nie powiedzą nikomu o ich rozmowie, i pod fikcyjnym pretekstem spytała o chłopaka. Po dwóch godzinach wiedziała, że ma dziewiętnaście lat, uczy się w ostatniej klasie jednego z gdańskich liceów, a w czasie wolnym jest wprowadzany przez ojca w rodzinny biznes. Podobno po tamtej bójce ze skutkiem śmiertelnym dostał zakaz podpadania glinom. Szajba od razu znalazła logiczne wytłumaczenie – najwyraźniej ojciec zdecydował, że smarkacz ma mieć czyste konto, bo to bardzo pomaga w prowadzeniu nielegalnych interesów. Dlatego mafiozo tak naciskał na ukreślenie łba sprawie. Drugą możliwością było to, że rzeczywiście chce, żeby syn zerwał z przestępczością, ale w to Szajba jakoś nie wierzyła.

Popołudniowa rozmowa z kuzynką Tralków nie wniosła nic nowego. Kobieta była mniej więcej w wieku Zosi Tralki i bardziej ją wtedy

interesowały lalki niż rozgrywająca się w rodzinie tragedia. Poza tym Kotlarscy starali się chronić córkę i tylko zdawkowo mówili jej o tym, co się dzieje. Dopiero jako nastolatka zdała sobie sprawę, że kuzynka, z którą się bardzo lubiła, praktycznie spłonęła żywcem.

Wieczorem Szajba zorientowała się, że rozmowa z sąsiadem zaniepokoiła ją bardziej, niż przyznawała to przed samą sobą. Przez moment zastanawiała się, czy przypadkiem nie spróbować wylegitymować kręcącego się pod blokiem obcego mężczyzny, ale wiosenny deszcz, który właśnie zaczął padać, zdecydowanie zniechęcał do ponownego wyjścia z domu. Tym bardziej że samochód nadal był w warsztacie, więc odpadało czekanie w suchym i ciepłym miejscu. Zrobiła sobie herbatę, przyniosła do kuchni czytnik i postanowiła od czasu do czasu rzucać okiem przez okno. Jeżeli ten obcy facet nie był przypadkowym przechodniem, który skracał sobie drogę przez parking, albo złodziejem oglądającym samochody, a kimś, kto ma ją mieć na oku, to powinien się pojawić. I to nie na chwilę, bo nie miałyby to sensu. Była więc szansa, że zauważy go z okna. Wybrała sobie niezbyt angażującą lekturę, audiobooka, zgasiła światło, przez chwilę popatrzyła przez okno i zaczęła słuchać. Do dwudziestej trzeciej nic nie zauważyła i poszła spać.

Przed trzydziestoma siedmioma latami rodzina Tralków mieszkała prawie na granicy Pruszcza, ale od tamtej pory miasto się rozrosło. Lipner wiedziała, że posesja kilka razy zmieniała właściciela. Tralkowie sprzedali ją dwa lata po śmierci córki, nie chcieli, żeby wszystko przypominało im o tragedii. Ich stary i – co widać było po zdjęciach – mocno zaniedbany dom już nie istniał. Któryś z nowych właścicieli wyburzył go i na jego miejsce zbudował nowy. Sąsiednie domy pochodziły jednak z czasów, gdy mieszkali tu rodzice poszkodowanych dzieci. Niektóre wille nadal należały do tych samych ludzi, co za czasów Tralków.

Lipner rozejrzała się po ulicy, zastanawiając się, gdzie zacząć rozmowy, i zauważyła wychodzącą zza rogu starszą panią. Szła powoli, wspierała się na kuli. W pewnym momencie przystanąła, pomacała się po kieszeniach i ruszyła dalej. Obrzuciła Sarę nieufnym spojrzeniem, minęła

ją, weszła na pobliską posesję, zamknęła za sobą furtkę na klucz i tak zabezpieczona popatrzyła na Szajbę. Lipner skorzystała z tego natychmiast. Machając z daleka służbową legitymacją, podeszła do starszej pani.

– Dzień dobry...

– A już myślałam, że znowu się tu złodzieje pojawili – wyznała staruszka. – Chociaż pani to nawet porządnie wygląda, no ale ten motor...

– Dobry, jak są korki – wyjaśniła Sara. – Czy mogłybyśmy chwilę porozmawiać?

– A o czym? – spytała podejrzliwie kobieta.

Rozmawiały cały czas przez płot, który dla starszej pani stanowił najwyraźniej jakąś barierę bezpieczeństwa. Była u siebie, w komfortowym miejscu, za furtką zaś mogło być różnie. Zapewne czaiło się zło.

– O Tralkach, pamięta ich pani?

– O Najświętsza Panienko, pamiętam! To była straszna tragedia. Oni mieszkali tam. – Starsza pani pokazała pobliską willę. – Ale sprzedali dom, ja się nie dziwię, kto by chciał mieszkać wśród takich wspomnień? Ale ten jest nowy, poprzedni właściciele wybudowali.

– Dom mnie nie interesuje, tylko Tralkowie.

– Niech pani wejdzie, na stojąco to ja długo nie mogę. A do kościoła kawałek, to się zmęczyłam tym chodzeniem. Biodro mi szwankuje, na operację czekam, ale pani wie, ile to trwa na NFZ – wyjaśniła kobieta. – Tylko musimy cicho rozmawiać, bo syn z rodziną jeszcze pewnie śpią.

Szajba sprawdziła godzinę, było już po dwunastej, ale dlaczego ktoś nie miałby spać w wolny dzień do oporu? Weszła na posesję, a potem prowadzona przez staruszkę – do domu. Usiadły w kuchni.

– To była sympatyczna rodzina – westchnęła gospodyni, nalewając herbatę do filiżanek pochodzących ze starego, prawdopodobnie przedwojennego, serwisu.

– Dobrze ich pani znała?

– Całkiem nieźle. Kiedyś było tu mniej domów niż teraz, z sąsiadami bliżej się żyło. Poza tym oni byli tylko kilka lat starsi od nas. Ja z mężem

mieszkałam w tym domu z jego rodzicami, a Tralkowie w domu po jej rodzicach. Ich dom był starszy i mniejszy, przedwojenny.

– Jacy byli?

– Zapracowani. Mieli dwójkę dzieciaków na utrzymaniu, a w domu wiecznie coś było trzeba naprawiać. Nie powodziło im się najlepiej, nie zarabiali dużo, łapali wszystkie dodatkowe prace.

– Ale samochód mieli – zauważyła Sara.

– A tak! O, już wiem, przypomniała mi pani. On był chyba mechanikiem. Bo samochód był stary, a on go sam naprawiał. Umiał. Sąsiadom też naprawiał i tak sobie dorabiał.

– Z dziećmi nie mieli kłopotów? Grzeczne były?

– Zosia, świeć panie nad jej duszą, to była jeszcze mała. Chyba dopiero do szkoły poszła, to co taka dziewczynka mogła nabroić? I zawsze grzecznie dzień dobry mówiła. Mateusz był starszy o kilka lat, już chodził do liceum. To pamiętam, bo Tralkowa była bardzo dumna z tego. Podobno dobrze się uczył.

– Miał kolegów?

– Pewnie miał, dzieciaki w tym wieku zawsze mają. Ale nie z najbliższej okolicy. Tak się jakoś złożyło, że tu wtedy nikogo w jego wieku nie było. Chyba... – Starsza pani zamyśliła się na dłuższą chwilę. – Mam takie wrażenie, że on próbował się zakolegować ze starszymi, ale mu nie wyszło. Był dla nich za smarkaty. Z kolei mój syn, młodszy o pięć lat od Mateusza, był za smarkaty dla niego.

– Pewnie się nudził, skoro nie miał tu kolegów.

– Miał w Gdańsku i zostawał po szkole, to wiem, bo mi Jadźka mówiła. Że wraca wieczorem, bo coś tam z kolegami razem robi. I oni czasem tu przyjeżdżali, ale tylko w soboty czy niedziele. No i oczywiście miał znajomych ze szkoły podstawowej. – W głosie starszej pani pojawiło się wahanie.

– Tak?

– Nigdy się nad tym nie zastanawiałam, ale przecież Mateusz chodził do podstawówki w Pruszczu. Do tej najbliższej. Pamiętam, jak było

z moim synem, wiecznie jakieś dzieciaki były u nas albo on do nich szedł. Do Mateusza nie przychodzili albo rzadko. Wie pani, to się widzi, bo wtedy wszędzie ich pełno. Na ulicy grali w piłkę, jeździli na rowerach.

– Może był odludkiem?

– Możliwe.

Szajba wypytała jeszcze o losy rodziny Tralków po tragicznych wydarzeniach, a potem spytała, z którymi sąsiadami warto porozmawiać. Okazało się, że jeszcze w trzech domach mieszkają osoby, które powinny pamiętać Zosię i Mateusza.

– A pani syn? – spytała Lipner, podnosząc się zza kuchennego stołu.

– Na pewno pamięta, przecież miał już wtedy dziesięć lat, nie był całkiem małym dzieckiem. Niech pani porozmawia z innymi, a potem do nas jeszcze przyjdzie, już się powinien obudzić – wyjaśniła gospodyni i dodała, widząc minę Lipner: – Byli wczoraj całą trójką na weselu znajomych. Odsypiają. A wie pani, jeszcze są tacy jedni, którzy powinni pamiętać, co się wtedy stało. Ale nie wiem, czy się pani z nimi dogada. Lebedzińscy. Sprzedali dom i się wyprowadzili. Mieszkają teraz w takiej ruinie, po drugiej stronie Pruszcza. To patologia. Baśka jest tylko trochę młodsza od Mateusza, pewnie ma z pięćdziesiątkę, to powinna pamiętać wszystko dobrze. Jej mąż też mieszkał niedaleko, więc na pewno słyszał o tamtej tragedii. Tylko niech pani uważa na nich.

Lipner od razu zdecydowała, że do Lebedzińskich pojedzie po rozmowach z okolicznymi byłymi sąsiadami Tralków. Okazało się, że mają oni dosyć mgliste wspomnienia o wydarzeniu sprzed lat. Pamiętali głównie tragedię, ale nie samych ludzi, których dotknęła. Według wszystkich byli całkiem przeciętnymi, miłymi ludźmi. Z tej przeciętności wyrwała ich tragiczna w skutkach zabawa nastolatków. Przez jakiś czas cała okolica żyła tym wydarzeniem. Współczuto, omawiano stan dzieci, ale i wytykano, że nie były pod opieką.

– Gdyby Jadźka ich pilnowała, to do niczego by nie doszło! – stwierdziła kategorycznie jedna z sąsiadek, dobrze zakonserwowana dziewięćdziesięciolatka.

- Mateusz nie był małym dzieckiem, miał piętnaście lat! - zaprotestowała odruchowo Szajba. - Poza tym matka była w domu.

- Nie powinna spuszczać z nich oka! - Zabrzmiało to tak, jakby bawiący się na podwórku chłopcy chodzili po zamrażniętym stawie. - Wie pani, co moje dzieci w tym wieku wyprawiały? A potem wnuki, a teraz prawnuki? Najgorsze pomysły wtedy do głowy przychodzą. Zaprosił kolegów i zaczęli eksperymentować z ogniem. Powinna im zabronić!

- Eksperymentować?

- Podobno coś tam sprawdzali, wie pani, jak to młodzież. Szkoda tylko, że nie pomyśleli o tym, co robią - powiedziała z dezaprobatą staruszka.

Sara pomyślała, że to samo dałoby się powiedzieć i o dorosłych, ale nie powiedziała tego głośno. Nie interesowała ją dyskusja o ludzkiej bezmyślności, ale Tralkowie, a o nich starsza pani nic już sobie nie przypomniwała.

Na widok starej rudery, która nie wiadomo jakim cudem jeszcze się nie rozpadła, Szajba przypomniwała sobie stwierdzenie: patologia. Dom był drewniany, parterowy, całkiem spory, najprawdopodobniej z mieszkalnym poddaszem. Gdyby ktoś o niego zadbał, mógłby być stylowy i przytulny. Nawet przy braku pieniędzy na remont można było wymyć okna lub dokonać kilku prostych prac konserwacyjnych. Niestety, właścicielom było najwyraźniej obojętne, czy szyby są całe, na dachu zostały wszystkie dachówki, a ścian nie pożera wilgoć. Podwórze było zaśmieczone i zastawione starymi, częściowo połamanymi meblami, które najwyraźniej miały służyć jako opał.

Lipner bez namysłu pchnęła łokciem trzymającą się na słowo honoru furtkę i błotnistą ścieżką podeszła do drzwi. Dzwonek smętnie zwisał na wyrwanych kablach, więc zapukała. Po chwili zrobiła to zdecydowanie energiczniej, bo uznała, że w dobiegającym zza drzwi hałasie mogła nie zostać usłyszana.

- Idę, już idę! - krzyknęła jakaś kobieta.

Po dłuższej chwili drzwi otworzyła Barbara Lebedzińska. Sara prawie się cofnęła, bo ze środka na dwór wydostał się smród. Inaczej nie dawało się tego nazwać. Było to połączenie zapachu brudu, kapusty, starych petów, przetrawionego alkoholu i niestety moczu. Lipner przedstawiła się, a kobieta niechętnie wpuściła ją do środka.

– Pani władzuchna wejdzie, najlepiej do kuchni, to zrobię jakieś herbaty albo czego. – Lebedzińska uznała, że władzy lepiej nie podpadać, i wydobyła z siebie okrucieństwo gościnności. – Pani siądzie, o tu, proszę, zaraz zetrę ze stołu. Po co pani przyszła?

– Pogadać – wyjaśniła Szajba i zanim usiadła, sprawdziła, czy się do niczego nie przyklei.

Rozejrzała się po dużej kuchni. Ślady libacji aż były po oczach. Butelki, popielniczki z petami, resztki jedzenia, niektóre sprzed kilku dni.

– To stary i zięć kilku znajomych zaprosili – wyjaśniła Lebedzińska.

W tym momencie do kuchni wpadła z wraskiem dwójka kilkuletnich dzieci, a z nimi weszła dosyć młoda kobieta z kolejną dwójką maluchów: jednym na rękę, drugim trzymającym się brudnego szlafroka. Kobiety były podobne, zapewne matka i córka. Obie zaniedbane, w nie pierwszej czystości ciuchach, rozczochrane, z podpuchniętymi oczami.

– Pani z policji – ni to wyjaśniła, ni to uprzedziła córkę Barbara Lebedzińska.

– W niedzielę o poranku? Ja nie mam czasu na rozmowy, dzieci muszą nakarmić. – Kobieta odgrywała troskliwą matkę.

– Niech pani karmi. Zresztą chciałam porozmawiać nie z panią, a z pani rodzicami.

– Męża nie ma – od razu wyjaśniła starsza kobieta.

– Mojego też. Ledwo się obudzili, to poszli do kolegów, a potem pewnie gdzieś na piwo.

Liczba butelek po alkoholu – rozmaitym, ale z dolnej półki cenowej – rzeczywiście wskazywała na to, że mężczyźni mogli odczuwać silną potrzebę wyleczenia kaca klinem. Młodsza kobieta prawie siłą posadziła dzieciaki przy stole i zaczęła im robić śniadanie. Maluchy patrzyły

z zaciekawieniem na gościa i na różne sposoby próbowały zwrócić na siebie uwagę.

– Kiedyś mieszkała pani po przeciwnej stronie miasta – zaczęła wypytywanie Sara.

– Pani kochanieńka! A kiedy to było! Ze trzydzieści lat temu.

Lebiedzińska postawiła na stole herbatę słabą jak niemowlę. Lipner zastanowiła się, które to już parzenie tej samej torebki Sagi i co się działo z torebką pomiędzy parzeniami. Na wszelki wypadek postanowiła nie pić. Zanim odpowiedziała, przyjrzała się jeszcze raz swojej rozmówczyni. Miała koło pięćdziesiątki, wyglądała jak własna matka. I ten język. Kochanieńka, władzuchna. Tak najczęściej mówią ludzie starsi od Lebiedzińskiej. Albo... ekspedientki w małych sklepikach. Kochanieńka, może być dwa deko więcej tej pyszniutkiej szyneczki?

– Właśnie tamte czasy mnie interesują.

– Ale dlaczego? Jakby co, to i tak już dawno przedawnione – zauważyła córka gospodyni, kładąc na stole przed trójką dzieci po kromce chleba z dżemem. Natychmiast się na to rzuciły. Najmłodszego zaczęła karmić piersią, nie przejmując się gościem.

– A czy ja powiedziałam, że moje pytanie dotyczy przestępstwa?

– A to niby po co pani wypytuje? Zresztą wiadomo, po co gliny przychodzą.

– Kama, zamknij pysk wreszcie! – skarciła córkę Lebiedzińska. – Pani jej nie słucha, te młode to głupie są. Niech pani pyta, złociutka. Ja chętnie pomogę.

– Znała pani Tralków?

– Pewnie! W Mateuszu to się nawet podkochiwałam, ale on był trochę starszy i nosa zadzierał.

– Co pani wie o tej zabawie ogniem?

– Chyba to, co wszyscy. Pani władzuchna wie, dzieciaki różnie się bawią. A już chłopaki szczególnie. Im coś bardziej niebezpieczne, tym lepiej. Pech. Słyszałam, jak moja matka z matką Matusza rozmawiała.

Zosia była w jakiejś takiej kurtce, co to się łatwo pali. Nic dziwnego, że nie dało się ugasić.

– Mateusz Tralka często miał takie pomysły?

– E, nie! On był takie ciepłe kluchy. To pewnie pomysł tamtych chłopaków.

W tym momencie gdzieś na górze coś upadło na ziemię. Młodsza kobieta zamarła.

– To znowu ten kot! – wykrzyknęła Lebedzińska.

– Kot? – zapiszczało jedno z dzieci.

– Babciu, my nie mamy kotka – dodało drugie.

– Swojego nie, ale czasem przez okno wchodzi...

Szajba nie czekała na zakończenie opowieści o sąsiedzkim kocie, który jest tak bezczelny, że wchodzi nieproszony do obcych domów, tylko pognąła na górę. Kot, jasne, chyba na sterydach, bo to coś, co upadło, musiało być ciężkie. Łomot rozległ się bezpośrednio nad kuchnią, więc bez problemu zlokalizowała odpowiednie drzwi. Otworzyła je i stanęła w progu. Oko w oko z półnagim trzydziestolatkiem. Pod ścianami stały telewizory, sprzęt audio, jakieś miksery i nawet czajniki. Złodziej albo paser.

– Ale dupa – mruknął facet i uśmiechnął się oblesnie.

– Nie dla ciebie, zapomnij!

– Coś taka nietykalska? Ubędzie ci czy jak? A ja ci tak dogodzę, że w życiu nie byłaś tak wyruchana.

– Nie sądzę...

– To glina! – krzyknęła z dołu młoda kobieta, ostrzegając męża.

– Zamknij się, durna! – wrzasnęła na nią Lebedzińska.

– Kurwa! Wypierdalaj, suko, z mojego domu, bo cię potnę – warknął mężczyzna i sięgnął po leżący na zdezelowanym stoliku nóż myśliwski.

– Jak chcesz. – Szajba wzruszyła ramionami. – Chciałam tylko pogadać...

Zamiast wyjść, poczęstowała mężczyznę kopniakiem w brzuch – musiała zrobić sobie nieco miejsca. Facet zatoczył się do tyłu i spojrzał na

nią nieco zamglonym wzrokiem. Najwyraźniej po wczorajszej imprezie nie doszedł do siebie.

– Policja – powiedziała dobitnie Lipner.

– Spierdalaj, kurwo!

Mężczyzna przeszedł do ataku. Podniósł rękę z nożem, chcąc w ten tak bardzo sygnalizowany sposób zadać cios. Błąd. Szajba bez trudu uchyliła się, wpasowała się w ruch i zastosowała jeden z nielicznych znanych jej rzutów. Wykorzystała cały impet napastnika i bez najmniejszego problemu rzuciła nim o ziemię, aż stary dom zadrżał w posadach. Odebranie noża oszołomionemu upadkiem mężczyźnie i zakucie go w kajdanki było już drobnostką.

– Wstawaj. – Szajba poczęstowała leżącego zachęcającym kopniakiem.

– Połamalaś mi kości, suko!

– Chyba karierę damskiego boksera. No już, ruchy! I złaż na dół.

Klnąc, na czym świat stoi, mężczyzna niezgrabnie podniósł się z podłogi i zszedł na dół. Dzieci przyglądały im się zainteresowane, a obie kobiety wyglądały, jakby szykowały się do walki na paznokcie.

– Niespodzianka. A podobno pani mąż wyszedł z teściem na piwo.

– No wydawało mi się, że tak.

– Mamo, mamo, ale przecież tato mówił dziadkowi, że mu się nie chce iść, nie pamiętasz? – spytało najstarsze dziecko. Szajba nie miała pojęcia, czy to chłopiec, czy dziewczynka.

– Siadaj! – Sara nie patyczkowała się i popchnęła mężczyznę w stronę wolnego krzesła. – A my zaraz skończymy rozmowę, tylko zadzwonię po kolegów. Na pewno zainteresują się, skąd u ciebie te telewizory, wieże i cała reszta fantów.

– Kumpel mi dał.

– Zapewne w prezencie na urodziny – zadrwiła Lipner. – Zresztą nie mój interes, im się będziesz tłumaczył.

– Miałeś siedzieć cicho, to nie, musiałeś coś przewrócić! – syknęła młodsza z kobiet.

– Zamknij pysk! – wrzasnął mężczyzna.

Lipner wezwała miejscową policję i wróciła do rozmowy o Tralkach. Lebedzińska starała się zrobić jak najlepsze wrażenia, opowiadała o wszystkim, co pamiętała, ale jej słowa potwierdziły jedynie to, co Sara już wiedziała.

Pruszczńska policja przyjechała po półgodzinie i zadowolona przejęła zatrzymanego mężczyznę. Szajbie udało się złapać złodzieja i pasera w jednym.

Po wieczornym deszczu pozostał jedynie zapach mokrej trawy, nawet kałuże na jezdniach zdążyły wyschnąć, więc Sara wykorzystała okazję i do domu wróciła okrężną drogą. Każdy kilometr przejechany wirażką to lepsze jej poznanie i opanowanie, a na tym bardzo jej zależało. Musiała nabrać wprawy i pewności. Poza tym motor swoje ważył i cały czas bała się, że może dojść do sytuacji, gdy go nie utrzyma. Boczne, a nawet polne czy leśne drogi były znakomitymi miejscami do wypróbowania umiejętności i... siły.

Wieczorem znowu obserwowała parking pod blokiem. Po dwudziestej drugiej, gdy już nikt z mieszkańców się tam nie kręcił, poświęciła na to ponad godzinę. Tym razem stanęła w oknie ciemnego mieszkania i skupiła się tylko na tym, co ma przed oczami. Miała w tym wprawę i wiedziała, że żaden ruch jej nie umknie. Myśli Szajby znowu poszybowały w kierunku mafii, ale tym razem zastanawiała się nad Maksem Piotrowskim. Czy to możliwe, żeby świadomie się w coś wplątała? Miała wrażenie, że nie, ale przecież to samo do niedawna mogła powiedzieć o Wątróbce. Ba! Dałaby sobie obciąć rękę, że Sławek nigdy nie pójdzie na układy z mafią, prędzej skuje i przyprowadzi na komendę tego, kto mu zaproponuje współpracę. Szajba była dorosła, niejedno widziała, doskonale zdawała sobie sprawę, że świat nie jest czarno-biały, a odcieni szarości jest cała paleta, jednak nie podejrzewała partnera. Może z Maksem było podobnie? Jakiś drobny szantaż i wymuszenie? A potem musiał już być posłuszny. I ten skurwiel, Barlicki. Co on może wiedzieć o Sławku i skąd? Wątróbski był za mądry na to, żeby łatwo było się domyślić, że współpracuje z mafią. Nawet ona się przecież nie

zorientowała. Może więc ta gnida jedynie coś podejrzewa? Albo po prostu chce jej krwi napsuć? Tak czy inaczej Barlicki jest niebezpieczny, bo w drodze do awansu nie cofnie się przed podłożeniem świni najbliższemu przyjacielowi, a co dopiero jej.

Nagły ruch na skraju widzenia przykuł uwagę Szajby. Ktoś nadchodził osiedlowym skrótem. Przez chwilę z nadzieją obserwowała mężczyznę, ale gdy podszedł, poznała chłopaka młodej sąsiadki z klatki obok. Zniechęcona wróciła do Barlickiego i Wątróbskiego, a po chwili uznała, że właściwie może wykorzystać wścibskość tego pierwszego. Skoro ją spytał o Sławka, to może mówić, że to ją zaintrygowało i zaczęła sprawdzać rozmaite rzeczy.

Pierwszego maja Szajba uczciła pracą i doprowadziła do porządku sakwy motorowe. Teraz były wreszcie jednolicie czarne i odświeżone specjalnym balsamem do skóry. Nie przyciągały już uwagi kolorowymi naklejkami.

Rozdział czternasty

We wtorkowy poranek, jadąc do pracy, pomyślała nagle, że powinna wreszcie zaprosić rodziców do siebie na obiad. Nie byli u niej od ponad roku, od dnia, kiedy została ranna. Taki obiad na pewno utwierdzi ich w poczuciu, że córka otrząsnęła się już po śmierci Sławka, postrzale i rozstaniu z ówczesnym partnerem. A może nie obiad, a kolacja?

– Tak, kolacja będzie lepsza – zwerbalizowała myśl, gdy wysiadła z tramwaju. Wybrała komunikację miejską, nie chciała zbytnio afiszować ze swoim nowym środkiem transportu.

Najlepiej od razu jutro, skoro i tak jest wolne. Przyszły weekend może mieć zajęty, bo przecież umówiła się z Piotrem na wypad za miasto, a w dzień powszedni nigdy nie wiadomo, kiedy wróci do domu. Podobnie jak Sulich, którego zamierzała zaprosić. Zadzwoniła do rodziców i wszystko ustaliła.

– Coś ty taka zadowolona? – spytał podejrzliwie Adam, gdy weszła do pokoju.

– Wykombinowałam, jak się wyrwać spod opiekuńczych skrzydeł rodziny.

– A nie za stara, sorry, jesteś na to? Ja tak kombinowałem prawie ćwierć wieku temu.

– To po tym postrzale – wyjaśniła krótko Sara i odebrała telefon.

Dzień zaczynał się zdecydowanie dobrze. Dzwonił mechanik z informacją, że koło jedenastej Lipner może odebrać samochód. Znając poślizgi w warsztatach, Szajba od razu postanowiła pojawić się tam nie wcześniej niż o pierwszej. Do Szewczyka i Muchy mogła zadzwonić dopiero koło drugiej, bo musiała uwzględnić różnicę czasu. Już włączyła komputer, gdy do pokoju wpadła zła jak osa Ostróżka.

- Zanim zaczniesz cokolwiek robić, pogadaj z tych skurwielem – warknęła.

- Tak cię wkurwił od rana? – Sara nawet nie musiała pytać, o kogo chodzi.

- Wewnętrzny dyszy mu w kark, więc szuka, czym by im głęzę zatkać.

- Mną się udławiają. I już wiem, jak go trochę usadzić, tak w razie czego.

- Powodzenia.

- Oni też chcą gadać?

- Nie, tylko ten debil.

- Mogę wrócić dopiero po trzynastej – uprzedziła Lipner. – Samochód muszę odebrać.

Barlicki już na nią czekał i Sarze przyszło na myśl, że wygląda jak skrzyżowanie pająka czającego się na swojej sieci i czujnej surykatki.

- Już się bałem, że się nie pofatygujesz – rzucił kąśliwie na jej widok.

- Też dzień dobry. Przecież ci już kilka razy mówiłam, że jeżeli nie mam nic w planach, to przyjdę od razu, a jeżeli akurat rozmawiam ze świadkiem, to potem. Mam ci to rozrysować? Kolorami? – Szajba była ostrożna. – Czego chcesz? Nie mogłeś zadzwonić jak normalny człowiek?

- To jest śledztwo i wszystko idzie do protokołu.

- No popatrz, a ja myślałam, że spotkanie towarzyskie. Streszczaj się, nie mam czasu.

- Bardziej ci zależy na grzebaniu w przeszłości niż na znalezieniu mordercy Piotrowskiego?

- Popierdoliło cię? To dwie różne rzeczy. Po prostu kombinuję, czego ty też możesz jeszcze chcieć ode mnie.

- Znałaś go...

- Barlicki, nie wyprowadzaj mnie z równowagi, nerwowa dzisiaj jestem. Czy ty masz sklerozę? Czy liczysz na to, że nagle powiem, że w życiu Maksa nie widziałam?

- Przypomniało ci się coś o nim?

– Nie. I nie mam pojęcia, czy się w coś wplątał przypadkiem, czy to ma związek z jakąś jego sprawą. Naprawdę chciałeś, żebym przyszła tylko po to, żeby ci to powiedzieć kolejny raz? Nie szkoda ci czasu? A może nie masz żadnego konkretnego i liczysz na to, że ja na coś wpadnę i ci podrzucę pomysł?

– Powinnaś mi powiedzieć...

– No owszem. Jak mi coś przyjdzie do głowy, to nie omieszkam. Ale myśleć za ciebie nie będę. To wszystko?

– Nie, chciałbym zweryfikować twoje zeznania – powiedział Barlicki z urażoną miną.

– Ochujales? Marnujesz czas. Ale dobra. – Lipner rozsiadła się wygodnie, bo postanowiła coś ugrać. – Mam czas do wpół do pierwszej, pytaj.

Barlicki był zaskoczony i nie potrafił tego ukryć. Spodziewał się większego oporu ze strony Sary, a przez jej ugodowość stracił część pewności siebie. Zadał prawie te same pytania co poprzednio, próbował wmówić Lipner, że na miejscu zbrodni widziała na pewno więcej, niż przyznaje, ale dał za wygraną, gdy Szajba spytała, czy ma problemy z językiem ojczystym, skoro nie rozumie, co się do niego mówi.

– Jeżeli kolejna nasza rozmowa będzie wyglądała tak samo, powiem o tym staremu. Marnujesz czas swój i mój, a morderca hasa sobie na wolności. Ja rozumiem, że się stresujesz – Sara uśmiechnęła się złośliwie – bo ci wewnętrzny na ręce patrzy, ale bez przesady. Zrób coś pożytecznego.

Wkurzyła Barlickiego i na to liczyła.

– Ty się pilnuj, żeby tobą się nie zainteresowali – zagroził.

– A proszę bardzo, mogę z nimi pogadać o Gawrońskim – wzruszyła ramionami.

– Ciekawe, czy i o Sławku.

– Kurwa, czy ty nie masz co robić? Wykopujesz nieboszczyka? Aż żałuję, że nie umiem duchów wywoływać.

– Taka pewna go jesteś?

- A dlaczego nie? Ale - Szajba zamilkła i uważnie przyjrzała się Barlickiemu - zastanawia mnie, czemu ty się tak Wątróbskiego czepiasz. Czyżbyś wiedział o czymś, o czym ja nie wiem? Ja i stary? I wewnętrzny? No, no, zaciekawieś mnie.

- Ty się, kurwa, w to nie mieszaj!

- A to niby dlaczego? Czuję się zaintrygowana. Cześć!

Zadowolona z siebie Lipner zbiegła po schodach. I niech teraz zaprzecza, że nie od niego usłyszała o Sławku. Dyktafon na wszelki wypadek wyłączyła dopiero na ulicy, żeby ktoś przypadkiem nie miał odpowiednich skojarzeń. Już wcześniej postanowiła, że lepiej się zabezpieczyć, bo nie ufała Barlickiemu za grosz.

Odebrała samochód i do siebie dotarła dopiero tuż przed czternastą.

- Wyglądasz jak kot, który upolował wyjątkowo tłustą mysz - stwierdził Adam.

- Odebrałam samochód, a Barlicki po prostu udaje, że coś robi. Przy okazji zasugerowałam mu, że skoro tak mnie męczy o Wątróbkę, to chyba się tym zainteresuję. - Sara streściła rozmowę. - A teraz wreszcie mam szansę pogadać z dwoma zagranicznymi „muszkieterami”.

Jako pierwszego wybrała mieszkającego w Stanach Adama Muchę.

- Spodziewałem się pani telefonu - powiedział niechętnie. - Matka wczoraj wieczorem zadzwoniła i powiedziała, że policja wróciła do morderstwa Jaśka. Po tylu latach wypłynęło coś nowego?

- Owszem. - Lipner nie wdawała się w szczegóły. - Pierwsze pytanie: czy dostawał pan jakieś nietypowe listy?

- Nietypowe, czyli jakie? - spytał ostrożnie Mucha i Szajba wiedziała, że trafiła.

- Z rysunkami dzieci. Gawroński dostawał, więc podejrzewam, że pan też.

- Dostawałem. Teraz nie, ale przeprowadziłem się kilka razy, więc może dlatego.

- Co pan o nich sądzi?

– Najpierw myślałem, że ktoś się pomylił i zamiast do ukochanych dziadków list trafił do nas. Ale kiedyś rozmawiałem z Jaśkiem, wspomniałem o tych rysunkach i okazało się, że do niego też przychodzą. Wtedy się przestraszyłem.

– Pamięta pan nadawcę?

– Nie. Ale coś w stylu Jan Kowalski, Warszawa, Poland.

– Może pan sprawdzić?

– Nie, spaliłem wszystkie. Jeszcze tego brakowało, żeby żona pomyślała, że mam dzieciaka w Polsce.

– Ma pan jakiś pomysł, dlaczego te rysunki przychodziły i do pana, i do Gawrońskiego?

– Nie! – zaprzeczył energicznie Mucha.

– A ja tak. Proszę opowiedzieć o „muszkietdach” i d’Artagnanie.

– Byliśmy kumplami ze szkoły, nawet nie z jednej klasy.

– A Mateusz Tralka?

– Tralka – powtórzył, przeciągając głoski, Mucha. – Zналиśmy go z klubu sportowego, ale dosyć krótko.

– Owszem, bo potem leczył poparzenia. Po wspólnej z „muszkietdami” zabawie ogniem.

– To było straszne! Nikt z nas nie przewidział, że tak to się skończy. A siostra Mateusza była zajęta czymś z matką w domu, nie było jej na podwórku. Wyleciała i od razu rzuciła się na brata. Po chwili paliły się ciuchy i na nim, i na niej. – Mucha zamilkł na chwilę. – Nic nie mogliśmy zrobić. A im starszy jestem, tym bardziej mnie to rusza. Mam dzieci. Dorosłe, ale przecież kiedyś były w wieku Zosi.

– Wy też byliście poparzeni.

– Tak, ale niezbyt groźnie.

– Niech mi pan powie, kto wpadł na pomysł zrobienia tych miotaczy ognia?

– Nie mam pojęcia, nie pamiętam już – odpowiedział szybko Mucha. – To było tak dawno. Zresztą jakie to ma znaczenie?

– Wszystko na to wskazuje, że te rysunki nawiązują do pożaru, do Mateusza i Zosi Tralków.

– Nie wierzę! Niby dlaczego?

– Liczyłam na to, że może pan mi to powie.

– Skąd! Nie mam pojęcia! – zastrzegł energicznie Mucha.

– A co na ten temat mówił Gawroński?

– Też nie wiedział. Zresztą, pani komisarz, to było prawie czterdzieści lat temu! Szkoda pani czasu na to. A ja nie umiem pomóc.

– Mateusz Tralka należał do waszej paczki?

– Czy ja wiem? Czasem tak, czasem nie.

– Czy pozostali „muszkietierowie” też dostawali rysunki?

– Nie mam pojęcia! I naprawdę nic więcej już nie umiem powiedzieć. – Adam Mucha był wyraźnie zdenerwowany.

– Na pewno? Proszę pomyśleć. Może ktoś coś wspominał?

– Nie pamiętam.

– A jeżeli chodzi o tamtą tragedię, może jest jeszcze coś, co mógłby mi pan powiedzieć?

– Nie, nic – zastrzegł tak energicznie Mucha, że Szajba była pewne, że nie mówi prawdy. – Pani komisarz, ja zaraz wychodzę do pracy, więc...

– Rozumiem. Gdyby pan sobie coś przypomniał, proszę o telefon.

Nie powiedział jej wszystkiego, Lipner była tego pewna. Na podwórku Tralków musiało się wydarzyć coś, co niepokoiło Muchę. Pytanie dlaczego. Policja przecież badała tę sprawę i uznała, że był to nieszczęśliwy wypadek. Mało tego! Przeżył przecież brat ofiary – gdyby coś było nie tak, na pewno by powiedział. Pokręciła głową z niezadowoleniem. Wolą rozmawiać z ludźmi bezpośrednio, a nie telefonicznie. Gdyby była u Muchy albo wezwała go na przesłuchanie, zapewne dowiedziałyby się więcej.

Jacek Szewczyk też już wiedział, że musi się spodziewać telefonu od polskiej policji. Od razu i z dużym zapałem zasłonił się upływem lat oraz sklerozą tak dużą, że Sarę korciło, żeby spytać, czy w ogóle kojarzy jeszcze własną rodzinę albo czy nie cierpi na demencję. Odpowiadał

półśłówkami, ale właściwie potwierdził to, co mówił Mucha. Zapytany o listy z dziecięcymi rysunkami oświadczył, że nigdy takie do niego nie przychodziły. Był rozdrażniony i bliski wyparcia się znajomości z kolegami z liceum.

– Co się pani dziwi? – warknął do telefonu. – To nie są miłe wspomnienia. Staram się o tym nie myśleć, zapomnieć. Było, minęło. Trzeba żyć dalej.

– Gawroński nie żyje...

– Pani komisarz! To już kilkanaście lat jak umarł!

– A kilka dni temu zamordowany został Tomaszewski. Przypadek? Nie jestem w stanie zmusić pana do szczerzej rozmowy, ale niech pan weźmie pod uwagę, że dwaj z waszej czwórki nie żyją.

Miała nadzieję, że Szewczyk przestraszy się i zdecyduje na większą szczeroci. Podejrzewała też, że zaraz po rozmowie skontaktuje się z Muchą i uzgodnią, co jeszcze mogą powiedzieć. A może przypomną sobie coś istotnego?

Zadzwonili wcześniej, niż Lipner się spodziewała. Rozmawiali teraz we trójkę, a mężczyźni uzupełniali swoje poprzednie zeznania. Sara zdawała sobie sprawę, że całej prawdy zapewne i tym razem nie usłyszy, ale liczyła na jakieś istotne informacje. Mucha od razu zastrzegł, że minęło już ponad ćwierć wieku, więc nawet gdyby ktoś chciał ich oskarżyć, to jest za późno. Na takie stwierdzenia Szajba zamieniła się w słuch. Z pewnymi oporami mężczyźni wyjaśnili, że podczas pamiętnych zimowych ferii wpadli na pomysł, żeby do ich paczki dołączył Mateusz Tralka. Na trochę i tylko dlatego, że chcieli go powkręcać w rozmaite rzeczy, a on się do tego świetnie nadawał. Postanowili zabawić się jego kosztem i wymyślali rozmaite wyzwania. Niebezpieczne i nawet wyglądające na takie na granicy prawa. Tralka nie wiedział, że wszystko z góry jest ukartowane i ustawione tak, żeby to „muskietierowie” i d’Artagnan najlepiej się bawili i mogli markować wykonywanie zadań. Był zadowolony, że wreszcie ma kolegów, bo dosyć trudno nawiązywał kontakt i nie należał do popularnych dzieciaków. W klubie był uważany za ciamajdę. Gdy doszło do wymyślania wyzwania dla Tralki, tak mu popodpowiadali

i posugerowali, że niby sam wpadł na pomysł, żeby skonstruować miotacze ognia z dezodorantów. Mało tego, zaczęli rozmawiać o strojach ognioodpornych i postanowili zrobić taki własnym sumptem. Potem losowali, kto włoży ten strój. Teoretycznie ten, kto wylosuje kartką z gaśnicą miał się w niego ubrać, ale praktycznie Jan Gawroński zrobił wszystkie karteczki takie same. Tralka jako pomysłodawca losował jako pierwszy i gdy wyciągnął karteluszek z gaśnicą, reszta już nie losowała. W skrócie – „muszkietierowie” tak pokierowali nieświadomym niczego chłopakiem, tak pooszukiwali, żeby to on przeżył chwile grozy, gdy skierują na niego ogień.

– Do głowy nam nie przyszło, że to się tak może skończyć – zapewnił Mucha.

Szajba wierzyła mu. To była brutalna zabawa z dreszczykiem emocji, a nie zaplanowane podpalenie.

– Czuliśmy się fatalnie – powiedział Szewczyk. – Nasze poparzenia szybko się wygoiły, ale Mateusz miał spalone dłonie, a jego siostry nie dało się uratować. A potem dowiedzieliśmy się, że trafił do psychiatryka.

– A po kilku latach, że się powiesił. Potem okazało się, że nie, ale długo myśleliśmy, że nie żyje.

– Te rysunki nas przeraziły, zaczęły przychodzić jakieś piętnaście lat po tragedii. Ale baliśmy się to gdzieś zgłosić.

– Do nas wszystkich przychodziły – dodał Mucha. – Ale Jasek mówił, że u niego to nie były tylko rysunki. I może nie zorientowalibyśmy się, o co chodzi, ale on opowiadał o popiele, opakowaniu po dezodorancie, a potem pożarze domu.

– Ktoś się mści. Tylko kto?

– Tego właśnie chcę się dowiedzieć.

– Dobrze, że jesteśmy daleko – zauważył Szewczyk.

– Co powiedzieliście, jak was przesłuchiwała policja?

– Że chcieliśmy zrobić takie miotacze z dezodorantów, że chcieliśmy poeksperymentować. Nie mówiliśmy nic o losowaniu.

Po tej rozmowie Szajba знаła już przebieg wydarzeń sprzed trzydziestu siedmiu lat, wiedziała, że śmierć Gawrońskiego na pewno się z nimi wiąże. Jaki jednak był motyw? Czy na pewno zemsta? Jeżeli tak, to kto się mścił?

Sara postanowiła poświęcić jeszcze jeden wieczór na obserwację parkingu i okolicy jej domu. Tym razem z samochodu, a nie z okna. Jeżeli i dzisiaj nic nie zauważy, odpuści. Szkoda jej było na to czasu, ale wciąż miała wrażenie, że mafia jest gdzieś w pobliżu. Mogła sobie wmawiać, że totalną głupotą byłoby pilnowanie jej cały czas i niestawianie żądań, ale była niespokojna.

Ruch powoli zamierał, sąsiedzi wracali do domów, nawet osiedlowe pijaczki poszły spać, na co wpływ prawdopodobnie miał siąpiący deszcz. Było po dwudziestej trzeciej, gdy w zasięgu jej wzroku pojawili się dwaj młodzi mężczyźni. Sara знаła z widzenia wszystkich sąsiadów, ci nie mieszkali w pobliżu. Mężczyźni przechadzali się pod blokiem, rozglądali, spoglądali w okna, tak jakby sprawdzali, czy okoliczni mieszkańcy idą spać. Tak nie powinien zachowywać się ktoś, kto czeka na jedną osobę lub obserwuje jedno mieszkanie. Tej dwójce chodziło o coś innego. Po chwili podeszli do stojącego na skraju parkingu lexusa. Otworzyli go w mgnieniu oka, wskoczyli do środka, błyskawicznie uruchomili i wystartowali z piskiem opon. Szajba ruszyła za nimi, wybierając jednocześnie numer do Piotrka.

– Ktoś właśnie podpierdolił spod mojego domu lexusa, zapisz numery. – Sara przedyskutowała rejestrację. – Jadę za nimi, na światłach puszczę ci śledzenie lokalizacji.

Wyglądało na to, że złodzieje chcą jak najszybciej wyjechać z miasta, kierowali się w stronę obwodnicy. Szajba poczuła dobrze sobie znany kop adrenaliny. Jechała tak, żeby nie zorientowali się, że mają ogon. O tej porze był niewielki ruch i nie bała się, że ich zgubi.

Wyjechali z Gdańska, przejechali za obwodnicę, a kilkanaście kilometrów dalej skręcili na drogę wiodącą do niedawno wybudowanych domów. Lipner pozwoliła kawałek im odjechać, a potem powtórzyła

manewr. Przejechała może ze sto metrów, gdy od pobocza odkleiły się dwa SUV-y i zatarasowały jej drogę. Mafia!

– Kurwa mać!

Szajba dała po hamulcach, wrzuciła wsteczny i zerkając jednym okiem przed siebie, a drugim w lusterko, czym prędzej odjechała od tej barykady. Nie ścigali jej i już po chwili było wiadomo dlaczego. Nagle osłepiły ją długie światła samochodu stojącego przy zjeździe z głównej drogi. Zatrzymała się gwałtownie i już z glockiem w ręku wyskoczyła z samochodu. Na szczęście na poboczu rosły drzewa i krzaki, wśród nich nie była tak łatwym celem, ale pole manewru miała znikome. Do wozu nie wróci, bo jest zablokowana, a w ciemności nie wiadomo, kto się czai. Usłyszała trzask drzwi wszystkich trzech samochodów. Przestępcy nie pojawili się na oświetlonej drodze, pozostali w ciemności, ale zaznaczyli swoją aktywność.

– No dalej, kurwa, będziemy tak stać do usranej śmierci?! – ledwo dosłyszalnie szepnęła Szajba.

W tym momencie padły dwa strzały, oba przed jej samochód. A więc znowu straszenie, a nie konkretna akcja, bo chyba nie liczą na to, że nagle spanikuje. A może odwracają uwagę, a ktoś właśnie zachodzi ją od tyłu. Miała problem, poza tym, że przeciwników było co najmniej trzech, to samochody osłepiały ją i nie widziała, co się dzieje poza oświetlonym terenem. Oparła się plecami o drzewo i – żeby przywyknąć do ciemności – na chwilę znieruchomiła z zamkniętymi oczami. Skupiła się na słuchu, ale dochodzące zewsząd szelesty nie pozwalały się jej zorientować, czy ktoś się nie zbliża. Napastnicy powinni coś zrobić, nie mogą tak tkwić przecież w nieskończoność, bo niby po co? Otworzyła oczy i rozejrzała się. W obie strony ciągnęła się dosyć wysoka trawa i chyba tylko ninja dałby radę podejść blisko bez zwracania uwagi. Wróciła do obserwacji drogi i nagle usłyszała policyjną syrenę.

Zza jednego z wozów ktoś rzucił w jej kierunku niewielką paczkę, po czym wszystkie samochody odjechały w stronę zabudowań. Ten blokujący Sarze drogę przejechał po poboczu, prawie ocierając się o jej auto. Byli idealnie zgrani, zadziałali w tej samej chwili, w ten sam sposób.

Tuż koło Szajby zatrzymały się dwa wozy – Piotra z kogutem na dachu i policyjny.

– Cała jesteś?

– Tak. – Lipner schowała broń do kabury. – Przejdźcie kawałek tędy, może gdzieś porzucili lexusa – poleciała policjantom.

– Naprawdę w to wierzysz? – spytał sceptycznie Piotr.

– E tam! Ale rzucili czymś, prawie mi oka tym nie wybili – lekko podkoloryzowała Szajba. – Nie chcę tego publicznie ani podnosić, ani oglądać.

Schyliła się po niewielką, płaską paczkę i wrzuciła ją do samochodu. Wiedziała, że śladów palców tam nie znajdzie, a ponieważ mafia z pakunkiem nie obchodziła się delikatnie, ona też nie musiała być ostrożna. Potem podeszła w miejsca, gdzie stały samochody napastników, i rozejrzała się w poszukiwaniu łusek. Nie było.

– Strzelali? – zgađł od razu Sulich.

– Tak. Kropnęli kilka razy, celując w drogę.

– Zgłupieli? Jaki to miało sens? Lepiej zobacz, co tam jest! – zażądał Sulich.

– Za chwilę, patrol wraca.

Skradzionego samochodu nie porzucono nigdzie blisko, więc nie mieli czego tu szukać. Patrol miał się na wszelki wypadek rozejrzeć po okolicy, a Sara i Piotr pojechali do Gdańska.

– Wyciągnęli cię jak gówniarza – podsumował Sulich, otwierając piwo bezalkoholowe.

– Pomysłowi są. Podpieprzyli samochód, żebym się ruszyła spod bloku i trafiła tam, gdzie chcieli. – Sara przyglądała się leżącej na stole paczce. – To było coś nowego.

– Mogli ci to wysłać.

– Nie, no coś ty! Bez efektów specjalnych? Wiesz, odludna i zablokowana droga, oślepienie światłami, brak możliwości ucieczki... Ktoś tam lubi dramatyczne sceny.

– Nie wyglądasz na wystraszoną.

– Ciebie też nie ruszyło, bo inaczej już dawno byś mi dupę truł o ostrożności i innych takich. Nawet na to, że strzelali, nie zareagowałaś.

– Bo to znowu wygląda na demonstrację siły. Chyba potrzebują cię żywej.

– Mogliby wyartykułować, o co chodzi, bo jakoś nie mogę zgadnąć. I powiem ci, że chyba miałabym ich w dupie, gdyby nie Sławek.

– Już to widzę.

– No może bym się zainteresowała, ale bez ciśnienia.

Szajba otworzyła przesyłkę od mafii i na stół wysypały się zdjęcia. Nie miała złudzeń co do ewentualnych śladów, musieliby być kretykami, żeby coś na nich zostawić.

– Ja pierdołę! Mówiłam!

Patrzyli na zdjęcia zrobione Sarze i Sławkowi tuż po strzelaninie. Kąt wskazywał na to, że były zrobione z położonego wysoko mieszkania lub ze strychu. Nie były dobrej jakości, ale jak na zdjęcia robione w ciemności całkiem niezłe. Widać było, jak Lipner próbuje reanimować partnera, mimo że sama jest ranna, jak dzwoni, potem jak zemdlona leży przy martwym już Wątróbskim.

– To jakbyś miał jeszcze jakieś wątpliwości. Na Sławka poszło zlecenie, a zlecanodawca sprawdzał, czy wszystko pójdzie zgodnie z planem.

– Ciekawe, czy poszło.

– Wątróbka nie żyje.

– No tak, ale przebieg strzelaniny mógł być inny. Gdybyś nie zdążyła dobiec albo była dalej, to zginąłby tylko Sławek.

– I być może ten smarkacz – powiedziała w zamyśleniu Sara. – Masz rację, mogłam im wejść w paradę, ale to i tak nie tłumaczy tego, co robią. Dużo energii tracą na mnie, a na razie nie zażądali niczego. Dziwnie się zachowują, mogliby spróbować mnie przekupić, zaszantażować, chociażby uszkodzeniem rodziców, albo zabić. Nie rozumiem ich i gryzie mnie to.

– Mam propozycję – powiedział Sulich i dopił piwo. – Nie interweniuj. Zgłaszaj.

– To będzie trudne. – Sara wzruszyła ramionami i odprowadziła Sulicha do drzwi. – Słuchaj, Piotr, zaprosiłam starych na kolację, trochę tak w rewanżu za to, że już nie przychodzę do nich co weekend. Przyjedziesz?

– O ile nic mi nie wybuchnie, to tak. A kiedy?

– Jutro. Cześć!

Rodzice przyszedli o osiemnastej. Matka Sary z aprobatą zerknęła na zastawiony przysmakami stół i uznała, że już nie musi niepokoić się o to, czy córka przypadkiem nie żyje na suchym chlebie i zupkach chińskich. Albo nic nie je. Widząc błysk w oku rodzicielki, Lipner w duchu pogratulowała sobie pomysłu i pożałowała, że wcześniej nie przyszło jej to głowy. Zaproszenie rodziców na kolację, a nawet obiad było znacznie lepszym rozwiązaniem niż cotygodniowe obiady u nich w towarzystwie siostry i jej męża.

– Mamo, przypomnij mi, Roman zawsze był takim dupkiem? – spytała w pewnym momencie Sara.

– Aż takim nie. Ale... – matka Sary zamilkła lekko zmieszana.

– Zawsze był nieco arogancki – powiedział oględnie ojciec.

– Widujesz się czasem z Ewą?

– Żartujesz, mamo? Nawet jak kiedyś podrzuciła do mnie Werkę, to z samochodu nie wysiadła. Raz ją do mnie puściła, a szkoda, młoda jest fajna.

– Uważa, że masz na nią zły wpływ – wyjaśniła matka.

– Kupiłaś jej czarną skórzaną kurtkę – dorzucił ojciec.

Piotr nie wytrzymał i parsknął śmiechem.

– I to sprowadzi tę małą na złą drogę?

– Według mojej siostry tak. A do diabła z nimi, są ciekawsze tematy. Wiecie, że kupiłam motor?

Wieczór upłynął na opowieściach o wirażce oraz wymienianiu ploteczek rodzinnych i towarzyskich. Nieco po dwudziestej drugiej rodzice uznali, że pora iść do domu.

Piotr pomógł Sarze posprzątać, a potem, jakby to była rzecz najnormalniejsza pod słońcem, przytulił ją. Zesztywniała, co od razu poczuł, ale nie rozluźnił objęć. Czekał już od wielu miesięcy, wiedział, że Szajba wie, że mu zależy, ale cały czas trzymała go na dystans.

– Udusisz mnie... – szepnęła Sara z nosem przyciśniętym do obojczyka Sulicha.

– Na wszelki wypadek wolę cię mocno trzymać, żebyś nie uciekła.

– Nie ucieknę – obiecała.

Pragnęła Piotra każdą komórką swojego ciała, a jednocześnie bała się. Czego? Tego, że coś się zmieni w ich relacji? No to co? W końcu raz się żyje. Szajba podjęła decyzję i delikatnie ujęła w dłonie twarz Sulicha.

– A nie musisz dzisiaj nigdzie iść? Telefon nie wyciągnie cię z łóżka?

Sulicha w tej chwili z mieszkania Sary nie wywabiłby pożar, trzęsienie ziemi ani strzelanina na klatce schodowej.

Dwie godziny później zmęczeni leżeli w łóżku i patrzyli na siebie z nieukrywanym zadowoleniem.

– I dlaczego nie zrobiliśmy tego wcześniej?

– Ja tam nie chcę nic mówić, ale parę razy próbowałem zaciągnąć cię do łóżka – przypomniał Piotr.

– Może jakoś mało energicznie?

– No fakt, nie spytałem, czy się ze mną prześpisz.

– Nie wiem jak ty, ale ja nie spałam – roześmiała się Szajba. – I właściwie...

– Nadal nie jesteś śpiąca?

Piotr przyciągnął Sarę do siebie i zaczął ją delikatnie pieścić.

– Nie jestem...

Szajba obudziła się pierwsza. Zaspana z pewnym zaskoczeniem zauważyła, że nie ma całego łóżka dla siebie, bo obok śpi Sulich.

Rozczochrany, z wczorajszym zarostem i leciutkim uśmiechem na ustach. Na wspomnienie wieczoru Sara też się uśmiechnęła. Nie żałowała ani chwili. Po cichu wstała i poszła do łazienki. Gdy wyszła, w mieszkaniu rozniósł się zapach kawy, a Piotr krzątał się w kuchni. Przypomniała sobie podobną sytuację sprzed paru miesięcy, z tym że wtedy Sulich spał na kanapie.

– Cześć! – Odwrócił się na dźwięk kroków i szeroko uśmiechnął.

Oddała uśmiech i na chwilę przytuliła się do Piotra.

– Skończę, masz wolną łazienkę. W szafce jest twoja szczoteczka do zębów.

– Na brudasa pojedę do domu i tam się wykąpię, tylko ze szczoteczki skorzystam – zdecydował Piotr. – I tak muszę się przebrać w coś czystego. Znalazłem fajną miejscówkę na weekend, jedziemy?

– W najbliższy?

– A masz coś innego w planach?

– Nie. Daleko?

– Koło stu kilometrów, jak wyjedziemy o osiemnastej, to pewnie przed dwudziestą dojedziemy.

– Już zarezerwowałeś?

– Zaryzykowałem. – Piotr się roześmiał i zniknął w łazience.

Szybko zjedli kanapki, popili je kawą i byli gotowi do wyjścia. Najchętniej zostaliby w domu, a dokładniej mówiąc – w łóżku, ale oboje musieli punktualnie pojawić się w pracy.

– Życie jest ciężkie – westchnął Piotr, przytulając Sarę i szukając jej ust.

– Wytrzymasz, może jeszcze się spotkamy – powiedziała, śmiejąc się, Szajba. – Lepiej teraz nie zaczynamy, bo się spóźnimy.

– A stary mnie spyta, co też takiego mnie rano zatrzymało.

Rozstali się niechętnie, ale nic nie stało na przeszkodzie, żeby spotkać się jeszcze tego samego dnia.

Rozdział piętnasty

Jeszcze w drodze do pracy Szajba wpadła na pomysł, jak spróbować namierzyć mafię. Wiedziała przecież, jak się nazywa i do jakiej szkoły chodzi gówniarz zamieszany w porachunki mafijne i w sprawę, przy której Sławek po raz pierwszy dał się skorumpować. A chłopak mógł ją naprowadzić na coś interesującego. Poza tym poznanie jego zwyczajów mogło kiedyś stać się kartą przetargową – zawsze lepiej wiedzieć więcej niż mniej. Wyszukanie zdjęć chłopaka na Facebooku i Instagramie było banalnie proste, bo jak większość nastolatków wręcz zarzucał swoimi fotami media społecznościowe. Wybrała dwa najlepsze, wydrukowała je i schowała do kieszeni. Teraz pozostało takie zorganizowanie pracy, żeby wszyscy myśleli, że cały czas spędza nad sprawą Gawrońskiego.

Podejrzenia gromadziły się wokół osób, które były w jakiś sposób związane z Tralkami prawie trzydzieści lata temu. Problem był jednak w tym, że najbardziej zaangażowane w to osoby nie miały szansy zamordować Gawrońskiego, a teraz Tomaszewskiego. Lipner zrobiła krótkie zestawienie.

Waldemar Tralka, ojciec Mateusza i Zosi – najbardziej podejrzany, mógł się dowiedzieć szczegółów od syna, żył jeszcze w chwili zamordowania Gawrońskiego, ale zmarł ponad dziesięć lat temu, więc Tomaszewskiego nie mógł zabić.

Jadwiga Gawrońska – jak wyżej, poza tym nie żyła już w momencie zgonu Gawrońskiego.

Mateusz Tralka – odpada, jest kaleką, ma niesprawne dłonie, nie mógłby zrobić nic, do czego byłyby potrzebne. Czyli na przykład narysować ludzików. I jest pensjonariuszem szpitala psychiatrycznego.

Dziewczyna Mateusza Tralki – gdyby miał, mogłaby pałać chęcią zemsty, ale nikt nie wspominał, żeby miał sympatię. Poza tym czy czekałaby tyle lat? Jeżeli chciałyby się mścić, to od razu, w napadzie rozpaczy i szału.

Znajomy rodziny, który się zemścił za nich – naciągane. Obcy nie narażałby się tak, żeby ukarać „muszkieterów”.

Jakiś bliżej nieokreślony mściciel lub samozwańczy sędzia i kat w jednej osobie. Ktoś, kto dla własnych celów wykorzystał tę historię. Jeżeli tak, to musiał znać sprawę. Skąd?

Po chwili zastanowienia Sara dopisała jeszcze jedną pozycję.

Hubert Tralka – nie był świadkiem tragedii, urodził się już później. Od dziecka obarczony traumą brata. W jak dużym stopniu? Jeździ tirem na trasach międzynarodowych, w domu bywa rzadko. Wygląda, jakby uciekł w pracę? Może miał dosyć życia w cieniu tragedii?

Szajba przyjrzała się krytycznie własnym zapiskom, żadna z opcji jej się nie podobała.

– Wstaw wodę po drodze – poprosił Adam, widząc, że wychodzi z pokoju.

– Kawa?

– Tak.

Ostróżka była u siebie, właśnie kończyła z kimś rozmawiać przez telefon. A właściwie warczeć na kogoś i mówić, co myśli o jego przodkach i prowadzeniu się matki.

– Siadaj! Mam nadzieję, że ciebie nie trzeba ani niańczyć, ani pocieszać.

– A wydawało mi się, że tu jest mały, zgrany zespół i przy starych sprawach trudniej podpaść, nie ma presji czasu. Ktoś obcy ci się naraził?

Ostróżka zamilkła, przez chwilę coś rozważała i zdecydowała się na prawdę.

– A co tam, powiem ci, i tak się dowiesz. Syn Poręby jakiś czas temu spowodował wypadek ze skutkiem śmiertelnym.

– O cholera! Po pijaku?

– Nie, na szczęście był trzeźwy. Ale grzał jak do pożaru i teraz siedzi. A Poręba od czasu do czasu ma doły. To znaczy zalewa wkurw na synalka wódką. Przez następny dzień jest nie do życia. Kazałam mu siedzieć w domu na dupie, bo te procenty jeszcze mu na pewno nie wywietrzały. Zdejmę mu z nadgodzin.

– Jasne. Słuchaj, muszę pogadać z sąsiadami Tomaszewskiego. Na tej wsi wszyscy się znają i nawet jeżeli facet był odludkiem i się nie zwierzał, to mogli coś zauważyć. Miszta nie wie, o co pytać w kontekście Gawrońskiego. Prościej będzie, jak ja to zrobię.

– To jego śledztwo.

– Ale zahacza o moje. Nie chcę mu się wpięprzać za plecami. Mam się dogadać czy lepiej oficjalnie?

– Żartujesz?

– Nie znam twoich układów, a wszyscy są spięci po morderstwie Piotrowskiego i wkurzeni na węszących wewnętrznych.

– Dogadaj się z Misztą. Z tego co wiem, głupi nie jest, zaraz się zorientuje, że to może być z korzyścią dla niego.

W ten sposób Szajba załatwiła sobie oficjalny dostęp do dochodzenia.

Sąsiedzi Tomaszewskiego w większości nie mieli ochoty na kolejną rozmowę z policją. Powiedzieli, co wiedzieli albo co chcieli powiedzieć, i nie widzieli sensu kolejnych wypytywań. Dopiero informacja, że morderstwo może mieć swoje korzenie w przeszłości rozwiązywała im języki – ludzie stawali się zaintrygowani i bardziej skłonni do rozmowy. Nie wszyscy oczywiście, tak dobrze to nie ma! O Tomaszewskim Sara dowiedziała się całkiem sporo, nawet to, że gustuje w niewysokich i piersiastych prostytutkach, ale nikt nie wspomniał ani o rysunkach, ani o pożarze w obejściu Tomaszewskiego, ani o tym, że był czymś zaniepokojony. Ponieważ mieszkał tu długo – kupił dom prawie trzydzieści lat temu – to albo nie był nękany przez mordercę, albo nie czuł potrzeby podzielenia się swoimi obawami. Komu miałby się zwierzać taki

mało towarzyski facet? Najszybciej rodzicom – trzeba ich o to spytać. Wypytała również o psa. Według jednej z sąsiadek za tęczy most przeniósł się niedawno.

– Biedny psiak – westchnęła rozmówczyni Sary. – Niedługo był u Grzeška, wziął go ze schroniska. Dobrze mu u niego było, w budzie siedział tylko czasem, a jak Grzesiek był w pracy, to pies zawsze w domu. W nocy też. I rozpuszczał go. Smakołyki kupował, nawet na szkolenie chodził. I fakt, karny był.

– Duży? – Buda była spora, ale to jeszcze o niczym nie świadczyło.

– Taki jak wilczur, może trochę mniejszy. Kundel. Ale ładny i mądry. Grzesiek go nauczył różnych sztuczek.

– Jakich?

– Niektóre to takie jak zawsze się uczy, daj łapę, przynieś czy takie tam. Ale potrafił też pilnować. Jakby pani była u Grzeška i on by kazał psu pilnować pani, toby się pani z fotela nie mogła ruszyć. Wiem, bo mi to pokazywał. Jak wstawałam, to pies warczał i szczerzył zęby. Jak Tomaszewski kazał mu przestać, to przestał. Tresowany był.

Wszystko wskazywało na to, że Tomaszewski wziął psa, żeby czuć się bezpieczniej. A jednak zginęli obaj.

– A brał jedzenie od obcych?

– A z tym to był problem, może dlatego, że ze schroniska. Jak Grzesiek widział, to pies w drugą stronę pysk od jedzenia odwracał i z ziemi nie zjadał. Ale jak był sam, to pożerał wszystko, wciągał jak odkurzacz. Jakby był głodzony, a nie był, na pewno.

No i wszystko jasne, bardzo łatwo było pozbyć się psa. Wystarczyło podrzucić mu jakiś smakowity kęsek, gdy Tomaszewski tego nie widział, a przecież nie obserwował kundla non stop. Być może ktoś to wykorzystał, trudno to jednak teraz zweryfikować.

W drodze powrotnej do Gdańska Sara zadzwoniła do Tomaszewskich i spytała, czy syn czegoś się ostatnio nie obawiał. Zaprzeczyli. Nie wiedzieli też nic o rysunkach dzieci przychodzących do syna. To, że tak było, Lipner wiedziała jedynie od Muchy i Szewczyka.

Korzystając z tego, że ma nieco luzu, Sara na chwilę porzuciła sprawę Gawrońskiego i pojechała pod liceum, do którego chodził Maciek, nastoletni syn szefa mafii. Chciała go jedynie dyskretnie poobserwować, nie pokazywać się, a już na pewno nie nawiązywać kontaktu.

Udało jej się zaparkować tak, że widziała wejście do szkoły. O wpół do drugiej Maciek wyszedł z budynku razem z grupą innych uczniów kończących lekcje. Wysoki, przyciągający wzrok rudzielec. Lipner już chciała wysiąść z samochodu, gdy nagle chłopak pożegnał się z kumplami i sam poszedł w stronę pobliskiego większego parkingu. Sara śledziła go wzrokiem, nie ryzykując pójścia za nim. Jeżeli wsiądzie do własnego wozu, będzie mogła za nim pojechać. Owszem, wsiadł, ale od strony pasażera do granatowego, nierzucającego się w oczy audi. Najwyraźniej ktoś po niego przyjechał. Samochód wyjechał z parkingu, a Szajba po chwili ruszyła za nim. Okazało się, że Maciek jest podwożony na siłownię. Wysiadł z inną torbą i zniknął w budynku. Audi zostało na parkingu, a Lipner odjechała. Zaparkowała kilka przecznic dalej. Czekać tu czy podejść bliżej i poobserwować? Z doświadczenia wiedziała, że chłopak będzie w środku co najmniej godzinę, miała więc nieco czasu.

Osiedle było nowe, a projektanci zadbali o zielen i ławeczki. Szła nieśpiesznie z gazetą pod pachą, a pączkiem i kawą kupionymi w pobliskim sklepie w rękach. Wybrała sobie ławkę, z której miała widok na siłownię i audi. Udawała, że rozkoszuje się wiosennym słońcem, i obserwowała. Gdy od zniknięcia chłopaka w siłowni minęła godzina, wrzuciła kubek po kawie do śmieci, zwinęła gazetę i weszła w ślad za nim. Miała pecha, właśnie wychodził, minął ją prawie biegiem, co dało pretekst do spojrzenia za nim.

– Zawsze się tak spieszy – wyjaśniła recepcjonistka. – Pewnie rodzice wożą go z jednych zajęć na drugie.

Szajba wepchnęła sobie w gardło stwierdzenie, że ten sympatycznie wyglądający rudzielec to najpewniej spieszy się na strzelnicę lub coś w tym stylu, wzięła reklamówkę siłowni, pożegnała się i wyszła. Audi już nie było. Czy zmarnowała kilka godzin? Niekoniecznie. Wiedziała, że

chłopak ma obstawę, być może dlatego, że ojciec się o niego boi. A może pilnuje go, żeby się gówniarz nie wdał w jakąś rozróbę?

Dochodziła szesnasta. Sara postanowiła wykorzystać ten dzień maksymalnie i pojechać na cmentarz, na grób Zosi Tralki. Już wcześniej sprawdziła, gdzie dziewczynka jest pochowana. Miała wrażenie, że morderca jest blisko związany z osobami biorącymi udział w wydarzeniach sprzed prawie czterech dekad, a skoro tak, to prawdopodobnie odwiedza grób dziewczynki i o niego dba. Nie liczyła na to, że zostanie zapłakanego mordercę nad grobem dziecka, ale coś ją tam ciągnęło. Nie lubiła cmentarzy, chodziła tam tylko wtedy, kiedy nie miała wyjścia. Zmarłych można wspominać nie tylko nad ich grobem. Bywa też, że częste odwiedziny nie przynoszą ukojenia, a wręcz odwrotnie. Każdy człowiek żałobę przeżywa inaczej. Miejsca, w których znajdują się groby najmłodszych, mimo że sama nie miała dzieci, zawsze sprawiały na niej wyjątkowo przygnębiające wrażenie.

W administracji cmentarza dowiedziała się, gdzie szukać grobu Zosi Tralki, i trafiła do niego bez problemu. Mały grób z aniołkiem stojącym u wezłowania był bardzo zadbane. Tak bardzo, że aż się wyróżniał. Wyglądał na świeżo wysprzątany, wieniec z gałązek świerku i sztucznych kwiatów był niezniszczony, na pewno nie leżał tu od wielu tygodni. Kto dbał o grób? Kierowany uczuciami Hubert Tralka, brat, który nie poznał Zosi, czy ktoś inny? Raczej nie ktoś z dalekiej rodziny, to Sara wiedziała z doświadczenia. Ze zdjęcia wmontowanego w nagrobek spoglądała na Lipner ładna, wesoła blondwłosa dziewczynka. Tak ją zapamiętała większość ludzi, ale rodzice i Mateusz widzieli jej poparzoną twarz. Kontrast musiał być bardzo bolesny.

W połowie drogi do wyjścia z cmentarza zorientowała się, że ktoś za nią idzie. Skręciła w najbliższą alejkę, potem w kolejną i przystanęła za tujami. Nikt jej nie minął, więc ostrożnie wyjrzała. Pusto. Czyżby się pomyliła? Zamiast wrócić do miejsca, z którego zawróciła, ruszyła na spacer po cmentarzu. Powolne tempo przechadzki zaczynało ją denerwować. Przystawała przy niektórych grobach i udając, że czyta inskrypcje, rozglądała się dyskretnie. Jest! Po raz kolejny w zasięgu jej

wzroku pojawił się ubrany na ciemno mężczyzna. W kurtce i czapce z daszkiem skutecznie zasłaniającej głowę i twarz. Zresztą był na tyle daleko, że i tak nie dojrzałyby jego rysów. Ale może jak zrobi mu zdjęcie, to po powiększeniu będzie w miarę czytelne? Wyjęła komórkę, włączyła aparat i odwróciła się w stronę nieznanego. Niestety, mężczyzna najwyraźniej zorientował się w jej zamiarach i w momencie, gdy podnosiła telefon w górę, odwrócił się i odszedł szybkim krokiem. Szajba natychmiast ruszyła za nim, ale teren nie sprzyjał pościgowi. Ona specjalnie wystawiała się na widok, żeby przyciągnąć śledzącego ją mężczyznę, on mógł zniknąć, chowając się w pierwszym lepszym nadającym się do tego miejscu. I tak zrobił.

Bardziej zaintrygowana niż zaniepokojona Sara wyszła już bez przeszkód z nekropolii. Ciekawe, kogo spotkała na cmentarzu. Kogoś związanego z rodziną Tralków? A może kogoś, kto obserwował ją na polecenie mafii? A może łączy się to w jakiś sposób z Piotrowskim?

Piotr zadzwonił, gdy leżała już w łóżku.

– Musiałem wyjechać do Poznania – powiedział od razu. – Wracam dopiero jutro. Chyba mamy pod górkę...

– Nie przesadzaj, to dwa dni. Weekend aktualny?

– Jak najbardziej, wpadnę po ciebie jutro koło osiemnastej.

– To od razu do garażu.

– Może być do garażu. Sara, posłuchaj, to już podobno pewne, że Piotrowski był w coś zamieszany.

– Gdzie jesteś? Możesz swobodnie gadać?

– Tak, z hotelu dzwonię. Coś w sprawie Piotrowskiego śmierdzi.

– Cholera, a jednak! Skąd wiesz? Może to tylko głupie pogłoski?

– Nie, wewnętrzni na coś trafili i będą przyglądali się wszystkim sprawom, w których Maks brał udział – wyjaśnił Piotr.

– A więc i tych Wątróbki.

– Może się okazać, że i ty, i oni interesujecie się tym samym.

- To akurat Adam miał sprawdzić, znalazł niezły pretekst, powiązanie z jedną ze spraw Archiwum X. Uprzedzę go.

- Dobrze pamiętam, że ty mało miałaś do czynienia z Maksymem?

- Dobrze. Ale go znalazłam, więc i tak pewnie mi się przyglądają. Mam nadzieję, że niezbyt intensywnie, nie mam ochoty, żeby mi ktoś na rękę patrzył, to wkurzające. Niech siedzą na głowie Barlickiemu.

- Ale jak powiążą Piotrowskiego ze Sławkiem, to przyczepią się i do ciebie. Lepiej się nie wychylać.

- I bez nich nie odpuszczę skurwysynom, którzy zabili Wątróbskiego.

W piątek rano Sara doczekała pod szkołą Maćka, aż chłopak zniknie w budynku, pojechała do pracy i umówiła się z Szymonem Gawrońskim na rozmowę o kolegach jego ojca. Był jeszcze na zwolnieniu, więc pracował z domu i mógł spotkać się od razu.

- Już myślałem, że się pani nie odezwie – powiedział na powitanie.

- Obiecałam, że dam znać, kto zamordował pana ojca.

- Wiem. Ale może być i tak, że go pani nie znajdzie. Bądźmy realistami, minęło już przecież tyle lat.

- Dlatego sprawa jest w Archiwum X. Te obrazki dzieci mogą być bardzo istotne – powiedziała ostrożnie Sara. - Koledzy pana ojca też takie dostawali.

- A żyją?

- Dwaj.

- O kurwa!

- Zna pan Grzegorza Tomaszewskiego, Adama Muchę i Jacka Szewczyka?

- Tomaszewskiego tak, nawet jeździłem z ojcem do niego na wieś. Taki trochę mruk, ale z tych sympatycznych. Szewczyka i Muchy chyba nigdy nie widziałem.

- Chyba?

- No tak. Bo nie kojarzę ludzi. Ale wie pani? Ja chyba o nich słyszałem. I to właśnie u Tomaszewskiego. Bawiłem się, biegałem po ogrodzie

z łukiem, który mi ojciec zrobił, a oni wspominali kumpli.

– I zapamiętał to pan? Sam pan stwierdził, że minęło już tyle lat...

– No a jak? To przez ten łuk. Ja się tam przeważnie tak bawiłem. Tomaszewski postawił mi snop słomy, do którego strzelałem.

– Słyszał pan, o czym rozmawiali?

– Nie. To znaczy nie słucałem i nie pamiętam. A może...?

Gawroński zamyślił się na chwilę.

– Kiedyś we wsi coś się spaliło, nie pamiętam już co. I wtedy rozmawiali o tym. Zresztą wszyscy o tym gadali. I przestrzegali mnie, że z ogniem nie ma żartów, nie można się nim bawić.

No i proszę! Tragiczne wydarzenia najwyraźniej pojawiały się w trakcie rozmów dawnych „muszkietarów”. Pytanie tylko, czy jako wynik wyrzutów sumienia, czy przestraszeni mężczyźni omawiali nękanie przez tajemniczego nieznanego tak dobrze wiedzącego, co się stało.

Prosto od Gawrońskiego Szajba pojechała pod liceum Maćka. Chwilę pokrążyła po okolicy, bo miejsca parkingowe koło szkoły były zajęte, ale w końcu udało się jej znaleźć takie z widokiem na wejście. Tematów do przemyśleń miała sporo, a analizowanie danych, czy to tych dotyczących Gawrońskiego, czy związanych z mafią, nie przeszkadzało jej w obserwacji.

Tym razem chłopak wyszedł ze szkoły dopiero przed trzecią. Nie poszedł na parking, ale razem z grupą znajomych w kierunku przystanku tramwajowego. Sara już chciała zrewidować swoje poglądy, gdy w odległości dwóch samochodów od niej trzasnęły drzwi, z wozu pośpiesznie wysiadł jakiś mężczyzna i poszedł w ślad za młodzieżą. Spojrzała w lusterko i zakłęła pod nosem. Znowu granatowe audi. Musiało podjechać już po niej, ale tak skupiła się na chłopaku, że wcześniej go nie zauważyła. Kierowca został, więc nie mogła pójść za Maćkiem, na pewno by ją zauważył. Postanowiła zostać i poczekać na rozwój wypadków. Po półgodzinie dojadający loda chłopak wrócił w towarzystwie osiłka i cała trójka zaraz odjechała. Szajba śledziła ich przez kilka ulic, dowiedziała się, w jakim kierunku jada, i odpuściła. Po pierwsze wolała, żeby nie zorientowali się, że mają towarzystwo, a po drugie była umówiona

z Piotrem. O osiemnastej mieli spotkać się u niej w garażu i od razu wyjechać na weekend. Dwa dni z Sulichem pociągały ją w tej chwili zdecydowanie bardziej niż śledzenie syna szefa mafii.

Piotr wynajął domek położony na uboczu w jednym z ośrodków w lesie nad jeziorem. Spokój, cisza, możliwość wykupienia wyżywienia w ośrodkowej stołówce. Dwa dni w innym świecie, bez morderców, świadków i przemocy. Sami we dwoje. Rozpakowali się, a dużo tego nie było, i poszli zjeść kolację. Nie umawiali się, ale solidarnie omijali temat śledztw, które prowadzą, mafii czy Piotrowskiego. Bez tego też mieli o czym rozmawiać. Rozbawieni wyszli z restauracji i spojrzeli na siebie.

– Spacer czy...? – Piotr wymownie spojrzął na Sarę.

Decyzję podjęli jednocześnie i zgodnie ruszyli w stronę domku. Nie po to razem wyjechali, żeby spędzać noc na eksploracji brzegów jeziora, a na romantyczną kąpiel w świetle księżycy było zdecydowanie z zimno.

– Miałeś dobry pomysł z tym wyjazdem – szepnęła Sara, gdy już zasypiali.

– Wiem – odszepnął Piotr i mocno ją przytulił.

Do Gdańska wrócili dopiero w niedzielę po dziewiątej wieczorem. Wypoczęci, zadowoleni, szczęśliwi. Oboje dawno się tak nie czuli. Sulich był sam od chwili rozwodu, a Sara od rozstania z Wojtkiem, brakowało im drugich połówek. Przy tym oboje zdawali sobie sprawę, że ani nie mają najłatwiejszych charakterów, ani praca zawodowa w ich przypadku nie sprzyja związkom. Co jednak szkodzi spróbować?

Kolejny tydzień pracy w Archiwum X Szajba rozpoczęła nie od śledztwa w sprawie Gawrońskiego, a od obserwacji syna szefa mafii. To był ostatni przeznaczony na to dzień. Oczywiście nie cały, bo tkwienie pod szkołą przez osiem godzin mijało się z celem. Maciek został dowieziony do szkoły, Sara doczekała, aż wejdzie, a potem pojechała do pracy. W planach miała rozmowę z rodzicami Tomaszewskiego, wizytę w psychiatryku u Mateusza Tralki i spotkanie z jego bratem. Wszędzie tam musiała się

umówić. Z rodzicami Grzegorza Tomaszewskiego nie było problemu, ale do Huberta Tralki próbowała się dodzwonić od ładnych kilku dni, jednak wciąż zgłaszała się poczta głosowa, a na nagrany wiadomość nikt nie odpowiadał. Gdy w końcu udało jej się porozmawiać z mężczyzną, okazało się, że wraca on do Gdańska dopiero we wtorek wieczorem. Lipner umówiła się z nim na ósmą w środę. Zostało jej jeszcze ustalenie terminu wizyty w psychiatryku. Odwlekała ten moment, bo nie chciała dodatkowo stresować chorego człowieka, ale dłużej już się nie dało. Myślała, że będzie z tym problem, ale okazało się, że z Mateuszem Tralką może porozmawiać już następnego dnia. Co prawda porę odwiedzin ustaliła dopiero po serii kolejnych przełączeń, oczekiwań i negocjacji, ale i tak poszło to nad wyraz sprawnie.

– Nie wyglądasz na zadowoloną – zauważył Roszkowski. – Długi termin?

– Nie. – Sara roześmiała się. – Jutro idę. Po prostu tak sobie wzdycham, znam ciekawsze miejsca.

– Tym razem chociaż wiesz, że z delikwentem jest kontakt.

– Racja. I najprawdopodobniej nie rzuci się na mnie.

– Spotkało cię kiedyś coś takiego?

– Nie mnie, Sulicha. Rozmawiał z mężczyzną mikrego wzrostu i postury, a i tak ledwo dał sobie z nim radę.

– A pielęgniarze?

– Zagadali się, myśleli, że jak facet gada z gliniarzem, to nie muszą być czujni. Nic się nie stało, ale wolałabym uniknąć takich niespodzianek. Jadę do Tomaszewskich, muszę ich jeszcze trochę popytać o syna. Bezpośrednio, nie przez telefon. Sprawdzę też coś w związku z Wątróbką, więc wrócę albo i nie.

Przygnębieni Tomaszewscy bez słowa wpuścili Lipner do mieszkania, a potem razem z nią przeszli do kuchni. Na stole pojawiła się kawa dla niej i dwie herbaty z melisy dla gospodarzy.

- Rozmawialiśmy już z komisarzem Misztą - powiedział Tomaszewski. - Powiedzieliśmy wszystko, co wiemy o synu.

- Nie chcemy co chwilę do tego wracać - dodała jego żona.

- Wiem, doskonale państwa rozumiem...

- Nie sędzę - przerwała Szajbie Tomaszewska. - Straciła pani dziecko?

- Nie, dziecko nie. Ale przyjaciel został zastrzelony na moich oczach.

Czasem taka szczerość procentuje i uświadamia, że policjantów też niekiedy spotykają tragedie, a śmieć bliskich czy znajomych ich nie omija.

- To może wie pani, jak się czujemy, chociaż to nie to samo co śmierć dziecka - westchnęła matka zamordowanego mężczyzny i sięgnęła po chusteczkę.

- Wiem i postaram się nie przeciągać spotkania. I nie będę pytała o to samo, co mój kolega. Mam wrażenie, że wasz syn zginął z tego samego powodu co Gawroński.

- Tak, mówiła pani przez telefon, ale...

- Pamiętam, powiedzieli państwo, że w zachowaniu syna nie było nic niepokojącego i nie zmieniło się ono ostatnio. Ale proszę się zastanowić, czy coś takiego nie miało miejsca w przeszłości.

- Po tym, jak bawili się ogniem? Wtedy na pewno. Wszyscy byli przestraszeni, głupi pomysł zmienił się w tragedię. Ucierpieli głównie Tralkowie, reszta była niegroźnie poparzona, ale już samo to, że widzieli, jak płonie Zosia i Mateusz, długo ich męczyło. To są ciężkie wspomnienia, tym bardziej dla nastolatków.

- Mam wrażenie, że oni wtedy szybko dorosli. Przeżyli szok i stracili część dzieciństwa.

Sara pomyślała, że najwięcej straciła Zosia i jej brat, ale nic nie powiedziała. Najwyraźniej Tomaszewscy nic nie wiedzieli o grze w wyzwania ani o tym, że losowanie tego, kto ma się ubrać w strój mający zabezpieczyć przed ogniem, było sfalszowane.

- Nie, nie chodzi mi o tamten moment, a o czasy późniejsze.

Starsi państwo zamyśliли się i milczeli dłuższą chwilę.

– Pamiętasz, jak byliśmy pierwszy raz u Grześka na wsi? – spytał Tomaszewski żonę. – Powiedział wtedy, że uciekł w bezpieczne miejsce.

– No tak. Ale jak zaczęłam go wypytywać, zbagatelizował to i powiedział, że przecież wszyscy wiedzą, że na wsi jest bezpieczniej.

– Zawsze był odludkiem?

– A był? – zdziwiła się Tomaszewska.

– Tak twierdzą jego sąsiedzi.

– Może po prostu nie miał z nimi dobrego kontaktu? – podsunęła bez większego przekonania kobieta.

– Kiedy się spotykaliśmy, opowiadał o znajomych, o tym, jak się z nimi widuje, gdzie wyjeżdża – dodał mężczyzna.

– A znali ich państwo?

– Nie, ale przecież Grzesiek nie mieszkał z nami.

Czyżby Tomaszewski stworzył na potrzeby rodziców iluzję życia pozbawionego trosk? Może nie chciał ich denerwować? Nie bez znaczenia mogło być również to, że zdawał sobie sprawę z tego, iż Gawrońskiemu nikt nie wierzył, a żona podejrzewała go o chorobę psychiczną. Być może Tomaszewski chciał tego uniknąć.

Po wizycie u rodziców Tomaszewskiego Sara pojechała pod szkołę. Nie miała pojęcia, jak wygląda plan lekcji Macieja, a nie chciała wzbudzać w szkole zainteresowania pytaniem o to. Nie chciała również, żeby zwrócił uwagę na jej samochód, więc tym razem zaparkowała kawałek dalej. Szkołę obserwowała z pobliskiej ławki, a udawanie, że czyta coś na telefonie, wychodziło jej całkiem przekonująco. Obserwacja była na tyle mało absorbująca, że przy okazji przeanalizowała to, co już wiedziała o sprawie Gawrońskiego. A właściwie Gawrońskiego i Tomaszewskiego, bo była skłonna założyć się, że w obu przypadkach zabiła ta sama osoba.

Maciek wyszedł ze szkoły już o trzynastej i to nie po dzwonku, a w trakcie lekcji. Zaintrygowana Sara poszła za chłopakiem. Na jednej z pobliskich uliczek wsiadł do znanego już Lipner audi, które od razu odjechało. O co chodzi? Przecież na parkingu w pobliżu szkoły były wolne miejsca.

Odpowiedź na to pytanie nadeszła szybciej, niż Sara się spodziewała. Gdy podeszła do swojego samochodu, właśnie zbliżyło się do niego dwóch mięśniaków. Bez słowa zablokowali Sarę. Za sobą miała samochód, przed sobą napastników. Niech to cholera! Zawsze miała przy sobie broń, teraz też, ale po pierwsze nie miała jak po nią sięgnąć, a po drugie nie chciała strzelać na ulicy. W kieszeni miała nóż sprężynowy, ale to zdecydowanie za mało na sparing z parą osiłków zaprawionych w bójkach. Mężczyźni uśmiechali się, prezentując tak idealnie równe i olśniewająco białe zęby, że na pewno wydali na nie sporo kasy. Szajba natychmiast zapragnęła zetrzeć im z twarzy te pełne politowania i kpiny uśmieszki, a dodatkowo zrobić pewne zmiany w ich uzębieniu. Jeden z mężczyzn wyjął z kieszeni kastet i ostentacyjnie założył go na palce. Szykowała się rozróżba, a Sara nie miała pola manewru. Zwarcie z taką masą mięśni na pewno skończyłoby się dla niej źle, jedyna szansa tkwiła w kopnięciach. Tyle tylko, że z pozycji, w jakiej się znajdowała, mogła od biedy wyprowadzić jedynie maegeri, a kopnięcia w brzuch na pewno się spodziewali, poza tym mogli je w miarę łatwo zablokować. Jedyną opcją, jaka jej została, było szybkie zmieniienie dzielącego ich dystansu, a dokładniej przetoczenie się po masce samochodu i wylądowanie po jego drugiej stronie. Na szczęście parkowała na skrajnym miejscu, nie wpadnie na stojący obok wóz. Chcąc zyskać chociaż trochę przestrzeni, udała, że szykuje się do kopnięcia nogą wykroczną, a potem wyprowadziła kopniaka zakroczną. Prosto w podbrzusze najbliższego napastnika. Facet cofnął się i lekko zgiął.

– Nie po jajach, kurwo!

Zyskawszy odrobinę luzu, Szajba błyskawicznie przeturlała się po masce i pewnie wylądowała po drugiej stronie. Szczęknął nóż sprężynowy. Miała już trochę miejsca i broń w ręku. Lekko zaskoczone osiłki natychmiast i bardzo sprawnie dokonały przegrupowania i Lipner przyszło do głowy, że tym razem rzeczywiście może oberwać. Nie wahali się, działali jak dobrze zgrany zespół. Nie próbowali jej zejść od tyłu, szli na wprost, dążyli do konfrontacji. Wyczekała, aż odległość będzie odpowiednia i poczęstowała jednego i natychmiast potem drugiego

potężnym kopnięciem w bark. Do głów by nie sięgnęła. Przeciętny człowiek już by się zapewne zwijał z bólu i rozważał wizytę na SOR-ze, ale ta dwójka otrząsnęła się i uśmiechnęła jeszcze szerzej niż na początku. Kurwa mać, terminatorzy! Uciekać? Za mały dystans, są więksi, dogonią ją, zanim się zmęczą. Przełożyła nóż do lewej ręki, co nieco zaskoczyło napastników. Momentalnie zmienili pozycję, a Szajbie właśnie o to chodziło. Wypuściła nóż z dłoni i wyprowadziła nią cios wprost w nos najbliższego karka. Usłyszała znajome chrupnięcie, ale zanim zdążyła się ucieszyć, ponad sto kilogramów żywej wagi zaszarżowało na nią jak na meczu rugby. Jęknęła i runęła na trawnik. Na szczęście zdołała przetoczyć się na tyle szybko, że osilek nie wylądował na niej, bo zapewne miałyby połamane żebra. Wstała i w tym momencie poczuła uderzenie w ramię. Na szczęście facet, który oberwał w nos musiał część uwagi poświęcić ocieraniu krwi.

– Ratunku! Policja! Biją się! – zaczął ktoś krzyczeć.

Wkurzeni, bo liczyli na szybki łomot i strategiczny odwrót, napastnicy ponownie ruszyli na Szajbę.

– O tam, panie władzo! Na kobietę napadli!

– Nie ma kary na takich!

– Nie można bezpiecznie po ulicach chodzić!

Na słowa „panie władzo” mężczyźni szybko się rozejrzeli, a potem uciekli. Nie do samochodu, z którego wysiedli, a po prostu zniknęli za najbliższym rogiem. Szajba odetchnęła. Upiekło się jej, cud, że akurat nadszedł patrol.

– Nic pani nie jest? – spytał troskliwie jeden z policjantów.

– Nie – uspokoila go Lipner i sięgnęła po nóż.

– Niech pani nie rusza, zabezpieczymy go.

– To mój. Komisarz Sara Lipner – Szajba wylegitymowała się.

– Napadli na panią?

– Owszem.

– Dlaczego?

– To chyba pytanie do nich. Ale jak znam życie, to nie spodobało im się jakieś moje śledztwo – zbagatelizowała Lipner. – Dziękuję za pomoc.

Rozmowie przyglądało się kilka osób i Szajba uznała, że najlepszym sposobem na zakończenie całego zamieszania będzie jak najszybsze odjechanie. Na wszelki wypadek do domu wracała dłuższą drogą, zahaczyła nawet o podziemny parking w jednej z galerii. Nikt za nią nie jechał. Zresztą po co? Mafia doskonale wiedziała, gdzie Sara mieszka.

Prawie od razu pożałowała, że nie pojechała do Piotra, bo cały czas kotłowały się w niej emocje i miała wrażenie, że zaraz pęknie. Konfrontacja zakończona ucieczką napastników nie satysfakcjonowała jej, ale doskonale wiedziała, że najprawdopodobniej tym razem to ona by oberwała. Była wściekła i uznała, że omówienie napadu z Piotrem pomoże jej się uspokoić. Jednego była pewna – mafia zorientowała się, że śledziła Maćka, a chłopak był w ten napad zaangażowany. Nie bezpośrednio, ale na pewno celowo wywabił ją z okolic parkingu, a potem odjechał samochodem, który dzisiaj parkował w innym miejscu.

– Co robisz? – spytała Piotra bez wstępów.

– Niedługo wychodzę z firmy. A co? Stęskniłaś się?

– To też, ale miałam małą konfrontację z mafią.

– No kurwa mać! Nic ci nie jest?

– Siniaki pewnie będę miała, to wszystko.

– Będę pewnie za godzinę, zależy od korków.

Szajba zamówiła chińszczyznę i poszła się wykapać. Przy okazji obejrzała ramię, siniaki już zaczynały wychodzić. Dobrze, że tylko tyle, przeżyje, to nie pierwsza taka kontuzja. W tej chwili bardziej ciekawiła ją własna reakcja. Chęć natychmiastowego podzielenia się przeżyciami jeszcze do niedawna była jej obca. Po pierwsze nie należała do tych, którzy czują potrzebę omawiania z kimś własnych doznań, po drugie nigdy nie rozmawiała o pracy z osobami postronnymi, a po trzecie związek z Wojtkiem wyrobił w niej odruch zatrzymywania przy sobie informacji, które mogły go zestresować. Jeszcze teraz pamiętała jego

słowa: „Rany boskie, Sara, nie narażaj się! Ja się tak denerwuję, że coś ci się stanie” albo: „Mogłabyś pomyśleć, jak będziesz wyglądała na basenie taka posiniaczona”. Najwięcej mówiła Piotrowi, ale przecież też nie wszystko. A teraz co? Przyjeżdż, bo mnie napadli? To do niej niepodobne i właściwie głupio się z tym czuła. Tak jakby potrzebowała czulej opieki Sulicha, a przecież doskonale sobie dawała radę bez niego. Doskonale wiedziała, że wpływ na to miał miniony weekend, ale mimo to była nieco zaskoczona.

– Jak to się stało? – spytał Piotr, natychmiast gdy wyswobodziła się z jego objęć.

– Sprawdzalam tego smarkacza, syna szefa mafii. – Sara szybko streściła przebieg śledzenia Maćka.

– Popierdoliło cię?! Wystawiłaś się jak na tacy.

– Wiem. Ale wiem też, że młody ma obstawę, cały czas.

– I co zrobisz z tą wiedzą?

– Zastanowię się i wykorzystam.

– Chyba że wcześniej dostaniesz taki wpierdół, że ci się odechce. Jestem pewien, że usłyszałem złagodzoną wersję, ale i tak dam sobie wszystko uciąć, że nieźle się im naraziłaś. Jako ty, a nie partnerka Sławka. Odczep się od nich na jakiś czas. Udawaj, że nie wiesz, że jest coś takiego jak mafia.

– Oszalałeś? Mam zostawić sprawę Wątróbki?

– Masz nie zajmować się tym tak ostentacyjnie. Jakby cię takich dwóch gnojów dopadło w ciemnej uliczce, to nie byłoby z ciebie co zbierać.

Dyskusja trwała aż do momentu, gdy do drzwi zapukał kurier z zamówionym jedzeniem. Zapach chińszczyzny natychmiast przypomniał Sarze i Sulichowi, jak bardzo są głodni.

Termin spotkania z Mateuszem Tralką został przez szpital wyznaczony na dziewiątą rano we wtorek, więc Sara pojechała bezpośrednio do psychiatryka. Wiedziała już od lekarki, że Tralka nie jest agresywny ani nie przyjmuje leków totalnie ogłupiających, więc rozmowa powinna

przebiegać w miarę normalnie. Nie miała jednak pojęcia, jakie spustoszenia w jego psychice pozostawiło poparzenie i śmierć siostry. Na pewno na tyle duże, że kwalifikował się do pobytu w szpitalu psychiatrycznym, był jego stałym pacjentem. Otwartym pytaniem pozostawało to, czy wraca pamięcią do tragicznych wydarzeń sprzed prawie czterech dekad i jak się wtedy zachowuje. Na wszelki wypadek Lipner napomknęła o temacie rozmowy, gdy umawiała się na wizytę.

Szpitali, a szpitali psychiatrycznych w szczególności, chyba nikt nie lubi. Kojarzą się z cierpieniem, bezradnością i ograniczeniami. I na pewno z wieloma innymi rzeczami, ale Szajbie zawsze te przychodziły na myśl jako pierwsze. I oczywiście zapachami, które pozwalają zidentyfikować placówkę nawet z zamkniętymi oczami.

Prowadzący ją szpitalnym korytarzem pielęgniarz zaznaczył, że Mateusz Tralka ma dobry dzień i już na nią czeka w pokoju przeznaczonym na spotkania z rodzinami i znajomymi. Na widok Sary mężczyzna wstał i przywitał się, ale bez podawania ręki. Na obu dłoniach miał rękawice uciskowe, a wystające z nich przedramiona pokryte były rozległymi bliznami. Sara z trudem przeniosła wzrok na jego twarz. Jego ręce przyciągały uwagę zdecydowanie bardziej niż cokolwiek innego. Z poparzeniem najprawdopodobniej związany był motyw teraz już dwóch morderstw.

– Nieczęsto mam gości – stwierdził Tralka.

– Brat pana nie odwiedza?

– Odwiedza. Ale Hubert jest zawodowym kierowcą, jeździ na tirach. Czasem wyjeżdża na dwa tygodnie. Potem ma kilka dni przerwy i znowu jedzie w trasę. Więc jest u mnie ze trzy, cztery razy w miesiącu.

– A inni?

– Nie mam rodziny, ale pani pewnie o tym wie. – Na twarzy Tralki zagościł grymas smutku.

– Wiem, oczywiście. Ale chodziło mi o dalszych krewnych.

– Kiedyś przychodzili, potem przestali. – Mężczyzna wzruszył ramionami. – Jak byłem młody, to mieli nadzieję, że stąd wyjdę.

– A pan nie?

- Ja też. Ale jak się okazało, że zostanę tu na zawsze, to stracili zainteresowanie. Szkoda im czasu na mnie - powiedział mężczyzna z goryczą. - Po prostu nie rokuję.

- A może to dlatego, że Kotlarscy są coraz starsi? W końcu minęło już prawie czterdzieści lat.

- Tak... - Tralka zapatrzył się w swoje dłonie i odezwał dopiero po chwili: - Niektórzy w tym czasie urodzili się, założyli rodziny, doczekali dzieci. A ja tkwię tutaj. Jako jeden z wariatów.

- Wiem, że kilka razy wychodził pan ze szpitala.

- To wraca. Płomienie, wrzask, ból, spalona głowa Zosi, widok mięsa na jej twarzy i moich dłoniach. - Tralka nabrał powietrza. - Tych obrazów nic nie wymaże. Czasem jest ich za dużo...

Mężczyzna zamilkł i walczył ze sobą. Było widać, że rozmowa o tym, co się stało, jest dla niego trudna.

- To jak wielka chmura - powiedział po chwili. - Przychodzi i zasłania wszystko. Nie damę sobie z tym rady, chociaż niby wiem jak. Ale pewnie nie o moich demonach chciała pani rozmawiać.

- Niestety częściowo tak. Ale nie o samej tragedii, nie chcę, żeby pan wracał do tamtego dnia, zdaję sobie sprawę, że to bolesne.

- Owszem - stwierdził lakonicznie Tralka i Sara poczuła, że nawet gdyby bardzo się postarała, to nie byłaby sobie w stanie w pełni wyobrazić tego, przez co przeszedł.

Przez chwilę zastanawiała się, jak sformułować pytanie, żeby rozmowa nie zakończyła się przedwcześnie i nie była potrzebna interwencja pielęgniarsza. Już się zorientowała, że ma przed sobą inteligentnego mężczyznę, który być może jest w stanie jej pomóc. Musiała jednak pamiętać, że jest chory psychicznie, chociaż nie dało się tego zauważyć podczas dotychczasowej rozmowy.

- Prowadzę śledztwo w sprawie śmierci jednego z pańskich kolegów z liceum.

- Którego?

- Jana Gawrońskiego.

– Wiem, że nie żyje. Ale on już dawno umarł.

– To prawda, ja pracuję w Archiwum X.

– I zajmuje się pani starymi morderstwami.

– Właśnie. A w związku z tym muszę rozmawiać z ludźmi, którzy go kiedyś znali. Jaki był?

– Ale ja go znałem jako smarkacza!

– Wiem.

Szajba nie powiedziała nic więcej i czekała, aż mężczyzna zdecyduje się na odpowiedź.

– Trenowaliśmy w jednym klubie, ale krótko. Tam się poznaliśmy. Byliśmy wtedy w pierwszej klasie ogólniaka, ale nie chodziliśmy do jednej szkoły.

– Jaki był Gawroński?

– Zarozumiały. Lubił, żeby jego było zawsze na wierzchu. Ale w sumie sympatyczny. Zresztą on się trzymał razem z kilkoma innymi chłopakami, ja czasem do nich dołączałem.

– A wtedy? – Oboje wiedzieli, co Lipner ma na myśli.

– Chyba wszyscy nudziliśmy się na feriach. Niby wolne i można było dłużej pospać albo gdzieś pójść, ale pogoda była do niczego. Dosyć ciepło. Nie było śniegu, stawy nie zamarły na tyle, żeby na łyżwach pojeździć. A komputer to jeszcze mało kto miał. I nie załapaliśmy się na wyjazd na obóz z klubu.

– Kto wymyślił grę w wyzwania?

– A to już pani wie? Nie wiem. Jeden z chłopaków, nie ja. Oni mieli różne zwariowane pomysły.

– Ale ciekawe?

– Dla nudzącego się piętnastolatka bardzo. Poza tym umieli zagadać, przekonać.

– Nie bał się pan tych testów ogniowych?

– Trochę bałem, ale nie miałem pojęcia...

Mateusz Tralka zamilkł, zapadł się w siebie, prawie skurczył. Pielęgniarka przyglądała mu się uważnie, na pewno doskonale znał

zachowania pacjenta. Teraz zastanawiał się, czy nie powinien już interweniować. Lipner zawahała się. Spytać o coś innego dla odwrócenia uwagi czy poczekać? Tralka nagle dosyć nieporadnie zdjął rękawiczkę i pokazał Sarze lewą dłoń. Grube blizny pokrywały każdy jej centymetr, zniekształcały i uniemożliwiały ruch.

– Czucia też praktycznie nie mam. – Tralka wzrokiem przywołał pielęgniarsza, który szybko podszedł i założył mu rękawiczkę uciskową. – Dziękuję. Tego też bym sam nie zrobił. Nie wypiję swobodnie herbaty, nie podetrę się w kiblu! Od biedy mogę przewracać strony w książce lub klikać w klawiaturę. Klikać! Nie pisać. Myśli pani, że gdybym podejrzewał, że ten ogień może się wyrwać spod kontroli, wszedłbym w to? Wie pani, jak to jest, jak się patrzy na płonącą siostrę? Albo jak bolą spalone dłonie? – spytał retorycznie i umilkł.

– Losowaliście, kto ma zostać „kaskaderem” – zauważyła Sara po dłuższej chwili milczenia.

– Pic na wodę! Doskonale wiedziałem, że ja nim będę. Ale nudziłem się. I pewnie gdybym się nie zgodził, jakoś zaprotestował, to spędzałbym ferie sam. A bardzo nie chciałem.

– Presja otoczenia.

– Mogłem mieć więcej rozumu! Przeze mnie umarła Zosia! Nie potrafiłem spojrzeć w oczy rodzicom. Wie pani, chciałem się zabić. Nieraz. Tak naprawdę cały czas chcę. Nie mam po co żyć. Po prostu tak wegetuję i czekam, aż mnie szlag trafi.

– A brat? Zostałby sam. Jesteście zżyci?

– Jesteśmy. Mam tylko jego i tylko z nim mogę pogadać o wszystkim. O tamtym też, chociaż Hubert urodził się już potem. Czasem zabiera mnie na przepustkę do domu, idziemy do Zosi na cmentarz...

Mateusz Tralka nagle zaczął rozpaczliwie płakać. Natychmiast pojawił się przy nim pielęgniarsza, dał znać Lipner, że rozmowa skończona, i wyprowadził mężczyznę z sali.

Mimo że rozmowa zakończyła się nagłym załamaniem Tralki, Sara i tak była zadowolona, że udało jej się porozmawiać dosyć długo. Wiedziała coraz więcej.

– Jak było na Srebrzysku? – spytał Roszkowski, gdy tylko weszła do pokoju.

– Nieźle. Z facetem dało się w miarę normalnie gadać, do czasu, aż się załamał.

– Coś ty zrobiła?!

– Nic! Popierdoliło cię? Co niby miałam zrobić? Po prostu facet odpływa, jak wraca do wspomnień. Ale nie tak, że nie można go spytać o nic z przeszłości. To musi być skojarzenie z poparzeniem i siostrą. Takie mam wrażenie. A ja pytałam głównie o Gawrońskiego. Pokazał mi jedną rękę. Masakra, jedna wielka tkanka bliznowata.

– Powiedział coś istotnego?

– Jeszcze nie wiem, muszę to przetrawić. Chcesz coś do żarcia? Nie miałam czasu na śniadanie, skoczę do Żabki.

– To weź mi falafele z humusem.

Kolejne godziny Sara spędziła, próbując w jakiś sposób powiązać Mateusza Tralkę z zabójstwami. Gdyby przychodziło do niego więcej osób, mogłaby podejrzewać, że ktoś wypytywał o tragedię, żeby potem wykorzystać informacje do własnych zbrodniczych celów. Nikt go jednak nie odwiedzał, oprócz młodszego brata. Brata, który nie był świadkiem tragedii, a większość życia spędzał za kierownicą tira. Opcja wykorzystania przez kogoś obcego zwierzeń chorego dla własnych celów odpadała.

Na wszelki wypadek Lipner porozmawiała jeszcze z jego lekarką. Kobieta potwierdziła, że nikt inny do niego nie przychodzi. Smutne. Mężczyzna z tak poważnymi poparzeniami, z zaburzeniami psychicznymi wynikającymi z traumy, został zapomniany przez rodzinę i skazany na samotność. Jedynie brat utrzymywał z nim kontakt, Mateusz Tralka wspominał, że Hubert przychodzi do niego kilka razy w miesiącu. Niby to niedużo, ale przecież większość czasu nie ma go w domu. Dla Mateusza te rozmowy są na pewno dużym wsparciem. A także to, że od czasu do czasu wychodzi z bratem na przepustkę. Ciekawe, od jak dawna rozmawiają o poparzeniach i śmierci Zosi. Do takich rozmów Hubert Tralka musiał przecież dorosnąć. Szajbę bardzo ciekawił ten mężczyzna. Na pewno nie miał lekko, urodził się w rodzinie naznaczonej tragedią.

Piotr zadzwonił, gdy wracała z siłowni. Wściekły. Okazało się, że była żona i jej obecny mąż znowu naciskają na to, żeby namówił córki do zwracania się do ojczyzna per papa.

– Skoro dziewczyny nie chcą...

– No nie chcą, dlatego mnie w to wciągają. Bo rozumiesz, jadą do jego rodziny, jakiejś takiej bogatej ciotecznej babki czy innej cholery, i facet chce pokazać, jaką ma idealną rodzinę. Bo spadek. Kurwa, to moja rodzina, nie jego! No dobra, żona jego – poprawił się Sulich. – Ale dzieci niech sobie własne zrobi.

– Powiedziałeś mu to?

– Nie, właśnie dlatego dzwonię.

– Powaliło cię? Mam za ciebie pogadać?

– Nie, ale mam zajęty wieczór. Chcą pogadać w piątkę przez Skype'a. Niby o dwudziestej, ale...

– Ale potem możesz być nie do życia?

– Zgadłś.

– Jasne. Spróbuję nie umrzeć z tęsknoty. A jakbyś potrzebował wsparcia moralnego, to dzwoń albo przyjedź.

Wściekły i lekko pijany Sulich zadzwonił po dwudziestej drugiej. Najpierw długo i zawile tłumaczył, że właściwie to nie powinien do Sary dzwonić, potem streścił rozmowę, zapewnił o swojej miłości do córek i w słowach na wskroś budowlanych powiedział, co myśli o swoim następcy przy boku eksżony. A potem stwierdził, że musi się jeszcze napić i rozłączył nieomal w pół słowa.

Rozdział szesnasty

Poprzedniego dnia, zaraz po rozmowie z Mateuszem Tralką, Sara przez chwilę miała nieprzyjemne uczucie, że jej poprzednicy prowadzący sprawę Gawrońskiego nawalili i nie przesłuchali dwóch ważnych świadków. Zaraz jednak uprzytomniła sobie, że zanim sprawa Nadprzyrodzonego Mordercy trafiła w jej ręce, żaden z prowadzących śledztwo nie sięgnął tak daleko w przeszłość. I najprawdopodobniej nikt tak naprawdę nie brał na serio tego, co mężczyzna mówił o spotykających go nietypowych zdarzeniach. Dopiero gdy Lipner założyła, że wspomiane przez niego wydarzenia to nie twór chorej wyobraźni, trafiła na prowadzące w przeszłość tropy. Zresztą gdyby nie znalezione na strychu Gawrońskiego szkolne zdjęcia trzech „muszkieterów” i d’Artagnana oraz rysunki przedstawiające dzieci, w tym jedno martwe, ona też zapewne nie dopatrywałaby się przyczyny zabójstwa w czasach szkolnych ofiary. Trafienie na Tralków było konsekwencją tak daleko idących poszukiwań motywu.

Prosto z domu pojechała na Chełm, do Huberta Tralki. Była trochę zaskoczona, że mężczyzna zaprosił ją na ósmą, bo wydawało się jej, że po powrocie z trasy będzie chciał wypocząć i wyspać się. Drzwi otworzył jej średniego wzrostu szczupły mężczyzna. Był znacznie młodszy od brata, ale bez trudu dało się dostrzec rodzinne podobieństwo.

– Dobrze, że już pani jest, trochę się bałem, że może pani coś wypaść, a ja jestem umówiony do dentysty na dziesiątą. Ząb tak mi daje popalić, że nie mogę już tego przekładać. Trzy tygodnie byłem w trasie, prawie cały czas mnie bolał. Proszę, niech pani wchodzi.

Niewielkie dwupokojowe mieszkanie nie było przytulnym gniazdkiem, wyglądało wręcz ascetycznie. Minimum mebli, żadnej rośliny, żadnych zdjęć czy bibelotów. I pełno kurzu. No tak, jak się spędza większą część

życia w samochodzie, a w domu jest tylko gościem, to czasem mieszkanie wygląda jak prowizorka.

– Dlaczego interesuje się pani Mateuszem? Czy coś się stało? Z nim na pewno nie, bo przecież od razu by do mnie zadzwonili. Dzisiaj zresztą będę u niego. Przywiozłem mu z Niemiec ulubione ciastka. I pocztówki, bo zbiera. Z każdego miasta, w którym jestem, przywożę.

– Nic mu się nie stało. Ale skoro tak się pan niepokoi o brata, to dlaczego pan nie oddzwonił? Nagrałam się kilka razy.

– Bo myślałem, że to kawał. Zrobiłem szybki rachunek sumienia i uznałem, że nie ma powodu, żeby policja coś ode mnie chciała. Gdyby to było coś z Matim, to dzwoniłoby ze szpitala, a ten numer znam. Ale potem wkurzyłem się i dlatego odebrałem kolejny telefon.

– Prowadzę śledztwo w sprawie Jana Gawrońskiego – wyjaśniła Szajba. Nie wspomniała na razie o Tomaszewskich, na to zawsze będzie czas.

– O, wiem, to jakiś kumpel Matiego. Ze szkoły, bo potem to już... – Hubert Tralka zawiesił głos.

– Pana brat prawie cały czas przebywa w szpitalu, na pewno są tam pacjenci, z którymi...

– Można się kumplować? – mężczyzna wszedł jej w słowo. – No niby tak. Ale to przecież psychiczni. Niektórzy w ogóle nie kontaktują, poza tym nigdy nie wiadomo, jak, kto i na co zareaguje. Albo kiedy będzie miał zjazd. Mateusz też tak ma, chociaż na szczęście rzadko. O ile bierze leki, bo jak przestaje, to jest kongo. Między innymi dlatego cały czas tam jest.

To było w uproszczeniu to, o czym Lipner dowiedziała się od lekarki, ale nie przerywała Tralce. Niech się wygada, może powie coś istotnego.

– Jak było z tym Gawrońskim? – Gospodarz sięgnął po papierosa, poczęstował Szajbę, a gdy odmówiła, sam zapalił.

– Został zamordowany – stwierdziła krótko Sara.

– Ale czy to nie było bardzo dawno?

– Dawno, dlatego sprawą zajmuje się Archiwum X. Rozmawiamy ze wszystkimi znajomymi Gawrońskiego, również z tymi z przeszłości. Pański brat do nich należy.

– Ale ja nie!

– Wiem. Nie chcę jednak zbyt niepokoić pańskiego brata, a wiem od niego, że dużo z panem rozmawia o przeszłości. Czy o kolegach też?

– Tak, trochę tak.

– Pamięta pan nazwiska?

– Gawrońskiego pamiętam. I chyba Komara albo podobnie jakoś.

– Muchę?

– O właśnie! – ucieszył się Tralka. – I chyba jeszcze jakieś nazwisko od szewca.

– Tylko tych?

– Wie pani, Mati czasem operuje imionami kolegów, bez nazwisk. Ja nie pytam o nazwiska, bo nie są istotne, ważne jest to, że może ze mną pogadać.

– Ci trzej utkwili panu w pamięci?

– Tak. To oni byli u nas, gdy to wszystko się stało. – Hubert Tralka sposepniał. – I jeszcze jeden chłopak. Bawili się razem. Moi kumple też robili miotacz ognia z dezodorantu. Ja nie. Nie po tym, co spotkało moje rodzeństwo. A poza tym co innego miotacz, a co innego polanie benzyną i sprawdzenie, czy własnej roboty kombinezon to wytrzyma.

– Polanie benzyną? – Sarze aż ciarki przeszły po plecach.

– No tak.

To się nie zgadzało z tym, co Szajbie udało się do tej pory ustalić. Czyżby trafiła na alternatywną wersję wydarzeń?

– Straszne.

– I głupie. Ale wie pani, ja też bym wziął udział w takiej zabawie, gdybym nie wiedział, czym to się może skończyć. Nie bawiłem się ogniem, ale robiłem inne rzeczy, niektóre takie po bandzie. Wiem, że tamto to olbrzymi pech. I to, że Zosia wybiegła zniecka z domu i że wzięła poplamiony smarem i olejem napędowym koc, żeby ugasić Matiego, a sama była w łatwopalnej kurtce. Ale i tak trudno się z tym pogodzić. Była pani u mojego brata, widziała pani jego ręce? Prawie cały czas chodzi w specjalistycznych rękawicach, przedramiona też ma

poparzone. I pamięta tamte płomienie. I Zosię. Nie dziwię się, że nie może tego zapomnieć, a to z kolei wpędza go w taki stan, że musi być w wariatkowie.

Szajba przez chwilę zastanawiała się, jak zadać pytanie o to, od jak dawna Mateusz Tralka opowiada bratu o nieszczęśliwym wypadku. Zawsze?

– Cały czas wspiera pan brata...

– No wiadomo.

– Kiedy dowiedział się pan o tej rodzinnej tragedii?

– Nie pamiętam. Zawsze wiedziałem. Rodzice wspominali Zosię, jeździliśmy do Matiego, on przyjeżdżał do domu. Widziałem jego ręce w stanie dużo gorszym niż teraz i pytałem, jak to dzieciak. Żal mi go. Nie miał życia. I nie będzie miał, bo raczej nie wyjdzie z psychiatryka. Wie pani, widziałem kiedyś na autostradzie, jak płonie samochód. Na kierowcy zapaliła się kurtka, ale ktoś go przewrócił i zgasił. Ci kumple Matiego też próbowali walczyć z ogniem, ale im się nie udało. To nie takie proste.

– Często udaje się panu zabrać brata na przepustkę?

– Nie bardzo. Ja jestem głównie w trasie, a Mateusz nie zawsze może wyjść. Ale odwiedzam go, jak tylko mogę.

Hubert Tralka bez oporu odpowiadał na wszystkie pytania Sary, ale po kolejnych kilku minutach policjantka zorientowała się, że niczego więcej się nie dowie. Zastrzegła, że być może jeszcze się odezwie i pojechała do pracy. Już wchodziła po schodach, gdy nagle tknięta jakąś myślą zawróciła na parking. Coś jej się nie zgadzało, coś wyglądało inaczej. Przez chwilę przyglądała się podejrzliwie wszystkim samochodom, a swojemu w szczególności, a potem zlustrowała dalsze otoczenie. Na chodniku stał samochód, przy którym majstrował jakiś mężczyzna. Niby nic nadzwyczajnego, ale on nie zmieniał koła, a grzebał pod maską. W nowym i praktycznie w pełni skomputeryzowanym samochodzie?! Nie namyślając się ani chwili, Sara ruszyła w jego stronę. Stanęła na skraju jezdni, żeby przepuścić jadące samochody, i od razu poczuła pchnięcie

w plecy. Było tak silne, że wpadła na jezdnię. Najbliższy samochód z piskiem opon zahamował dosłownie kilka centymetrów przed nią.

– Patrz, jak łazisz, krowo! – wrzasnął przez otwarte okno kierowca, po czym pokazał jej środkowy palec i odjechał.

Sara rozejrzała się, ale najbliższy przechodzień był dobrych piętnaście metrów od niej. Wyglądało na to, że nikt nie zwrócił uwagi na tak drobny epizod, jak nagłe hamowanie samochodu. Spojrzała w stronę samochodu, który przyciągnął jej uwagę. Właśnie odjeżdżał. Przypadek czy nie? Może jest przewrażliwiona i widzi mafię już nawet tam, gdzie jej nie ma? Może ktoś nieumyślnie ją popchnął, a potem wystraszony szybko uciekł? A właściciel samochodu dolewał płynu do spryskiwacza? Ale jak długo można nalewać płyn? Nie była pewna, co widziała i w czym uczestniczyła. Jeszcze kilka takich wydarzeń i zacznie popadać w manię prześladowczą.

– Coś ty taka zamysłona? – przywitała ją Ostróżka, która robiła sobie herbatę.

– Ktoś mnie zepchnął z chodnika na ulicę i kombinuję, czy specjalnie, czy też nie.

– Pokombinujesz później, teraz chodź do mnie. Chcę wiedzieć, na czym stoimy z Gawrońskim.

– Tylko kawę sobie zrobię. Barlicki cicho siedzi?

– Tak. Pewnie woli się nie wychylać z wewnętrznymi na karku.

– Im nikt nie lubi podpadać. Potrafią się przypieprzyć nie wiadomo o co – stwierdziła bezstronnie Sara. – Ale jakoś mu nie współczuję.

Wbrew nadziei Szajby nie była to krótka rozmowa, lecz prawdziwa burza mózgów trwająca kilka godzin. Do tej pory jej nowa szefowa nie wtrącała się w śledztwo, dawała wolną rękę i zadowalała okruchami informacji, ale teraz najwyraźniej uznała, że pora wszystkiego się dowiedzieć. Najprawdopodobniej zbliżał się moment znalezienia mordercy Gawrońskiego i Dagmara wołała trzymać rękę na pulsie. Po tej przypominającej nieco wojenną naradę rozmowie Szajba czuła się jak po

krzyżowym przesłuchaniu i uznała, że potrzebuje chwili przerwy od śledztwa w sprawie Nadprzyrodzonego Mordercy.

Wiadomości na telefonie sprawdziła dopiero, gdy wsiadła do samochodu. Dwie od Piotra. Pierwsza z czymś w rodzaju przeprosin za wczorajsze nocne marudzenie o żonie, a druga z propozycją wieczornego spotkania. Dochodziła siedemnasta – ciekawe, co Sulich uznał za wieczór.

– Przyjedziesz do mnie? Będę w domu koło szóstej.

– To skoczę po jakieś jedzenie po drodze. Pizzy mam dość, chińszczyzna była ostatnio. Co chcesz?

– A może coś niezdrowego? Burgery? I frytki – zadysponował Piotr.

Sulich spóźnił się zaledwie o piętnaście minut, co przy charakterze ich pracy było i tak sukcesem. Podgrzali jedzenie, otworzyli piwo i łapczywie zjedli obiadokolację.

– Prawie padłem z głodu – westchnął Sulich. – Niby żarcie to taka prozaiczna rzecz, ale z pełnych żołądkiem człowiek od razu inaczej się czuje.

– Pewnie. Senność gwarantowana – roześmiała się Sara.

– Akurat nie to miałem na myśli. Zamiast wnikać w moje stany pojezeniowe, lepiej powiedz, jak to było z tym wepchnięciem na jezdnię.

– Nie ma co opowiadać. – Lipner wzruszyła ramionami. – Ktoś mnie pchnął, wleciałam na jezdnię, samochód zdążył zahamować. Facet mnie zbluzgał, pokazał fucka i odjechał.

– Chyba bardziej nie dałoby się streścić.

– Nie jestem dziennikarzem, któremu płacą wierszówkę. A może za litery? I tak dłużej opowiadałam, niż to trwało.

– A czemu tkwiłaś na ulicy?

– No właśnie. Wróciłam po rozmowie z Hubertem Tralką i już nawet wchodziłam po schodach, ale coś mi nie pasowało. Nie wiedziałam gdzie, na parkingu czy na ulicy. Więc poszłam sprawdzić. Rozglądałam się i wtedy poczułam, jak ktoś mnie wpycha na jezdnię.

– Zobaczyłaś coś?

Szajba opowiedziała o budzącym jej podejrzenia samochodzie, który odjechał zaraz po tym, jak bezpiecznie wróciła na chodnik.

– I znowu nie wiadomo, kto za tym stoi – mruknął Sulich.

– O ile stoi. Może to przypadek. Nie mogę wszystkiego traktować jak zaczepne działania mafii ani ewentualną chęć usunięcia mnie z tego padolu przez jakichś innych przestępców. Zresztą mafia chyba powinna być bardziej skuteczna. To wyglądało trochę jak spontan. Była okazja, ktoś mnie pchnął.

– To nie był przypadkowy przechodzień.

– Nie. Wkurza mnie to, że nie potrafię tego rozdzielić.

– Według mnie mafia nie robiłaby nic radykalnego.

– Co masz na myśli? Poślanie mnie na cmentarz w ślad za Sławkiem?

– Albo poważne uszkodzenie. Według mnie jesteś im potrzebna w miarę cała.

– To mnie, kurde, pocieszyłeś! Pytanie tylko, po cholere i jak bardzo cała.

– Musimy się nad tym teraz zastanawiać? Wolałbym z tobą robić coś zupełnie innego niż omawiać naszą robotę.

– A co mianowicie? – Sara zmrużyła kpiarsko oczy.

Przez następne godziny Sulich dobitnie udowodnił, jaki rodzaj aktywności miał na myśli.

Od poprzedniego dnia Szajbę intrygowała różnica pomiędzy tym, co mówili „muszkietierowie”, a tym, co powiedział Hubert Tralka. W wersji mężczyzn, którzy uczestniczyli w zakończonej tragedią zabawie ogniem, nie było ani słowa o tym, że ubranie Mateusza było nasączone benzyną. Skąd ta rozbieżność? Przyczyny mogły być dwie. Po pierwsze chłopcy woleli się do tego nie przyznawać. Zginęła sześcioletnia dziewczynka, a ich kolega został trwale okaleczony. Mogli się bać, że gdy powiedzą, jak naprawdę było, ktoś ich oskarży o spowodowanie tej tragedii. Mogli wpaść w kłopoty, może nawet pójść do poprawczaka. Dla czwórki licealistów niemających na koncie poważniejszych wybryków czy zatargów z prawem

taka wizja musiała być przerażająca. Jako dorośli trzymali się tej wersji. To byłoby w pełni zrozumiałe. Ale co z zeznaniami Mateusza Tralki? Było takie samo, a wątpliwe wydawało się, by zataił prawdę, chroniąc sprawców nieszczęścia, które dotknęło jego rodzinę. Czy to możliwe, żeby szok i trauma zatarły szczegóły poprzedzające sam moment tragedii? Dlaczego w takim razie Hubert Tralka z jakiegoś powodu poznał inną wersję wydarzeń? Czy to miałyby sens? Przecież kompletnie nic to nie zmieniał.

– Wiesz, że jak myślisz, to krążysz po pokoju jak lew po klatce i nie widzisz, co się dzieje? – spytał Roszkowski, wjeżdżając do pokoju w czwartek rano.

– Cześć! Nie przesadzaj, widzę i ciebie, i twój pojazd.

Adam obrzucił Sarę uważnym spojrzeniem i uśmiechnął się leciutko.

– Z czego się cieszysz?

– Zaczęłaś nosić męskie bluzy. – Komisarz znacząco mrugnął okiem.

– Może lubię?

Obudzili się tak późno, że nie zdążyła pojechać rano do siebie, i do pracy przyjechała w najmniejszym T-shircie Sulicha i jego bluzie. Ależ ten Adam spostrzegawczy!

– Idę do wodopoju. – Tym wdzięcznym mianem nazywano kącik jedzeniowy z ekspresem. – Chcesz coś? – spytała Lipner dla odwrócenia uwagi.

– Kawę. Może się dobudzę. Sąsiedzi mieli imprezę do rana.

– W środku tygodnia?

– To studenci.

Akta w sprawie tragedii u Tralków były wyjątkowo skąpe, ale trudno się temu dziwić. Co innego morderstwo, co innego nieszczęśliwy wypadek. Szajba więcej dowiedziała się u starego komisarza niż z nich. Nie było rozbieżności, wszystko się pokrywało. Nie było ani słowa o tym, że ciuchy Mateusza nasączono benzyną lub inną łatwopalną substancją. Zresztą po co „muszkietierowie” mieliby to robić? Przetestowanie ubrania zabezpieczającego przed ogniem to zupełnie co innego niż podpalenie

czegokolwiek nasączonego substancją łatwopalną. W takiej sytuacji oblanie Mateusza czymś, co spotęguje ogień, było bez sensu. Poza tym nie byli idiotami, musieli sobie zdawać sprawę z tego, jak bardzo byłoby to niebezpieczne. Lipner zadzwonił do znajomego strażaka.

– O, pani komisarz, dawnośmy się nie słyszeli – ucieszył się na głos Sary. – A już się zastanawiałem, co się z panią dzieje.

– Żyję. I grzebię przy takiej starej sprawie.

– Z pożarem w tle?

– Nie tyle z pożarem, co z zabawą ogniem. Dzieciaki zrobiły sobie miotacze ognia z dezodorantów.

– Taa, stary numer.

– Czy łatwo byłoby ugasić płomień na osobie, której ubranie nasączone jest na przykład benzyną?

– Zależy, jak by gaszono.

– Chłopak turlał się po ziemi, dusząc płomień.

– Gdyby miał na ciuchach substancję łatwopalną, to płonąłby jak pochodnia. Samo turlanie nic by nie dało. Stłumiłby tylko na moment ogień w niektórych miejscach.

– Rozumiem.

– Potwierdziłem pani teorię czy wręcz przeciwnie?

– Potwierdził pan wersję oficjalną, która najwyraźniej jest tą prawdziwą. Dzięki!

– Polecam się na przyszłość.

Teoria o specjalnym nasączeniu ciuchów młodego Mateusza Tralki benzyną upadła. Szajba przypomniawszy sobie zeznania chłopców: Zosia paliła się i trudno było ją ugasić, spłonął poplamiony smarami, olejem napędowym i benzyną koc, który zarzuciła na brata, ale ogień na Mateuszu dało się stłumić stosunkowo łatwo. Poparzeń doznał głównie podczas ratowania siostry. Działania „muszkietierów” i Matusza Tralki, aczkolwiek głupie, nie kryły w sobie tajemnicy. Dlaczego więc zginęli Gawroński i Tomaszewski? Obaj bali się i ta obawa była związana właśnie z tamtymi zimowymi wydarzeniami. Czyżby był jeszcze ktoś, kto był

w jakiś sposób związany z tragedią? Ale kto? Rodzice nie żyli, dalsza rodzina właściwie nie przejmowała się już losem Tralków.

– Cholera! – Z rozmachem odsunęła się od biurka.

– A precyzyjniej...

– Mam problem z mordercą. Albo brak motywu, albo możliwości, albo ktoś ma alibi, bo na przykład nie było go w Polsce. Albo moje podejrzenie niby jest sensowne i logiczne, ale z jakiegoś innego powodu nierealne. Przy każdym kandydacie coś mi nie pasuje.

– Witaj w klubie. Wszyscy sobie na tym połamali zęby, a ty i tak zaszłaś najdalej.

– Wkurza mnie to, że jak już mam coś pozornie ciekawego, to zaraz się znajduje logiczne wytłumaczenie albo nie ma tego czegoś jak sprawdzić. I ani jednego śladu, z którym mogę coś zrobić. Ani ze zwłok, ani z domu Gawrońskiego.

– Czasem stare ślady, jeżeli są dobrze zabezpieczone, mogą się przydać.

– Pewnie. Z tym, że tu nie ma nic takiego. Są poszlakowe, oprócz ewentualnie tego włosa. Wkurwia mnie to, że wiem, jaki może być motyw, nie wiem jednak, kto mógłby go mieć. Najbardziej zainteresowani nie żyją albo mają to w dupie.

– Mówiłaś, że tam było czterech chłopaków, oprócz tego poparzonego.

– Zgadza się.

– Może jeden z nich?

– To musiałyby być jeden z dwóch pozostałych przy życiu. I niby po co?

– Może za tą zabawą kryło się coś więcej?

– Też mi to przyszło do głowy. Ale nie, właśnie wykluczyłam tę ewentualność. Poza tym ta żyjąca dwójka siedzi za granicą. I to daleko, w Stanach i w Kanadzie. Nie daliby rady długo nękać swojej ofiary.

– No masz zagwozdkę.

– Żebyś wiedział. Brakuje mi człowieka. A z innej beczki, udało ci się zerknąć w akta spraw Sławka?

- Nie, ale pracuję nad tym. Powiem ci, że bruździ nam ta śmierć Piotrowskiego. Wszyscy nagle zrobili się czujni, wewnętrzny patrzy Barlickiemu na ręce. A co z tą sprawą, przy której umoczył Wątróbski? Wiesz coś więcej?

- Nie. Cholera, trudno się czegoś dowiedzieć bez wzbudzania ciekawości, plotek i podejrzeń.

- Tym bardziej że to twój partner. Umoczony.

- Nie.

- Co nie?

- Oficjalnie nie był umoczony. O tym wiem tylko ja, Piotrek i ty. Barlicki złośliwie rzuca podejrzenia, żeby mnie wkurzyć, niekoniecznie musi coś wiedzieć. Śmierć Piotrowskiego dała mu niezła pożywkę. Zresztą Barlicki to chyba najmniejszy problem.

- Nie zlewaj go, dobrze wiesz, że to kawał gnoja.

- Nie zlewam. Ale są jeszcze dwa ważne powody koniecznej ostrożności. Nie wiem, czy mafia nie ma u nas informatora, i nie wiem, czy tylko Sławek brał w łapę. Poruszam się jak po polu minowym, bo głupio by było, żeby dotarło do jednych lub drugich, że się interesuję sprawami Wątróbski i nim samym. Z tego samego powodu ani Piotr, ani ty też nie możecie energiczniej podziałać.

- Szczerze mówiąc, najlepiej byłoby przeczekać aż do wyjaśnienia sprawy Piotrowskiego – podsunął Roszkowski.

- Żeby to szlag trafił! Nie dość, że i tak musiałam uważać, to teraz mam prawie związane ręce. Ale masz rację – przyznała niechętnie Szajba.

Nie zamierzała odpuścić, to nie wchodziło w grę. Zdawała sobie sprawę, że jakiegokolwiek podejrzenie, iż przegląda sprawy Wątróbskiego, zamiast skupiać się na swoim śledztwie, może obudzić czyjeś zainteresowanie, a to nie było jej na rękę. Śmierć Piotrowskiego interesowała wszystkich, stali się nagle bardziej czujni i dociekliwi. To nie sprzyjało dyskretnemu sprawdzeniu spraw Sławka. Poza tym Sara nie chciała, żeby jego obraz w pamięci kolegów uległ zmianie po wyjściu na jaw kompromitujących faktów. Najchętniej po cichu odegrałaby się na

tym, kto zlecił jego morderstwo. Wiedziała, że nie będzie to łatwe, ale dodatkowych komplikacji nie była w stanie przewidzieć.

Lipner wróciła do sprawy Gawrońskiego. Powykreślała sprawdzone opcje i została prawie z niczym. Najbardziej intrygowały ją te dziecięce obrazki. Było to albo wzorowanie się na rysunkach kilkulatków, albo powielenie własnych prac z tego okresu. Po chwili Sarze przyszło do głowy, że może być i trzecia możliwość. Ktoś mógł poprosić swoje lub jakiegokolwiek znajome dziecko o odpowiednie obrazki. Zbyt wiele możliwości, ale ta ostatnia opcja wydawała się Szajbie najsensowniejsza. Była najtrudniejsza do namierzenia, a przecież rysunki były praktycznie jedynym konkretnym tropem prowadzącym do mordercy. Po upływie kilkunastu lat nie miała nawet jak zweryfikować alibi wszystkich, którzy wystąpili w tej sprawie, ale inaczej było w przypadku morderstwa Tomaszewskiego. Szybko spisała nazwiska, które ją interesowały, i zadzwoniła do Miszty.

– Rodzice, krewni, znajomi i sąsiedzi sprawdzeni – odpowiedział na jej pytanie. – Współpracownicy też. Albo mają alibi, albo nie mieli żadnego powodu, żeby źle życzyć Tomaszewskiemu.

– Prześlij mi te nazwiska – poprosiła Lipner. – Porównam z tymi, które mam w związku z Gawrońskim.

– Nie ma problemu. Według ciebie te sprawy się łączą?

– Prawie na pewno.

– Chcę wiedzieć więcej.

– To wpadnij do mnie, pogadamy.

– A może być teraz? Akurat mam luźniejszą chwilę, byłbym za dziesięć minut.

– Jasne, czekam.

Szajba zgarnęła dokumenty, komórkę i laptopa i od razu podniosła się z biurka.

– Miszta przyjedzie – wyjaśniła Roszkowskiemu. – Idę pogadać do konfesjonału.

Konfesjonałem nazywany był niewielki pokoik, w którym odbywały się przesłuchania. Najczęściej stał jednak pusty i był wykorzystywany do rozmów w cztery oczy, takich spotkań jak teraz lub nawet jako miejsce na szybką drzemkę.

Rozmowa z Misztą trwała prawie godzinę. Komisarz powiedział Sarze wszystko, co mogło się jej przydać, a w zamian usłyszał relację ze śledztwa w sprawie Gawrońskiego.

– Inny sposób morderstwa – zauważył.

– I tak, i nie. Tomaszewskiego musiał zająć od tyłu, żeby poderżnąć mu gardło, więc prawie na pewno go znał. W przypadku Gawrońskiego pierwszy, ogłuszający cios padł z boku, więc też jest spora szansa na to, że napastnik nie był kimś obcym. Może odprowadzał go z popijawy? Ten domniemany bejsbol bruździ, ale to równie dobrze mogła być krótka pałka schowana pod ciuchami.

– Niby racja. Ale w pierwszym przypadku mamy napad, w drugim ordynarne zaszlachtowanie.

– Morderstwa dzieli ponad dwanaście lat, to może być przyczyną. Sprawca z wiekiem się zmienił. A powiązań jest naprawdę dużo. Kiedy zginął Tomaszewski?

– Dwudziestego czwartego kwietnia. Ewentualnie dwudziestego trzeciego, niedługo przed północą.

– Osiemnaście dni temu. Chcę sprawdzić alibi paru osób, które u ciebie nie wyszły, ale u mnie owszem.

– Nie znali Tomaszewskiego, ale znali Gawrońskiego?

– Niekoniecznie. Mogli znać i Tomaszewskiego, tylko tego nie wiesz.

– Może być i tak. Dobra, sprawdzaj. Jak to było z Piotrowskim? – Ten temat interesował wszystkich.

– Poszłam pobiegać w innym miejscu niż zwykle, zmiany trasy mi się zechciało. Znasz forty na Biskupiej Górze?

– No pewnie, wszyscy znają.

– Chciałam zobaczyć, jak teraz wyglądają, bo dawno tam nie byłam. Odór poczułam w połowie zejścia na najniższy poziom.

– Ja pierdolę, ty to zawsze na coś trafisz! – w głosie Miszty pobrzmiwał szacunek.

– Lepiej ja niż jakieś małolaty. Bo to, kurwa, nie był fajny widok!

– Wierzę – zgodził się komisarz. – Ciekawe, co Barlicki odkryje.

– I jak szybko.

– Musi się spręzać, bo pilnuje go i stary, i ci z wewnętrznego.

To najwyraźniej była ogólnie panująca opinia, więc Szajba skinęła tylko głową, a potem pożegnała Misztę i wróciła do swojego pokoju. Musiała sprawdzić alibi kilkunastu osób, które w taki czy inny sposób były związane z Gawrońskim. Nie pominęła jego syna, żony, rodziców „muszkietarów” i rodziny Tralków. Nie wszyscy pamiętali, co robili prawie trzy tygodnie temu, gdy zginął Tomaszewski. To wydawało się normalne. Nikt nie prowadził pamiętnika, do którego mógłby zerknąć i podać precyzyjną informację. Małżeństwa najczęściej dawały sobie wzajemnie alibi, trzy osoby przypominały sobie, że miały spotkania, ktoś był poza Gdańskiem. W najlepszej sytuacji był Hubert Tralka, który był w trasie. Na wszelki wypadek Lipner wydrukowała zdjęcia wszystkich interesujących ją osób i postanowiła pokazać te podobizny sąsiadom Tomaszewskiego. A nuż ktoś taki pojawił się w okolicy?

Piotr pojawił się u Sary tuż po jej powrocie z siłowni. Bez zapowiedzi, za to z jej ulubionym koniakiem i ze sfatygowaną reklamówką z Biedronki.

– Koniak w pełni rozumiem i pochwalam. Ale z tą reklamówką wyglądasz jak zbieracz starych puszek i innego złomu.

– A bo nie chciało mi się torby szukać.

– Co tam masz?

– Szampon, płyn po goleniu i dezodorant – wyznał z niepewną miną Piotr. – No wiesz, włosy pachnące owocami jeszcze ująd, ale raczej nie użyję twojego dezodorantu. A kumpli mam domyślnych.

Po opanowaniu ataku śmiechu Sara przyznała rację Sulichowi. Dzisiaj miała przykład takiej domyślności, gdy Roszkowski zauważył, że zaczęła

gustować w męskich ciuchach. I tak była w lepszej sytuacji niż Piotr, bo on w jej ubranie nie miał szansy się zmieścić.

– W sumie dobry pomysł, zrobię to samo. I jakieś zapasowe ciuchy zostawię u ciebie.

– Cholera, nie pomyślałem!

– Da się nadrobić.

Sara wyjęła kieliszki i postawiła je przed Piotrem.

– Gadałem ze starym, wiadomo już, że młody był związany z jakimiś wymuszeniami.

– Kurwa mać! Nie podejrzewałam go.

– A Wątróbkę podejrzewałaś? No właśnie. Stary mówi...

– Tak mu się do ciebie ułało?

– Akurat! Jakbyś starego nie znała! Co innego z nim obgadywałem, ale akurat Barlicki coś koniecznie chciał. Stary się nie namyślał, kazał mu gadać przy mnie. Nasz ulubieniec nie miał wyjścia, musiał wyłuszczyć, z czym przyszedł.

– Nie pokochał cię za to.

– Nie zależy mi na jego miłości, a poza tym niech ma pretensje do siebie, mógł poczekać, to nie, musiał już. Zresztą czort z jego odczuciami, ważne, że na tym skorzystałem. Piotrowski ponoć kogoś chronił i dlatego poszedł na współpracę. W każdym razie skoro to wyszło, to odpuść Sławka, aż Barlicki skończy sprawę.

– Niech to cholera, same trudności! Jak ja mam to ogarnąć i jednocześnie udawać, że nic nie robię?

– Ja pierdołę, Szajba! Czy ja ci to mam narysować? Chcesz się w to gównu wpieprzyć?

Sulich jednym haustem wypił nalany przed chwilą koniak. Bał się o Sarę bardziej niż dotychczas, a doskonale wiedział, że aż ją korci, żeby działać. Śledzenie syna szefa mafii było tego najlepszym przykładem. Szajba z kolei zdawała sobie sprawę i z własnych ciągów do samowolki, i z niebezpieczeństwa, i ze stanu zakochanego w niej komisarza.

– Dobra! Opuść o tyle, że nie będę nikogo o nic pytała, i powiem Adamowi, żeby też dał na wstrzymanie.

– I nie śledź mafii! – zażądał Sulich. – Mogą być wkurwieni tym, że Piotrowski coś odkrył albo się postawił, albo cokolwiek. I przez to bardziej czujni.

– Dobra! Ale zwiń już swoje skrzydła opiekuńcze, charakteru mi nie zmienisz. Postaram się nie narażać.

– Skup się na Gawrońskim.

– Nie truj dupy, sama wiem, że muszę przeczekać. Jutro jadę na wieś, popytać sąsiadów Tomaszewskiego.

Zgodnie z przewidywaniami to stwierdzenie odciągnęło uwagę Sulicha od Piotrowskiego, Wątróbskiego i mafii w ogóle. Sara krótko i treściwie zrelacjonowała ustalenia z Misztą, a potem spytała o rozwój sytuacji rodzinnej Piotra.

– Jedna wielka chujnia – westchnął Sulich. – Ja im źle nie życzę, w końcu się rozwiedliśmy. Ale to są moje córki, nie tego palanta. Niech sobie mówią do niego jakkolwiek, ale ojcem jestem ja.

– A może... – Sara uśmiechnęła się leciutko. – A może powiedz jej, że w takim razie ty chcesz, żeby mówiły mamie do twojej nowej partnerki.

– Co?!

– Co ci szkodzi? I jeszcze zasugeruj, że chcemy się wybrać do Włoch, bo ja jeszcze nie byłam. A skoro tak, to chcesz się w tym czasie widywać z dziewczynkami po szkole i w weekendy. Zobaczymy, jak zareagują.

– Jesteś genialna! Czekaaj, zaraz zadzwonię do mojej eks.

– Tylko się nie śmiej w słuchawkę!

Sulichowi udało się wykrzesać z siebie podekscytowanie i przejęty opowiadał swojej byłej żonie o wspólnych z Sarą planach. Podróż do Włoch miała być pierwszą ich częścią.

– I rozumiesz, uznałem, że miło by było, gdyby dziewczynki mówiły do Sary „mamo” – wypalił pod koniec rozmowy komisarz i od razu przełączył telefon na głośnomówiący.

– Co?! Oszalałeś? Niby dlaczego?

– No jak to? Skoro mają mówić „tato” do twojego męża, to i „mamo” do Sary. Nie widzę różnicy.

Była żona Sulicha zamilkła na moment – pewnie nie spodziewała się takiej propozycji, a potem wybuchła. Temperament miała najwyraźniej na wskroś włoski. Piotr uśmiechał się złośliwie i przeczekiwał. W końcu kobieta warknęła, że niedoczekanie, żeby jej dzieci mówiły „mamo” do obcej baby, i rozłączyła się. Wyglądało na to, że pomysł Sary ma szanse powodzenia.

Rozdział siedemnasty

Szajba zaparkowała samochód na skraju wsi, w której mieszkał Tomaszewski, i zanim zaczęła rozmawiać z jej mieszkańcami, zrobiła sobie niewielki spacer. Chciała poznać teren, zorientować się, czy można było gdzieś w pobliżu tak zostawić samochód, aby nie rzucał się w oczy. Morderca na pewno nie chciał wzbudzić ciekawości, a wszyscy wiedzą, że obcy na małym osiedlu czy na wsi zawsze przyciąga uwagę. Między innymi dlatego Sara przypuszczała, że Tomaszewski zginął raczej przed północą, gdy większość sąsiadów spała, niż nad ranem, gdy część z nich już wstała, żeby zająć się gospodarstwem. Sprawca miał wtedy większą szansę na pozostanie niezauważonym. Mógł przyjechać, gdy robiło się już ciemno, zaparkować niedaleko, zabić, a potem spokojnie odjechać. Najprawdopodobniej rano dźwięk silnika zwróciłby większą uwagę niż wieczorem. Lipner nie szukała śladów, to na pewno zrobili technicy, ale chciała wiedzieć, jakie morderca miał możliwości dyskretnego zaparkowania niedaleko wsi. Okazało się, że całkiem spore. I zapewne skorzystał z nich kilkukrotnie, na przykład wtedy, gdy otruł psa Tomaszewskiego.

Szajba miała wielokrotnie już sprawdzony sposób przeprowadzania rozmów z sąsiadami. Zaczęła od kobiety, którą poznała. Miała nadzieję, że dowie się od niej, kto jest najlepiej zorientowany, co się dzieje we wsi.

– A to pani! – ucieszyła się rozmówczyni Sary. – Wiecie, kto go zaszlachtował?

Wieść o tym, jak zginął sąsiad, rozeszła się zapewne natychmiast i to nie tylko po wsi, ale i po okolicy. Morderstwo zawsze budzi ciekawość i rodzi pytania.

– Nie, jeszcze nie. Ale być może pani będzie w stanie mi w tym pomóc.

– Ja? Ja tam nic nie widziałam, roboty mam pełno.

– Ale mogła pani widzieć kogoś obcego we wsi, prawda? Nie siedzi pani przecież cały dzień w domu.

– No pewnie, że nie!

– No więc właśnie. Niech pani spojrzy na te zdjęcia.

Przez dobrą chwilę kobieta przyglądała się podobiznom osób w jakiś sposób związanych z Gawrońskim.

– Czy ja wiem? No może kogoś takiego widziałam. – Rozmówczyni Sary wskazała na fotografię przedstawiającą Adama Muchę. – A może nie. Chyba ktoś podobny po wsi się włóczył. Pewnie miastowy na spacer przyjechał.

– Pamięta pani, kiedy to było?

– Raczej nie tak dawno, bo bym nie pamiętała. To on zabił Grzeška?

– Nie sądzę. Ale mógł coś widzieć – wyjaśniła oględnie Lipner. – Jak pani myśli, z kim najlepiej porozmawiać?

– Z Alką. Wie pani, z Sikorską, u niej Grzesiek trzymał klucz. Ona lubi nos we wszystko wściubiać, mało co jej umknie.

– Ktoś jeszcze?

– A taka młoda Agatka, synowa Laskowskich. Ma małe dziecko, które najlepiej śpi w wózku, więc co chwilę łązi z nim na spacer. I może Broniek coś widział, on prawie naprzeciwko Grzeška mieszka, a żona mu w domu palić nie pozwala. To wychodzi na dwór i pali, rozglądając się, czy ktoś nie idzie, bo wtedy ma z kim pogadać.

Ludzie często doskonale znają zwyczaje swoich sąsiadów, szczególnie w małych społecznościach. Szajba zawsze z tego korzystała. Mimo że chciała porozmawiać ze wszystkimi, wiedza o tym, kto miał największą szansę spotkać mordercę, była cenna. Zgodnie z sugestią na pierwszy, a właściwie drugi ogień poszli Sikorscy.

– Pani da te zdjęcia. – Gospodarz rozłożył wszystkie na stole i nawet włączył światło, żeby było lepiej widać. – Chodź, stara, może kogoś znasz – przywołał żonę zajęętą robieniem obiadu.

Kobieta wytarła ręce o nie pierwszej czystości fartuch, założyła okulary i razem z mężem wnikliwie przyglądała się fotografiom.

– Jeden z nich to morderca?

– Albo morderczynie – zauważył Sikorski. – Kobiłki też tu są. Ale ja chyba nikogo nie widziałem. Zresztą... – mężczyzna zawahał się. – Wie pani, ja się nie przyglądam, no chyba że ktoś pojedzie jakimś ekstra wozem. Więc nawet jakbym minął na drodze, to po twarzy bym mógł nie poznać.

– A ja patrzę – pochwaliła się jego żona. – Bo kto wie, kto to się szwenda. Ale tych to nie widziałam. Jest parę osób, co to przyjeżdżają w okolicę na spacer. Stawiają samochód na skraju wsi i idą przez pola. Ale to nikt z nich.

Agatę Laskowską Sara spotkała od razu po wyjściu od Sikorskich. Szczupła blondyneczka pchała przed sobą wózek z męczeńskim wyrazem twarzy. Sara przedstawiła się i poprosiła o rzucenie okiem na zdjęcia.

– Jasne, czemu nie, ale niech pani pcha wózek. Jak postoiimy dłużej, to Karolek się obudzi i usłyszy go cała wieś.

Szajba zamieniła zdjęcia na wózek i kobiety ruszyły wolnym krokiem wzdłuż drogi.

– Ja z nudów patrzę na ludzi, bo wie pani, ile można łązić z dzieciakiem na spacer? A tu się nic nie dzieje. Więc jak już ktoś idzie, to zwracam na niego uwagę. Może widziałam tych dwóch facetów – dziewczyna podała Sarze zdjęcia Muchy i Szymona Gawrońskiego – i tę kobietę – do poprzednich fotografii dołączyło zdjęcie Stępniewskiej. – To jakoś niedawno było. Ale nie pamiętam, kiedy dokładnie.

– Jest pani pewna?

– A gdzie tam! Nic sobie nie dam uciąć, że to ci, których widziałam. Ale podobni są.

Drugie wskazanie na Muchę, który mieszkał za oceanem i nie mógł podskoczyć na kilka wieczornych godzin pod Gdańsk. Warto to jednak zapamiętać, być może morderca jest podobny do byłego „muszkietera”.

Mniej więcej w połowie rozmów z mieszkańcami wsi Szajba zorientowała się, że ktoś ją obserwuje. Raczej nie jakiś ciekawski mieszkaniec, bo ten nie miałby powodu, żeby się ukrywać, a poza tym było jasne, że Sara chodzi od domu do domu i w końcu trafi do

wszystkich. A skoro nie jeden z sąsiadów Tomaszewskiego, to kto? Mafia? A może morderca? We wsi był sklep i Lipner postanowiła wykorzystać go do własnych celów. Oprócz tego, że tak jak wszędzie pokazała zdjęcia, to poprosiła o wypuszczenie służbowym wyjściem znajdującym się na zapleczu. Jeżeli miała rację, to śledzący ją osobnik powinien tkwić w miejscu, skąd ma dobry widok na wejście do sklepu. Korzystając z osłony, jaką dawały jej kubły na śmieci i kartony, Szajba przeszła na front budynku i nie opuszczając swojej kryjówki, rozejrzała się po okolicy. Nie musiała długo szukać. Za pnem drzewa rosnącego w wąskim przejściu pomiędzy domami ktoś stał. Od czasu do czasu wychylał się, jakby to miało pomóc w obserwacji. Sara uznała, że skoro jest sam, to zapewne nie ma do czynienia z mafią, tylko z kimś innym, komu załazła za skórę. Co robić? Musi skończyć rozmowy, a potem dobrze by było zapolować na tego podglądacza. Pytanie tylko, czy mu się nie znudzi. Może nie, zostały jej raptem trzy domy.

Po ostatniej rozmowie Lipner nie wróciła do samochodu, a weszła na posesję Tomaszewskiego. Udawała, że szuka czegoś na podwórku, a potem przeszła na tyły domu. Miała nadzieję, że gdy zniknie z oczu śledzącego ją osobnika, zmusi go do działania. Rozglądała się, szukając odpowiedniej kryjówki, w której mogłaby poczekać na pojawienie się mężczyzny, gdy nagle jej wzrok padł na wybitą szybę w oknie na parterze. Ktoś się włamał do Tomaszewskiego! Szkło było powyciągane i leżało na ziemi, więc jasne było, że ktoś się tam dostał w ten sposób. Nie namyślając się długo, postanowiła wciągnąć nieznanego w pułapkę. Wróciła przed dom, pogrzebała w plecaku i wyjęła pęk wytrychów. Z daleka nie było widać, czym otwiera dom. Miała wprawę, z zamkami poradziła sobie bez problemu. Zamknęła za sobą drzwi i uśmiechnęła się z satysfakcją. Teraz ona była myśliwym. Podejrzewała, że nikt nie pojawi się wcześniej niż za dziesięć, piętnaście minut, i postanowiła w tym czasie rozejrzeć się po domu. Jeżeli to nie było przypadkowe włamanie rabunkowe, to być może morderca czegoś tu szukał. Ciekawe. Przecież musiał wiedzieć, że dom jest przeszukany przez policję, a jeżeli chciał coś stąd zabrać, to mógł zrobić to od razu.

Szajba szybko zlustrowała górę, ale nie był tam śladów działania włamywacza. Zeszła na dół i rozejrzała się uważnie. Dopiero teraz zauważyła, że na podłodze były świeże ślady ziemi, a nie ona je zostawiła. Poszła za nimi. Były tylko w przedpokoju, salonie i pokoju z wybitą szybą. Najwyraźniej włamywacza nie ciekawiły inne pomieszczenia. Wróciła do salonu i zastanowiła się, co mogło go interesować. Nagle jej wzrok padł na leżącą na stole korespondencję. Technicy nie zostawiliby jej tutaj. Przejrzała ją: prospekty, jakieś reklamówki i list z banku. Ktoś musiał je tu położyć już po przeszukaniu domu przez policję. Spojrzała na daty na stemplu, ostatnia była sprzed dwóch dni. Tomaszewski nie miał skrzynki przed domem, listy wrzucało się przez szczelinę w drzwiach.

Nie słyszała go i prawie udało mu się ją zaskoczyć. Na szczęście kątem oka zauważyła jego odbicie w szybie. Nie miała czasu, zadziałała instynktownie. Obróciła się, jednocześnie osłaniając tym, co miała pod ręką, czyli leżącym na stole kolorowym prospektem samochodowym. Ostrze brzytwy częściowo wbiło się w niego, przecięło kartki i trafiło Szajbę w nadgarstek. Kurwa! Cofnęła dłoń i spojrzała na rękę. Napastnik popchnął ją na stół, a gdy się zachwiała, wykorzystał sytuację. Nie ponowił ataku, ale uciekł. Wybiegł z pokoju, zamykając za sobą drzwi. Sara straciła cenne chwile i gdy wyskakiwała oknem, on był już w połowie podwórka. Ciemne ciuchy, kominiarka – to zauważyła od razu. Oceniała odległość, wyskoczyła i rzuciła się w pościg. Była pewna, że go dorwie, a strzelaniny chciała uniknąć.

I dorwałaby. Gdyby nie to, że facet przeskoczył przez płot w miejscu, gdzie miał zaparkowany motor. Nie bawił się w zakładanie kasku, wsiadł i wystartował z piskiem opon.

– Kurwa mać!

Tego nie przewidziała. Mało tego, wydawało jej się, że żaden przestępca o zdrowych zmysłach nie parkowałby w widocznym miejscu. Nastawiła się na ucieczkę w stronę pojazdu zostawionego gdzieś poza wsią. Przeliczyła się. Niemniej jednak sporo się dowiedziała.

Poruszyła zranioną dłońią, przyjrzała się skaleczeniu i uznała, że rozcięcie jest dosyć powierzchowne. Wystarczy plasty do ściągania

brzegów rany, szycie nie będzie konieczne. Sięgnęła do plecaka, wyjęła odpowiednie akcesoria i założyła sobie opatrunek. Gdy przestała krwawić, zadzwoniła do Miszty. To jego miejsce zbrodni, a bez techników się nie obejdzie. Dała też znać Ostróżce, co się dzieje.

– Co cię podkusiło, żeby tam wejść? – spytał zciekawiony komisarz natychmiast po przyjeździe. – Zbite okno to zбите okno, ja bym nie wchodził do środka.

Pytanie nie zdziwiło Sary, bo przekazując informację o włamaniu, była bardzo oszczędna w słowach, powiedziała tylko tyle, ile było trzeba. Na szczęście wszystko wskazywało na to, że nie była to uprzykrzająca jej życie mafia, a morderca. Zanim komisarz Miszta dojechał, uznała, że może sobie pozwolić na dosyć daleko idącą szczerłość. Nie całkowitą, bo przecież nie powie kumplowi, że liczyła na dorwanie sprawcy, a to on ją zaskoczył. Nie doceniła jego determinacji. A może głupoty lub lekceważenia niebezpieczeństwa? Jeżeli to ostatnie, to trafił swój na swego.

– Gadałam z ludźmi we wsi... Tak przy okazji, kilka osób wskazało to samo zdjęcie, więc coś w tym może być.

– Widzieli mordercę?

– Pewności nie ma, ale istnieje taka możliwość, więc musimy uwzględnić podobieństwo. Ale to na pewno nie człowiek ze zdjęcia, bo ten siedzi w Stanach.

– Prześlij mi to. A jak było dzisiaj?

– Mniej więcej w połowie tej wędrówki od drzwi do drzwi zorientowałam się, że mam towarzystwo. Zaciekawilo mnie, kto to, więc postanowiłam zobaczyć, co robi, jak wejdę do domu Tomaszewskiego. Przy okazji zauważyłam to wybite okno. To nie mógł być przypadek, jakieś dzieciaki albo pijak. Szkło było pracowicie wyjęte z ramy. Wszłam drzwiami, żeby nie nałożyć tam swoich śladów. Gdy sprawdzałam, czy szukał czegoś w środku...

– Po nas?

– No właśnie też mnie to zastanowiło – przyznała Lipner i postanowiła sprawdzić Misztę. – No? Co byś obstawiał?

– Nic na wierzchu i nic oczywistego. Nie mógł też liczyć na to, że przeoczyliśmy jakiś schowek – wyliczał komisarz. – I był pewny, że znajdzie to, po co przyszedł. Listy!

– Właśnie – uśmiechnęła się Szajba. – Też tak pomyślałam. Zaskoczył mnie, gdy je przeglądałam. Rzeczywiście, były świeże.

– Nie zauważyłaś go?

– Nie usłyszałam przez to grzebanie w papierach. Zobaczyłam ciut za późno. A facet ma niezły refleks.

– I nie zawahał się... – zaczął Miszta i umilkł.

– No właśnie. Z jednej strony mógł po prostu za mną nie wchodzić, z drugiej zaatakował, a potem uciekł. Był tu wcześniej, więc list już miał.

– Zastanawiające.

– Właśnie. Chodź, zobaczymy, czy technicy mają coś z tego okna – zaproponowała Szajba.

Owszem, mieli – bardzo ładne odbitki śladów palców komisarz Lipner. Reszta była zamazana, na dokładkę były to ślady po rękawiczkach.

– Mamy kilka włókien, ale nic nietypowego. – Technik wzruszył ramionami. – Ślady butów nie do wyodrębnienia. Dosyć duży rozmiar, tak ze czterdzieści trzy.

– A te rękawiczki? Może skóra albo jakieś rozprucie na szwie? – spytała z nadzieją Lipner.

Technik zawahał się, a potem – zastrzegając, że nie ma stuprocentowej pewności i raczej nie da się tego teraz potwierdzić – wyznał, że ślady mogą pochodzić od wzmacnianych rękawic, takich antyprzekłuciowych.

– Jak go dorwiecie i będzie je miał, to dopasujemy.

– W sumie niegłupie byłoby użycie takich rękawiczek – zauważyła Lipner. – Śladów nie zostawił, szkłem się nie pokaleczył i mogły zastąpić te motocyklowe. Dasz znać, gdybyście jednak coś znaleźli? Na przykład motocykl? – to już było do Miszty.

– Dam. Ale motor to akurat pewnie kradziony.

– To na pewno. Ale ciekawi mnie, skąd i kiedy zginął. Cześć!

Dopiero wsiadając do samochodu, Sara sprawdziła, która godzina. Prawie osiemnasta. Postanowiła wracać od razu do domu – myśleć mogła wszędzie, a co wygodny fotel, to wygodny fotel. Realizację planów pokrzyżował jej aspirant Marian Szlesiński.

– Idę pobiegać, nie masz ochoty się przewietrzyć? – zaproponował zaskoczony Szajbie.

– Pewnie, że tak! Przynajmniej rozprostuję kości. – Zabrzmiało to tak, jakby Lipner cały dzień tkwiła za biurkiem. – Gdzie?

– Koło starego mola na Brzeźnie, za pół godziny. Dasz radę? – spytał Szlesiński.

– Tak.

– Weź do plecaka coś do picia, bo pewnie się zgrzejemy – poradził jeszcze troskliwie aspirant.

Lipner była już pod domem, przebranie się, założenie porządniejszego opatrunku na nadgarstek i dojazd na Brzeźno nie powinny jej zabrać więcej niż pół godziny. Najwyżej Marian będzie musiał chwilę poczekać. Jasna cholera, co jest grane? Co tak zaniepokoiło aspiranta, że chce się spotkać i to od razu? Mafia się uaktywniła, aspirant coś usłyszał czy może chodzi o coś zupełnie innego? I ten plecak! Nie bez powodu powiedział o nim.

Szlesińskiego zauważyła już z daleka, rozciągał się przy jednej z niedawno postawionych ławeczek.

– Cześć, długo czekasz?

– Nie, chwilę.

– Co to za konspira? – spytała Sara, rozgrzewając się obok.

– Coś śmierdzi i to całkiem mocno. Nie mam pojęcia co. – Aspirant zrobił serię wyskoków i dodał: – Może to ze względu na Piotrowskiego, ale chuj wie.

– Jakbyś był o tym przekonany, tobyś mnie tu nie ściągał i to jeszcze pod pretekstem biegania – zauważyła Szajba, nie przerywając rozgrzewki.

– Mam coś dla ciebie. Akta waszej ostatniej sprawy.

– Jak...?

– Nie chcesz wiedzieć.

– Kurwa!

– To jest to, co można było zeskanować lub wydrukować. Może ci się przyda.

– Stąd ten plecak.

– Owszem. Ale nie tu.

– Nie przesadzasz?

– A cholera wie. Chodź, narzucimy niezłe tempo...

– Tylko żebym nie zeszła na zawał.

– ...i odskoczmy od ewentualnego ogona lub ogonów.

Lipner nie skomentowała tego, ale wydało jej się, że Szlesiński przegina. Owszem, mafia dawała się jej we znaki, pojawiała się co jakiś czas w pobliżu, ale dlaczego ktoś miałby chodzić za aspirantem? Chyba że jest coś, o czym jej nie powiedział, bo uznał, że woli zachować to dla siebie. Nie naciskała, wiedziała, że to bez sensu.

– Gotowy? Startujemy?

Pobiegli w stronę mola na przedłużeniu alei Jana Pawła II. Na początku nieśpiesznie, potem zwiększyli tempo. Lipner bez problemu dotrzymywała kroku aspirantowi i przemknęło jej przez myśl, że gdyby biegli jeszcze szybciej, to nie jej, a jemu potrzebna byłaby butla z tlenem. Za mołem Szlesiński skręcił na leśne dróżki i alejki, a potem poprowadził taką trasą, że odpoczynek wypadł im w ustronnym i zacisznym miejscu.

– Masz niezłą kondycję – pochwalił Sarę.

– Staram się. Wiesz, że nie lubię tkwić za biurkiem. Od czasu do czasu potrzebuję dawki adrenaliny. Nie takiej pochodzącej z akt.

– Masz. – Marian wyciągnął z plecaka dosyć grubą teczkę.

Sara od razu ją przejęła, nie próbując przeglądać ani komentować. Napili się wody i wrócili do Brzeźna tą samą trasą.

– Pomijając okoliczności towarzyszące, to dobrze się z tobą biega – uśmiechnął się aspirant, gdy rozstawali się przy samochodzie Lipner.

– Wzajemnie.

– Daj znać, jak na coś wpadniesz. Cześć!

Leżące w pokoju na stole akta ostatniej prowadzonej wspólnie ze Sławkiem sprawy przyciągały wzrok i kusily ją. Doskonale znała je do momentu, gdy wpadli w zasadzkę. Potem dochodzenie przejął ktoś inny, a ona nie czuła potrzeby sprawdzenia, jak dokładnie wyglądał jego końcowy etap. Morderca został skazany, to jej wystarczyło, aż do chwili, gdy doszła do wniosku, że śmierć Wątróbki nie była przypadkiem. Nieufnie spojrzała na dostarczane przez aspiranta skany dokumentów. Co tam znajdzie? I czy w ogóle coś znajdzie? W ostatniej chwili cofnęła rękę. Gawroński. Wspomnienie Sławka prawie przysłoniło jej ostatnie wydarzenia. A przecież to śledzenie jej, a potem atak i ucieczka mordercy budziło wiele pytań.

List. Niby rzecz banalna, wiadomo, że nawet po czyjejś śmierci listonosz może jeszcze dostarczyć pocztę, ale skąd przestępca wiedział, że jego korespondencja jeszcze nie dotarła? Szajba znała tylko jedno wytłumaczenie. Sprawca wiedział, że list został wysłany niedawno. A skoro tak, to po pierwsze wysłał go ktoś inny, bo przecież morderca nie wysyłałby nic do nieboszczyka, po drugie list musiał zawierać coś, co mu zagrażało, a po trzecie o wysłaniu go już po śmierci Tomaszewskiego przestępca musiał dowiedzieć się niedawno, skoro włamał się dopiero teraz. Może to któryś z „muszkieterów” korespondował z ofiarą? Szajba zanotowała, żeby spytać o to Muchę i Szewczyka.

Ślady ziemi czy też błota w kuchni Tomaszewskiego były na tyle świeże, że podejrzewała, iż włamanie miało miejsce niedawno, prawdopodobnie ostatniej nocy. Być może morderca był jeszcze na miejscu i dlatego zwrócił na nią uwagę, gdy rozmawiała z sąsiadami Tomaszewskiego. Ale skoro tak, to czy widział, jak wychodzi z jednego domu i od razu idzie do kolejnego, i zaintrygowało go to na tyle, że postanowił ją śledzić, żeby przekonać się, o co chodzi, czy też ją rozpoznał? Jeżeli to drugie, to musiała się już z nim zetknąć. Kiedy? Nie wiedziała, jak wygląda, ciuchy plus kaptur nasunięty prawie na nos

uniemożliwiły rozpoznanie. Na pewno był dosyć młody, wysportowany i miał prawo jazdy. Znała także jego wzrost. Trzeba sprawdzić, który ze świadków ma około metra siedemdziesięciu pięciu.

Rozdział osiemnasty

Już chciała sięgnąć po dostarczone przez Szlesińskiego dokumenty, gdy odezwał się telefon. Mama. Sara poczuła się zaniepokojona, bo rzadko zdarzały się telefony od rodziców po dwudziestej drugiej.

– Co się stało?

– Nic, nic! Przestraszyłam cię? Przepraszam. Pomyślałam, że może wpadłabyś jutro na obiad.

– Ogólnorodzinny?

– Tak, Ewa, Romek i Weronika też będą.

– Potrzebujecie wsparcia?

Sara usłyszała głębokie westchnienie i matka wyjaśniła jej, że co prawda już niby uodpornili się na zięcia, ale ostatnio jest jeszcze bardziej upierdliwy.

– Jeżeli przyjdiesz, łatwiej ominiemy awanturę. Głupio, żeby dziecko tego wszystkiego słuchało.

– Przyjdę. Ale nie licz na to, że się z nim nie pokłócę. A Weronika nie jest już taka mała, poza tym to mądry dzieciak, widzi i myśli. Spróbuję ją znowu do siebie zaprosić, ale nie wiem, czy mi się uda. I mam prośbę, nie wspominajcie, że mam motor. Tekstów Romana o tym, że na pewno rozjadę połowę mieszkańców Gdańska, nie zniosę. Na którą mam być?

– Na drugą.

Tego wieczoru Szajba tylko pobieżnie przejrzała akta ostatniej prowadzonej wspólnie z Wątróbskim sprawy. Szybko przeleciała wzrokiem to, co już dobrze знаła, skupiła się na zakończeniu. Komisarz, który przejął po nich dochodzenie, miał ułatwione zadanie, bo wszystkich kumpi wkurzyło zastrzelenie Sławka i ranienie Sary. Pomagali, jak mogli, żeby zamknąć sprawę.

Sarę dopadły wspomnienia. Już dawno nie były tak intensywne, tak wyraziste. Znowu wbiegła na podwórze, gdzie do Sławka celował nastoletni chłopak. Nie zawahał się ani na moment, gdy oddała strzał ostrzegawczy. Zastrzelił Wątróbkę, a potem strzelił do niej. Właściwie strzelili równocześnie, oboje trafili. Mimo zranienia Szajbie udało się obezwładnić smarkacza, potem próbowała reanimować partnera. Nie dała rady, sama straciła przytomność. Dochodziła do siebie przez kilka miesięcy. Teraz to wszystko przesunęło się jej przed oczami. Sceny, wrażenia, emocje.

Odetchnęła głęboko, wstała i poszła do kuchni. Zimna woda, uniwersalny środek, powinna pomóc. Piła powoli, wpatrując się w mrok za oknem. Nie umiała pogodzić się ani z bezsensowną śmiercią Wątróбки, ani z tym, że był skorumpowany. Nie wiedziała dokładnie, dlaczego zginął. Bała się, że sama się do tego przyczyniła, gdy zażądała, aby zwrócił mafii pieniądze, a sam odszedł z policji. Między innymi dlatego tak bardzo chciała dopaść tego, kto wystawił na Sławka zlecenie. Być może nie miało to nic wspólnego z ich ostatnią sprawą, bo mafia mogła żądać różnego rodzaju przysług i informacji, ale musiała się upewnić. Musi też jeszcze raz sprawdzić Banino, ale nie tak na pałę jak ostatnio. Najpierw powinna dowiedzieć się więcej o pochodzących stamtąd przestępcach i o najbogatszych mieszkańcach, a właściwie o właścicielach najokazalszych domów. Coś może być w tym, co sugerowali dwaj motocykliści. I chyba na wszelki wypadek dobrze by było uspokoić Jakimka, mówiąc, że do Banina Sławek jeździł prywatnie i nie ma to nic wspólnego z jego śmiercią.

Wschód słońca zastał Lipner w Rewie. Obudziła się wcześniej rano, a gdy przez kwadrans nie udało się jej zasnąć, postanowiła zrobić sobie wycieczkę motorem. Na drogach było prawie pusto, na plaży też. Wróciła do domu koło dziewiątej z naładowanymi bateriami, a to było jej dzisiaj potrzebne. Najpierw musiała wrócić do sprawy, przy której została postrzelona, a potem zmierzyć się ze szwagrem. Chociaż to drugie mogło

dostarczyć jej całkiem niezłej rozrywki, wszystko zależało od tematu, jaki zostanie poruszony.

Świadkowie, podejrzeni. Część z nich była już Sarze znana, doszło paru nowych. Nie zdziwiło jej to, kto został skazany. Ostatnia lub jedna z ostatnich rozmów ze Sławkiem dotyczyła właśnie nacisków, jakie wywierała na niego mafia – miał nie wzywać na przesłuchanie bossa. Wątróbka grał na zwłokę i kombinował, jak to zrobić, żeby nie narazić się mafii i jednocześnie nie spieprzyć śledztwa.

Szajba jeszcze raz zajrzała do akt. Nigdzie nie było słowa o przesłuchaniu szefa mafii. Mało tego, nigdzie nie pojawiało się jego nazwisko. Ten, kto przejął po nich dochodzenie, poradził sobie bez przepytania bossa. Najprawdopodobniej dlatego, że nawet nie wiedział, że jest on związany z morderstwami, których dotyczyła sprawa. Wniosek z tego był jeden. Sławek nie musiał ginąć, oni też mogli doprowadzić sprawę do końca, bez wciągania w nią mafioza. Czyżby groźba przesłuchania była tylko pretekstem do pozbycia się gliny, który nagle przestał być posłuszny? W dokumentach nie było też ani słowa o korupcji. Szajba coraz bardziej była przekonana, że śmierć Sławka nie jest związana z tą konkretną sprawą, a mafia po prostu wykorzystała sytuację. Gówniarz, który dostał na Wątróbskiego zlecenie, mógł po prostu śledzić go, nie musiał wiedzieć, czym się komisarz zajmuje. Tego się już nie uda dowiedzieć i ustalić. Sprawa została zakończona, wyroki zapadły. Zabicie Sławka i wyeliminowanie jej ze śledztwa niczego nie zmieniło.

Pozostawało jednak pytanie, dlaczego Sławek zginął. Nie był już potrzebny? A może miało to być ostrzeżenie dla innego gliniarza? Tak czy inaczej musiała się za niego odegrać. Była prawie pewna, że wie, kto wydał zlecenie zabójstwa, ale nie wiedziała, jak to udowodnić. Odpowiedź musiała znaleźć gdzieś indziej.

Głos szwagra Sara usłyszała już pod drzwiami mieszkania rodziców. Nie krzyczał, po prostu mówił głośno i dobitnie, tak jakby taki sposób gwarantował, że wszyscy będą się liczyli z jego słowami. Klarował coś dobitnie i zapewne patrzył na wszystkich z pogardą.

– Wchodź, córuś, wchodź! – Ojciec uśmiechnął się na jej widok.

– O, przyszła gwiazda trójmiejskiej policji – zauważył kąśliwie Roman.

– Oj, daj jej spokój, kochanie! Wiesz, że po tym... incydencie Sara jest bardzo wrażliwa – obłudnie skarciła go Ewka.

– Cześć! Jasne, jestem nad wyraz wrażliwa. Szczególnie mój słuch. Prześnij się tak drzeć, że na parterze cię słyhać, bo sąsiedzi pomyślą, że u rodziców jest jakaś awantura. Poza tym głośniej nie znaczy mądrzej.

– A twoje wypowiedzi to niby są takie inteligentne? – warknął Romek.

– Jak na razie nie wypowiadałam się na żaden temat. A, sorry, oprócz tego, że krzyczysz. Ale to tylko stwierdzenie faktu.

– O, ciocia, fajnie, że jesteś. – W pokoju pojawiła się Weronika ze słuchawkami w ręku.

– A ty czemu się nie uczysz? – napadła na córkę Ewa.

– Mam przerwę.

– Jutro masz sprawdzian z angielskiego, idź się uczyć!

– Ale teraz jestem u dziadków, pouczę się jeszcze wieczorem – postawiła się Werka.

– A z czego masz sprawdzian?

– Będziemy pisali list do koleżanki.

– To nie jest trudne – zauważyła Szajba.

– No właśnie, więc nie wiem, dlaczego mama mnie tak goni.

– Masz dostać szóstkę!

– Ewka, opanuj się! A jak dostanie piątkę albo czwórkę, to co? Świat się zawali? Weronika jest na rodzinnym obiedzie u dziadków, a nie w szkole. Daj jej żyć!

– Nie twój interes! To nasze dziecko! Ona chce iść na medycynę...

– Nie chcę! To wy chcecie!

– Wiesz, ile lekarz zarabia? – wtrącił się Roman. – Albo prawnik.

– Prawnikiem też nie chcę być!

– Nie masz nic do gadania! – Siostra Sary była czerwona ze złości.

– Chyba ma, w końcu to jej życie – zauważyła zimno Szajba.

- Nie wtrącaj się! Nawet nie wiesz, jak ważna jest znajomość angielskiego.

- *And that's where you are wrong, it's been useful to me more than once when I had to arrange something with the Interpol. And it wasn't idle gossip* - Lipner gładko przeszła na angielski.

- *Awesome, Aunt! Can I write about this in that letter to a friend?*

- *You can. But you know, nothing too specific.* - Sara mrugnęła porozumiewawczo do siostrzenicy.

- *Of course. I won't spill police secrets.*

- *As you can see, your daughter is perfectly capable of speaking English.* - Szajba się roześmiała.

- A możecie wrócić do polskiego?! - warknął Roman, któremu jakaś tajemnicza ułomność nie pozwalała opanować praktycznie żadnego języka obcego. Cud, że poprawnie mówił po polsku.

- Obiad - zaanonsowała matka Sary.

Jak zwykle tylko Szajba poszła pomóc rodzicom, Ewa i Roman nawet nie spojrzeli w kierunku kuchni, a ojciec rozmawiał z wnuczką. Wprowadzenie przyjemnej rodzinnej atmosfery nie powiodło się, mimo starań starszej pani.

- Mamo, a mogę mieć abonament na Legimi albo Storytelu? - spytała niespodziewanie Weronika.

- A po co ci?

- No jak to po co? Żeby czytać. Dziadek ma i ciocia też.

- To nie znaczy, że ty też musisz - warknął Romek.

- Czytaj lektury! Mało masz nauki? Poza tym to kosztuje - dołożyła Ewa.

- Ja ci wykupię - nie wytrzymała Szajba. - Razem z czytnikiem.

- No wiesz! Skoro ja mówię, że jej to niepotrzebne...

- To wredna ciotka kupi to siostrzenicy w prezencie urodzinowym - stwierdziła z satysfakcją Sara.

- Ale...

- Ale nie będziesz mi mówiła, jakie mam kupować Werce prezenty.

– Z czytania to jeszcze nic dobrego nie wynikło – stwierdził Roman. – Ja nie czytam, a jakoś sobie w życiu radzę.

– Z naciskiem na „jakoś” – nie wytrzymała Sara. – Gdybyś przypadkiem kiedyś zaczął jednak czytać, to jako jedną z pierwszych lektur polecam podręcznik dobrego wychowania. Chociaż dla ciebie to może być za trudna lektura.

– A ty to niby czytasz? Chyba o sekcji zwłok do poduszki.

– Szczerze? Znam ciekawsze książki.

– Jeżeli średnia spadnie ci poniżej pięć i pół, to zabiorę ci czytnik – Ewa wreszcie odzyskała głos po propozycji ciotki.

– A jeżeli będziesz miała dość rodziców, to możesz mieszkać ze mną.

Ewkę i jej męża zatkało, a zaraz potem rozgorzała dyskusja, zakończona awanturą. Stronę Szajby i Weroniki trzymali rodzice, więc obiad skończył się wyjątkowo szybko. Drzwi głośno trzasnęły i Roman z rodziną wyszli obrażeni.

– Sara...

– Mamo, oni słamszą tego dzieciaka. Słyszeliście to? Ma się uczyć, nie czytać nic oprócz lektur i podręczników, bo czytanie wręcz szkodzi. I zostać prawnikiem albo lekarzem, bo z tego jest dobra kasa. Żeby chociaż Werkę interesował jeden z tych zawodów.

– Szybko nie przyjdą...

– Ich strata.

– I nie pozwolą do nas przyjść Weronice – wyjaśnił ojciec Sary.

– To jest szantaż, wiecie?

– Wiemy. Ale jakie jest wyjście?

– Ona im się lada moment urwie. Mam tylko nadzieję, że ma dość oleju w głowie, żeby nie narozrabiać.

Lipner posiedziała jeszcze trochę u rodziców, próbując złagodzić ich obawy co do kontaktów z córką i wnuczką, a potem pojechała do Piotra. Tym razem wzięła ze sobą ciuchy na zmianę. Niedziela zapowiadała się wolna od pracy i postanowili spędzić ten dzień razem.

Rozdział dziewiętnasty

Podobnie jak na samym początku śledztwa w sprawie Gawrońskiego, Sara zaanektowała prawie całą powierzchnię podłogi w dzielonym z Roszkowskim pokoju. Zostawiła mu tylko tyle miejsca, żeby mógł przejechać wózkami do drzwi, a resztę pokryła wydrukami. Przekładała je i grupowała, zmieniała kolejność, układała w rozmaitych konfiguracjach. W ten sposób łatwiej było jej spojrzeć na sprawę pod różnymi kątami. Czasem bywało też tak, że nagle jakieś zdjęcie czy zeznanie przyciągało jej uwagę, gdy leżało koło innego dokumentu. Teraz pomału dochodziła do wniosku, że jakkolwiek by nie patrzyła na morderstwo Gawrońskiego, to ma ono wiele wspólnego z tragedią Tralków i zabójstwem Tomaszewskiego. Za dużo elementów wiązało te wszystkie wydarzenia. Jako motyw na pierwszy – i jedyny plan – wyszła zemsta. Ale kto mścił się na „muszkietierach”? To pytanie zadawała sobie notorycznie, ale nie znalazła satysfakcjonującej odpowiedzi. Najbardziej zainteresowani, czyli rodzice poszkodowanych dzieci, nie żyli, oparzony Mateusz Tralka przebywał cały czas w szpitalu psychiatrycznym. Z drugiej strony Lipner nie podejrzewała, że za zbrodniami kryje się ktoś niezwiązany z rodziną Tralków. Morderca był za dobrze zorientowany we wszystkim, co dotyczyło starej tragedii, znał jej uczestników i był w jakiś sposób emocjonalnie związany z jej uczestnikami. Najwyraźniej znał też losy „muszkietierów”, wiedział, gdzie mieszkają, i potrafił się do nich zbliżyć.

Kto to jednak mógł być?

Nie najbliższa rodzina i nie chory psychicznie Mateusz Tralka. W jego przypadku można by było od biedy dopuścić możliwość straszenia Gawrońskiego podczas przepustek, choć na pewno byłoby to utrudnione. Przepustki były nieregularne i najczęściej – o ile nie zawsze – Mateusz spędzał ten czas razem z bratem. Co jednak z morderstwami? Przecież nie

mógł zabić ani Gawrońskiego, ani Tomaszewskiego. To było fizycznie niemożliwe, Sara widziała jego dłonie, w których trudno mu było utrzymać kubek, a co dopiero kierować samochodem lub posługiwać się brzytwą. Pozostawał Hubert Tralka, ale on z kolei często wyjeżdżał za granicę, więc żadna długoplanowa i systematyczna akcja w jego przypadku nie wchodziła w grę.

Szajba zastygła nagle w bezruchu. Zaraz, moment! A może trzeba zweryfikować rozumienie „długoplanowa i systematyczna”? Przecież w grę wchodzi lata, a nie dni czy tygodnie. Co innego oznacza systematyczność w obrębie miesiąca, co innego wielu lat. Rozciągnięta w czasie systematyczność w przypadku Huberta Tralki była jak najbardziej możliwa. Ale co z morderstwami? Mężczyzny nie było jeszcze na świecie, gdy zginęła jego siostra, a brat został trwale okaleczony. Czy w ogóle jest sens brania go pod uwagę?

Owszem. Od dziecka wiedział, co się stało, rodzice i brat opowiadali mu o tym, można powiedzieć, że nasiąkał atmosferą tragedii. Lipner wiedziała, że Tralkowie nie podnieśli się po śmierci córki i okaleczeniu syna, więc na pewno przenosili emocje na najmłodsze dziecko. Poszkodowany i chory psychicznie Mateusz też znalazł w bracie dobrego słuchacza, więc Hubert znał przebieg wydarzeń z pierwszej ręki. Teoretycznie facet mógł się zemścić za to, co spotkało jego rodzinę. Gdy zginął Gawroński, Hubert Tralka miał dwadzieścia pięć lat, był wysportowany i pewnie już miał prawo jazdy, skoro jest zawodowym kierowcą. Problem jednak tkwił w tym, że o ile trudno było sprawdzić jego alibi sprzed kilkunastu lat, to w momencie zabójstwa Tomaszewskiego był w trasie. Z kolei w piątek mógł śledzić Szajbę i ją zaatakować. Wzrost i postura się zgadzały.

– Cholera! – mruknęła pod nosem Sara, ale Roszkowski ją dosłyszał.

– Co jest?

– Jedna rzecz mi wyklucza faceta, który mógłby być mordercą Gawrońskiego.

– Jaka?

– Alibi.

– Czyli to ktoś, kto już wtedy był przesłuchiwany?

– Nie.

– I ma niezbite alibi po tylu latach?

– Ma na moment morderstwa Tomaszewskiego. A jak to się nie łączy, to mi tu – Lipner poklepała się po dłoni – kaktus wyrośnie. Wszystko się spina oprócz tego jednego.

– Kto?

– Hubert Tralka.

– Brat?

– Tak mi wychodzi.

Szajba w telegraficznym skrócie przekazała Adamowi wnioski wynikające z kilkugodzinnego wertowania dokumentów i próby powiązania wszystkiego.

– To masz pecha. To alibi jest niepodważalne?

– No raczej. To tirowiec na trasach międzynarodowych. No nic, i tak z nim muszę pogadać. A nuż się mylę? Może Tomaszewskiego zabił ktoś inny i to tylko zbieg okoliczności...

Do Huberta Tralki dodzwoniła się dopiero po godzinie. Podobno był poza zasięgiem.

– Kupiłem niedawno dom, kawałek za Gdańskiem. Niby nie powinno być problemów z zasięgiem, ale czasem jest. Teraz jestem na piętrze, to łapię bez problemu.

– Chciałabym się z panem jak najszybciej spotkać.

– A to chyba dopiero jutro. Ten dom jest w stanie surowym zamkniętym i korzystając z tego, że jestem w Gdańsku, a nie w trasie, poumawiałem się z różnymi budowłancami.

– To jest raczej pilne – nacisnęła Szajba.

– Z Mateuszem wszystko w porządku? – zaniepokoił się mężczyzna.

– Tak. O której pan wraca?

– Nie wiem, bo cholera wie, czy ci moi fachowcy przyjadą punktualnie. Ale wie pani co? Jak pani chce, to niech pani przyjedzie tu. Która jest? Piąta? To może spotkajmy się o siódmej. Zaraz powinien być

malarz, a o ósmej ma przyjechać kafelkarz. Ma pani coś do pisania? Powiem, jak dojechać.

Szajbę kusilo, żeby pojechać w pojedynkę, ale przypomniała sobie, jak skończyła się konfrontacja z mordercą Kowalika. Cud, że Sulich wtedy zdążył, a ona nie wykrwawiła się w drodze do szpitala. Najchętniej pojechałaby z Piotrem, ale ponieważ Tralka wychodził w sprawie Gawrońskiego i Tomaszewskiego, zadzwoniła do Miszty. Umówili się pod podanym przez Tralkę adresem.

Dom, w którym mieli się spotkać, położony był mniej więcej pół godziny od Gdańska. Rzeczywiście, nie na pustkowiu, ale niewielki kawałek za wsią, być może dlatego poprzedni właściciele nie wykończyli go, a sprzedali. Niszczał, to było od razu widać. Ale teren został niedawno ogrodzony, okna, drzwi i brama do garażu były wstawione, więc przypuszczalnie Tralka nie będzie potrzebował olbrzymich nakładów, żeby doprowadzić go do stanu używalności.

Szajba zaparkowała przed furtką i czekała na Misztę. Nikt nie wyszedł z domu na dźwięk podjeżdżającego samochodu i pomyślała, że być może Tralka rozmawia właśnie z jednym z budowlanców, więc weszła na posesję i podeszła do drzwi. Zapukała. Odczekała chwilę i zapukała ponownie, tym razem głośniej. Zero reakcji. Zadzwoniła do Tralki, nie odbierał. Obeszła dom dookoła, trochę z ciekawości, trochę w poszukiwaniu właściciela. Drzwi, które w przyszłości miały prowadzić zapewne na werandę, były uchylone, właściciel zapewne wietrzył zamknięty od dłuższego czasu budynek.

Lipner wróciła pod drzwi i ponownie zastukała. Cisza. Tym razem się zaniepokoiła. W pobliżu posesji stał tylko jej samochód, być może Tralka swój wstawił do garażu. Ale jeżeli jest zajęty rozmową z jednym z majstrów, to powinien stać tu jeszcze jeden wóz. Albo motor, a niechby nawet rower. Załomotała w drzwi jeszcze raz, bez efektu. W tym momencie nadjechał Miszta. Szybko zdała mu relację i razem przeszli na tył domu. Komisarz pchnął drzwi od werandy i weszli do środka.

– Panie Hubercie!

Odpowiedziała jej cisza. Sara od razu zrobiła się czujna, za dużo zwłok znalazła ostatnio. Wyjęła glocka z kabury. Miszta po krótkim wahaniu zrobił to samo.

– Dzień dobry, policja! Panie Hubercie!

Żadnej reakcji. Powoli, cały czas nasłuchując, sprawdzili dom. Hubert Tralka albo powinien na nich czekać, albo uprzedzić, że musi wyjechać. Coś tu było nie w porządku. Budynek był pusty, wystarczyło jedno spojrzenie, żeby przekonać się, że w kolejnych pomieszczeniach nie ma nikogo ani niczego niepokojącego. W końcu ostatnim miejscem do sprawdzenia zostało poddasze. Wśród rozmaitego rodzaju śmieci, pobitego szkła, jakichś pordzewiałych prętów i kilku pustaków stała drabina. Miszta został na podeście, a Szajba powoli wspięła się na kilka najniższych szczebli i ostrożnie wyjrzała nad podłogę. Wyglądało na to, że również i tu nie ma nic podejrzanego. Schowała broń i na wszelki wypadek jeszcze raz dokładnie zlustrowała pomieszczenie. I wtedy ją dostrzegła.

Niedaleko drabiny na podłodze leżała koperta z rysunkiem dwóch ludzików! Nie ma mowy, aby to był przypadek. Nie namyślając się, zaczęła się wspinać. Nagle poczuła, jak szczeble drabiny łamią się pod naciskiem jej stóp. W ostatniej chwili złapała za krawędź podłogi. Połamana drabina leżała na ziemi, a Lipner wisiała na rękach. Podciągnęła się i nie bez pewnego wysiłku wgramoliła na górę. Miała szczęście. Na dole leżały połamane szczątki. Wszystko odbyło się tak szybko, że Miszta nie dałby rady jej pomóc. Gdyby spadła, to wylądowałyby na szkłe, żelastwie, połamanym drewnie i betonowych bloczkach. Mogłoby nie być co z niej zbierać, a gdyby straciła przytomność i byłaby tu sama, to przy pewnej dozie pecha mogłaby się wykrwawić.

– O kurwa! Jesteś cała? – spytał z dołu komisarz.

– Cała, cała. Zaraz zejdem, odsuń się.

Szajba podniosła kopertę, schowała ją do woreczka na dowody, a potem do kieszeni. Ostrożnie opuściła się na rękach i zeskoczyła, starając się wylądować na czymś, co nie wbije się jej w stopy. Udało się, pod butami zachrzęściło jedynie szkło. Obejrzelili połamaną drabinę.

Wszystkie szczeble powyżej czwartego zostały podpiłowane tak, że nie miały prawa utrzymać nawet dziecka, a co dopiero dorosłego. Ktoś zastawił na nią pułapkę.

Jaki ktoś?! Hubert Tralka, bo przecież to z nim się tu umówiła. Nie wiedział, że nie przyjedzie sama, i zapewne miał nadzieję, że się jej pozbędzie. Szajba na wszelki wypadek zrobiła kilka fotek drabiny i ułożonych na podeście prętów, szkła i całej reszty. Na pewno nie znalazły się tam przypadkowo, reszta domu była wysprzątana, nigdzie nic się nie poniewierało. Dużo nie brakowało, a skończyłaby nabita na pręty i pocięta szkłem. Skoro Tralka chciał się jej pozbyć, to znaczy, że jest mordercą, co najmniej w przypadku Gawrońskiego, a ona zbliża się do zakończenia śledztwa. Swoją drogą, na co liczył? Na to, że ją zabije, a śledztwo utknie w martwym punkcie?

– Prawie go dorwaliśmy – mruknął Miszta już przy samochodach.

– Jadę do niego do domu, jedziesz ze mną?

– Pewnie!

– Pogadam z Ostróżką, na pewno też będzie chciała przy tym być.

Już z samochodu Szajba zadzwoniła do szefowej. Musieli zatrzymać Tralkę i to szybko.

– Wezmę jakieś męskie wsparcie i poczekam na ciebie pod domem Tralki.

– Miszta też będzie. Chce ci się jechać?

– Dawno nie byłam przy zatrzymaniu mordercy, brakuje mi tego – wyznała Dagmara. – Godzina wystarczy wam na dojazd?

– Najprawdopodobniej tak.

Pod domem Tralki spotkali się przed dwudziestą pierwszą. Ostróżka czekała z „męskim” wsparciem, czyli znanym Sarze jedynie z widzenia sierżantem.

– Będzie zadyma? – spytał policjant, gdy we czwórkę wchodzili po schodach.

– Mam nadzieję, że nie. Ale biorąc pod uwagę, że całkiem sensownie chciał się mnie pozbyć, musimy uważać.

Szajba zadzwoniła do drzwi i czekała. Zadzwoniła ponownie i spróbowała podsłuchać, czy coś się dzieje w mieszkaniu. Miszta zapukał. Z sąsiedniego mieszkania wyjrzał zaniepokojony sąsiad, a widząc mundur sierżanta, szybko zamknął drzwi. Lipner, bez większego przekonania, zadzwoniła na komórkę Tralki. Skoczna melodia dobiegła z głębi mieszkania.

– Ja pierdołę, mam nadzieję, że nie znajdziemy teraz jego zwłok!

– Wchodzimy! – zarządziła Ostróżka.

Sierżant i komisarz już się szykowali do wyłamania drzwi, ale Lipner odsunęła ich i wyciągnęła z kieszeni pęk wytrychów.

– Nie widzieliście tego – mruknęła i bez wysiłku otworzyła drzwi.

– Co za człowiek – westchnęła Dagmara. – Żeby nie zamykać drzwi?! Przecież ktoś mógł go okraść. Wchodzimy, ale ostrożnie.

Miszta z niedowierzaniem spojrzał na Sarę, a potem uśmiechnął się pod nosem. Krążące o niej opowieści nie były przesadzone.

Mieszkanie okazało się puste, a rozrzucone ubrania i pootwierane szafy wskazywały na to, że Tralka pakował się w pośpiechu.

– Uciekł – zawyrokował komisarz.

– Daleko nie nawieje – wzruszył ramionami sierżant.

– Kurwa mać! Ma kilka godzin przewagi, mógł już wyjechać z Polski!

– Dawaj numer rejestracyjny – zażądała Ostróżka. – Niech uważają na niego na granicach.

– Dzwon, może to coś da. – Sara przedyktowała numer. – Ja wezwę techników, może coś tu znajdą.

– Będę potrzebny? – spytał sierżant.

– Nie, możesz znikać – pozwoliła Lipner.

Żeby nie wzbudzać ciekawości, czekali na techników w samochodzie Ostróżki. Prawie w milczeniu, bo Szajba była tak wściekła, że nie chcieli się jej gadać, co było widać na pierwszy rzut oka.

- Niech to cholera! Jak spierdolił za granicę, to możemy go nie namierzyć.

- Nie tak łatwo zniknąć zupełnie – pocieszyła ją Dagmara.

- Facet całe życie jeździ na tirach, na pewno nieźle zna tereny, przez które często przejeżdża, może też mieć rozmaite znajomości... – Sara nagle zamilkła, jakby tknięta nową myślą.

Przyjechali technicy. Ostróżka i Miszta wysiedli, żeby z nimi pogadać, a Lipner wciąż tkwiła zamyślona na siedzeniu pasażera.

- Jedziemy do domów? – spytała Dagmara po powrocie. – Miszta zostaje, da nam znać, jak coś znajdą.

- Moment, uczulę ich na rękawiczki. Ten facet, który buszował w domu Tomaszewskiego, miał nietypowe – wyjaśniła Sara, wysiadając z samochodu. – I dam tę kopertę, która mnie omal nie kosztowała życia.

Nie było jej dziesięć minut i wróciła z tryumfującą miną.

- Mają. Znaleźli jedną parę ochronnych, mniej więcej takich, o jakich wspominali technicy w domu Tomaszewskiego.

- Co wymyśliłeś? – spytała Ostróżka. – Bo widziałam, że nad czymś intensywnie myślisz.

- Wiem, w jaki sposób Tralka mógł zabić Tomaszewskiego i mieć alibi.

- Był wtedy w trasie.

- Właśnie. Jego tir był w trasie. Jeżeli nie za daleko, to mógł się pokusić o szybki wypad do Gdańska, morderstwo i powrót.

- Naciągane. Nie mam na myśli przekraczania granicy, a odległość. Nie zrobił przecież postoju tuż po wyjeździe z Polski. I musiał mieć czym jechać.

- Wiem. Jeżeli chodzi o to drugie, to co za problem zostawić wcześniej swój samochód na parkingu, na którym zatrzymuje się, będąc w trasie? Pewnie ma jakiś ulubiony.

- To załatwia środek transportu, nie czas.

- Tego na razie nie mam jak udowodnić – zastrzegła Szajba – ale wiem, jak bym sama to rozegrała. Tralka ma na pewno kumpli tirowców. Myślisz, że nie zrobiliby mu przysługi, gdyby o to poprosił?

– Pojechaliby kawałek za niego?

– Dokładnie. A do Polski wrócili samochodem Tralki. Wszystko trzeba by było tylko zgrać w czasie. Rozumiesz, widzę to tak. Kumpel Tralki jedzie jego samochodem w z góry ustalone miejsce. Zamieniają się. To musiałoby być w miejscu, z którego potem długo się jedzie bez przekroczenia granicy, tak na wszelki wypadek. I w którym wypada ileś tam godzin odpoczynku. Tralka wraca do Polski, morduje i jedzie na następny parking, gdzie wypada dłuższy postój.

– Chyba musi się gdzieś przespać.

– Wiem. Ale po pierwsze tiry jednak wolniej jeżdżą, po drugie po iluś godzinach jazdy muszą ileś odpoczywać. Nie pamiętam teraz, jak to dokładnie jest. Ale mam wrażenie, że to się da zrobić. To jest pi razy oko około dziesięciu godzin jazdy na kilkanaście godzin przerwy. Prędkość tira na autostradzie w Niemczech to osiemdziesiąt kilometrów na godzinę, osobówki sto trzydzieści. To spora różnica. Moim zdaniem spokojnie dałby radę obrócić do Gdańska i z powrotem, nawet przeznaczając kilka godzin na sen. Na samych postojach ma dobę do przodu.

– Może i racja. Ale jeżeli ten współnik zostałby zatrzymany do jakiejś kontroli?

– Wystarczy, że był podobny do Tralki. A jeżeli jechałby przepisowo, to i na to była mała szansa.

– Tylko jak to udowodnić? – spytała Ostróżka.

– Sprawdzając parkingi z miejscami dla tirów na ostatniej trasie Tralki. Na pewno mają kamery. Jutro dowiem się, dokąd jechał ostatnio. Puścisz to dalej?

– Puszczę. A pod domem i psychiatrykiem kogoś postawię na wszelki wypadek. I załatwię przeszukanie tira.

Szajbie nie dawała spokoju ucieczka Huberta Tralki. Mężczyzna działał tak szybko, sprawnie i precyzyjnie, że jasne było, iż musiał liczyć się z koniecznością szybkiego zniknięcia. I to na zawsze lub bardzo długo, jeżeli chciał uniknąć więzienia. Najprościej było wyjechać, być może

potem zmienić tożsamość. A może odwrotnie? Może miał już od dawna przygotowany plan awaryjny? Lewe dokumenty, konto w banku, kartę kredytową? Właśnie! Trzeba sprawdzić, jak wyglądają jego finanse. Co z mieszkaniem? Jest sporo warte, na pewno pieniądze z jego sprzedaży też by się mordercy przydały. Planował zostać w Polsce czy wyjechać?

Szajba dołała sobie koniaku, wygodniej umościła się w ulubionym fotelu i uznała, że jednak wyjechać. W Polsce ktoś mógłby go przypadkowo rozpoznać. A co z bratem? Zmiana tożsamości i wyjazd oznaczały zerwanie kontaktu, co najmniej na jakiś czas. To mogło mieć fatalny wpływ na zdrowie psychiczne Mateusza Tralki, chyba że byłby we wszystko wtajemniczony. Jeżeli tak było, to za nękaniami Gawrońskiego i Tomaszewskiego oraz zabójstwem obu mężczyzn stoi rodzeństwo Tralków. Jeden z braci jest najprawdopodobniej mózgiem, drugi wykonawcą. Na dodatek Mateuszowi nic nie grozi, jest chory psychicznie, wszystkiego może się wyprzeć. Albo powiedzieć, że brat błędnie zrozumiał to, co mu opowiadał.

Niech to cholera! Jak tego skurwiela teraz dorwać?

Jest jeszcze w kraju czy wyjechał?

Po krótkim namyśle i drugim kieliszku ulubionego napoju Szajba uznała, że Tralka może być jeszcze w Polsce. Oczywiście szybka ucieczka byłaby jak najbardziej wskazana, ale musiałby uciekać samochodem. Trudniej, ale bezpieczniej byłoby wynieść się gdzieś dalej, czyli samolotem. Musiał kupić bilet.

A może jednak uciekł samochodem, na przykład do Berlina, a stamtąd dalej?

Zła jak osa Sara zastanowiła się, co – na miejscu Tralki – zrobiłaby, gdyby jeszcze była w Polsce. Dobrze się ukryła, to po pierwsze.

– Ja pierdołę, prawie go miałam! Dałam się podejść jak ostatnia debilka! Cud, że w szpitalu nie wylądowałam. Albo na cmentarzu.

Zaraz, na cmentarzu? Grób Zosi. Tak bardzo zadbany i często odwiedzany. Miejsce spoczynku tragicznie zmarłej siostry. To zapewne głównie za nią Tralkowie mścili się na „muszkietkach”. Czy mogiła dziewczynki jest dla mordercy aż tak ważna, że odwiedzi ją przed

ucieczką? Czując oddech policji na plecach? Na miejscu sprawcy trzymałaby się z daleka od wszystkich miejsc, które mogą się z nią wiązać, ale ona myślała racjonalnie, a Hubert Tralka nie. Rodzinna tragedia odcisnęła na nim piętno głębsze, niż wydawało się na pierwszy rzut oka.

Wizyty na cmentarzu kojarzyły się Sarze z tęsknotą za zmarłym, poczuciem obowiązku dotyczącego dbania o grób i pewnego rodzaju sentymentalizmem. Ostatnie na tej ziemi miejsce spoczynku nieboszczyka. Czy Hubert Tralka jest obowiązkowy i sentymentalny? Tego nie wiedziała, ale na pewno był systematyczny i obowiązkowy, a skoro przez dłuższy czas nikt zapewne nie odwiedzi grobu Zosi, to być może będzie czuł potrzebę pójścia tam przed wyjazdem. Teraz cmentarz był zamknięty, wejście przez płot zawsze wiązało się z ryzykiem zatrzymania przez policję, więc Lipner uznała, że jeżeli morderca się tam pojawi, to w ciągu dnia.

Rozdział dwudziesty

We wtorkowy poranek Sara pojawiła się w pracy wyjątkowo wcześnie. Musiała załatwić kilka rzeczy, a potem od razu chciała pojechać na cmentarz. Nadała bieg sprawdzaniu konta lub kont bankowych, jeżeli by się okazało, że Hubert Tralka ma ich więcej, i zadzwoniła do firmy zatrudniającej podejrzanego. Uprzejma kobieta odpowiedzialna za logistykę bez zbędnych pytań wyjaśniła, że Hubert najczęściej jeździ do Niemiec lub Holandii. Od wielu już lat, chyba kilkunastu.

– Tak, oczywiście, kierowcy mają swoje ulubione trasy – potwierdziła przypuszczenie Szajby.

– Od czego to zależy?

– Od tego, którędy najlepiej się jedzie, gdzie lubią spać, które stacje benzynowe czy MOP-y mają najciekawsze promocje dla kierowców.

– Przyzwyczajają się do swoich tras?

– Owszem. Jeżeli często jeżdżą w te same miejsca, to już wiedzą, gdzie się lepiej jedzie, gdzie stoi policja, a gdzie dobrze karmią. Wie pani, że muszą pilnować, ile jadą i ile odpoczywają, ale to się da różnie dzielić. I robią tak, żeby te najdłuższe odpoczynki wypadły w najciekawszych miejscach.

– Zwiedzają, idą na piwo?

– A gdzie tam! Śpią, jedzą, odpoczywają, spotykają się z innymi kierowcami. Większości zależy na dobrych węzłach sanitarnych. Te postoje wypadają im bardzo często gdzieś na trasie, a nie w mieście, więc żeby zwiedzać, musieliby dojechać, a na to mają za mało czasu.

– Mówiła pani, że mogą różnie dzielić czas jazdy. Jak to robi Tralka?

– Jedzie do oporu, a potem odpoczywa, ile się da. Młody jest, jeszcze mu plecy nie siadły. Starsi wolą częściej robić przerwę.

– Gdzie był ostatnio?

– W Monachium.

Lipner przywołała w pamięci mapę Europy i uznała, że ponad tysiąc kilometrów w jedną stronę dałoby Tralce możliwość zamienienia się przy kierownicy, powrotu pod Gdańsk, morderstwa i dogonienia własnego tira. Tym bardziej że przecież zamiana nie musiała nastąpić podczas długiego postoju, a natychmiast po przekroczeniu granicy. Sara poprosiła o przesłanie informacji na temat dokładnej trasy, a specjalistka od logistyki zapewniła ją, że zaraz się tym zajmie.

Kolejną rzeczą, która bardzo interesowała Szajbę, był stan konta bankowego Huberta Tralki. Niestety jego bank był jeszcze zamknięty, a bramę cmentarza otwierano już za moment. Nie musiała jednak sprawdzać tego sama.

– Cześć, masz chwilę? – spytała, wchodząc do pokoju szefowej.

– Mogę mieć.

– Sprawdzisz mi bank Tralki?

– Sprawdzę. Jedziesz gdzieś? – Ostróżka była pewna, że inaczej Szajba zrobiłaby to sama.

– Tak. Na cmentarz. Może facet pojawi się przy grobie siostry.

– Trochę to cikliwe, nie sądzisz? – skrzywiła się Dagmara.

– Cholera, wiem, ale wszystko się kręci wokół tamtych wydarzeń, a najbardziej poszkodowana została Zosia. I weź pod uwagę, że najprawdopodobniej mózgiem tego jest facet chory psychicznie, a jego brat od niemowlaka słyszy o tej tragedii. I nie wiemy, jak ją przedstawiano. Mogło mu to nieźle zwichrować psychikę. A co do tego grobu...

Szajba krótko streściła swoje wieczorne przemyślenia.

– Dobra, ale tylko trzy dni. Moim zdaniem, jak w tym czasie nie przyjdzie, to znaczy, że albo w ogóle nie miał takiego zamiaru, albo już go nie ma w kraju. Ja bym związała, gdzie pieprz rośnie.

– Też mi się tak wydaje. Wrócę, jak zamknę cmentarz, sprawdzę, czy już wiadomo coś o finansach Tralki, poza tym mam dostać trasę jego ostatniego wyjazdu. Będzie można sprawdzić kamery.

– To puść mi to mailem, załatwię z Niemcami. A pod cmentarzem będziesz miała niewielkie wsparcie.

Na cmentarz Lipner dojechała prawie równo z otwarciem bramy. Szybko przeszła pustymi o tej porze alejkami i doszła do grobu dziewczynki. Nie było na nim świeżych kwiatów i palących się zniczy, więc Hubert Tralka nie odwiedził go w ostatnim czasie. Szajba rozejrzała się dookoła w poszukiwaniu miejsca, z którego mogłaby wygodnie obserwować grób i nie rzucać się przy tym w oczy. Nieopodal znalazła niewielką ławeczkę, którą od mogiły Zosi oddzielało kilkanaście metrów i iglaki. Usiadła na ławce, zrobiła w roślinności niewielką dziurę i nastawiła się na długie czekania. Na szczęście było ciepło, a ona miała ściągniętą ciekawą książkę, mogła jej posłuchać.

Mimo doświadczenia w wielogodzinnych obserwacjach podejrzanych zawsze ją to nudziło. Na osiedlach jeszcze coś się działo. Cmentarz był pod tym względem beznadziejny. Mogła patrzeć na emerytów idących wolnym krokiem na grób kogoś bliskiego lub młodsze pokolenie przemierzające cmentarne alejki prawie kurcgalopkiem. Niedaleko starsza para zgodnie porządkowała grób córki i co jakiś czas przyglądała się podejrzliwie Szajbie. Komisarz wstała i zrobiła sobie spacer po okolicznych drózkach. Ani na chwilę nie spuszczała z oczu grobu Zosi. Wróciła, gdy starsi państwo odeszli. Kolejne godziny wlokły się niemiłosiernie, a jedynym urozmaiceniem okazał się odbywający się niedaleko pogrzeb.

Gdy wieczorem Sara przyjechała do pracy, okazało się, że ma obie informacje, na które czekała. I tę z banku, i tę dotyczącą trasy Tralki. Sprawdziła na mapie, którądy mężczyzna jechał ostatni raz, i pogratulowała sama sobie. Jej wydawałoby się nieprawdopodobny pomysł mógł być strzałem w dziesiątkę. Sprawdzenie nagrań z kamer na parkingach, na których zatrzymują się tiry, powinno ułatwić znalezienie zmiennika. Szajba przypuszczała, że będzie to zapis z miejsca, w którym Tralka z powrotem przejmuje ciężarówkę. Za granicą pewnie wymienili

się w pierwszym lepszym miejscu, potem zmiennik musiał czekać w umówionym. Chociażby ze względu na konieczność przerwy w jeździe. Przesłała informacje do Ostróżki, a potem przejrzała wyciąg z konta bankowego Tralki. W ostatnich dniach wypłacił z niego wszystko, co miał, trochę ponad sto tysięcy. Niby nie aż taki majątek, ale na trochę powinno mu wystarczyć. Ostróżka była sumienna, sprawdziła dokładnie i odkryła, że ma jeszcze jedno konto. Jego stan znany miał być następnego ranka.

Kolejny dzień spędzony na pilnowaniu grobu Zosi Tralki był niestety prawie identyczny jak poprzedni, urozmaiceniem była jedynie pogoda. Nad Gdańsk nadciągnęły chmury, za którymi skryło się majowe słońce. Na cmentarnej ławeczce siedziało się całkiem przyjemnie. Skórzana kurtka Szajby chroniła od wiatru, ale po kilkugodzinnym siedzeniu w bezruchu było jej chłodno. Poza tym nieco zeszywniała, a krótkie przechadzki po najbliższych alejkach pomogły jedynie w niewielkim stopniu. Na pół godziny zmieniała się z cywilnym wywiadowcą czekającym w pobliżu cmentarza, bo pęcherz wyraźnie poinformował ją, że jeszcze chwila i eksploduje.

Po południu Ostróżka przesłała informację, że lada moment zaczną być sprawdzane kamery wzdłuż trasy Huberta Tralki, a jego drugie konto zostało wyczyszczone trzy dni temu. Było tam prawie dwieście tysięcy, część to zaliczka za mieszkanie. Morderca rzeczywiście szykował się do zniknięcia.

Tuż przed zamknięciem cmentarza, wbrew temu, co wcześniej postanowiła, Sara uznała, że poczeka, aż się ściemni. Tralka nie musiał narażać się przy dwukrotnym przejściu przez płot, wystarczyło, że zrobi to raz. Mógł wejść na cmentarz przez bramę, a potem czekać w bezpiecznym oddaleniu od grobu, aż się zrobi ciemno. Lipner wstała i wolnym krokiem ruszyła do wyjścia, tak jak wszyscy odwiedzający zmarłych. Przyspieszyła, wmieszała się w jakąś większą grupę i dopiero tuż przed bramą odbiła w bok. Miała nadzieję, że nawet jeżeli Tralka zorientował się, że grób jego siostry jest pilnowany, i widział jej odejście, to tego manewru nie

zauważył. Nie mógł wiedzieć, ilu policjantów bierze udział w zasadzce, i raczej nie ryzykowałby śledzenia Szajby.

Do grobu Zosi Sara wróciła okrężną drogą, a potem znalazła dobry punkt obserwacyjny pomiędzy wyjątkowo okazałym nagrobkiem a rosnącą tuż obok niego wysoką tują. Nekropolia opustoszała, nie musiała się obawiać, że jakiś przechodzień albo się jej przestraszy, albo spyta, co robi przytulona do nagrobka. Grób i iglak osłaniały ją z trzech stron. A właściwie z trzech i pół, bo trudno było ją dostrzec nawet od grobu Zosi.

Nie miała doświadczenia w zatrzymywaniu podejrzanych na cmentarzu i zastanawiała się, co jej może w tym przeszkodzić. Oczywiście nagrobki. Tralka może uciekać, przeskakując przez nie niczym przez powalone drzewa w lesie. Na pewno znał teren lepiej niż Lipner, ale chyba nie uczył się rozkładu grobów na wypadek ucieczki przed policją. Sara zastanowiła się, którędy najlepiej byłoby uciec. Nie do bramy głównej, to na pewno. Logiczniej byłoby w stronę najmniej uczęszczanej ulicy przylegającej do cmentarza. Korzystając z tego, że cały czas było jeszcze jasno, dobrze przyjrzała się grobom, ławeczkom i dróżkom. Starła się je jak najlepiej zapamiętać, żeby potem przeskakując przez nagrobek, nie wylądować na następnym.

Czas się dłużył. Do zapadnięcia zmroku została jeszcze prawie godzina. Sara była zeszywniała, nieco wyziębnięta i, co tu kryć, głodna. Wizja kolacji, najlepiej jedzonej razem z Piotrem, na moment przysłoniła jej wszystko inne.

Piotr. Był coraz bardziej obecny w jej życiu. Na początku tylko zawodowym, ale stopniowo się to zmieniło. Po prostu chciała z nim być. Rozmawiać, śmiać się, planować coś wspólnego, uprawiać seks i budzić się w tym samym łóżku. No może nie zawsze, bo to wiązało się z mieszkaniem razem, a na to nie była jeszcze gotowa. Czy kiedykolwiek będzie? Tego nie wiedziała, ale była pewna, że Sulich stał się ważnym elementem jej życia.

Nagle zorientowała się, że zrobiło się ciemno – musiała dochodzić dwudziesta pierwsza. Na chwilę straciła świat z oczu, ale na szczęście nic

się w tym czasie nie wydarzyło. Wytężyła wzrok i słuch. Miała nadzieję, że Tralka pojawi się w najbliższym czasie. Największy wróg czekających na kogoś w zasadzce – pęcherz, znowu dawał o sobie znać. Nie była amerykańskim snajperem i na myśl o pozbyciu się problemu tam, gdzie stała, skrzywiła się z niesmakiem. Zamiana z wywiadowcą była teraz jednak zbyt ryzykowna.

Od tych prozaicznych rozmyślań oderwał ją cichy dźwięk. Ktoś się zbliżał. Albo cmentarny złodziej, albo morderca. Miała nadzieję, że to drugie. Coraz wyraźniej było słycać ostrożne kroki, pojawiło się słabe światło latarki. Lipner, o ile to możliwe, znieruchomiała jeszcze bardziej. Ten, kto szedł, zatrzymał się, a potem najwyraźniej skręcił, bo kroki zaczęły się oddalać, a światło zniknęło.

– Kurwa, jakaś pierdolona hiena cmentarna! – szepnęła ledwo dosłyszalnie Sara.

Nagle zorientowała się, że kroki znowu się przybliżyły. Ktoś krążył po okolicy. Może złodziej w poszukiwaniu łupu, może morderca, sprawdzając, czy teren jest czysty. Nagle zapanowała cisza, a po chwili Sara ujrzała błysk latarki odkładanej na nagrobek. W jej świetle było widać mężczyznę, który kładzie na mogile wieniec, a potem zapala dwa znicze. Światło zgasło, ale Lipner wiedziała, gdzie patrzeć, aby w świetle księżycy dojrzeć ciemną sylwetkę. Za moment Hubert Tralka będzie wracał. Zatrzymać go teraz czy gdy odejdzie od grobu?

Teraz! Tu znała teren, gdyby zaczął uciekać na przelaj, pościg byłby zdecydowanie trudniejszy. Osłaniając wyświetlacz telefonu, wysłała do wywiadowcy jedno słowo: „Jest” i ostrożnie wysunęła się spomiędzy nagrobka i tui. Było tak cicho, że nawet szelest trąconych lekko gałęzi zaalarmował mężczyznę. Zamarł w bezruchu, a potem rzucił się do ucieczki.

– Stój! Policja! – wrzasnęła Szajba i pobiegła za nim.

Niestety Tralka zrobił to, czego się bała. Nie uciekał alejkami, a przeskakiwał albo przebiegał przez groby i poruszał się po wąskich przejściach między nimi. Przeskok, skręt, wyminięcie ławeczki, potknięcie na podmurówce kolejnego grobu, przeskok, bieg. I znowu to

samo. Mimo tego biegu terenowego Sara zbliżała się do mordercy. Przeskoczyła przez mogiłę, po której przebiegł Tralka, zahaczyła rękawem kurtki o metalowy krzyż, poczuła szarpnięcie i usłyszała, jak skóra się drze. Szarpnięcie spowodowało, że lekko zachwiała się przy lądowaniu i przywaliła kością policzkową w gipsowego aniołka. Kurwa mać! Na szczęście ścigany też miał pecha i to chyba większego, bo nagle upadł, jęknął, a gdy się podniósł, nie przebiegał już po grobach, a wybierał ścieżki. Szajba była tuż za nim. Słyszał ją i wiedział, że nie da rady uciec. Wyhamował i zaczął się do niej odwracać, gdy nagle poczuł, że traci grunt pod nogami. Nie spodziewał się, że ścigająca go kobieta rzuci się na niego niczym zawodnik rugby. Zaskoczenie zawsze działało na jej korzyść, o czym Sara doskonale wiedziała. Na wszelki wypadek poczęstowała Tralkę ciosem w szczękę, wbiła mu łokieć pod zębra, a gdy usłyszała bolesny jęk, przewróciła na brzuch i założyła kajdanki. To ostatnie odbyło się już w towarzystwie dwóch mundurowych i Ostróżki. Jeden z policjantów podszedł do Tralki i jednym szarpnięciem postawił go na nogi.

– Krążące o tobie opowieści nie są przesadzone – powiedziała z uznaniem Dagmara.

– No, pani komisarz sama by go zatrzymała, skuła i dowiozła na dołek – przytaknął plutonowy.

– Kurwa, taka dobra skóra do wywalenia przez tego skurwiela! – mruknęła Sara, oglądając rękaw kurtki.

– I chyba siniaka będziesz miała – zauważyła Ostróżka.

– Co? A tak, miałam bliski kontakt z aniołem.

– Walnął cię i podarł kurtkę za bieganie po grobach?

– Nie, kurtką zahaczyłam o krzyż. Zbierajmy się stąd! – pogoniła wszystkich Sara. Przypomniała sobie o konieczności odwiedzenia toalety. Na szczęście w pobliżu była czynna restauracja.

Od momentu upadku Hubert Tralka nie odezwał się ani słowem.

– Chcesz z nim teraz pogadać? – spytała Ostróżka, gdy cała piątka dotarła do samochodów.

- Nie, niech do jutra skruszeje. I może Niemcy znajdą coś na nagraniach.

- To spadaj do domu, ja go odstawię.

Zanim ruszyła spod cmentarza, Szajba sprawdziła telefon. Kilka nieodebranych połączeń, na które spokojnie mogła odpowiedzieć nazajutrz, i SMS od Piotra. Wiedział, że będzie niedostępna i dlatego, więc już zaczynał się niepokoić.

- Mamy go - powiedziała bez wstępu, gdy odebrał telefon po dwóch sygnałach.

- Tak jak podejrzewałaś? Przyszedł na grób Zosi?

- Tak. Ostróżka i mundurowi zabrali go, a ja mam luz do jutra.

- Jesteś głodna?

- A jak myślisz? Nie prowadziłam przecież inwigilacji, siedząc w knajpie.

- Dobra, coś zorganizuję. A swoją drogą, to by była zasadzka marzenie. Wygodnie, żarcie pod nosem i w razie czego deszcz na nos nie kapie.

- W samochodzie też nie kapie. Ale na cmentarzu chyba w karawanie musiałabym siedzieć. Będę za chwilę, nie ma korków o tej porze.

Szajba była zmęczona, ale też zadowolona i nakręcona. Chciała pogadać, opowiedzieć o wszystkim, podzielić się emocjami związanymi z zatrzymaniem Tralki. To był pierwszy morderca, którego zatrzymała po przejściu do Archiwum X. W Sulichu miała najwierniejszego kibica, bo przecież to on sam zasugerował jej taką zmianę.

- Niech cię diabli! Znowu się biłaś? - To były pierwsze słowa Piotra na widok Szajby.

- Też się stęskniłam. Dlaczego miałabym się bić?

- Widziałaś się?

Ręka Szajby powędrowała do twarzy. Policzek pulsował, dając znać, że siniak trudno będzie przykryć podkładem. Zresztą nie lubiła wszelkiej maści pudrów, bo miała wrażenie, że się pod nimi poci. Nieraz słyszała, że

to kwestia doboru kosmetyku, ale była na to zbyt niecierpliwa, a poza tym nie lubiła się malować.

Wyminęła Sulicha i weszła do łazienki. No tak, jak zaraz czegoś z tym nie zrobi, to pół twarzy będzie miała sine. Na kości policzkowej widniała już nabrzmiała pręga, a wszystko dookoła zaczynało zmieniać kolor. I była spuchnięta.

– Niech to cholera, pierdzielony anioł! Daj mi lód albo co, bo będę jutro straszyla.

– Nie mogłaś poczekać na wsparcie? Jaki kurwa anioł?!

– Napadł mnie – mruknęła Szajba, zdejmując i oglądając podartą kurtkę. – I krzyż się na mnie rzucił.

– Masz wstrząs mózgu? Oberwałaś w twarz, ale może się rozeszło? Miałaś sparing z aniołem?

– Dokładnie tak. Daj ten lód!

– Nie mam.

– To jakąś mrożonkę.

Lipner poszła za komisarzem do kuchni i wyjaśniła po drodze, o co chodzi z atakiem anioła.

– Siniak mi zejdzie, kość mam całą, ale kurtki żałuję. Muszę chyba kupić nową. Może przy okazji zamówię i dla Werki, młoda się ucieszy.

– Kto zatrzymał Tralkę? – spytał podejrzliwie Piotr, podając Sarze mrożony groszek.

– Ja, ale nie sama.

– Czyli ty go zatrzymałaś, a zaraz potem reszta przyszła na gotowe – bez pudła zgadł Sulich.

– Jakbyś tam był. Jak go skuwałam, to już w towarzystwie Ostróżki i dwóch mundurowych.

– Kurwa, czy ty się nigdy nie nauczysz?

– Nie, pogódź się z tym. I tak wyjątkowo uważałam. A byłam wkurwiona przez tę kurtkę.

– Dobra! – Piotr odetchnął głęboko, wiedział, że przyciskanie Sary może przynieść skutek odwrotny od zamierzonego. – Ja skończę robić

kolację, a ty opowiadaj.

– Mam nadzieję, że krócej będziesz robił, niż ja opowiadała. – Sara podkraśla kawałek kiełbasy spod noża.

Jedli i rozmawiali. A właściwie Sulich słuchał, w każdym razie przez pierwszą część rozmowy. Nie wszystkie wątki były jeszcze jasne, ale teraz to była tylko kwestia czasu.

– Nie wiem, czy udowodnisz zabójstwo Gawrońskiego – powiedział z powątpiewaniem komisarz.

– Liczę na te rysunki dzieci. Przypuszczam, że da się stwierdzić, że wyszły spod ręki Tralki. Innych śladów praktycznie nie ma, oprócz tego niezidentyfikowanego włosa na zwłokach Gawrońskiego. Pamiętasz?

– Pamiętam. Ale i tak nie wiem, czy Tralkę uda się skazać za zabójstwo Gawrońskiego. Większa szansa jest w przypadku Tomaszewskiego.

– Jakoś się z Misztą dogadam, grunt, że facet siedzi.

– Zemsta po latach – mruknął Piotr. – I to jeszcze cudzymi rękoma.

– Mateusz Tralka sam nie dałby rady, a brata zmanipulował doszczętnie.

– To nie takie łatwe – stwierdził sceptycznie Sulich.

– Weź pod uwagę, że to rodzeństwo, a Hubert od dziecka słyszał o tragedii, był pewnie wielokrotnie świadkiem oskarżania, choć niepublicznego, „muszkieterów”. Na pewno był podatny na propozycję zemsty. I wziął w tym udział bez oporu. Nie wiem, czy ci mówiłam, ale podczas rozmowy bardzo bagatelizował znajomość kolegów brata. Zastanawiam się... – Sara zawahała się i dokończyła powoli: – czy Mateusz Tralka na pewno powinien przebywać w psychiatriku.

– Co kombinujesz?

– Choroba psychiczna jest bardzo wygodna dla mordercy.

– Dla mózgu, a nie bezpośredniego mordercy.

– Nieważne. Kilka razy wychodził na próbę i musiał wracać, nie dawał sobie rady. To łatwo symulować. Taki atak, jaki miał, gdy z nim rozmawiałam, też. A to inteligentny facet, który w psychiatriku napatrzył się na rozmaite zachowania.

– Sądzisz, że to jego polisa ubezpieczeniowa, że nie pójdzie siedzieć?

– Zaczynam tak podejrzewać.

– Nie udowodnisz tego.

– Wiem. Ale co wiem, to moje. I pogadam z Misztą, niech to uwzględni, gdy będzie faceta przesłuchiwał.

– Na tej kopercie z domu, do którego cię zwabił, coś jest?

– Jeszcze nie wiem. Dałam technikom, ale na za dużo nie liczę.

– Trafiałaś na nietuzinkową sprawę. Nie jakieś tam morderstwo za pomocą sprzętu AGD czy pozbycie się spadkodawcy, a zemsta dokonana częściowo rękoma osoby trzeciej.

– Dobrze mi poradziłeś. – Szajba się roześmiała. – I wbrew temu, czego się obawiałam, nie jest to robota pozbawiana adrenaliny.

– Jak widać. – Sulich wymownie spojrzął na twarz Sary.

– Nie czepiaj się, nic mi nie jest. Lepiej powiedz, czy coś słyhać w sprawie Piotrowskiego.

– Nic. Wszyscy nabrali wody w usta. Więc albo sprawa śmierdzi na kilometr, albo po prostu nic nie mają.

Podczas rozmowy Piotr sprzątnął po kolacji i wyjął z lodówki piwo.

– Zostajesz?

– Tak.

– To przenieśmy się do pokoju, kuchnia jest jakoś mało przytulna.

– Po całym dniu tkwienia na cmentarnej ławeczce jestem zesztywniała i wolę przytulność wanny lub prysznic. Marzę o ciepłej kąpeli. Poczekasz moment z tym piwem?

– Czy ja wiem? W sumie zmieścimy się pod prysznicem razem – uśmiechając się, stwierdził Piotr. – Mogę ci umyć plecy albo nawet pomasować zesztywniałe mięśnie.

– A co ja mam ci pomasować w zamian?

– A jak myślisz?

Sulich odstawił piwo na stolik i szarmanckim gestem otworzył przed Sarą drzwi do łazienki.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Przez ponad dwa tygodnie Hubert Tralka milczał. Nie mówił nic, na żaden temat, po prostu nie odzywał się. Lipner i Miszta przesłuchiwali go na zmianę, bez rezultatu. Po kilkunastu intensywnych poszukiwaniach został namierzony parking, na którym morderca przekazał swojego tira koledze, a sam wrócił do Polski. Hieronim Kulczycki był przekonany, że to tylko przysługa, którą wyświadcza kumplowi. Tralka powiedział mu, że chce sprawdzić, czy dziewczyna nie przyprawia mu rogów. Gdy dowiedział się, o co chodzi, od razu stał się skłonny do współpracy, nie chciał być zamieszany w morderstwo. Na wieść o tym, że policja dotarła do Kulczyckiego, morderca jedynie zacisnął szczęki i pięści. Podobnie zareagował, gdy Szajba poinformowała go, że włos zabezpieczony na zwłokach Gawrońskiego dwadzieścia trzy lata temu jest identyczny z tym pobranym od niego tuż po zatrzymaniu. Hubert Tralka nie zmienił zachowania również wtedy, gdy okazało się, że bez cienia wątpliwości włókno z domu Tomaszewskiego idealnie pasuje do rękawiczki zabezpieczonej w jego domu. Komisarz Miszta zorganizował też okazanie, a kilkoro sąsiadów Tomaszewskiego wskazało podejrzanego jako osobę, która kręciła się po wsi mniej więcej w czasie, gdy doszło do zabójstwa. Rzeczywiście, miał sylwetkę podobną do Muchy.

– Ja pierdołę, co za niemowa! – warknął po kolejnym przesłuchaniu Miszta.

– Myślałam, że może ruszy go to, że mamy dowody na to, iż to on zastawił na mnie pułapkę, bo na szczęście technicy znaleźli na tych szczątkach drabiny włókna z jego swetra. I też nic. No kurwa mać!

– No więc mamy dowody, to nie będzie poszlakówka, ale też mnie wkurza to jego milczenie.

– A co z motorem? Tym, którym przyjechał pod dom Tomaszewskiego.

– Nie wiem. Podejrzewam, że ukradł go komuś, kto nie używa go cały czas, i właściciel nawet się nie zorientował.

Mateusz Tralka na wieść o zatrzymaniu brata, o oskarżeniu go i o tym, że on sam jest podejrzewany o zaplanowanie obu morderstw wpadł w szal. Lipner nie była w stanie ocenić, na ile był on kontrolowany, na ile prawdziwy. Tego dnia skończyło się na interwencji pielęgniarzy i zastrzyku uspakajającym. Dwa dni później Tralka usiłował popełnić samobójstwo. Sara natychmiast pojechała na Srebrzysko porozmawiać z lekarką.

– W jakim jest stanie? – spytała zaraz po powitalnych formułkach.

– Dobrym. Według mnie to była demonstracja.

– Jest pani pewna?

– A wieszalaby się pani pośród ludzi, w zasięgu wzroku pielęgniarzy?

– Ja bym się w ogóle nie wieszala. Ale on jest chory...

– Ale doskonale wie, że to nie miało szansy powodzenia.

– Był wkurzony po rozmowie ze mną i dlatego? – zaniepokoiła się Lipner. Nie przewidziała, że Tralka targnie się na życie w psychiatryku.

– Sądzę, że to reakcja na wieści o zatrzymaniu brata. Prawdopodobnie i tak by to zrobił, niezależnie od rozmowy z panią. Według mnie miał nadzieję, graniczącą z pewnością, że uda się im zemścić. – Lekarka wiedziała już o podejrzeniach dotyczących tego, że morderstwa zaplanował jej pacjent.

– Jak to zrobił? Miał sznur, pasek czy coś w tym stylu?

– Na kołnierzu.

– W życiu by mi to do głowy nie przyszło.

– Pacjenci są pomysłowi, zdziwiłaby się pani, jak bardzo.

Hubert Tralka wreszcie przemówił, gdy dowiedział się o samobójczej próbie brata, a Szajba pluła sobie w brodę, że nie wpadła wcześniej na pomysł drobnej mistyfikacji.

– Odczepcie się od Matusza! On jest chory. I chyba nie myślicie – tym razem Tralkę przesłuchiwali wspólnie Szajba z Misztą – że uciekł z psychiatrika i załatwił Gawrońskiego i Tomaszewskiego? Ja ich zabiłem.

Mieli to! Morderca przyznał się do winy. Podczas kolejnych przesłuchań przyznał się do wszystkiego, na co mieli dowody. Upierał się, że to nie on podpalił dom Gawrońskiego i że nie prześladował go w sposób inny niż wysyłanie listów. Sara wątpiła w to, ale nie była w stanie udowodnić, że było inaczej.

Trzy tygodnie po ujęciu Huberta Tralki Sara umówiła się z synem Jana Gawrońskiego. Tym razem spotkali się w jednej z kawiarni w centrum Gdańska.

– A wie pani, że już traciłem nadzieję? Myślałem, że i tym razem nic z tego nie wyjdzie.

– Morderca dopiero przyznał się do winy.

– Kto to?

Lipner opowiedziała Szymonowi Gawrońskiemu tylko tyle, ile mogła, ale mężczyzna i tak poczuł się usatysfakcjonowany.

– Szczerze mówiąc, trudno w to uwierzyć. Tyle lat! I ten facet z psychiatrika, który wszystko zaplanował...

– Nie wiadomo, czy wszystko, ale najprawdopodobniej bardzo dużo – skorygowała Szajba i podniosła się zza stolika.

– Jeszcze raz pani dziękuję.

Było jeszcze wcześniej, dopiero zbliżała się siedemnasta i komisarz postanowiła tego dnia pobiegać nie w okolicy domu, ale w Brzeźnie, po parku i wzdłuż morza. Wróciła do domu, szybko przebrała się i od razu pojechała na parking przy przedłużeniu alei Jana Pawła II. Najpierw pobiegła w stronę Sopotu, potem zawróciła i ruszyła w stronę Brzeźna. Dawno nie była w parku i jego okolicy, a lubiła sprawdzać, co i jak się zmieniło. Przebiegła obok stosunkowo niedawno odnowionego Domu Zdrowego i wbiegła między drzewa. Alejkami dotarła do pozostałości po

starych umocnieniach, a potem po schodach na górę. Przez chwilę stała i patrzyła na morze, wyrównując oddech. Obok niej przystanęła jakaś para w średnim wieku, nieco dalej przebiegły dzieci z psem. Szajba stwierdziła, że dosyć już tego odpoczynku i postanowiła zbiec z umocnień na skróty, wydeptaną przez spacerowiczów ścieżką prowadzącą koło bunkra.

Nie zauważyła nikogo, nic nie usłyszała. Nagle tuż obok niej rozprysnął się beton bunkra, a zaraz potem poczuła ból i poleciała w dół ze skarpy. W ostatnim przebłysku świadomości usłyszała przeraźliwy krzyk jakiejś kobiety.

A potem zapadła ciemność.